



Marlena De Blasi

Tamtego lata na Sycylii

DATY NARODZIN

SIMONA: 1905

LEO: 1912

COSIMO: 1919

TOSCA: 1930

YOLANDE: 1931

CHARLOTTE: 1932

MAFALDA: 1933

TLR

Ayn as Jafat to po arabsku „krynica zdrowia”. Pod panowaniem Saracenów na Sycylii określenie to uległo zniekształceniu i weszło do miejscowego dialektu jako *Ronnafuata*. W ciągu kolejnych stuleci słowo przybrało współczesną formę *Donnafugata*, lecz jego pierwotne znaczenie także uległo zmianie. Dosłownie oznacza ono „zbiegłą kobietę”. Słowo *Donnafugata* pojawia się dziś w nazwach wielu sycylijskich posiadłości, zarówno w rzeczywistości, jak w literaturze, a także w nazwach miejscowych wyrobów oraz przedsiębiorstw działających na Sycylii i nie tylko. Letni dom występujący w powieści Lampedusy *Lampart* również nosił tę nazwę. *Donnafugata* to marka handlowa sycylijskich win z winnic rodziny Rallo, zajmującej się od czterech pokoleń produkcją belice, pantellerii i marsali.

Prolog

Ta historia mogła się wydarzyć tylko na Sycylii. Na Sycylii, która jest wyspą nie przypadkiem, nie za sprawą kaprysu natury. Która nie mogłaby być niczym innym, a to ze względu na wyniosłą skłonność do izolacji, tkwiącą głęboko w jej charakterze. Gdyby od zarania dziejów morze nie oddzielało jej od Półwyspu Apenińskiego, bez wątpienia musiałaby się sama od niego oderwać. Nie będzie to jednak opowieść o wyspie, tylko o pewnej osadzie leżącej w samym jej sercu, tam, gdzie góry sięgają nieba. Będzie to historia o położonej na odludziu wiosce w górskiej kotlinie, zbudowanej z gładów, w pobliżu ruin starożytnej świątyni. Wokół wioski, powyżej jej zabudowań, rozpościerają się pola niemal w całości obsiane pszenicą, a na spalonych słońcem stokach pasą się owce i kozy. W całej okolicy nie widać tu innego lustra wody poza metalicznie lśniąca smugą w tym odległym miejscu, gdzie rozpalone niebo styka się z żółtą ziemią, ani innych fal niż te płynące po złotych łąkach pszenicy, niczym po szumiącym morzu rozkołysanym przez wiatr, łagodny jak oddech bogini. Odwieczna płatanina mirtu, żarnowca, lebiody i tymianku rośnie na urwiskach, a jedynym dźwiękiem, jaki zakłóca wszechogarniającą ciszę, jest niepokojący szept sirocco.

Reguły życia toczącego się tu wczoraj i przedwczoraj były te same, co przed trzema tysiącami lat, te same, co przed stuleciem albo, powiedzmy, siedemdziesiąt lat temu. Przeszłość nic popadła w zapomnienie, nic z niej nie zaginęło ani nie zostało wykreślone. Wieczna jest trwałość plemiennej pamięci. Antyk, czasy nowożytne i dzień dzisiejszy stopiły się w niej w jednolity amalgamat. I poza przejawami zmiennych upodobań do pewnych dóbr lub idei, nic z tego, co widzimy wokół, co słyszymy i czego się domyślamy, nie pozwoliłoby nam rozpoznać, w jakiej epoce jesteśmy zanurzeni. Zwłaszcza kiedy włączymy się wieczorem po ruinach świątyni Demeter. Snujemy się pośród ogromnych, rzeźbionych kolumn, nieruchomych i lśniących w świetle księżyca. Nasze buty depczą po kępach dzikiego tymianku, a kolce skalnej róży rozdzierają nam ubranie. Na krzewie zostaje strzęp lnianego płótna. W tych właśnie górach żyła kiedyś grecka bogini ziemi i urodzaju. I nadal w nich żyje, o czym mogą nas zapewnić miejscowi. To Demeter nauczyła ludzi magii siewów i zbiorów, która ma związek z najgłębszą naturą kobiecości: ciemne, miękkie zaka-

marki żyznego łona ziemi gotowe są przyjąć nasiona i dać im życie. Demeter zaklina słońce, deszcz i wiatr, by plony dojrzewały dla mieszkańców tych stron, a oni w podzięce oddają jej cześć, paląc wielkie ogniska w świetle księżycy i składając rytualne ofiary z chleba i wina. Świat był rajem do dnia, w którym córka Demeter, Persefona, została porwana przez Plutona, boga podziemi. Dziewczynka zbierała kwiaty nad jeziorem Pergusa tuż pod murami pobliskiej Enny, kiedy zobaczył ją władca świata cieni i od pierwszego wejrzenia się w niej zakochał. Był gotów zrobić wszystko, by oddano mu ją za żonę. Skusiwszy dziewczynkę owocami granatu, zabrał ją do swego królestwa, a potem uzyskał zgodę Zeusa na małżeństwo. Demeter z rozpaczy zgasła słońce, zatapiając w ciemnościach górskie wioski, żyzne pola i cały świat, aż Zeus zawarł z nią umowę: co roku na sześć miesięcy córka będzie wracała w te strony. Mając Persefonę u boku, bogini rozkazuje słońcu świecić i pozwala, by na ziemię spadał ciepły deszcz. Ale za każdym razem, gdy jej dziecko wraca do podziemi, przyroda zamiera.

Tutejsi wieśniacy opowiadają historię Demeter i Persefony z takim przejęciem i współczuciem, jakby wydarzyła się zaledwie wczoraj. Tak też opowiadają historię Marii i Jezusa. W obie wierzą z równym przekonaniem, jakby znali je z własnego życia. Ich oddanie obu boskim matkom jest niezmiennie i bezgraniczne, choć jedna nosi koronę uplecioną z kukurydzy, druga okrywa się zgrzebną chustą. *Dlaczego mielibyśmy czcić tylko jedną z nich? Dla nas ważne są obie. Le addolorate.* Kobiety w żałobie. Na Sycylii sacrum miesza się z profanum.

Wstęp

Jak to bywało ze wszystkimi przygodami w moim życiu, ta także zaczęła się od przyjętego zobowiązania. Latem 1995, dziewięć miesięcy po moim ślubie z weneccjaninem, poproszono mnie o napisanie do czasopisma naukowego poważnego artykułu o sycylijskim interiorze. Wcześniej pisywałam obszernie o sławnych ludziach pochodzących z miast i miasteczek wybrzeża, o milowych krokach dawnej kolonizacji greckiej, o wspinających nagrobkach, świadectwach obecności saraceńskich szejków i normańskich królów. Pisałam nawet o archipelagach, gdzie wiatry Eola stale jęczą i wyją pośród stromych urwisk w odludnych zakątkach tego surowego świata, jakim jest Sycylia. Tamtego lata przyszło mi jednak zdobywać najbardziej niedostępne twierdze niegościnnych gór.

Przypuszczam, że nie byłam pierwszą osobą wytypowaną do tego zadania przez redaktora naczelnego spośród cenionych przez niego dziennikarzy piszących po angielsku. Już przed wyjazdem moje podejrzania zaczęły się potwierdzać. Kilku ludzi zdążyło odrzucić tę propozycję, wśród nich pewien reporter mieszkający na Sycylii od ponad dziesięciu lat. Dlaczego? Z tego samego powodu, z jakiego znajomi ostrzegali mnie przed tym zadaniem: „W głębi wyspy świat jest nieprzyjazny, a jej bezdroża i głucha cisza są odzwierciedleniem mentalności mieszkańców”. Ja jednak sądziłam, że cisza wiąże się z tajemnicą, a tajemnice budzą zainteresowanie. Przeszkody istnieją zaś po to, by je pokonywać.

Tamtego lata nasza droga wiodła nie tylko przez Sycylię. Spędziliśmy razem z mężem trzy, może nawet cztery miesiące, podróżując po terenach rozciągających się na południe od Rzymu i Lacjum. Czas schodził nam na zbieraniu materiałów i wertowaniu książek. Przez całą drogę spotykaliśmy się z niemal ewangeliczną życzliwością. Nawet na najskromniejszych stołach pojawiały się na naszą cześć odświętne potrawy. Ludzie odkładali na bok narzędzia, zostawiali muły i traktory, żeby nam pomóc, wskazać drogę i dodać otuchy. Otoczeni zewsząd opieką, nawet nie zauważyliśmy, kiedy znaleźliśmy się u podnóża gór.

Konsultując się telefonicznie i drogą pocztową z pracownikami muzeów, profesorami historii sztuki i archeologii, z pisarzami, dziennikarzami, a nawet kucharzami i piekarzami, ułożyłam niezawodny plan tej wyprawy. Przynajmniej tak mi się wydawało. Wyglądało na to, że moje kontakty zapewnią nam sukces. Gdy jednak dotarłam do pierwszego z naszych punktów przeznaczenia, gdy zebrałam pobieżne informacje o miejscowości i tych kilku jej mieszkańcach, których spotkałam, zrozumiałam swoją pomyłkę. W wyznaczonych miejscach o wyznaczonych porach siedziałam samotnie i czekałam na próżno. Wybierane numery dzwoniły w nieskończoność. Nie ma powodu się martwić, myślałam. Będzie następna miejscowość. I kolejna. Ale w każdej następnej spotykało mnie to samo, co w poprzednich.

Minęły jakieś dwa tygodnie, gdy z rozmysłem zostawiwszy bezcenną listę nazwisk i numerów w pokoju hotelowym, rozpoczęłam improwizowaną kampanię informacyjną skierowaną do miejscowej ludności. Elegancka wizytówka znanego amerykańskiego czasopisma, oferowana pracownikom biura turystycznego, przewodnikom muzealnym, sprzątaczkom, barmanom czy starym mężczyznom grającym w karty w skąpym cieniu eukaliptusów nie wywoływała żadnej reakcji poza pomrukiem lub chrząknięciem. Od młodych ludzi, stojących pod kościelnym murem z dłońmi zatkniętymi za paski, z oczami półprzykniętymi, jak u wiekowych jaszczurek zastygłych w głębokim stuporze, uśpionych w oślepiającym słońcu, nie mogłam oczekiwać nawet tego.

Również terminy najważniejszych wywiadów, zawczasu umówione przez mojego redaktora naczelnego, były lekceważone lub po prostu zapomniane. Skrupulatnie wytyczonej marszrucie towarzyszył przeraźliwy upał, nieprzyjazna cisza i odgłos pukania w jedne po drugich zamknięte na głucho drzwi. Podałam się. Zadzwoiłam do naczelnego i opowiedziałam mu o wszystkim. W słuchawce zaległa cisza, taka jak ta, na którą właśnie chciałam się poskarżyć.

Pozostało nam tylko zrezygnować z napisania zamówionego artykułu, bo sytuacja była zbyt ciężka. Fernando i ja postanowiliśmy skierować się w doliny, na południowy zachód, w stronę Agrigento. Albo też na południowy wschód, do Noto. Albo gdziekolwiek, byle dalej. Lecz przed zmianą marszruty przydałby się dzień odpoczynku w choć trochę przyjaźniejszej atmosferze. Pewnego ranka odważyłam się poprosić w barze o pomoc dwóch policjantów, których widywaliśmy tam o tej samej porze od kilku dni. Może znają jakieś miejsce na uboczu, gdzie moglibyśmy się zatrzymać? Jakiś mały hotel albo pensjonat? Ku naszemu zdziwieniu odparli, że owszem, znają. W okolicy mieszka pewna pani, o której słyszeli, że czasem przyjmuje gości, oferując pokoje, wyżywienie i opiekę. Perspektywa skorzystania z czyjejś gościnności na tej

niegościnniej pustyni wywołała szczery uśmiech radości na naszych twarzach. Rozpytaliśmy policjantów o kierunek.

- *Arrivederci* - pożegnał nas jeden z nich, odwracając się od baru i w przyjacielskim geście podniósł szklaneczkę do połowy wypełnioną grappą. Tylko pół szklaneczki do śniadania, a to ze względu na obowiązki służbowe.

- Ta pani nazywa się Tosca, a jej posiadłość to Villa Donnafugata. Ale nie liczcie na żaden drogowskaz - zawołał za nami.

Droga jest wybrukowana wyblakłymi od słońca kamieniami, a kłęby żółtego piasku pogarszają widoczność, jakby w oknach samochodu wisiały tiulowe firanki. Lipcowy upał jest nie do wytrzymania. Mordercza duchota. Po ponad dwóch godzinach męczącej pielgrzymki po kozich ścieżkach i miedzami wśród pól pszenicy, zastępującymi tu drogi, nie wiemy już, czy posuwamy się naprzód, czy błądzimy, kręcąc się w kółko. Podobne do siebie widoki wciągają nas w iluzję. I zwodzą. Takie jest właśnie oblicze Sy-cylii.

Zostawiwszy samochód w niszy skalnej, wspinamy się po stromej ścieżce do osady, o której, jak sądzimy, mówił nam policjant. Mamy nadzieję spotkać tam kogoś, kto wskaże drogę. Zgrzani i zdyszani wychodzimy na mały placyk. Widzimy fontannę o fantazyjnych kształtach. Strugi wody lecą z czterech dysz - z paszcz metalowych węży - do kamiennej sadzawki, w której kobiety piorą ubrania, rytmicznie uderzając mokrą tkaniną o brzegi zbiornika i monotonnie zawodząc pieśń, zapewne pamiętając jeszcze arabskie panowanie. Nie ma nikogo więcej, jeśli nie liczyć leciwego psa owczarka, który zasnął u ich stóp. Nie ma dzieci. Ani mężczyzn. Wypowiadamy słowa powitania i czekamy na odpowiedź. Przerwywają śpiew. Patrzą na nas, ale żadna się nie odzywa.

- Szukamy *la signora* Tosca - powtarzam wielokrotnie, używając coraz to innych gestów i intonacji.
- Szukamy Villa Donnafugata. Możecie nam powiedzieć, gdzie to jest?

Żadnej reakcji. Myśląc, że nie rozumieją, co do nich mówię, Fernando podchodzi bliżej, ospale zapala papierosa, zaciąga się kilka razy i mówi.

- *Ci serve il vostro aiuto*. Potrzebujemy waszej pomocy.

Jak gdyby słowa Fernanda były dla nich sygnałem, kobiety, nie odwracając od nas wzroku, znów zaczynają śpiewać. Zawracamy przez plac do ścieżki. Patrząc za siebie i nieśmiało macham na pożegnanie. Uświadamiam sobie, jak niepojętym byliśmy dla nich zjawiskiem. Zwłaszcza ja, w kapeluszu z szerokim rondem i w okularach przeciwsłonecznych. Gdybyśmy na wzgórze weszli w białych spodniach z lampasem, wymachując szablami, wyglądalibyśmy pewnie bardziej znajomo. Może wtedy przyjęcie byłoby życzliwsze. A jednak z chęcią wróciłabym i uprała w tej fontannie swoją zakurzoną koszulę, wyzęłabym ją, wyciskając mętną wodę, i wytrzepała o kamienie, podzwaniając wielkimi kolczykami, których odbłask ozłociłby mi policzki. To, że im pomachałam, zbliżyło nas do siebie. Jedna z kobiet wskazuje podbródkiem wzgórze za miasteczkiem. To samo, które właśnie przed chwilą mijaliśmy.

Fernando nie tylko nie chce już prowadzić samochodu, ale nawet przestaje się do mnie odzywać. Zawracam przez pola pszenicy, znowu jadąc pośród łąnów zboża. Przeżranie pojazdu budzi w nas obawę o bezpieczeństwo silnika, auto jednak dzielnie brnie przez gęste zarośla. Nic nie widzimy, bo wszystko zasłania złota kurtyna pszenicy, w dodatku musimy podnieść szyby, żeby nie pokaleczyły nas ostre lancetowate liście. Monotonia tej jazdy męczy i usypia. Lecz oto pszenica kończy się niespodziewanie, zaledwie o centymetry od rzędu topól. Lekki wiatr kołysze ich delikatnymi listkami. Otwieramy drzwi auta, oboje bez tchu, jak po szalonym biegu, i szukamy ochłody na świeżym powietrzu. Za łąką zarośniętą purpurowymi kwiatami wyki, za ogrodami, widzimy zwieńczone blankami wieże, balkoniki i żółto-czerwony, kryty szklwionymi dachówkami dach mansardowy, który w zachodzącym słońcu zdaje się płonąć. To, co mamy przed sobą, wygląda jak zamek z bajki. Gdy ruszamy w jego stronę, wiatr przywiewa mocny zapach róż i fermentujących pomarańczy.

TLR

CZEŚĆ I

Villa Donnafugata 1995

Rozdział 1

Malwy nie rozkwitają na pustyni. A jednak setki czerwonych, atlasowych kwiatów okalają szeroką, brukowaną kamieniami alejkę, prowadzącą do dużej żelaznej bramy. Już wiem, to sen. Za bramą ciągną się bezkresne, zachwycające ogrody. Róże. Białe, kremowe i w żółtawym kolorze kości słoniowej, wypełzają na ścieżki, wspinają się po kracie, kolczastą płataniną gałązek przenikają przez ogrodzenie. Bukszpanowe klomby, cisowe żywopłoty, kępy lawendy, wielkie naparstnice kłaniają się białym daliom i piwoniom. Domyślam się, że zamek, róże i malwy są mirażem, wzięły się z nadmiaru słońca. Za chwilę znikną. Wkrótce wrócimy do samochodu i oddalimy się od tej pulsującej szaleństwem ciszy, od całego tego ogrodowego przedstawienia. Ale póki jeszcze spektakl trwa, chcę się rozejrzeć po okolicy, gdzie powykręcane korpusy wisterii, jaśminu oraz winorośli oplatają pergolę, tworząc mroczne, zacienione pomieszczenie. Z jego głębi dobiega śmiech. Już od wielu dni nie słyszałam śmiechu. Nawet naszego własnego. Podchodzę do pergoli i widzę kilka kobiet, które siedzą wokół stołu przykrytego ceratą. Drżące światło przenika przez listowie i złoci ich dłonie, gdy przebierają stertę żółtej fasolki szparagowej.

- *Buongiorno* - mówią kobiety, zanim zdążyliśmy otworzyć usta.

W odpowiedzi chwalimy piękny dzień. Tak oto powitania mamy już za sobą. Chcę tylko patrzeć na te niecodzienne postacie, one natomiast wydają się nie pragnąć niczego poza swoją pracą. Nie wszystkie marzenia są nierealne. Jedna z kobiet, prawdopodobnie najstarsza, nie wiedząc jednak, kim jesteśmy i czego możemy potrzebować, wstaje i wskazuje nam drogę do pałacu. Prawdziwie przyjazne przyjęcie. Ścieżka prowadzi obok szpaleru drzew pomarańczowych i cytrynowych, migdałowców, rozrzuconych tu i ówdzie pojedynczych śliw i wiśni. Słyszę jak Fernando powtarza raz po raz:

- Gdzie my jesteśmy? Gdzie my, u diabła, jesteśmy?

Imponujący, bajeczny pałac z żółto-czerwonym dachem wyłania się z perłowej drżącej mgiełki, a przed nim rozpościera się następny ogród, otoczony kamiennym murem, jeszcze większy, pełen wisterii i róż, ziół i warzyw, zachwaszczony polnymi kwiatami. Wewnątrz ogrodzenia zauważamy kolejną grupę czarno ubranych kobiet pochłoniętych pracą. Z wahaniem podchodzimy do otwartej bramy, one odrywają się od szorowania stołów i krzeseł. Jedna jakby nigdy nic poderżnęła właśnie gardło koźlęciu i zbiera tryskającą krew do poobijanej białej miski. Inna spogląda na nas znad wielkiego kotła stojącego na gazowym palniku, umieszczonym na drewnianym pniaku. Miesza cebulę skwierczącą w gorącym tłuszczu. Czuć jeszcze inny zapach, równie wspaniały. Prosię piecze się nad płonącymi polanami. Mniejsza grupka przycupnęła w kółku, by zaplatać w warkocze suszone łodygi purpurowego czosnku. W niskim rozwidleniu konarów ogromnego magnoliowego drzewa siedzi jakaś kobieta i zapisuje coś w księdze oprawnej w

czarną skórę. Tak samo jak tamte przy fontannie w wiosce na dole, te tutaj także śpiewają. Nie sprawiają wrażenia zaskoczonych ani zaniepokojonych naszą obecnością, serdecznie nas witają, po czym wracają do swojej pracy. I do śpiewu. Trochę niepewni, ale dobrej myśli, stoimy bez słowa. Co chwila szepczą coś do siebie i wszystkie chichoczą, zerkając na nas. Dopiero co śniłam o malwach, różach i śmiejących się kobietach, które przebierały fasolkę, cóż, teraz śnię o tych tutaj, bo to przecież dalszy ciąg snu. Słucham uważnie szeptów i śpiewu, próbuję podchwycić swobodną melodię, gdy naraz ktoś wyłania się z głębi ogrodu.

Znowu kobieta, z wyglądu ani młoda, ani stara, i ona także wydaje się przebrana w jakiś kostium sceniczny, ale w zupełnie innym stylu: nosi wysokie buty z cholewami, bryczesy i zamszową jeździecką kurtkę. Na moment zatrzymuje się pod dębem, a cień liści otula jej głowę i ramiona czarnym woalem. Wchodzi między tamte, zajęte pracą, przygląda się temu, co robią, przyjąwszy władcą postawę, kiwa głową lub potrząsa koroną z siwych warkoczy w zależności, czy jest zadowolona, czy nie. Bez wątplenia to musi być Tosca.

- Śpiewają, że proporcja radości i smutku w naszym życiu jest nierówna - mówi. - Wiedziała pani o tym?

Przychodzi mi do głowy, że może ta wyniosłość w jej postawie i głosie skrywa nieśmiałość. Kiedy do nas podeszła, prawie zaniemówiłam z wrażenia za sprawą jej niezwyklej urody.

- Pyta pani, czy wiem, co śpiewają, czy o to, czy wiem, że w istocie tak jest? - odpowiadam pytaniem.

- Miałam na myśli jedno i drugie. Jestem Tosca Brozzi.

- *Buongiorno, signora. Noi siamo de Blasi da Venezia.*

- Tak, wiem, wiem. Przy stole będzie dość czasu, żeby omówić fiasko waszego dziennikarskiego przedsięwzięcia. Przypuszczam, że przy okazji zahaczymy też o kwestię radości i smutku. Siadamy do obiadu o pierwszej. Potem będę wam mogła powiedzieć, czy znajdzie się dla was wolny pokój. Na razie możecie się tu umyć i odpocząć - mówi, wskazując wielkie czarne drzwi prowadzące do domu lub raczej rezydencji. Jakkolwiek to nazwiemy, chodzi o pałac.

Wahamy się chwilę, po czym ona mówi:

- Agata pokaże wam drogę.

Patrzymy na siebie z Fernandem. W oczach mamy to samo pytanie: „Chcesz tu zostać? Chcesz zobaczyć, co z tego dalej wyniknie?”. Fernando bierze mnie za rękę i prowadzi w stronę otwartych drzwi.

Jeszcze jedna kobieta w czerni to właśnie Agata. Wita się z nami. Nie mówi po włosku tak pięknie jak Tosca, wplata wiele słów z miejscowego dialektu, lecz nie aż tyle, byśmy nie mogli się z nią porozumieć. Uśmiecha się i przemawia do nas przez cały czas, prowadząc w głąb ciemnego korytarza oświetlonego płomykiem jednej świecy umieszczonej w ściennym świeczniku. Wreszcie otwiera drzwi do dużego kwadratowego pokoju, w którym unosi się duszny zapach świeżo położonej farby. Żółte ściany, wyblakła żółta sofa i dwa fotele obite niebieskim adamaszkiem. Zniszczone lustro w złotej ramie stoi na niedu-

żym kominku z białego marmuru. Wszędzie bukiety suszonej lawendy: na podłodze w rogach pokoju, obok krzeseł, na obłuszczonej złożonym stole i na murku okalającym palenisko.

- *Si accomodi*. Czujcie się jak u siebie w domu.

Otwiera drzwi do małej łazienki i wyjmuję świeże ręczniki z szafki.

- *Vi porto un aperitivo tra poco*. Za chwilę przyniosę wam aperitif.

Kiedy zamyka za sobą drzwi, obawiam się, że to już koniec snu.

- Czy to się dzieje naprawdę? - pytamy jednocześnie. I słyszymy nasz własny śmiech.

- Nie wiem, gdzie i u kogo się znaleźliśmy, ale jestem pewny, że nic nam tu nie grozi. Trafiliśmy w najwłaściwsze miejsce - mówi Fernando.

- Fiasko dziennikarskiego przedsięwzięcia... Skąd o tym wie?

- Do nas nikt się nie odzywał, ale z tego nie wynika, że nie opowiadali sobie o nas nawzajem.

- Te wszystkie kobiety na zewnątrz są wdowami?

- Tak myślę.

- Czy to dom opieki z grafikami dyżurów? Albo komuna? Nie mogą przecież wszystkie być krewniczkami właścicielki.

- To nie jest dom opieki. Te kobiety wydają się bardzo przejęte tym, co robią. Niektóre są nawet dość młode. Na komunę też mi to nie wygląda. Nie mam pojęcia, co to może być.

Sięgamy po mydło o zapachu cytryny i po szorstkie prostokątne sztuki białego płótna, myjemy się i wycieramy. Otwieramy flakoniki z ręcznie pisanymi etykietami. „Olejek pomarańczowy”, „woda pomarańczowa”, „woda lawendowa”, „olejek różany”. Zmywamy ze stóp pył sycylijskich dróg, przyglądamy włosy, zapinamy koszule. Obawiamy się zasnąć, jeśli tylko na chwilę usiadziemy, stoimy więc w świeżo odmalowanym pokoju, kręcąc głowami ze zdumienia.

- Przespaceruję się po okolicy. Trzeba się trochę rozejrzeć - mówię. - A ty?

- To teren prywatny. Zobaczmy to, co będą chcieli nam pokazać, i wtedy, kiedy oni zechcą. Cierpliwości.

- W takim razie chodźmy do ogrodu. A potem do samochodu. Wypierzmy koszule...

- Myślę, że niedługo rzeczywiście będziemy musieli wracać do samochodu. Zapewne po obiedzie.

Wątpię, czy pozwolą nam zostać tu długo.

- Nie wiem, co myśleć o Tosce. Kiedy kroczyła przez ogród, budząc w nas zachwyt, wyglądała jak statystka z planu zdjęciowego *Quo vadis*.

- Mnie przypomina raczej postać z filmów Felliniego. Tak, Fellini dałby jej pewnie rolę w *Słodkim życiu*. Ale odezwała się do nas jako pierwsza. Jestem jej za to wdzięczny.

Po chwili namysłu przez oświetlony świecą korytarz wracamy do ogrodu. Agata właśnie otwiera wielkie rzeźbione drzwi i rozpościera ręce w powitalnym geście. Pomieszczenie, do którego wchodzimy, nie jest zwykłym pokojem, lecz oszalałymi złoconymi ogromną salą. Częściowo zniszczone freski, przedstawiające wznoszących ku niebu oczy bogów i boginie o obfitych kształtach, zdobią wysokie, zmur-

szale ściany, wypełniając je scenami zalotów aż po samo sklepienie. I pośród tego szaleństwa ustawiono pod kopułą trzy solidne stoły. Cisza ogrodów, podszyta delikatnym poszumem pieśni i śmiechem kobiet, okazała się tylko przygrywką przed tą eksplozją barwnego zamętu. Oto sala jadalna.

Pięć lub więcej wdów to znika, to wyłania się nie wiadomo skąd, niosąc talerze, tace i wazy. Stawiają je na brzegu stołów albo na bufetach ustawionych wzdłuż ścian. Krzyczą jedna przez drugą, najczęściej zwracając się do kogoś w najgłębszych zakamarkach sali, a może w którymś z okolicznych pokoi. Co chwila słychać trzask niewidocznych drzwi. Ktoś niewprawną ręką ciężko bębni gamę na fortepianie, chyba gdzieś na piętrze. Dwóch starszych mężczyzn przeszukuje pomieszczenie w pogoni za młodym, niedawno osieroconym barankiem, który uciekł im z kuchni, gdzie mieli go nakarmić przez smoczek. W końcu znajdują zwierzątko pogrążone w spokojnym śnie, prawie niewidoczne między wyświechtanymi aksamitnymi poduszkami kanapy. Jeden z mężczyzn zarzuca wierzgające jagnię na ramiona niczym szal i oświadcza, że zabierze je z powrotem do kuchni. Więc i ja postanawiam tam zajrzeć. Podążam za mężczyzną w szaliku z jagnięcia, trzymając się nieco w tyle. Wychodzę z domu i w otoczonej murem części ogrodu zatrzymuję się między dwiema murowanymi oficynami, krytymi stromym dachem. Jedna z nich mieści w sobie piec opalany drewnem. Przed nią, na długim stole z marmurowym blatem, zgrabnie ułożono zwały przesypanego mąką ciasta, żeby wyrosło na słońcu. Nigdy dotąd nie spotkałam się z takim pomysłem. Widocznie nadal śnię. Chciałabym na chwilę zatrzymać mój sen w tym miejscu, zostać dłużej przy cieście, słońcu i przyjemnym zapachu, który świadczy o tym, że piec już wcześniej był dziś w użyciu. Ale muszę podbiec i dogonić mężczyznę z jagnięciem. Szeroką ścieżką posypaną białym żwirem, wysadzaną cisami, zbliża się do czegoś, co wygląda jak spichlerz postawiony na skraju pola pszenicy. Żwir chrzęści mi pod stopami, gdy idę za tym człowiekiem, więc pewnie już się zorientował, że go nie odstępuję. I rzeczywiście, odwraca się i uśmiecha zachęcająco. Razem z barankiem znika we wnętrzu, a kiedy podchodzę do otwartych drzwi, moim oczom ukazuje się najwspanialsza kuchnia, jaką kiedykolwiek widziałam.

W ubiegłym roku - pierwszym spędzonym we Włoszech - gotowałam na śmiesznej cynowej kuchence w chatce Fernanda nad morzem. A czasem w ogóle nie gotowałam, gdyż mój mąż, choć dobrze wiedział, że poślubił zapaloną kucharkę, wołał jadać to samo co zawsze: sto dwadzieścia pięć gramów ugotowanego na półtwardo makaronu wymieszanego z dwiema czubatymi łyżkami gotowego sosu ze słoika. Do tego sałata z samą oliwą, bez octu i soli. A od święta filet z kurczaka, przypalony na teflonowej patelni i pokrojony w plastry twarde jak drewno. Z kawałkiem cytryny.

Zatrzymuję się w moich sfatygowanych, zakurzonych butach u bram rajy.

Tu pracuje jeszcze więcej czarno ubranych kobiet. Chyba że są to te same, które widziałam pod pergolą, gdy przebierały fasolkę, a może i tamte z ogrodu - jeśli zdążyły tak szybko zmienić miejsce pobytu. Lecz nie, tych na pewno jeszcze nie widziałam. Noszą białe fartuchy do kolan. Pod czarnymi chustami zawiązanymi na głowach jak u piratów - wieńce z warkoczy. Spod chust spoglądają czarne arabskie oczy. Wydaje się, że oczy wszystkie mają jednakowe.

Strop z solidnych ciemnych belek wisi nisko nad przynajmniej dwustumetrowym pomieszczeniem o posadzce z ciemnoczerwonej terakoty. Szorstki tynk na ścianach ma taki sam kolor, jak pszenica dojrzewająca za drzwiami. Dwa masywne piece opierają się na kamiennych łapach jakichś mitologicznych bestii, i wygląda to, jakby u obu krańców pomieszczenia warowały plujące ogniem sfinksy. Są tu również trzy starodawne marmurowe zlewy, z czego jeden wydaje się przerobiony z chrzcielnicy. Jest też wiekowy, żeliwny piec, połyskujący ciemną zielenią śniedzi. Zresztą chyba nieprzydatny, bo kucharki krzątają się wokół nowoczesnej, sześciopalnikowej kuchenki gazowej. Nie widać żadnych elektrycznych robotów kuchennych, tylko półki pełne noży, naczyń i innych akcesoriów. Przy każdym z dwóch długich, wolno stojących blatów pracuje po cztery, pięć kobiet. Wchodzę, mówiąc *permesso*, choć i tak nie mogą mnie usłyszeć w ogólnym hałasie. Niektóre podnoszą na mnie wzrok i uśmiechają się, ale nie odrywają się od pracy. Więc idę dalej.

Potężne kredensy, szafy i półki pełne są fajansów i porcelany, salaterek i półmisków ze szkła, srebra, miedzi i cyny, świeczników, dzbanków, tac, nieprzeliczonych stosów talerzy i lnianych obrusów. Niedomknięte szuflady pokazują wytartą, jakby podziurawioną tępyimi nożami wyściółkę ze starego, wyblakłego aksamitu. W jakiejś przepastnej komodzie szuflada jest wysunięta na tyle tylko, by utrzymać w pionie okrągły, trzykilowy bochen wypieczonego na brąz i osmalonego w piecu chleba, podczas gdy któraś z wdów kroi z niego grube kromki, zasypując okruchami aksamitną wyściółkę. W innej, podobnej komodzie, leżą dojrzałe sery zawinięte w białe płótno, gotowe do spożycia. Jedna z szaf, przeznaczona do przechowywania słodyczy, ma, niczym wielka bombonierka, wewnątrz obite złocistym brokatem, ale zetlałym i wyblakłym. Na szerokich półkach stoją liczne blaszane puszki, szklane słoje. Leżą długie na metr prostokąty ciast nadziewanych dżemem, przystrojonych kandyzowanymi owocami. Jedna z półek jest zastawiona srebrnymi tacami pełnymi marcepanowych ciastek w kształcie brzoskwiń i pomarańczy. Skórkę udaje lukrowa glazura, a szypułki i listki wycięte są z kandyzowanej lodygi arcydziegla. Słyszę własne ciche westchnienie zachwyty na widok kobiety przygotowującej talerze, kosze i tace do podania na stół. Z ledwością mogę utrzymać przy sobie ręce, które same wrywają się, żeby czegoś dotknąć. Chowam je za plecami, a na twarz przywołuję pogodny uśmiech.

- *Posso aiutarvi?* Mogę w czymś pomóc? - pytam, znowu próbując po kolei rozmaitych pytających intonacji.

Efektywność ich działań była jednak zupełnie wystarczająca, a wszystkie dobra, które przeszły przez ich ręce - kromki chleba, herbatniki, owoce - ładowały w wiklinowych koszach, które inne kobiety przenosiły na głowach nakrytych ciemnymi chustami, pod spód podkładając, jak poduszki, złożone w kostkę kawałki białego płótna. Tam zaczynał się ich pochod. Wychodziły z kuchni, kołysząc biodrami. Proste plecy, wciągnięty brzuch, pierś wypięta do przodu. Szły, śpiewając modlitewnie brzmiące pieśni. Ruszyłam za nimi, starając się w moich opiętych dżinsach naśladować ich sposób chodzenia. Kołysałam biodrami, i unosiłam głowę, jakbym dźwigała na niej amforę wina. Czułam się szczęśliwa. Słońce świeciło

na niebie, wokół snuły się apetyczne zapachy. Przeciągnęłam dłonią po kłujących gałązkach cisu, którym obsadzona była ścieżka, i poczułam nieskończoną wdzięczność za ten piękny sen o Sycylii.

Rozdział 2

W sali jadalnej większość stanowiły kobiety. Naliczyłam ze czterdzieści kobiet i około dwunastu mężczyzn przy trzech stołach. Mężczyźni mieli świeżo przyczesane włosy, marynarki włożone na koszule zapięte pod szyję, trzech z nich mogło mieć około trzydziestki, a pozostali - wszyscy ubrani bardzo konserwatywnie - byli nawet o pokolenie starsi. Kobiety, poza Toscą i mną, nosiły żałobę.

Agata wskazuje nam nasze miejsca - Fernando ma usiąść obok wybawcy-baranka, a ja przy kobiecie, która przedstawiła się jako Carlotta. Zostaliśmy zaanonsowani jako *i Veneziani*, ludzie z Wenecji. Pomarszczona skóra na dłoniach Carlotty sugeruje wiek około sześćdziesiątki, jednak za sprawą drobnokościstej budowy i wielkich czarnych oczu, łagodnych jak u łani, wygląda trochę jak dziewczynka. Obie, Carlotta i trochę starszej od niej wyglądająca kobieta zwana Olgą, która siedzi naprzeciwko nas i podaje nam rękę nad stołem, noszą farbowane na ciemno suknie w stylu lat czterdziestych. Wszystkie kobiety w tej jadalni mają włosy starannie zaplecione w misterne konstrukcje. Próbuję więc i ja ułożyć jakoś swoje długie, rozpuszczone i falujące włosy, z którymi czuję się teraz przy nich jak dzikuska.

- Gdzie byłaś? - pyta Fernando.

- Poszłam zwiedzić kuchnię - odpowiadam, pokazując zęby w uśmiechu.

Przy stole siedzą już chyba wszyscy poza Toscą i wysokim, tęgim mężczyzną, którzy na stojąco rozmawiają obok jednego ze stołów. Są do nas odwrócenii plecami. Ale ze względu na sposób, w jaki stoją, prawie się dotykając, pochyleni ku sobie, żeby lepiej słyszeć, wydają się parą. Więc Tosca ma męża - myślę. W tejże chwili oboje odwracają się, żeby zająć miejsca przy stole. Widzę, że ten mężczyzna, podobny do Christophera Plummera, amerykańskiego aktora, nosi koloratkę. To duchowny. Podsuwa Tosce krzesło, ale sam nadal stoi i rytmicznie uderza w szklankę ręką noża. Zamyka oczy, szeroko rozpościera ramiona, kieruje dłonie ku górze i rozpoczyna modlitwę. Wszyscy chwytają się za ręce. Pochylone głowy, poruszające się wargi. Ludzie wymawiają słowa dziękczynienia, wszyscy razem i każdy z osobna. Dzbany pełne wina i wody krążą wokół stołów, półmiski przemieszczają się we wszystkich kierunkach. *Buon pranzo*, smacznego.

- *Allora, come si chiama questo posto?* - pytam Carlottę, udając, że uciekła mi z pamięci niedająca się zapomnieć nazwa willi.

- *Non ha un nome veremente ma la gente locale l'ha sempre chiamata Villa Donnafugata. E una lunga storia.* Nie ma oficjalnej nazwy, ale miejscowi zawsze nazywali ją Villa Donnafugata. Dom zbiegłej kobiety. To długa historia.

Zamierzam odpowiedzieć, że bardzo chciałabym poznać tę długą historię, ale zamiast tego uśmiecham się tylko i mówię:

- *Ho capito, ho capito*. Rozumiem.

Carlotta jednak mówi dalej. W ciszy, jaka zapadła, nobliwym tonem, kontrastującym z pełnym wigorem dialektem ludzi siedzących wokół, opowiada o willi, która jest osiemnastowiecznym zamkiem rodu d'Anjou, zbudowanym jako schronienie na czas polowań w tej części Sycylii. *La signora* - tak nazywała Toscę - odziedziczyła willę po ostatnim z książąt d'Anjou jako jego wychowanica.

Zauważa moje zdziwione spojrzenie.

- Tak, *la signora* miała życie nadzwyczaj romantyczne - mówi, mrugając oczami, żeby ukryć łzę wzruszenia.

Mówi, że *la signora* stopniowo przywraca świetność pałacowi. Od ponad trzydziestu lat mieszka tu w towarzystwie... - w tym miejscu Carlotta waha się, szukając określenia na wszystkich mieszkańców - przyjaciół i przyjaciół swoich przyjaciół.

- W biedzie każdy człowiek potrzebuje innych ludzi. Gdy wieśniacy zostają sami, jako wdowy i wdowcy chętnie przenoszą się tutaj. Ci, którzy mają dorosłe dzieci, często wolą mieszkać razem z nimi, ale pozostali przeważnie dochodzą do wniosku, że życie we wspólnocie, tak jak tu, pomoże im utrzymać się w dobrej formie. W razie potrzeby mamy tu personel medyczny i przychodnię. Wszystkie kobiety czują się u nas jak siostry, na pewno pani to zauważyła. W gruncie rzeczy wiele z nich jest ze sobą spokrewnionych lub spowinowaconych. Większość już wcześniej mieszkała w sąsiedztwie, przez całe życie pracowali ramię w ramię na polach. Łączy nas przywiązanie i wspólne wspomnienia. Jesteśmy częścią tej samej historii. Wszyscy jesteśmy Sycylijkami.

Ostatnie zdanie wypowiada takim tonem, jakby niosło prawdę ostateczną.

Czekam chwilę - może jednak powie coś jeszcze - i w końcu pytam:

- Ile osób tu mieszka?

- To się zmienia. Jedni umierają, ale rodzą się też dzieci.

- Dzieci? Tutaj?

- Tak. Jest tu nawet izba porodowa. Piękny budynek, chociaż bardzo mały - może przyjąć trzy, najwyżej cztery kobiety. Dwie wdowy pracują tam jako akuszerki i szkołą pomocnicze, które kiedyś zajmą ich miejsce. Co tydzień przyjeżdża z miasta lekarz położnik, ale wydaje mi się, że bywa u nas tak często tylko dlatego, że lubi spędzać tu czas. Bo smakują mu nasze obiady. Nawiasem mówiąc, dziś mamy tu sporo emocji. Jedna z kobiet ma wkrótce urodzić. Lada chwila. Może pani sobie wyobrazić, ile ciotek, wujów i przyszywanych dziadków ma u nas każde nowo narodzone dziecko. Matka z dzieckiem może zostać tu nawet przez rok, jeśli chce. Dopóki nie znajdzie sobie jakiegoś miejsca na stałe.

Zauważam, że gdy Carlotta mówi o samotnych matkach, o bezdomnych i ubogich, unika dosłowności. Woli powiedzieć o nich: „Ludzie, którzy potrzebują pomocy”, i dodać: „Łączy nas przywiązanie i wspólna historia, wszyscy jesteśmy Sycylijkami”.

Moje spojrzenie ciągle powraca do kobiety siedzącej na lewo od duchownego. Carlotta spostrzega, że patrzę w tamtą stronę.

- Ta kobieta obok don Cosima to siostra pani Toski. *La signora* Mafalda.

Więc Christopher Plummer nazywa się don Cosimo. A drobna kobieta z jasnymi warkoczami, o pięknym profilu, siedząca na lewo od niego, jest siostrą Toski. To ona siedziała w rozwidleniu konarów drzewa magnoliowego i coś zapisywała w księdze, kiedy tu przybyliśmy. Mafalda. Carlotta. Olga. Agata. Don Cosimo. Przenoszę wzrok z jednej postaci na drugą. Chcę zapytać Carlottę, czy postanowiono już coś w sprawie naszego dalszego pobytu w tym miejscu, ale gdybym to zrobiła, udzielenie odpowiedzi mogłoby być dla niej kłopotliwe. Muszę poczekać, aż *la signora* sama ogłosi nam swoją decyzję.

Zamiast tego pytam:

- Jak się tu rozdziela obowiązki domowe? Każdy ma określone zadania?

- Każdy robi to, co umie najlepiej. A jest naprawdę dużo pracy przy utrzymaniu posiadłości tak rozległej jak ta. - Rozkłada szeroko ramiona i śmiejąc się, odchyła głowę. - Przy takiej ilości ziemi, zwierząt i upraw musimy pracować niemal bez przerwy. Czasem jednak myślę, że prawda wygląda inaczej. Że praca to tylko *intermezzo, un divertimento*, pozwala nam poczuć, jak krótki jest czas między posiłkami. Tutaj się jada często i obficie, *signora... Io non ricordo il suo nome, scusatemi.*

- *Mi chiamo Chou-Chou è mio marito è Fernando.*

Nie wiem, czy Carlotta to usłyszała, bo tymczasem zaczęła rozmawiać w miejscowym dialekcie z kobietą siedzącą w pobliżu, jak sądzę z początku, o zbliżających się narodzinach dziecka. Ale może o czymś innym, skoro ich twarze wyrażały raczej smutek niż radosne oczekiwanie. Carlotta wstaje, przeprosza i opuszcza jadalnię razem z tą drugą kobietą. Przez chwilę rozglądam się po sali. Przypatruję się ludziom. Nigdy nie widziałam, ani nawet nie wyobrażałam sobie niczego, co by wyglądało jak to zgromadzenie. Jak ta niecodzienna społeczność. Słyszę, że kobieta nazywana Olgą mówi do Fernanda, że obecnie w willi mieszkają trzydzieści cztery wdowy. Dodaje, że podczas żniw, winobrania i zbioru oliwek pomaga im w pracy jeszcze co najmniej dwadzieścia kobiet z okolicznych wiosek. Dzień w dzień, podkreśla, trzydzieści cztery tutejsze wdowy radzą sobie ze wszystkim: z gotowaniem, pieczeniem, robieniem przetworów, podawaniem posiłków, sprzątaniami, szorowaniem, polerowaniem, szyciem, cerowaniem, praniem, prasowaniem, doglądaniem kwiatów i warzyw, jak również z opieką nad zwierzętami domowymi. Dowiaduję się, że gospodarstwo zatrudnia obecnie ponad pół setki ludzi. Fernando pyta o mężczyzn.

- *Adesso ci sono ventidue uomini.* Teraz mieszka tu dwudziestu dwu mężczyzn, ale ich liczba, tak samo jak liczba kobiet, wzrasta w czasie zbiorów, młócki, siewów, przy wyciskaniu oliwy i moszczu. Dbają o sady, doglądają bydła i pracują na polach. O tej porze roku mężczyznom, którzy pracują w polu, zanoszą jedzenie w koszykach, ale wszystkich ich zobaczymy przy tym stole wieczorem - tłumaczy Olga. - Ci, którzy siedzą tu teraz, to ogrodnicy.

- Ogrodnicy, ale też robotnicy, którzy pracują przy odnawianiu budynku - dodaje inna kobieta.

- A wśród nich zawsze jest jeden lub dwu wędrownych majstrów. Szewc, na przykład, przyjeżdża tu w każdą sobotę.

- A w poniedziałki przychodzi ostrzyciel noży.

- I człowiek od strzyżenia owiec.

- Nie zapomnijcie o Furiu - mówi najmłodsza i chyba najładniejsza z wdów.

- Ach, ten Furio - odzywa się chór głosów.

Kobiety śmieją się i wznoszą oczy z wyrazem uwielbienia na twarzach.

Inni siedzący przy stole dorzucają do listy okresowych rezydentów nazwiska kolejnych drugopłanowych postaci. Chciałabym, żeby mój sen trwał jak najdłużej, na tyle długo, bym zdążyła ich wszystkich poznać. Podoba mi się tu, w majątku Toski.

* * *

Sala powoli pustoszeje. Wszyscy starannie odkładają naczynia i sztuce na duże wózki. Niektórzy przekładają resztki jedzenia z półmisek na arkusze grubego pergaminu, po czym sprawnie składają ich brzegi i związuje paczki sznurkiem. Jedna z wdów opisuje zawartość każdej czarnym atramentem, wyrażnym charakterem pisma. Układa je w drewnianych skrzynkach na owoce. Każdy tutaj zna swoje miejsce w szeregu. Nie ma zbytecznych działań. Ani marnowania czasu. Dwóch mężczyzn, którzy przed chwilą siedzieli przy stole, wyprowadza z jadalni wózki, na których piętrzą się paczuszki. Patrząc w ślad za nimi i zastanawiam się, co się stanie z tymi wspaniałymi potrawami.

Fernando nadal rozmawia z Olgą, więc - bez pytania, czy mogę - zaczynam składać jeden z obrusów, bo widziałam, że tak robią kobiety przy innych stołach. Carlotta, która tymczasem już wróciła, bierze go ode mnie i mówi, żebym nie zawracała sobie tym głowy. Stoję zakłopotana, dopóki nie zmieni zdania, przyzwalając gestem, bym zrobiła to razem z nią. Trzepiemy ostrożnie i z niewymuszoną starannością składamy cudownie haftowaną sztukę bielizny stołowej. Na koniec obrus ląduje w moich rękach, Carlotta bierze go ode mnie i uśmiecha się. Widzę, że niedawno płakała.

Udając, że tego nie zauważyłam, pytam:

- Dokąd zabierają to jedzenie?

- Do kościoła Zbawiciela w wiosce. Każdego popołudnia o szóstej trzydzieści rozdaje się je mieszkańcom. Przychodzą po nie tylko ci, którzy są naprawdę głodni. To już prawie dwadzieścia lat, odkąd zaczęliśmy tak robić. Na początku *la signora* i don Cosimo roznosili je potrzebującym, ale teraz mamy pod opieką tylu ludzi, że muszą sami po nie przyjść. Rzeczywiście, tak jest najlepiej, bo przedtem wszyscy gromadzą się w kościele i odmawiają różaniec z don Cosimem. Błogosławi zebranych i żywność, dzwonią dzwony, a potem ludzie wracają do domów na kolację. Kiedy tylko mogę, zgłaszam się do pomocy. To moja ulubiona godzina dnia.

Teraz Carlotta płacze otwarcie, wierzchem dłoni ocierając łzy płynące po chudych policzkach i osuszając oczy chusteczką wyciągniętą zza dekoltu sukni.

- Chodzi o dziecko? - ryzykuję pytanie.

- Nie, nie. Dziecku się chyba jeszcze nie śpieszy na świat. Ale jedna z kobiet jest... bardzo chora. *Lei, non ce la fa*. Nie wygląda, żeby zdołała z tego wyjść.

- *Capisco, mi dispiace*. Rozumiem, przykro mi - mówię.

Patrzy na mnie i dotyka mojego policzka ręką, w której trzymała chusteczkę - więc twarz mam mokłą od jej łez. W tej samej chwili podbiega do nas Agata.

- Pokażę państwu pokój - proponuje.

- *La signora* nic nam jeszcze nie mówiła. Więc nie wiem, czy...

- Wszystko załatwione. Jeśli chcecie zostać, jesteście mile widziani. O szczegółach *la signora* porozmawia z wami później. *Venite*.

Agata dotknęła ramienia Fernanda i daje mu znak, by poszedł za nią. Wyprowadza nas z sali, potem idziemy za nią przez inną salę po nierównej kamiennej podłodze i wspinamy się na szerokie marmurowe schody. Na trzecim podeście Agata się zatrzymuje.

- *Ecco* - mówi, gdy stajemy przed pięknymi, choć bardzo zniszczonymi drewnianymi drzwiami. Z pęku żelaznych kluczy, który nosi przy pasku, wybiera jeden długi i płaski, przekręca go w zamku, otwiera szeroko drzwi i wręcza klucz Fernandowi. - *Buon riposo* - mówi, po czym przyryka drzwi.

Ten pełen zakamarków pokój okazuje się większy niż całe nasze mieszkanie w Wenecji. Liczne wnęki i alkowy są skąpo, choć z wyczuciem umeblowane ławeczkami, ozdobione okazałymi wiązkami lawendy i złożonymi świecznikami ustawionymi na kulawych stolikach. Trzy stopnie z półokrągłych płaskich kamieni prowadzą ku otwierającej się pod wysokim stropem jasnej przestrzeni, która mieści białe łóżko, dwa fotele w białych pokrowcach, stół z małą lampką z kutego żelaza i dużą szafę. Wierzchołki sosen w ogrodzie kołyszają się i skrzypią na tropikalnym gorącym wietrze tuż za otwartym, zakratowanym oknem.

- Co o tym myślisz? - pytam.

- O pokoju? Cudowny.

- O tym miejscu. O tych ludziach.

- Wszystko jest wspaniałe. Przynajmniej o tyle, o ile jestem w stanie to ocenić, bo wciąż jeszcze nie mam pojęcia, co to za miejsce.

- One są wszystkie takie piękne. Widziałeś kiedyś tyle pięknych kobiet w jednym pomieszczeniu? A ksiądz? Carlotta wygląda jak porcelanowa lalka. I ta kobieta, którą opowiadała ci o posiadłości, jak ona się nazywa?

- Olga. Trudno mi było zrozumieć jej dialekt...

- Ależ nie o to mi chodzi, mówię o tym, że ona też jest piękna. Może dlatego, że w nich wszystkich jest tyle spokoju. Wydają się szczęśliwe. Z wyjątkiem Carlotty. Martwi się o jedną z tutejszych kobiet, która podobno jest umierająca. Wiedziałeś, że mają tu izbę porodową?

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby często bywała w użyciu, bo średnia wieku tych wdów to jakieś sześćdziesiąt pięć lat.

- Jest przeznaczony dla kobiet z zewnątrz. Dla potrzebujących pomocy, mówiła Carlotta. Dla tych z pobliskich wsi. Fernando, widziałam kuchnię.

- Tak, już wspominałaś - odpowiada z nikłym, zagadkowym uśmiechem.

- Jest ogromna. Ma aż dwa piece. Wyobraź sobie, kiedy gotują, to też śpiewają. Jak myślisz? Będziemy mogli tu zostać przez jakiś czas?

- Nie wiem, czy *la signora* zechce okazać nam swoją łaskawość na dłużej niż na jedną noc. Zresztą gdy zastanawialiśmy się, gdzie chcemy dalej jechać, wyobrażaliśmy sobie trochę inne miejsce. Zgadzam się, że jako azyl może ono być fascynujące, ale czy damy sobie radę z takim nadmiarem wszystkiego? Tyle ludzi, tyle zastawy stołowej, tyle tajemnic. A ile róż, na miłość boską.

- Myślę, że Tosca stworzyła tu raczej świątynię niż azyl. To właściwie samowystarczalny mały wszechświat, niemal utopia. Elitarne stowarzyszenie, pensjonat i gospodarstwo rolne, gdzie ludzie, którzy chcą być razem, przychodzą żyć. Albo, niektórzy, umrzeć.

- To z powodu kuchni?

- Co z powodu kuchni?

- Jesteś jak zaczarowana, kochanie.

- Ja zaczarowana? Nic podobnego. Tylko uradowana odkryciem. Po prostu nigdy nie wyobrażałam sobie, że może istnieć taka wspólnota.

- Przeszłaś przez jeden czy dwa ogrody, umyłaś twarz wodą z zapachem kwiatu pomarańczy, zjadłaś obiad z pięćdziesięcioma sycylijskimi wdowami, z których każda upina warkocze na głowie - i to cię już odmieniło? Znam to spojrzenie. Miałaś je, kiedy ujrzałaś Rialto. Pierwszy raz je u ciebie widziałem w wodnej taksówce w drodze z lotniska. Wtedy byłaś oczarowana mną.

- Trzydzieści cztery, nie pięćdziesiąt. W tym domu mieszkają trzydzieści cztery wdowy. Jesteś zazdrosny o trzydzieści cztery wdowy?

- Nie zazdrosny, tylko zdezorientowany. Myślałem, że tylko Wenecja i ja działamy na ciebie w taki sposób. Proszę, nie mów mi, że zamierzasz zapleść warkocze i zacząć chodzić w czerni.

- Byłabym piękną wdową.

- Myślałem, że wolisz być piękną żoną.

Rozbieramy się, zdejmujemy narzutę i kładziemy się do łóżka.

- Widziałeś ten jej szmaragd na łańcuszku?

- Jaki szmaragd? O kim mówisz?

Rozdział 3

Rżenie koni w dolinie i stukot kopyt na kamienistej drodze obudziły mnie jeszcze przed świtem. Wyczerpani bardziej, niż nam się wydawało, przespaliśmy naszą pierwszą noc w *villa*. Podchodzę do otwartego okna i spoglądam na dwóch mężczyzn w strojach do konnej jazdy. Wydaje mi się, że jeden z nich to ksiądz, a kiedy przypatruję się dokładniej, widzę, że druga z tych osób wcale nie jest mężczyzną. To Tosca we własnej osobie. Zaslaniające ich gałęzie sosny, rzednący z wolna mrok i ściszone głosy dodały ich postaciom spiskowej aury. Dosiedli koni, odjeżdżają. Wyczuwając w tej scenie posmak tajemnicy, szybko myję się i ubieram, po czym, z butami w rękę, przechodzę na palcach do drzwi. Otwieram je cicho i zamykam za sobą. Co dalej?

Idę schodami, wychodzę na zewnątrz i podążam za zapachem dymu. Trafiam do piekarni. W piecach musi się palić od paru godzin, ale nie widać ani śladu wyrastającego ciasta. Ani śladu piekarza. Na blatach leżą płaskie rondle pełne obranych pistacji i migdałów, miska jasnych rodzynek i druga z lśniącymi kandyzowanymi klementynkami. Ze dwa kilo masła w kamionkowym garnku. Puszka brązowego cukru. Dzbanek oliwy, dwulitrowa butelka czarnego rumu i kilogramowy blok czekolady. Widocznie to dzień wypieków cukierniczych. Dobry Boże, znowu śnię. Gdybym znalazła kilka jajek, mogłabym upiec trochę klementynkowych ciastek w polewie z gorzkiej czekolady z rumem, jedną lub dwie blachy pistacjowych biszkoptów albo ciasto nadziewane masą migdałową. Łykając ślinę, rozglądam się po ścieżce, w nadziei, że zobaczę którąś z wdów, ale nie widzę żadnej. Pewnie wszystkie są w kuchni. Ledwie ruszam w tamtą stronę, słyszę ich śpiew dobiegający z ogrodu. Zawracam.

Kilka kobiet myje włosy, pochylając się nad fontanną. Pomagają sobie nawzajem. Krzycząc i śmiejąc się, napełniają dzbany i leją strumienie zimnej wody na pokryte pianą głowy, a w powietrzu unosi się mocny zapach cytryn i pomarańczy. Z głowami owiniętymi w grube białe ręczniki dołączają do pozostałych kobiet stojących dwoma rzędami obok magnolii, każda zaplata włosy sąsiadce, która stoi przed nią. Przy użyciu grzebieni i spinek wyciągniętych z kieszeni fartucha zręcznie przeczesują włosy, rozdzielając je na idealnie równe pasma i zaplatają w warkocze, które potem upinają w pętle i korony. Gdy fryzura jest gotowa, ta, która stała w pierwszym szeregu, przechodzi do drugiego. Gdy skończą, nakreślą dłonią znak krzyża, podejmą śpiew i rozejdą się do swoich zajęć. Cała ceremonia trwa może dziesięć minut i tak jak podczas mszy świętej, każdy gest czemuś służy. Chociaż już wcześniej musiały zauważyć, że stoję tuż obok, witają mnie dopiero teraz. Jedna z nich zamierza mnie zaprowadzić do jadalni, inna pyta o Fernanda. Chciałabym, żeby i mnie zaplotły włosy. Przenoszę wzrok z jednej na drugą i proszę o to, ale mówią wszystkie naraz, więc mnie nie słyszą. Biorę do ręki pasmo swoich włosów i zaczynam je splatać, powtarzając pytanie.

Jedna z wdów bez słowa wyciąga mnie z tego zgiełku, ustawia przed sobą i zabiera się do mojej fryzury. W obawie, że jestem zbyt wysoka, by mogła swobodnie dosięgnąć czubka głowy, chcę zaproponować, że usiądę, ale ona, stojąc za mną, odchyła mi głowę mocno do tyłu, by mieć ją na wysokości swo-

ich rąk. Poddaję się temu bez sprzeciwu. Śpiewając, rozdziela włosy kciukiem, szarpie je i splata, po czym upina każdy warkocz długą, ostrą szpilką. Nadal śpiewając, naciera je jakąś woskową czy też oleistą substancją i staje naprzeciw mnie. Prostuję się.

- *Bellissima* - mówi i przywołuje te kobiety, które jeszcze nie odeszły. Wszystkie radośnie podziwiają jej dzieło. Chociaż skronie mam tak ściśnięte, że robi mi się ciemno przed oczami, i czuję, że dwadzieścia szpilek uciska skórę głowy, nie skarżę się. Wypowiadam tylko słowa podziękowania, gdy kreślą znak krzyża i prowadzą mnie do jadalni. Podoba mi się tu, mówię do siebie. Potem powtarzam to jeszcze raz. I znowu.

Siedzę i piję boską kawę, którą jedna z wdów nalała mi z białego porcelanowego dzbanka, trzymanego na wysokości ramienia, tak jak to robią we Francji, w tym samym czasie z drugiej strony lejąc strumieniem mleko. Napój chlapie mi na palce, zlizuję z nich gorący kremowy płyn, nie przejmując się tym, że parzy. Grube, opieczzone kromki chleba leżą w koszykach, a garnuszki masła, dżemów i konfitur w różnych kolorach i o różnej konsystencji są porozstawiane na całej długości stołów. Kruszę swoją grzanekę na drobne kawałki. Maczam je w kawie i rozglądam się, czy nie rozpoznam kogoś, kogo zapamiętałam z wczorajszego popołudnia. Gdzie jest Tosca? Naraz zauważam, że brakuje mi tylko jej obecności, bym ten posiłek mogła uznać za doskonały. Jestem zaskoczona własnym spostrzeżeniem. Wstaję i zaglądam do ogrodu, gdzie dwie grupy wdów ustawiły sobie stoły do pracy. Przy jednym we cztery kończą szycie i obrębianie czegoś, co wygląda jak suknie balowe albo jakieś kostiumy teatralne. Kiedy o to pytam, wyjaśniają mi, że szyją suknie na swoją ostatnią drogę. Tak eleganckie, tak ozdobne, że za życia nigdy nie pozwoliłyby sobie ich włożyć. Ale po śmierci to już zupełnie inna sprawa, mówią. Przy drugim stole toczy się burzliwa dyskusja, przerywana modlitwami i pieśniami.

Kobiety siedzą nad koszami świeżo ściętych karczochów na długich łądygach. Aż miło patrzeć na zwieńczające je dorodne mięsiste kwiatostany. Trzymając za łądygi, odcinają brzydkie fragmenty łusek małymi, ostrymi nożami, po czym uderzają karczochami o duże, płaskie kamienie - każda ma taki obok siebie. Po czym jednym szybkim okrężnym ruchem wydrążają środek i wpychają do środka garść liści mięty ze stosu usypanego na środku stołu. Kobieta stojąca przy stosie listków rozciera w marmurowej misce obrane, fioletowe ząbki czosnku w hurtowej ilości. Inne nabierają czosnkową masę na końce noży, by natrzeć nią wnętrza karczochów. Potem karczochy układa się w płytkich rondlach, odwrócone łądygami w tym samym kierunku. Wiry oleju, deszcz morskiej soli, strugi białego wina i cienkie plasterki cytryny podnoszą się i opadają tak, że niemal nie widać przez nie warzywa. Mnóstwo cytryn. Jeszcze trochę oleju. Ale tym razem bez przesady. Brak mi słów podziwu dla łatwości, szybkości i swobody ich ruchów. Inne wdowy przychodzą po rondle z karczochami, żeby je zabrać do pieca. Po dwie kobiety do każdego rondla. Zbliżam się i pytam, czy mogę pomóc. Uśmiechają się. Przeczące gesty palców. Powinnam teraz obudzić Fernanda i przynieść mu kawę, ale nie chcę przegapić ani chwili. Pocieszam się, że pewnie wolałyby jeszcze pospać, i ruszam do kuchni w ślad za karczochami.

Próbuję policzyć krzątające się wdowy, ale poruszają się tak szybko i są tak do siebie podobne, że nie może mi się to udać. Pewnie około dwudziestu. Czyżby to były te same, które spotkałam, kiedy czesały jedna drugą? Dwadzieścia chust na głowach, dwadzieścia par rąk, dwadzieścia głosów śpiewających modlitewne pieśni. Patrząc, jak pierwszy rondel wjeżdża do pieca i wzdłuż ściany podchodzę bliżej. Przy innym piecu wdowa formuje podplomyki, układa je na gorących kamieniach wśród rozżarzonych węgli, a potem w wyłożonych tkaniną koszach. W drugim końcu sali, na palenisku, którego płomień wydają się znacznie spokojniejsze, ledwie widoczne, umieszczono kamionkowe naczynia z marynowaną w winie pieczęnią jagnięcą, przykryte odwróconymi przykrywkami, na które nasypało żaru, by mięso szybciej doszło, powinno bowiem być tak miękkie i delikatne, żeby nie trzeba go było kroić nożem.

Dwóch mężczyzn wnosi kosze bakłażanów. Długich, smukłych, z gładką, ciemnofioletową skórą i nienaruszoną łodygą z liśćmi. Coś mówią do kobiet - chyba pytają, czy tyle wystarczy, bo jeśli tak, to pozostałe mogłyby zostać na grządkach do jutra. Piękne, świeżo zebrane lśniące bakłażany. Szybko umyte w podobnym do chrzcielnicy zlewie trafiają na stół do osuszenia i obcięcia łodyg. Wdowy zostawiają te bakłażany całe, nacinają je tylko na krzyż dość głęboko na całej powierzchni. Wrzucają je do naczynia zawierającego mieszaninę mąki, bułki tartej, soli morskiej i drobnych okruchów owczego sera. Obtaczają, przyklepują, znowu obtaczają, aż ziarna soli i mąka wciśnie się w każde nacięcie, po czym kładą je, podobne do dziwnych morskich stworów, na wyłożone grubym papierem tace, przenoszą przez całą kuchnię do gazowej kuchenki, a tam już inne kobiety zanurzają po kilka naraz we wrzącym oleju, zostawiają na chwilę, by pływały w nim, aż zmiękną wewnątrz, a ich skórka zbrązowieje i stanie się chrupiąca. Wreszcie wyciąga się je łyżką cedzakową z powrotem na tacę. Grube kryształki szarej morskiej soli lśnią na ich mocno spieczonej skórce. Wkrótce się okaże, że podaje się je do stołu już prawie zimne, lecz jeszcze kruche, z sosem pomidorowym i oregano. Po ostudzeniu aromat staje się jeszcze intensywniejszy. Przy stole przekonam się również o swojej własnej niepokojącej skłonności do objadania się takimi bakłażanami ponad wszelką miarę.

Czuję neodparte pragnienie, by wziąć udział w tym widowisku, ja także chciałabym nacinać, oklepywać i zanurzać. Przyglądam im się zazdrośnie, oparta o framugę drzwi. Potem zaczynam spacerować po obrzeżach sali i jestem gotowa posunąć się jeszcze dalej, lecz jednak nie wkraczam na środek. Wydaje mi się, że jestem niewidoczna. Wdowy śpiewają i modlą się, w przerwach śmieją się albo płaczą. Modlą się za siebie nawzajem, za stoły, przy których pracują, za ogień, za bakłażany, za noże, za ciasto na chleb wystawione przed drzwiami. Zaklęcia i egzorcyzmy. Być może uroki. Przede mną obraz krzątającej wdów i wieśniaków. Pytam, czy i dla mnie znalazłoby się coś do roboty. Powtarzam swoje pytanie raz po raz. Ale w odpowiedzi pojawiają się tylko kolejne uśmiechy. Kolejne przeczące gesty dłoni. Może nie zrozumieli, o co pytam? Tak, po prostu mnie nie zrozumieli. Próbuję się z nimi dogadać za pomocą okrzyków radości połączonych z gestami toczenia, mieszania i siekania. W ten sposób udaje mi się zwrócić na siebie uwagę dwóch kobiet. Łagodnie wyprowadzają mnie na zewnątrz i przyglądają mi się z uwagą w jasnym świetle dnia. Kiwając głowami, zostawiają mnie tam, po czym wracają do pracy. O co chodzi? Co we mnie zoba-

czyły? Czuję się tu jak nowa w klasie, mimo że na głowie noszę koronę z warkoczy. Ruszam z powrotem do *villa* i po drodze obserwuję wdowy zajęte przy ciastach. Nigdy nie poznają mojego przepisu na pistacjowe ciasteczka. Ani na ciasto z nadzieniem migdałowym. Dotykam swoich warkoczy. Próbuję zaintonować pieśń, którą śpiewają najczęściej. Śpiewam ją coraz głośniejsze. Nie trzeba rozpaczać, że nie mogę uczestniczyć w ich zajęciach. Wystarczy, że tu jestem. To najważniejsze. Podchodzę do drzwi frontowych, ale nie zauważam Toski, która stoi w progu.

- Ma pani okres?

Nie nosi już stroju do konnej jazdy, tylko śliczną suknię z czarnego jedwabiu, długą prawie do kostek, ciasno opinającą ciało. Bez rękawów, które zakrywałyby gładkie, umięśnione ramiona, jeszcze ciemniejsze niż opalona twarz. Zgrabne buty na wysokiej drewnianej podeszwie włożyła na bose stopy. Jest ubrana i uczesana jeszcze wymyślniej niż poprzedniego dnia, a jej włosy pachną kwiatem pomarańczy. Smaragd jest zawieszony wysoko na jej szyi. Prawie zderzyłyśmy się głowami w przejściu. Tym razem to ja nie rozumiem pytania.

- Ma pani okres? - powtarza zniecierpliwiona.

- Teraz?

- Tak, teraz. Żadna z kobiet nie pozwoli pani dotknąć żywności, nie chcą też, żeby się pani kręciła po kuchni. Bo sądzą, że ma pani okres. A jeśli pani ma okres, to pani obecność ściągnie klątwę na pożywienie i być może nawet na osobę, która okazała się dość nieostrożna, by panią w takim stanie dopuścić do kuchni, która jest ich sanktuarium.

Zakłopotanie, które czułam przed chwilą, przerodziło się w głęboką konsternację.

- Po prostu średniowiecze.

- Ten zakaz jest o wiele starszy, ale nadal pozostaje w mocy. Więc ma pani okres czy nie?

- Właściwie nie... Ostatnio bywa trochę... powiedzmy... nieregularny.

- Umieją to poznać po oczach. Radzę pani trzymać się z dala od kuchni. Tu nie ma żartów ze świętościami.

Mija mnie, po paru metrach się zatrzymuje, odwraca i mówi:

- Śpiew wydobywa się z głębi gardła, nie znad przepony. Niezupełnie tak, jak przy zwykłym śpiewaniu. Nawiasem mówiąc, ładnie pani w tych warkoczach.

Nie zdziwiłabym się, gdyby na koniec wskazała mi drogę do czerwonego namiotu z powieści Anity Diamant. Odprowadzam wzrokiem jej wysoką, czarną sylwetkę, dopóki nie znika mi z oczu. Jestem tu podwójnie obca - myślę. - Po pierwsze Amerykanka, po drugie, żona Włocha z Północy. To miejsce nie przypomina niczego, co kiedykolwiek znałam. Muszę tu znowu zaczynać od początku.

Rozdział 4

Miałam słuszość, że nie martwiłam się o Fernanda. Okazało się, że Agata poszła po niego niedługo po tym, jak opuściłam pokój. Posadziła go w jadalni z mężczyznami z drugiej tury pracowników, która właśnie miała wyruszyć do sadów. Mężczyzna, który od dziecka żył na północy Włoch, spędził dziś poranek pośród drzew migdałowych. Nawiązał znajomość z rudym wieśniakiem imieniem Valentino, którego ojciec był kiedyś dozorcą tego majątku. Fernando opowiedział mi, że Valentino urodził się w pałacu w roku 1939. Mieszkał tu i pracował przez znaczną część swojego życia. Jeszcze w czasach, gdy nikt tu nie słyszał o Tosce. Fernando mówi o tym ze szczerym entuzjazmem, w rzadkim u niego porywie radości. Robi wdech i patrzy na mnie tak, jakby mnie dopiero teraz zobaczył. Zaciska wargi w zagadkowym uśmiechu, całuje mnie mocno i prowadzi do jadalni.

- Wiedziałem, że to zrobisz - mówi, wbijając wzrok w moją fryzurę.

- Ach, chodzi ci o warkocze. Boli mnie od nich głowa, ale bardzo mi się podobają. Zostałam właśnie wypędzona z kuchni.

- I dobrze. Nie będzie ci żal, jeśli wyjedziemy po obiedzie?

- Dlaczego chcesz wyjeżdżać? Przecież dopiero przyjechaliśmy. Ktoś ci powiedział, że musimy wyjechać?

- Nie, nikt mi nic nie mówił. To właśnie jeden z powodów, dla których uważam, że tak będzie lepiej. Nic nie wiemy o tym miejscu. To mnie niepokoi. Na przykład, chciałbym się dowiedzieć, ile się tutaj płaci za obiady i noclegi. Nie widziałem żadnego cennika. I zdaje się, że poza nami nie ma tu żadnych gości... jeśli to odpowiednie słowo. Mam mgliste wrażenie, że nikt z mieszkańców nie jest tym, kim był, zanim tu osiadł. To miejsce jest jak wyspa z *Pinokia*, na której wszyscy niedobrzy chłopcy przemieniali się w osły. Pewnego dnia spojrzę w lustro i zobaczę w nim pomarszczoną twarz starego wieśniaka. A tobie w tych warkoczach coraz bliżej do sycylijskiej wdowy. Uciekajmy stąd, kochanie, póki czas. - Zaśmiał się z własnego dowcipu. - Zresztą - podjął po chwili - już trochę odpoczęliśmy. Postanowiliśmy przecież opuścić te góry. A tutaj popadamy w jeszcze głębszą izolację niż przedtem, choć teraz przynajmniej tyle dobrego, że z tymi ludźmi da się rozmawiać. Na nas już czas. - Znowu uśmiecha się zagadkowo. - Podobasz mi się w tych warkoczach.

Łagodnie położył mi ręce na ramionach, w jego mniemaniu przemawiał przez niego zdrowy rozsądek. Ale ja się nigdzie nie wybierałam.

- Widziałam, jak szykowały te wspaniałe bakłazany. A na kolację dusiły jagnięcinę w żarze paleniska. Zapytajmy o szczegóły, mam na myśli te finansowe, a potem coś postanowimy. Wrócimy do tego później, zgoda?

- Zgoda. Zgoda na bakłazany i jagnięcinę. Ale obiecaj, że nie włożysz wdowiej chusty.

- Obiecuję. Nie będzie żadnych wdowich chust.

Choć nikt nie umiał jasno odpowiedzieć na nasze pytanie o koszty pobytu, postanowiliśmy zostać do jutra. Potem zostaliśmy przez następny dzień i jeszcze przez następny. Nie dlatego, że podjęliśmy taką decyzję. Niepostrzeżenie wciągnął nas w swoje tryby rytm tutejszego życia, jego odwieczny rytuał. Z rana budziły nas dzwony, dzwony ogłaszały czas modlitwy i czas pracy, dzwony wzywały do posiłku, po którym znów następowała modlitwa, po niej praca. I kolejny posiłek. Radosne, uporządkowane, chwilami uroczyste życie. Więzy między znajomymi, przyjaciółmi i rodziną splecione tak ciasno jak te warkocze wdów. Nikt nie musi tu liczyć na niczyją łaskę, wystarczy pełna dobrej woli uwaga całej zbiorowości. I nie mają powodu narzekać. Chwilami ich życie naprawdę przypomina biblijne obrazy z *Czerwonego namiotu* Anity Diamont. Niektóre sceny, zwłaszcza z Toscą w kadrze, wyglądają jak wyrwane prosto z *Lamparta*. Ale przeważnie wydają się jednak cytatami z filmu *Cinema Paradiso*.

Jako miejscowa matriarchalna władczyni i opiekunka wszystkich tych, którzy żyją w jej cieniu, Tosca sprawuje władzę w sposób łagodny, choć nieznoszący sprzeciwu. Otacza ją zasłona tajemnicy - prawie namacalna. Tosca nigdy nie pojawia się na śniadaniu. Ubrana w znoszony, lecz świetnie skrojony męski strój - ten, który miała na sobie przy naszym pierwszym spotkaniu - wyjeżdża rankiem na najdalsze pola. Po powrocie, zamknięta w swoich apartamentach, nie pokazuje się do południa. Potem, w którejś ze swych niezliczonych eleganckich czarnych sukien, ze szmaragdem na szyi zawieszonym na ciasno zapiętym łańcuszku z czerwonego złota i ze świeżo ułożoną kunsztowną fryzurą obchodzi willę i ogrody. Stojąc w ogrodzie lub w rogu sali jadalnej, rozstrzyga o sprawach domu razem ze swoją siostrą Mafaldą, która zarządza posiadłością i kieruje pracą dwóch wdów, prowadzących domowe rachunki. Przyłączają się do nich inne, które spędziły przedpołudnie w wiosce, w miasteczku albo na oddalonych polach, gotowe zdać relację lub powtórzyć zasłyszane plotki. Rozważają, jak usprawnić produkcję sera, zajmują się sprawą remontu stodoły, kwestią przebudowy kolejnych nieużywanych przez nikogo pomieszczeń na sypialnie, planują sprzedaż tegorocznych pomarańczy na pniu i zbiory kwiatów drzewa pomarańczowego, za które wytwórcy perfum oferują niebotyczne kwoty. Zawsze też omawiają sprawy wyżywienia. Wspólnie z reprezentacją kobiet pracujących w kuchni Tosca układa jadłospis. Ustala, które warzywa w ogrodzie dojrzały już do zbiorów, zastanawia się, w jakiej postaci podać wieczorem pomidory, akceptuje propozycję, by na sobotni obiad była pieczeń z koźlęcia szpikowana goździkami. Wokół nich, tak jak wszędzie wokół, panuje ruch i nieustający rozgardiasz. Trwa aż do wieczora, gdy kończy się praca. Po kolacji aksamitna cisza zapada w pałacu i ogrodach. O tej porze pałac Toski zamienia się w dom otwarty.

Wieśniacy wspinają się na wzgórze, by dołączyć do domowników. Kobiety w chustach schludnie okrywających włosy, w świeżych fartuchach na codziennych ubraniach, usiądą z Toscą i jej wdowami pod pergolą, podczas gdy ich mężowie, ubrani w najlepsze niedzielne wełniane kamizelki, mimo upału zapięte pod szyję, będą w piwnicach na wino grali w karty z mężczyznami z pałacu.

- Kobiety są jak śmietanka, zawsze zbierają się na górze - mówi Tosca co wieczór, gdy mężczyźni odłączają się od żon.

Prawie każda z wdów i wieśniaczek częstuje się długą, cienką cygaretką z podsuniętego przez Toscę pudełka. Odpalają jedna od drugiej, tak jak odpala się świece na procesji. Rozglądają się wśród butelek stojących rzędem na stole w głębi pergoli. Przeważnie wybierają whisky lub nalewkę z werbeny z miodem i cytryną. Szklaneczki są niewiele większe od naparstków, mieści się w nich ledwie tyle, by zamoczyć wargi. Niektóre z kobiet nie pragną nawet rozmowy. Siedzą, wdychają gorący, wilgotny aromat suszonego jaśminu, palą cygaretki i pociągają trunki ze szklaneczek. Lecz jeśli mówią, to prawie zawsze o mężczyznach. O zakochaniu, o wyznaniach miłosnych, o pocałunkach, nielojalności i zdradzie. Czasem też śpiewają pieśń, którą po raz pierwszy słyszałam tego ranka, kiedy tu przybyliśmy. Tę o radości i smutku. Gdy tylko przestaną na chwilę mówić o mężczyznach, od razu zaczynają o dzieciach.

Kobieta imieniem Nuruzzu opowiada o swoim zmartwieniu z powodu córki niedawno wydanej za mąż.

- Jest przecież kobietą. Kobiety, tak jak kameleony, zmieniają się po cichu, żeby się wtopić w tło życia. Ona też staje się po prostu niewidoczna, gdy z właściwą sobie skromnością wypełnia codzienne obowiązki. Karmi dziecko. Sprząta stajnie. Z byle czego ugotuje obiad. Przerobi stare prześcieradło na sukienkę. Nie liczy na Opatrzność ani na nikogo innego. Wie, że nikt nic za nią nie zrobi. Opatrzność jest dla mężczyzn. Jest mile widzianym gościem w ich życiu. Gdy tylko zapuka do drzwi, już czekają w progu. Tak, tak, wspomóż mnie, wołają, choć sami nie kiwną palcem.

Za każdym razem, gdy któraś z nich kończy opowieść, wszystkie na chwilę podejmują śpiew, po czym głos zabiera następna.

- Nasze dzieci płakały, kiedy zostawiałyśmy je same, a potem my płaczemy, gdy one od nas odchodzą. Życie toczy się kołem. Beształyśmy dzieci, kiedy były malutkie. Teraz jesteśmy zmęczone życiem, a one już nas nie potrzebują.

- Niewiele o nas wiedzą. A jeszcze mniej o tym, kim byliśmy dawniej. Och, żałuję, że nigdy się tego nie dowiedzą. Myślicie, że rozpoznałyby siebie w nas samych z czasów młodości? Chciałabym, żeby zobaczyły nas w naszej dawnej nieporadności i samolubstwie, tak podobnym do ich obecnego. Kołowrót życia kręci się bez przerwy.

- Wierzyłyśmy w bajki, które opowiadałyśmy naszym dzieciom. Kochałyśmy je bez pamięci, choć brakowało nam doświadczenia i nie wiedziałyśmy, jak z nimi postępować. Same byłyśmy dziećmi, ale kochałyśmy swoje dzieci. I pozostałyśmy dziećmi.

Zamiast pod pergolą, pewnego wieczoru wszystkie kobiety zbierają się pod drzwiami sali porodowej. Nie znam powodu tej zmiany, więc gdy podążam za nimi, czuję się samotna w tej gromadzie. Sala porodowa znajduje się na pierwszym piętrze, w skrzydle, którego jeszcze nie widziałam. Wygląda inaczej niż wszystkie sale szpitalne, w jakich do tej pory byłam. Przypomina raczej kaplicę, jeśli pominąć żelazne łóżka i kilka niezbędnych sprzętów. Przez wysokie okna, na których wiszą ciężkie jedwabne zasłony, płynie ciepłe nocne powietrze. Delikatnie oświetlony obraz Tycjana przedstawiający świętą Annę - patronkę ciężarnych kobiet - wisi na jednej z żółtawobrunatnych ścian, na innej widać reprodukcję Rafaela, na której

Madonna w szkarłatnej sukni kołysze śpiące niemowlę, tuląc je do piersi. Nieduża, obłuczona marmurowa podobizna Demeter - greckiej bogini ziemi, urodzaju i macierzyństwa - stoi na kolumnie między obrazami. Nic sobie nie robiąc z konfliktu między tradycją starożytności i chrześcijaństwa, wdowy z jednakowym zapalem oddają cześć obu tym wizerunkom. Śpiewają, modlą się i błogosławią się nawzajem.

- Wszystkie jesteście kobietami - mówi do mnie Nuruzzu, zawierając w tym zdaniu to, co w życiu najważniejsze.

W najdalszym, zaciemnionym kącie pokoju zajęte są dwa sąsiadujące łóżka. W grupkach po dwie lub po trzy podchodzą do łóżek, by powiedzieć coś półgłosem do leżących tam kobiet. Znowu śpiewają pieśni i wznoszą modły, potem po cichu się odsuwają, robiąc miejsce następnym. Stoję między obrazem i rzeźbą i czekam na Nuruzzu. Kiedy do mnie podejdzie, razem wyjdziemy na korytarz. Nim ją o to poprosiłam, sama zaczyna opowiadać o tych dwóch kobietach leżących w łóżkach.

Jedna z nich jest wdową i nazywa się Cosettina - tak Nuruzzu zaczyna swoją historię. Dziwię się, że wdowa leży na sali porodowej, ale o nic nie pytam.

Cosettina mieszka tu co najmniej od dziesięciu lat. Oprócz kuchennych obowiązków, prowadziła domowe lekcje pisania i czytania dla tych kobiet, które wcześniej były niepiśmienne. Przychodziły i inne, bo lubiły przez cały wieczór przysłuchiwać się, jak Cosettina czyta na głos. Przez większą część życia Cosettina uczyła w szkole w pobliskim miasteczku - w Ennie. Przyjaciółką Toski była jeszcze dłużej. Mimo najszerszych chęci, w ciągu ostatniego roku stopniowo traciła siły do pracy. Miewała chwile skrajnego osłabienia. Przeszła łagodny zawał serca. Następny był poważniejszy. *Dottoressa* Rosa, młoda lekarka z Palermo, która przyjechała w tutejsze góry na staż medyczny, zdiagnozowała ją, zaleciła kurację i opiekowała się Cosettiną, pełna nadziei na jej wyzdrowienie. Parę tygodni temu, po kolejnej zapaści, oznajmiła, że Cosettina powinna pojechać do szpitala w Ennie. Ta jednak odmówiła. A Tosca udzieliła jej swego poparcia. Lepiej czekać na śmierć „na własnych śmieciach”. Przygotowano pokój blisko jadalni, by chora mogła poczuć się prawie tak, jakby jadła razem ze wszystkimi domownikami. Tosca i jej wdowy były do Cosettiny bardzo przywiązane. Zaczęły dbać o nią jak o dziecko, karmiąc łyżeczką, przynosząc w prezencie słodycze i kwiaty. Każdego wieczoru myły jej pomarszczone członki miękkimi szmatkami nasączonymi ciepłą oliwą. Ubierały ją jak lalkę, w haftowane koszule, i ozdabiały jej warkocze wstążkami wyciętymi ze starych jedwabnych halek w różowym kolorze.

W dniu, w którym przybyliśmy do *villa*, Cosettina była już prawie umierająca. To dlatego Carlotta wtedy płakała. Nuruzzu tłumaczy mi, że wdowy ustaliły kolejność czuwania przy chorej co noc, a pani doktor Rosa kontynuowała codzienne wizyty. Kiedy przyszła kolej na Toscę, Cosettina wykorzystała okazję, by przedstawić swoją prośbę.

- Przenieś mnie do sali porodowej - rzekła do Toski. - Pozwól mi tam zostać. Nie pobędę długo, odejdę w ciszy. Nie zrobię zamieszania. Na pewno nie. Obiecuję. Chciałabym oddać swoją duszę dziecku, które się tu urodzi. Wystarczy, że będę obecna.

Być może Cosettina obawiała się, że Tosca odmówi, a przynajmniej zakwestionuje ten pomysł. Ale, jak twierdzi Nuruzzu, tego ranka od razu przeniesiono łóżko chorej do sali porodowej, gdzie teraz leży w towarzystwie świętej Anny, Demeter i Madonny z Dzieciątkiem. Tuż obok pewna wiejska kobieta imieniem Viola oczekuje narodzin swojego pierwszego dziecka. Dla obu wkrótce wybije godzina, powiada Nuruzzu.

Po wizycie w sali porodowej kobiety zeszły do ogrodu. Jedne usiadły, inne stanęły w grupkach, jeszcze inne zaczęły spacerować. Tosca puściła w obieg pudełko cygaretek i upewniła się, czy butelki nie są puste. Minąwszy nas obie, Nuruzzu i mnie, wróciła do pałacu. Po paru chwilach była już z powrotem. Półgłosem oznajmiła, że Cosettina odeszła. Umarła spokojnie, powiedziała. Co prawda, jak dotąd nic nie wskazywało, by dziecko Violi miało jakieś zdecydowane zamiary, ale teraz, jak się wydaje, zaczęło wyraźnie szykować się do przyjścia na świat. Tosca krążyła cicho między kobietami, zapraszając wszystkie do jadalni, by wspólnie odmówić różaniec za Cosettinę. Mężczyzn także już wezwano i mieli za chwilę do nas dołączyć. Pałac był zelektryfikowany, ale tego wieczoru Tosca kazała pogasić światła i zapalić świece. Zamknęła niektóre okna, otworzyła inne i odwróciła lustra do ściany. W końcu usiadła. Ktoś rozpoczął modlitwę. Podczas trzeciej zdrowaśki przez długą nawę pokoju przemknął lodowaty wiatr i Tosca się uśmiechnęła.

- *Ciao, Cosettina. Ti voglio tanto bene. Żegnaj, Cosettino. Kocham cię bardzo.*

Do tej pory nikt nie płakał, przynajmniej nie tak, żeby było słyhać. Ale teraz rozpląkały się wszystkie. Szlochając, powtarzały te same słowa. Wśród szmeru głosów ledwie usłyszeliśmy pierwszy krzyk noworodka, dochodzący z sali porodowej. Viola nadała córeczce imię Cosettina.

Nazajutrz wypadła sobota. Po przebudzeniu długo jeszcze leżałam w łóżku i czekałam, aż się rozwidni. Aż zadzwonią na Anioł Pański. Zamiast wesołego dźwięku dzwonów we mgle usłyszałam spiżowy jęk. Dzwony dzwoniły dla zmarłej. Ich lament, wypełniający całą przestrzeń, stopniowo zaczął jednak przechodzić w triumfalne tony. To na cześć Cosettiny.

Na śniadaniu było mniej osób niż zwykle, bo część udała się do wioski, by uczestniczyć w mszy żałobnej w kościele Zbawiciela. Zostali tylko ci, którzy musieli zrobić to lub tamto w związku z ceremonią chrztu, która miała się zacząć w południe. W tych górach nie zwleka się zbyt długo, gdy trzeba wysyłać znużoną duszę do nieba albo też obmyć nowo przybyłą przed jej ziemską wędrówką. Ludzie śpieszą się i z jednym, i z drugim. Wzruszający jest ten ich pośpiech.

Wstaję z miejsca z zamiarem odejścia od stołu, ale zaraz się zatrzymuję. W moją stronę idzie Antonio Banderas. Mija mnie. Pachnie drożdżami. Któraś z wdów podbiega do niego i mówi:

- *Ah, Furio. Hai già finito? Vieni a mangiare qualcosa adesso. Skończyłeś już, Furio? Chodź teraz coś zjeść.*

Wędrowny piekarz. Więc to tak. Antonio Banderas ukrywa się w górach, udając wędrownego piekarza. Doskonale przebranie. Gdzie mógłby się lepiej ukryć przed zaborczością Melanie Griffith? W obcym białym podkoszulku, niebieskich dzinsach i roboczych butach wędruje po górskiej okolicy. Czarna

bawełniana czapka zakrywająca włosy jest nasunięta aż na czoło i daszek prawie całkiem zasłania ciemne arabskie oczy.

Już wcześniej zastanawiałam się, na co może się tutaj przydać jeszcze jeden piekarz.

Siadam z powrotem i opieram się na łokciach, wybijając palcami jednej ręki powolny rytm na własnym policzku. Podchodzi Carlotta i siada obok mnie.

- Poznałaś już Furia? - pyta.

Uśmiecham się, kręcąc głową, a ona zaczyna mi o nim opowiadać. Mówi, że w każdą sobotę przyjeżdża tu jeszcze przed świtem swoim charczącym cinquecento, ciągnąc przyczepę z maszyną do mieszania ciasta i workami specjalnej mąki chlebowej, jedynym gatunkiem, jaki uznaje. Bierze ją od znajomego młynarza z okolic Caltanissetty. Jak świętą relikwię na aksamitnej poduszce, wozi na przednim siedzeniu samochodu szklany słoik wściekle spienionych drożdży. Przez twarz Carlotty przebiegają na przemian sprzeczne emocje. Być może siedzi tu ze mną i opowiada o piekarzu tylko po to, żeby je jakoś odreagować. Nachyliłam się do niej. Mówi mi, że Furio podróżuje po zapadłych wioskach, gdzie przetrwały stare kamienne piece. Wszędzie przyjmują go z honorami. Bierze za swoją pracę śmieszne pieniądze, jeżeli je w ogóle bierze. Jada i sypia tam, gdzie akurat wypieka chleb. Ludowy święty, mówi o nim Carlotta. Z pewnością ma kobietę w każdej wsi, zaznacza. Być może także dzieci. Ale nie tu, zapewnia, zataczając ręką krąg. Jego kobiety mają przynajmniej dobry chleb i widują swojego mężczyznę, szczęśliwego, kochającego i łagodnego, regularnie co tydzień.

- Niejedna może o tym tylko pomarzyć - podsumowuje. - A co u państwa słyhać? Wszystko w porządku?

- Jakoś sobie radzę. Fernando także. Jednak czuję się, jakbym... Jakbym trochę tu zawadzała. Wśród tych wszystkich wydarzeń natury, że się tak wyrażę, rodzinnej.

- Tak, rozumiem. Dziś rano nikt po państwa nie przyszedł. Mogła się pani poczuć niezręcznie. Ale...

Milknie. Spuszcza wzrok, patrzy na wzór z czerwonych róż i zielonych liści, zdobiący obrus. Głaszcze go palcami.

- Właśnie wróciłam z mszy. Naprawdę zawsze mi trochę wstyd, kiedy jestem na pogrzebie. Choćbym nie wiem jak chciała temu zapobiec, przychodzi taka chwila, że mimo szczerego żalu za osobą zmarłą, mówię sobie: Nic mi nie jest. To ten ktoś umarł, nie ja. Kto inny leży w pięknie wypolerowanej trumnie. Mnie to nie grozi. Prędzej nastąpi koniec świata.

- Myślę, że w takiej chwili w cichości ducha każdy z nas cieszy się, że jeszcze żyje. Chyba że w trumnie leży jego dziecko. Więc nie ma się czego wstydzić.

Mam wrażenie, że nie słyszy.

- Tylko raz było inaczej. Wiele lat temu. Byłam na pogrzebie, podczas którego ten kłopotliwy moment nie nadszedł. Tylko jeden raz.

Milczę.

- Mam nadzieję, że to pani do nas nie zniechęci. Proszę zostać tu jeszcze trochę. Zostanie pani, prawda?

- Oczywiście że zostanie. - Zza naszych pleców wynurzyła się Tosca. Okrążyła stół i usiadła naprzeciwko nas. Ktoś podał jej filiżankę kawy. - Widzę, że podobają się pani te freski. Mam rację?

- Wpatruję się w nie bez przerwy - przyznałam.

- Proszę przyjść tu wczesnym wieczorem. Właśnie wtedy warto im się przyjrzeć. Przed zachodem słońca kolory nabierają głębi i siły. O tej porze roku są najpiękniejsze około szóstej. Zapraszam.

Przynajmniej nie wyraża obawy, że miesięczkująca kobieta może swoją obecnością zaszkodzić malowidłom, na których, w ostatnich promieniach słońca, będą wznosić ku górze oczy bogowie i boginie o zaokrąglonych kształtach.

- Z przyjemnością. Dziękuję.

Tosca i Carlotta z pewnością mają jakieś pilne sprawy do omówienia między sobą. Odchodzę od stołu. Ale nie dlatego, że jestem wyczulona na ich życzenia bardziej niż na własne. Chodzi o coś innego. Czuję się nieswojo w obecności Toski. Wczuвам w niej jakąś surowość, nie całkiem przystającą do sytuacji. Jej wzrok przeszywa na wylot i onieśmiela. A mimo to już od pierwszego dnia za każdym razem, kiedy nie widziałam jej w pobliżu, odnosiłam wrażenie, że czegoś tu brakuje.

Rozdział 5

Ku mojemu zdumieniu, osobą, która najczęściej wypytuje o nasze samopoczucie, jest Christopher Plummer w swoim typowym stroju miejscowego księdza. Nie marnuje żadnej okazji, żeby przysiąc się do nas przy stole, zagaduje mnie w amfiladach i w drodze do naszego pokoju.

- Chciałaby pani zobaczyć kaplicę?

- *La signora* zaprosiła mnie do błękitnego salonu na czwartą. Napiłaby się pani z nami herbaty?

- Z przyjemnością pokażę pani bibliotekę.

- Jeździ pani konno?

Kiedy don Cosimo zatrzymuje mnie na chwilę, zawsze wygłasza jakąś pouczającą ciekawostkę na temat historii pałacu. Wiem już, kiedy go wybudowano. I że głównym architektem był pomocnik projektanta piętnastowiecznych przytułków w burgundzkim mieście Beaune. Że nietypowa mieszanina stylów architektonicznych piętnastowiecznej Francji i siedemnastowiecznych Włoch czyni go zjawiskiem niezwykłym. Niepowtarzalnym. Ksiądz jest zawsze chętny do rozmowy. Zaprasza, bym towarzyszyła mu w ogrodach, gdzie każdego popołudnia siada z książką pod magnoliowym drzewem. Zapewnia, że to jedyna spokojna godzina dnia i jedyne zaciszne miejsce w całej okolicy.

Nazajutrz po południu, kiedy dzwony na Anioł Pański oznajmiły piątą, don Cosimo sunął już, niczym ciemny statek po spokojnym morzu, w stronę stołu ustawionego pod magnolią, przy którym na niego czekałam. Żadne z nas nie wypowiedziało słów powitania. Usiadł na krześle i westchnął głęboko, ale na

ustach miał szeroki uśmiech. Proponuję mu wodę. Butelkę z zielonego szkła przesuwam w jego stronę po rysach i brzdach marmurowego blatu. Ale on przyniósł sobie co innego na orzeźwienie. Jednym szybkim ruchem wyciąga spod sutanny piersiówkę w skórzanym pokrowcu, wyjmując korek. Przykłada ją do ust i pociąga długi łyk czegoś, co zapachniało raczej trawą albo zielskiem niż alkoholem.

- Wywar z liści buraków - wyjaśnił, chowając flaszkę.

To były pierwsze słowa, jakie między nami padły tego popołudnia.

Widząc, że nie przyniósł ze sobą książki, zamknęłam swoją. Czekałam. Powiedział mi, że ma siedemdziesiąt sześć lat. Z pewnością był tego świadomy, że z twarzy i postawy wygląda na piętnaście, a może i dwadzieścia lat mniej, zwłaszcza że po tym oświadczeniu zrobił pauzę, jakby spodziewał się komplementu. Nie odmówiłam mu. Powiedział, że poznał Toscę dawno temu, jako spowiednik i szofer księcia. Wtedy, kiedy księżę zabrał ją do pałacu. Od tamtej pory minęło pięćdziesiąt sześć lat.

- To właśnie ten pałac?

- Nie. Inny. Tosca zamieszkała w innym pałacu, razem z księciem i jego rodziną. W tamtym barokowym pałacu przodkowie księcia dorastali pośród cytrynowych zagajników. Nikt pani nie proponował wycieczki w tamte strony? To dwie, trzy godziny drogi stąd.

Raczej nie miałam w swoim życiu do czynienia z zamkami czy pałacykami myśliwskimi, więc powiedziałam księdzu, że trudno mi odróżnić jedno od drugich. Ale nie przyznałam się, że nie znam historii Toski i księcia d'Anjou, o której, jak zapewne sądził ksiądz, już słyszałam. Przywołałam wspomnienie z pierwszego obiadu, kiedy Carlotta mówiła: „La *signora* odziedziczyła willę po ostatnim księciu d'Anjou jako jego wychowanica”. Pokryłam milczeniem swoją niewiedzę, prawie całkowitą, poza tą jedną intrygującą informacją. Zamierzałam posłuchać tego, co on powie. Moja uwaga miała zostać nagrodzona. Wkrótce się okazało, że wie o wszystkim i wszystko pamięta. Jeśli w tej historii, w jego pamięci o niej była jakaś luka, to duchowny z biegłością flamandzkiego tkacza umiał wiązać urwane wątki.

- Już wtedy Tosca miała w sobie coś arystokratycznego, była wyniosła i dumna. Grube, czarne warkocze nosiła upięte na kształt korony. Nikt nie wiedział, czy wspierają ją anioły czy szatani, ale bez wątplenia była w niej jakaś niezwykła moc. Kiedy księżę Leo wziął ją na wychowanie, miała około dziewięciu lat. Ale już wtedy była oszałamiająco piękna. Zwracały uwagę zwłaszcza oczy. Miały szczególny, jasny odcień wilgotnego nefrytu, a przy tym osadzone były w twarzy sńiadej jak spalone słońcem migdały. Te oczy rozświeślały się zielenią nad wystającymi kośćmi policzkowymi - jak u rusalki. Tak, Tosca miała oczy syreny. Liczyła sobie dziewięć czy dziesięć lat, kiedy sprowadzono ją do pałacu. To stary, powszechnie praktykowany obyczaj feudalny, by czasem przyjmować na dwór dziecko któregoś z okolicznych chłopów albo dzierżawców. Wielki zaszczyt dla rodziny dziecka, a dla niego życiowa szansa. Mimo wielu niebezpieczeństw czyhających po drodze. Takie dziecko było żywione, ubierane i kształcone. Niebezpieczeństwa czyhały na dzieci wszędzie, niezależnie od sfery, w jakiej żyły. Mogłaby pani zapytać, czy ten obyczaj wyrósł z miłosierdzia? Czy raczej kryły się za nim ciemne żądze? Motywy często bywały niejasne i niejednoznaczne. Kto się w nich rozezna? Tak więc wszyscy, łącznie ze mną, wierzyli, że to księżę pan

sam upatryzył sobie Toscę. Lecz jak się potem okazało, zaoferował ją księciu ojciec dziewczynki. Hodowca koni. I, sądząc, od przypadku do przypadku również koniokrad. W każdym razie księżę pan miał w swoich stajniach ogiera, którego koniarz potrzebował bardziej niż córki.

Tego ranka, gdy księżę pan pojechał po Toscę - termin został starannie wybrany w porozumieniu z ojcem dziewczynki - posadziliśmy ją na tylnym siedzeniu wspaniałego chryslera z otwartym dachem, za moimi plecami. Bo jak już pani mówiłem, byłem kierowcą. Młodym księdzem z okolicy, świeżo wyświęconym przez jezuitów w Palermo. Nauczono mnie prowadzić samochód, żebym mógł wozić naszego biskupa tam i z powrotem, wszędzie, gdziekolwiek miał coś do załatwienia. Myślę, że to dzięki moim umiejętnościom kierowcy, a nie przymiotom duchowym księżę postanowił zaprosić mnie do pałacu i załatwił mi posadę w parafii Świętego Rocha - bo takie wezwanie nosił nasz wiejski kościółek. Zostałem szoferem-spowiednikiem. Każda z tych dwóch funkcji pomagała mi lepiej wdrożyć się do drugiej. W ten sposób mój czas był wykorzystany najbardziej ekonomicznie. Dobrze pamiętam ten poranek, gdy księżę, uprzejmy i elegancki, zabierał Toscę z jej domu rodzinnego. Pamiętam, jak siedziała wciśnięta w kąt skórzanego siedzenia i obserwowała bieg wydarzeń. Kiedy ojciec pochylił się, by z nieszczera miłością uścisnąć ją na pożegnanie, ugryzła go. I jeszcze do tego opluła z prawdziwą furją. Myślę, że tego dnia po raz pierwszy zbuntowała się otwarcie. Ale zapewniam panią, że nie po raz ostatni. Może i nie miała ochoty pojechać z księciem do pałacu, ale z pewnością jeszcze bardziej nie chciała zostać z ojcem. Odjeżdżała z uśmiechem triumfu, usatysfakcjonowana, bo zemściła się na niekochającym i niekochanym ojcu, który w ostatniej chwili rzucił na jej gołe uda kilka ptaków i zajęcy w zakrwawionym worku. Ich głowy wysunęły się z worka, jakby te martwe stworzenia chciały przytulić się do dziewczynki. Choć zostały zastrzelone wczesnym rankiem, ich mięso już załatywało rozkładem. Podarunek miał wyrażać wdzięczność hodowcy koni dla księcia pana za uwolnienie go od ciężaru, bo tym tylko było dla hodowcy koni wychowanie starszej córki. Tak więc w posagu Tosca dostała trofea z porannych łowów. „Nareszcie się ciebie pozbyłem” - powiedział ojciec półgłosem, sądząc, że słyszy go tylko ona. Miał jeszcze jedną córkę, młodszą i bardziej posłuszną, nawet jeśli nie tak piękną. Uznał, że młodszą poradzi sobie z domem sama. Z gotowaniem, usługiwaniem i sprzątaniami stajni. Spodziewał się, że z jedną będzie mniej kłopotów. Jasne, że gdyby matka Toski żyła... Ale to już zupełnie inna historia.

Ksiądz milknie. Inna historia... myślę. Jak mogłaby się potoczyć, gdyby matka Toski nie umarła przedwcześnie?

- Opowiadałem już komuś tę historię, ale to było bardzo dawno temu i czasem mi się wydaje, że opowiadałem ją po prostu sam sobie. Mogę mówić dalej? - Patrzy na mnie nie całkiem przytomnie.

Sam mnie tu zaprosił. I sam z siebie zaczął opowiadać o przeszłości, a ja, choć odkąd tu przyjechaliśmy, czułam się jak intruz, naprawdę bardzo chciałam usłyszeć dalszy ciąg opowieści.

- Z przyjemnością posłucham - powiedziałam. Przymknął oczy.

- Kiedy przybyliśmy do pałacu, księżę zdjął krwawy worek z kolan małej dziewczynki - nie widział wcześniej takiego okrucieństwa w swoich stronach - i rzucił go na ziemię. Pomógł Tosce wstać, wytarł

własną chustką jej sukienkę i zaprowadził ją do pałacowych ogrodów tak, jakby była damą, o której względy trzeba się starać. Ach, te ogrody. Oszalamiający gąszcz róż, bzu, wisterii i kamelii splecionych tak, że wyglądały, jakby wyrosły z jednego korzenia. Był to jeden z tych ogrodów, w których stoją dumnie spiżowe posągi bogiń i woda tryska z fontanny, a opadające liście starych palm zaczepiają o wysokie gałęzie dębów. Właśnie tam Tosca miała pobierać nauki razem z córkami księcia pod okiem francuskiej guwernantki. Dziewczynka o jasnozielonych oczach i saraceńskiej cerze miała tam zostać oswojona i ułożona. Oszlifowana. Jednak minęło jeszcze dużo czasu, zanim księciu udało się ją okiełznać.

W kilka dni po przyjeździe Tosca przelazła przez mur za cytrynowym gajem i wyprowadziła ze stajni konia. Była to chyba jakaś stara klacz, której nikt już nie dosiadał, stajenni na pewno lepiej ode mnie pamiętaliby szczegóły. Tosca jeździła konno na oklep. Zdecydowała się pojechać do domu ojca, żeby zabrać swoje kozy. Jak się później okazało, również po to, żeby podarować młodszej siostrze parę nowych czarnych butów z klamerkami oraz biały fartuszek, w który ubrała ją tego ranka służąca imieniem Agata. Po tej podróży fartuszek był pognieciony i pachniał końskim potem. Nawet jeśli Tosca wiedziała, że te bezcenne skarby są na jej siostrzyczkę za duże, pragnęła zrobić jej taki prezent. Na szczęście. I na przyszłość. Jako dowód bezgranicznej miłości, chociaż w jej miłość Mafalda na pewno nie wątpiła.

Boso, ubrana w starą sukienkę matki, Tosca z właściwą sobie rzetelnością stawiała się z powrotem w pałacu. Przyprowadziła kozy, których Mafalda nie lubiła i się bała. Biegły za koniem, uwiązane jedna za drugą na postronku, który Tosca trzymała w dłoni. Rozumiała, że musi przez jakiś czas mieszkać w pałacu. Przynajmniej dopóki nie obmyśli lepszego rozwiązania. Zresztą w pałacu nie brakowało rzeczy, które można by złupić i oddać Mafaldzie. Był to powód wystarczający, by zatrzymać Toscę i odwieść ją od myśli o ucieczce. Po powrocie nakarmiła i napoiła konia, zamknęła stajnię. Na chwilę uwiązała kozy do kolana jednej z bogiń z ogrodowej fontanny, przetarła twarz garścią magnoliowych płatków - ten sekret urody przekazała jej kiedyś matka - i poszła w stronę tarasu, prosto na obiad.

Nie musiałam się obawiać, że moja obecność księdzu przeszkadza, bo najwyraźniej i tym razem opowiadał tę historię samemu sobie.

- To wszystko brzmi znajomo - mówię. - Jak u Lampedusy, tylko więcej w tym ciepła.

- Znajomo? Jasne, że znajomo. To zwykła ludzka historia, która rozgrywa się wciąż na nowo, jakby na dowód, że przeszłość nigdy nie umiera. Przywdziewa tylko coraz to nowe kostiumy. Zwłaszcza tutaj, na Sycylii. Tu zawsze był jakiś pałac i jakiś książę. A także jakiś ksiądz. I zawsze znalazła się dziewczynka. Postacie dramatu są nieśmiertelne. Za każdym razem wydaje im się, że odgrywają tę sztukę po raz pierwszy. I że nie wiedzą, jak skończy się przedstawienie. Tak, są cieniami postaci z powieści Lampedusy. To on zauważył, że wszyscy kochankowie grają role Romea i Julii, pomijając zazwyczaj tylko scenę z trucizną i grobowcem. Przypomniał nam o tym, że pragnienia są silniejsze od cierpień, jakie mogą przynieść. Ma pani rację, to Lampedusa. Choć nie tylko. Patrzy na mnie badawczo, potem mówi dalej.

- Czas oszczędził Toscę. Jej twarz prawie się nie zmieniła od dnia, kiedy wiozłem księcia do domu jej ojca, by ją stamtąd zabrać. Myślę, że teraz jest jeszcze piękniejsza i bardziej intrygująca, niż kiedy miała osiemnaście lat. I niż wtedy, gdy przyniosłem jej kurtkę jeździecką księcia.

Ostatnie zdanie dochodzi do mnie z daleka, jakby z głębi czasu. Nie mam pojęcia, co to za historia z tą kurtką.

- Kiedy to było? Kiedy ksiądz przyniósł jej kurtkę jeździecką?

Podnosi się ostrożnie, jakby sprawiało mu to ból. Potem przyciska ręce do stołu.

- To było tak dawno, i jakby nie w tym życiu. Może we śnie?

Mam wrażenie, że Christopher Plummer jest od niepamiętnych czasów zakochany w Tosce. Nie chciałam, żeby zaraz odszedł.

- *Lei è una creatura affascinante* - powiedziałam. - Ona jest fascynującą istotą. Czy ksiądz ją kochał? - Ostatnie słowa wypowiadałam szeptem i wbijam wzrok w ziemię.

- Czasem niespełniona miłość jest najlepszą z możliwych. W miłości człowiek musi niekiedy robić dobrą minę do złej gry, żeby zaznać trochę szczęścia. To właśnie niewiedza, gdzie jest nasza ukochana i co się z nią dzieje, doprowadza nas do szaleństwa. Byłem jej najlepszym przyjacielem, świadkiem i powiernikiem, odkąd skończyła dziesięć lat. Tak, na swój sposób ją kochałem. Powiem pani nawet, że będę ją kochał do końca moich dni.

Rozdział 6

Nie przypominam sobie, czy to się zdarzyło tego wieczoru, gdy don Cosimo opowiadał mi swoją historię, czy może wtedy, gdy przyjąłem od Toski zaproszenie do obejrzenia fresków w świetle zachodzącego słońca. Na pewno był to piątek i tego dnia podjęliśmy z Fernandem decyzję, że wyjedziemy najszybciej.

Kiedy weszłam do sali jadalnej o szóstej, Tosca siedziała tam przy wystyglým kominku z otwartą książką na kolanach.

Wymieniłyśmy powitania, po czym ona wróciła do lektury, a ja, nie narzucając jej rozmowy, zaczęłam oglądać freski. Z odchyloną głową chodziłam po sali, podziwiając niezwykle piękno malowideł w łagodnym świetle wieczoru. Byłam tam już od dobrych dwudziestu minut, podczas których żadna z nas nie odezwała się ani słowem. Chciałabym wypytać ją o twórcę tego dzieła i jego historię. O znaczenie alegorii. I dlaczego artysta pozostawił tyle białych prześwitów. Zachowałam jednak milczenie, nie wyczuwając w niej towarzyskiego nastroju. Rzuciwszy na freski pożegnalne spojrzenie, odwrócona do Toski plecami, usłyszałam naraz jakiś znajomy głos, który jak dotąd zawsze przemawiał do mnie po włosku, lecz teraz starannie wymówił angielskie zdanie.

- Pija pani dżin? Mam trochę dobrego dżinu. Jeśli ma pani ochotę na drinka. To chyba odpowiednia pora, prawda? Mam na myśli wasze anglosaskie obyczaje.

Byłam zaskoczona. Tosca siedziała za moimi plecami. I stamtąd dochodził głos. Ale przecież to nie mógł być jej głos. Odwróciłam się i upewniłam, że nie ma tam nikogo innego. Roześmiałam się.

- Czemu nam pani nie powiedziała, że zna angielski?

- Dlaczego miałabym pani mówić akurat o tym? - spytała z widocznym zadowoleniem. - Mówię też po francusku i czytam greckie teksty. Umiem tańczyć, śpiewać i grać na fortepianie. O tym też pani nie mówiłam. I nie czułam potrzeby rozpieszczania pani przez używanie jej języka. Bądź co bądź, jesteśmy na Sycylii. Po prostu miałam ochotę na dzin z tonikiem, i pomyślałam, że może i pani chętnie się napije. Zaproponowałam to po angielsku bez szczególnej intencji. Odruchowo.

Jej angielski jest nieskazitelny. Spróbowałam sobie wyobrazić ten sycylijski alt śpiewający arię matrony z Berkshire.

- Mieszkała pani kiedyś w Anglii?

- Nie. Nigdy w życiu nie opuściłam naszej wyspy.

W jej głosie nie ma ani dumy, ani żalu. Ciekawe przy tym, że powiedziała więcej, niż było trzeba, żeby udzielić odpowiedzi na moje pytania. I ciągnęła dalej.

- W dzieciństwie uczyłam się angielskiego i francuskiego. W kółko czytałam w oryginale dziewiętnastowiecznych angielskich pisarzy. Nie bardzo podobali mi się w przekładach.

- Nie jestem Angielką, tylko Amerykanką. A co do drinków, wolę wódkę.

- Mam ją także.

Wstała i męskim krokiem podeszła do wąskiej, stojącej w przeciwległym rogu szafki z szorstkiego drewna, pomalowanej na kolor bladozielony jak serce selera. Gdy otworzyła drzwiczki, ukazało się wyściełane granatowym aksamitem wnętrze, którego nie powstydziliby się żaden bar w pomniejszym hotelu na Manhattanie, w Wiedniu czy w Rzymie. Z małej, emaliowanej na czarno lodówki wyjęła butelkę alkoholu z rosyjską etykietką. Pewną ręką napełniła kryształowy kieliszek i podała.

- Nie mam lodu - oświadczyła głosem nienawykłym do usprawiedliwiania się.

- Piję bez lodu - odparłam odpowiednio lodowatym tonem.

Tego wieczoru wyrafinowana wyniosłość Toski wydała mi się już zanadto drwiąca. W tym eleganckim lekceważeniu kryło się coś prowokacyjnego. Obracała w dłoniach szklanekę, kiedy stanęłam obok niej. Spojrzała na mnie i wzniosła ją w górę.

- Pani zdrowie, *signora* - mówi, znowu prezentując swoje świetne maniery.

- *Alla vostra salute, signora* - odpowiadam. W moim głosie ubyla jedna kostka lodu.

Nadal stoimy, mierząc się wzrokiem. Powstrzymuję śmiech, gdy wyobrażam sobie, jak mogłoby to wyglądać z boku. Chce mi się śmiać i z siebie, i z niej. Z dwóch kobiet stojących w *salone grande* wspinałego pałacu pośród jałowych gór w sercu wyspy, na której przeszłość jest terażniejszością. Ubrana w obcisłą suknię z czarnego jedwabiu, na szyi ma ten co zawsze szmaragd na łańcuszku. W długich, śniadych palcach trzyma szklaneczkę dzinu Baccarat i mam wrażenie, że jej także chce się śmiać. Ze mnie, z moich

dżinsów, z mojej koszulki niezmiętej od trzech dni, z szopy włosów na głowie, bo teraz znowu łam nosić je rozpuszczone. Wraca na fotel i daje mi znak, żebym usiadła naprzeciwko.

- Lubię mówić po angielsku. Od lat nie miałam do tego okazji. Obawiałam się już, że wszystko, co mi zostało w pamięci, to kilka zwrotów z Dickensa albo Emily Brontë, które jeszcze dziś mogłabym powtórzyć jak papuga. Nie wiem, czy nie zabraknie mi słów w rozmowie z panią, ale z chęcią spróbuję.

- Niestety, jutro albo pojutrze będziemy musieli wyjechać...

Przerwała mi szybko, zdecydowanie, i widać było, że nie chce tego nawet słuchać.

- Jakże to. Dopiero zaczęliśmy znajomość, a państwo już odjeżdżacie.

Dając kolejny dowód upodobania do anglosaskich lektur, choć może chodziło jej tylko o przedłużenie naszego spotkania, powiedziała:

- W górnej szufladzie tej konsoli leży egzemplarz „New York Times Magazine”. Chciałaby go pani zobaczyć?

- Z chęcią. Pożyczę go sobie potem, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - odparłam i podeszłam do wysokiej francuskiej komody z okresu cesarstwa, którą wskazała mi Tosca. - O, jest. Bardzo się cieszę.

- Dopiero po chwili zauważyłam że druk jest wyblakły, a papier zetlały. Spojrzałam na datę. Styczeń 1969.

- To muzealny eksponat, *signora*. - Roześmiałam się.

- Ależ skąd - przeszła na włoski. - Raptem dwadzieścia pięć lat. Czy według pani coś się zmieniło przez ten czas? Ktoś zostawił tu kiedyś to pismo, i muszę przyznać, że jest bardzo przyzwoicie redagowane. Wystarczająco trafnie opisuje rzeczywistość, przedstawiając zdarzenia z tamtego czasu, które wszak niewiele się różnią od tych bieżących. Proszę się zastanowić. Nawet jeśli nie są już grane ówczesne przedstawienia i filmy, to nadal gdzieś trwa wojna, nieprawdaż? Wciąż panuje chciwość, nienawiść, przemoc i strach. Szerzy się ubóstwo. A także rewolucje, arogancja i kłamstwo. Deprawacja i cierpienie. Co mi się szczególnie spodobało w tej gazecie, to jej wnikliwe spojrzenie na frustrację i rozpacz, jakie niesie nędza. To pismo głosi Dobrą Nowinę. Zawsze kiedy próbuję zrozumieć to, co się dzieje z dala od naszych gór, zaglądam do mojego egzemplarza „New York Times Magazine”. Czytuję go co dwa albo trzy lata, więc mam pewność, że niczego nie pominęłam. Trzymam go w tej samej komodzie, w której stoi telewizor Sony. Czarno-biały, z własną anteną i dziewięciocalowym ekranem, na którym, gdy tęsknota za innym światem chwyta mnie za serce, mogę obejrzeć nocne wydanie wiadomości z Rzymu i Mediolanu, a czasem jakiś stary film. W przeciwieństwie do filmów, wiadomości budzą we mnie złość i poczucie pustki. Zawsze wtedy powtarzam sobie, że wystarczy raz w życiu obejrzeć wieczorne wiadomości, żeby wiedzieć, jak zły jest ten świat. Jak bardzo zepsuty. Nie uchylam się od walki ze złem. Nie chowam głowy w piasek. Zło szuka drogi do nas, a ja robię, co w mojej mocy, żeby nie trafiło na właściwą.

Nadal stoję z tygodnikiem w dłoni.

- Cenię pani postawę, *signora*.

Odwracam się do „szafy medialnej”, otwieram archiwalną szufladę i ostrożnie odkładam gazetę. Wracam na fotel naprzeciwko jej fotela.

Rozumiem, że wyraża się z ironią, ale nietrudno wyczuć intuicyjnie, do czego zmierza. Przeszłość jest terażniejszością. Kondycja ludzka się nie zmienia. Wyczuwam tu wpływ opinii don Cosima. Chyba jednak lepiej było słuchać go w oryginale. Milczymy. Patrzę na nią i zastanawiam się, dlaczego opieram się jej urokowi. Czy wątpię w jej szczerłość? W jej rozum? Jest w niej coś, co mnie odpycha. Lecz jednocześnie słucham jak zaczarowana. Tyle w niej smutku, nagromadzonego tuż pod samą powierzchnią. Jak wielu z nas, jest pewnie z niego dumna. A jej wyniosłość i ironia to tylko mur obronny.

Siedzimy w ciszy aż do chwili, gdy wchodzi trzy wdowy, żeby nakryć do stołów przed kolacją. Tosca, rozproszona, może nawet spłoszona ich obecnością, zaczyna obracać szklankę w dłoniach, poprawia na głowie doskonałą koronę z warkoczy. Uśmiecha się niespokojnie. Wstaję, odstawiam niedopitego drinka na stolik i dziękuję za spotkanie. Tłumaczę, że przed kolacją mam jeszcze coś do zrobienia.

- Przywiozła pani ze sobą jakieś inne ubrania? Mam na myśli coś bardziej eleganckiego - mówi znów po angielsku, jakby mnie nie słyszała.

- Mam ładną sukienkę z szarego tiulu - odpowiadam, zastanawiając się, czemu interesuje ją moja garderoba.

„Ładny szary tiul” chyba jednak nie oznaczał dla niej elegancji, bo powiedziała:

- Może znajdziemy coś, co Agata mogłaby dla pani przysposobić. Tak, powinno się coś takiego znaleźć. Bywają u nas czasem na kolacji goście z zewnątrz, wtedy wszyscy się ładnie ubieramy.

- Wspominałam już, że jutro zamierzamy wyjechać... Kiedy nie chce słyszeć, nie słyszy.

- Nieczęsto pojawia się tu ktoś nowy. *Agata, vieni qua, tesoro.*

Agata przybiega truchcikiem, zatrzymuje się tylko na chwilę, żeby przyjąć polecenie przejrzania zawartości kufrów w starej garderobie. Ma mnie tam zabrać ze sobą.

Kufry? Garderoba? Podążam za Agatą przez trzy piętra szerokich kamiennych schodów. Na górze przechodzimy przez zalatujący pleśnią korytarz i docieramy do pokoju zastawionego szafami, bielizniarkami i kuframi, dodatkowo wyposażonego w pułapki na myszy. Niektóre zatrzaśnięte, inne nadal kuszą przynętą. Zapach pleśni stłumiony przez duszący odór martwych gryzoni. Kurz jak za kulisami upadłego teatru. Agata pochyla się nad jednym z kufrów i grzebie w jego zawartości. Widzę jedynie jej szeroką pupę obleczoną w czarną jedwabną suknię i słyszę, jak mamrocze litanie do Matki Boskiej. Po chwili wstaje, trzymając przed sobą suknię w kolorach brązu i srebra.

- *Quella giusta.* Ta będzie dobra - oznajmia. - *Spogliati.* Rozbierz się.

Parę minut później mam na sobie uroczą, bez wątpienia przedwojenną suknię w kolorze mocnej herbaty, a Agata obraca mnie wkoło. Gorset jest trochę za ciasny, a spódnica przydługa, ale ona zaraz zaczyna bez litości upinać ją szpilkami. Bezceremonialnie zbiera brzegi, układa fałdy i każe przytrzymywać dokładnie w taki sposób, w jaki ustawia mi rękę. Po czym przygląda się, mrużąc oczy.

- *Non è male* - stwierdza. - *Potrebbe essere molto carino.* Nieźle. Może być naprawdę ładnie.

Długo pozostawałam w bezruchu, i gdy nagle usłyszałam jej głos, aż podskoczyłam. W miejscu, gdzie miałam przytrzymywać upiętą szpilkami brązową tkaninę, widniały dwie wystrzępione dziury. Agata załamuje ręce i wzywa z kolei świętą Rozalię.

- *Toglilo adesso è dammelo*. Zdejmij to i oddaj mi - brzmi następne polecenie.

Zapinając jeszcze spodnie i przyglądając włosy, chcę dogonić Agatę, która niesie pod pachą rozdartą sukienkę, ale zniknęła mi z oczu w którymś z korytarzy. Gdy wracam do jadalni, Toski już nie ma wśród wdów krzątających się między stołami.

Później, kiedy ubieramy się do kolacji, opowiadam Fernandowi o swojej wizycie poświęconej oglądaniu fresków i powtarzam mu opinię Toski na temat aktualnych wydarzeń na świecie. Wspominam też, że rozmawialiśmy po angielsku.

- Co sądzisz o Tosce po tych paru dniach, które tu spędziliśmy? Ile to już, chyba prawie dwa tygodnie, prawda? Dlaczego właściwie musimy jutro wyjechać? - pytam.

Zaplatam rzemyki nowych czarnych sandałów dookoła kostki. Wyjmuję też tiulową sukienkę jak dla baletnicy, która od naszego wyjazdu z Wenecji leżała zwinięta w torbie z ubraniami. I szal. Wszystko to ze względu na zainteresowanie Toski moją garderobą.

- Przede wszystkim nie zamierzam upierać się przy wyjeździe. Przed chwilą, kiedy poszedłem zapłacić rachunek za nasz pobyt, Tosca przypomniała mi, że *ferragosto* nie jest najlepszą porą na podróż. Niewątpliwie ma rację. Jakikolwiek kierunek wybierzemy, utkniemy w korkach. Mówi, że za parę dni, pewnie już w przyszłym tygodniu, drogi będą puste. Twierdzi, że pogoda także ma się jutro popsuć.

W jednym sandału kuśtykam do łazienki, gdzie Fernando się goli. Przysiadam na krawędzi wanny.

- Tak łatwo dałeś się podpuścić, żeby zostać tu jeszcze przez tydzień? Wystarczył argument o korkach na drogach i prognoza pogody? Nie wiedziałam, że jesteś tak podatny na perswazję.

- Nic podobnego. Nawet nie próbowała mnie do niczego przekonywać. Podała mi tylko kilka przydatnych informacji, a decyzję zmieniłem sam. Czemu się tak odstawiłaś na dzisiejszy wieczór?

- Przez Toscę. Pytała, czy mam ze sobą jakieś eleganckie ubrania. Postanowiłam zademonstrować jej co nieco z mojej szafy.

„Zbyt łatwo dałaś się podpuścić”, mówi mi jego uśmiech.

Przez następne dwa dni nie spotykałam Toski, jeśli nie liczyć jej rutynowych obchodów *villa* i krótkich spotkań w czasie obiadu. Zawsze wtedy wspominała o sukni i gościach, którzy mogliby się kiedyś pojawić na kolacji. Lecz obie te sprawy pozostawiały mnie obojętną.

Któregoś wieczoru, kiedy weszliśmy do jadalni, podbiegła Agata, żeby od stołu, przy którym zawsze siedzieliśmy, zaprowadzić nas do Toski i don Cosima. Ledwie usiedliśmy, Tosca zaczęła mówić do mnie po angielsku.

- Jak minął dzień? Od jutra spodziewamy się ochłodzenia.

Próbuje skomplikowanych konstrukcji językowych, potem pyta mnie, czy są gramatycznie poprawne. Don Cosimo zajął uwagę Fernanda, więc znalazłam się na łasce Toski.

- Chcę pani opowiedzieć pewną historię, dziecinko - mówi. - Oczywiście nie w tej chwili. Ale wkrótce. Wie pani, to długa opowieść. Nie zdołałabym jej dokończyć za jednym razem. Zajmie nam pewnie kilka dni. Może tydzień. Nie wiem dokładnie. Ale myślę, że będzie dla pani ciekawa. Jeszcze nigdy nikomu nie próbowałam opowiedzieć jej w całości, od początku do końca. Ale teraz spróbuję. I zamierzam zrobić to po angielsku. Bo wydaje mi się, że jeśli opowiem ją w obcym języku, to będzie tak, jakby w rzeczywistości pozostała nieopowiedziana. Myśli pani, że to ma sens? Wie dobrze, że tak myślę.

- Słyszałam, że don Cosimo zaczął opowiadać ją pani po kawałku wieczorami w ogrodzie, więc... - uśmiecha się i rozkłada ręce w nieokreślonym geście.

- Może to moja fanaberia, żeby mówić po angielsku, kiedy tylko nadarzy się okazja. Ale nie o to chodzi. W każdym razie, nie tylko o to. To chyba dlatego, że pani pochodzi z daleka. Tak, chciałabym ją opowiedzieć komuś, kto się tu nie urodził. Więc będzie to pani, a pani zabierze ją ze sobą, wyjeżdżając stąd. Wiem, że prawdopodobnie nigdy pani do nas nie wróci, a ponieważ najchętniej podróżuję konno, jeszcze mniejsza jest szansa, że spotkamy się kiedyś w pani stronach...

Próbuje zająć czymś ręce. Zwija płócienną serwetkę w ciasny rulon, rozwija i rozprostowuje na stole. Powtarza tę czynność kilka razy. Potem składa rogi do środka na kształt koperty. Albo kieszeni. Czyżby zamierzała schować tam swoją opowieść? Patrzę na nią i już rozumiem, dlaczego odwiodła Fernanda od wyjazdu parę dni temu. Tabuny podróżnych i korki na drogach wzięły się stąd tylko, że nie była jeszcze gotowa nas od siebie wypuścić. Przypominam sobie słowa Fernanda niedługo po naszym przyjeździe. „Mam mgliste wrażenie, że nikt z mieszkańców nie jest tym, kim był, zanim tu osiadł. To miejsce jest jak wyspa z *Pinokia*, na której wszyscy niedobrzy chłopcy przemieniali się w osły”.

Czemu tak jej zależy na tym, żebyśmy jeszcze zostali? Czy naprawdę chodzi tylko o okazję do opowiedzenia swojej historii? A jeśli tak, to dlaczego miałyby opowiadać ją akurat mnie? Owszem, słyszałam jej wyjaśnienie: nie pochodzę stąd. Nigdy mnie już nie spotka. Historia zostanie opowiedziana, lecz nadal nie będzie nikogo, kto ją słyszał. Ale... może jej życzenie nie okaże się trwalsze od zleżałej tafty w kolorze mocnej herbaty? Trudno przewidzieć.

Następnego popołudnia przy stole w cieniu magnolii zamiast don Cosima czekała na mnie Tosca.

CZEŚĆ II

Opowieść Toski

Rozdział 1

- *Se stai aspettando un racconto di una Cenerentola Siciliana...* Jeśli spodziewa się pani historii sycylijskiego Kopciuszka...

- Nie mam żadnych sprecyzowanych oczekiwań - odpowiedziałam. Nie usiadłam i nawet nie byłam pewna, czy zechcę z nią tu zostać. - Przeważnie o tej porze spotykałam się tu z don Cosimem. Czytaliśmy, rozmawialiśmy.

Nie wstając z białego, żelaznego krzesła z wysokim oparciem, wyściełanego czerwonym aksamitem, odsuwa drugie, nie tak majestatyczne, i gestem nakazuje mi usiąść. Siadam. Przyjmuję warunki. Do wąskiej, wysokiej szklanki nalewa mętnym strumieniem orszadę z małego dzbanka. Z innego dodaje wody, odkręca flakonik z dziobkiem i do białego napoju wypuszcza kilka kropli. Ekstrakt z kwiatu pomarańczy. Miesza długą, srebrną łyżką, którą po chwili odkłada na stół. Jej namaszczone ruchy przywodzą na myśl najwyższą kapłankę jakiegoś bóstwa, odprawiającą rytuał. Podsuwa mi szklankę.

- Elikvir Sycylii. Słodki, ale gorzki - mówi. Lub raczej ostrzega.

Przesuwam palcem po krawędzi szklanki. Uśmiecham się do Toski.

- Jak pani. To pani jest eliksirem Sycylii. Gorzka i słodka.

Zaczyna się śmiać i mam wrażenie, że oblewa się rumieńcem. Choć może to tylko promień światła przebił się przez liście.

- Wiedziałam, że pani jest właściwą osobą. Cieszę się, że pani tu jest. Że pani się zjawiała właśnie u nas.

Pociągam łyk napoju. Smakuje mi, więc piję dalej, a napięcie w moim gardle powoli znika. To dziwne napięcie, którego wcześniej nie znałam. Doświadczylam go dopiero przy niej. To samo, do którego zdążyłam się już przyzwyczaić w ciągu ostatnich paru tygodni? Odwracam się do Toski, jakbym się spodziewała, że zna odpowiedź na moje pytanie, ale ona jest zajęta przyrządzaniem napoju. Miesza go, po czym jednym haustem wypija prawie pół szklanki. Wstaje, jakby zamierzała odejść, ale tylko zbliża się do stolika nieopodal. Jest zardzewiały, stoją na nim w nieładzie doniczki z ziołami. To z jednej, to z drugiej rośliny urywa uschnięte listki. Trzyma je w jednej ręce, a drugą dalej przebiera.

- To się nigdy nie udaje. - Nie jestem pewna, czy mówi do siebie, czy do mnie. - Mam na myśli oswojenie dziko rosnących ziół.

Z pewnością nie chodzi jej tylko o majeranek z doniczki. Wraca na swoje miejsce i zapada w wyblakłą czerwoną poduszkę, miękko jak w pył. I jakby sama także była pyłem, myślę. Kruszy zerwane liście, daje mi do powąchania na wyciągniętej dłoni. Wącham, ale nie czuję nic oprócz zapachu jej perfum.

Zaczyna swoją opowieść.

- Miałam dwa różne dzieciństwa. Pierwsze przeżyłam z rodziną, z matką, ojcem i siostrą. Matka, odkąd pamiętam, nazywała moją siostrę *la-piccola-Mafalda*, „Maleńka Mafalda” wymawiała to jak jedno słowo - a ja nazywałam ją tak samo. Kiedy matka umarła, razem z siostrą troszczyliśmy się o ojca najlepiej, jak tylko mogliśmy w naszym wieku. Miałyśmy pięć i osiem lat. A jedyne, o co troszczył się nasz ojciec - to konie. Dbając o konie, dbał o siebie. Na szczęście okazałam się dobrą gospodynią i Maleńka Mafalda także, więc razem jakoś sobie radziłyśmy. Wystarczająco dobrze. Jeśli w naszej wiosce ktoś jadał przynajmniej raz dziennie, sypiał w mniej niż sześć osób w jednym łóżku i pchły nie gryzły go bez przerwy w rozdrapane rany po wcześniejszych ukąszeniach, nie miał prawa narzekać. Dopiero z perspektywy tego drugiego dzieciństwa zrozumiałam, jakimi byliśmy nędzarzami. Ale nie dzięki temu, że zamieszkałam w ogromnym pokoju i miałam miękkie łóżko z brokatową kapą. Dlatego jedynie, że w pałacu nie bywałam głodna.

Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo doskwierał nam głód. Aż do chwili, gdy przy książęcym stole jadłam i jadłam, aż o mało nie pękłam. O, nie było to zaraz pierwszego dnia po przyjeździe, chyba dopiero w następnym tygodniu. Ale o tym później.

To z pewnością prawda, że tego ranka, kiedy książę po mnie przyjechał, byłam dziewięcioletnią dzikuską. Wiem, że don Cosimo już pani o tym wspominał. Gniewem i opryskliwością pokrywałam strach. Strach przed nową odmianą diabła. Ojciec także był w moich oczach diabłem, ale jego przynajmniej dobrze znałam. Nie wiedziałam, kim się okaże ten jasnowłosy diabeł, który z uśmiechem na twarzy przemawiał do mnie tak miękko i łagodnie. W pałacu mieszkały także jego córeczki, małe diablątka. I diabllica, małżonka księcia. Księżna Simona. Ani życzliwa, ani okrutna, ani piękna, ani brzydka. Jej roztargniona obecność obchodziła mnie o wiele mniej niż małe księżniczki, Yolande i Charlotte. One także były niepodobne do niczego, co kiedykolwiek znałam. Nawet ich imiona w moich uszach brzmiały obco. Dziewczynki nosiły białe pończochy haftowane w motylki i białe skórzane buciki sznurowane atłasowymi wstążkami, i chociaż jedna miała siedem, druga osiem lat, podczas gdy ja niedawno skończyłam dziewięć, wyglądały na starsze ode mnie, kiedy nie wiedzieć w jakim celu biegały po ogromnym pałacu, zawsze dygając przed wysokim jasnowłosym diabłem, który był ich ojcem. Mogło się wydawać, że cała ta rodzina przybyła z końca świata. Trudno było uwierzyć, że żyła od zawsze za paroma wzgórzami, w miejscu, które łączyło z moim domem kilka kilometrów wąskiej szutrowej drogi. Tak, właśnie w ten sposób odczuwałam ich obcość. Jakby ściągnęli tu z końca świata. Geograficznie byliśmy sąsiadami w takim sensie, w jakim są nimi wszyscy Sycylijczycy. Ale najskromniejszy pokój w ich pałacu był większy od naszego wiejskiego kościółka, a cały nasz dom mógłby utonąć w czeluściach ich spiżarni. W pałacu zawsze było mnóstwo ludzi. Nie tylko matka, ojciec i dzieci, lecz także kuzyni, ciotki i guwernantka, której mowa brzmiała jeszcze dziwniej od mowy pozostałych domowników. Był też nauczyciel muzyki, nauczyciel łaciny i nauczyciel sztuki. I ksiądz. I wiele innych osób, których już nawet nie pamiętam. I wszędzie pełno służby. Goście przyjeżdżali i odjeżdżali, a wszystko to przypominało mi teatrzyk lalkowy, który widziałam kiedyś na jar-

marku w Ennie. Nieustające pojawianie się i znikanie przepięknie ubranych postaci, w odpowiedniej chwili recytujących w sposób doskonały kilka wersów swojej roli. Patrzyłam na to z zapartym tchem. Nie odrywałam od nich wzroku, a dzikie, zielonookie dziecko bez matki, wychowane przy stajniach, powoli się we mnie uspokajało. I uspokoiło się na tyle, że pojawiła się w nim nawet ciekawość. A potem uspokoiło się jeszcze bardziej i mogłam już włączyć się do tego widowiska.

Przy akompaniamencie dzwonów i modlitw o pełnych godzinach, służba karnie wykonywała swoją pracę. Księżniczkami i mną zajmowała się trzynastoletnia Agata. Budziła nas, kąpała, czesała i ubierała. Nasza Agata. Tak, właśnie ona. Ta sama. Usłyszysz pani o niej jeszcze niejedno.

Kwadrans przed ósmą wszyscy zbierali się na modlitwy w kaplicy, o ósmej jedli razem śniadanie w którejś z pomniejszych jadalni. Spacerowałyśmy po ogrodzie do dziewiątej. Wtedy w pokoju do nauki zaczynały się lekcje. O pierwszej domownicy gromadzili się w innej jadalni, gdzie podawano obiad - orszak waz, parada półmisków i tac obnoszonych tam i z powrotem przez służących, pośród nieustannego brzęku kryształowych kieliszków, którymi trącano się, powtarzając zawsze ten sam toast - *salute, salute*. Żeby nie kusić losu, który ponoć nie sprzyja beczynnym, nikt nie spoczął, dopóki nie był pewny, że trącił się kieliszkiem z każdym ze stołowników przynajmniej raz. A jeszcze lepiej dwa razy. Tylko jasnowłosy diabeł tkwił nieruchomo na swoim miejscu, czekając aż wszyscy podejną do niego. Nawet księżna Simona chętnie wstawiała z kieliszkiem w dłoni, życząc każdemu zdrowia, a niektórych klepiąc po policzku lub po ramieniu niemal z czułością. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek w innych okolicznościach dotykała mojej twarzy. Pamiętam jej szarą suknię, z błyszczącymi cekinami przy dekolcie, pamiętam loki na jej przyciętych na pazia włosach i rumieńce na policzkach. I że o tej porze wydawała się niemal piękna.

Potem w rozkładzie dnia miałyśmy przymusowe *riposo* aż do czwartej trzydzieści, kiedy to podawano herbatę, latem w ogrodzie, zimą w sali lekcyjnej. Chociaż wieczorne lekcje zaczynały się o piątej, czasem pozwalano nam zamknąć książki i haftować przy kominku aż do siódmej, gdy z odsieczą przychodziła Agata, żeby pomóc nam ubrać się do kolacji. *Aperitivi* podawano w tej samej sali, w której jedliśmy śniadanie, a później wszyscy, zazwyczaj ponad dwadzieścia osób, maszerowaliśmy długimi, ciemnymi korytarzami do wielkiej jadalni.

W porównaniu z niepohamowanym obżarstwem, praktykowanym podczas obiadu, kolacja wyglądała niemal ascetycznie. Rosół, ser, kandyzowane owoce, ciasteczka. I wino. Stołownicy byli na ogół nadszani. Smutki całego dnia, przyniesione do stołu nakrytego adamaszkowym obrusem, przelewały się w nich jak skwaśniałe mleko. Księżna kłóciła się z guwernantką, a guwernantka z nauczycielem sztuki. Bez wątplenia rozgrywały się między nimi dramaty, które uchodziły mojej uwagi. Ale każdego wieczoru niezmiennie odgrywali przydzielone im role. Siedziałam przy stole w białej sukience, z warkoczami upiętymi na skroniach tak ciasno, że aż bolała mnie głowa, i myślałam o tym, jak bardzo podobnie działało się w porze kolacji w pałacu i w naszym domu. Bo w domu zawsze się niepokoiłam, czy ojciec usiądzie do stołu rozgniewany i czy to na mnie skrupi się jego gniew. Co gorsza, próbowałam w napięciu odgadnąć, co należy zrobić, żeby go udobruchać. Ale w tym szacownym gronie wpędzano się w poczucie winy po cichu, w

białych rękawiczkach. Jak bardzo pragnęłam zostać znowu sama z Maleńką Mafaldą na wąskiej pryczy, która służyła nam za łóżko... Drogo płacić musiałam za przywilej noszenia białej sukienki. Za tę wspólną kolację.

Dano mi pokój w skrzydle pałacu przeznaczonym dla dzieci. Właściwie to dwa połączone pokoje. Ściany, meble i obicia były białe i bladożółte. Nawet na podłogach marmurowe płyty były białe i żółte, i układały się we wzór, od którego kręciło mi się w głowie. W łazience wanna była tak duża, że można było w niej pływać, ale przecież nie miałam pojęcia o pływaniu. Zresztą o kąpielach także nie. Nigdy przedtem nie kąpałam się w wannie. Zdarzało się tylko, że mama myła mnie i Maleńką Mafaldę w balii w ogrodzie, kiedy woda z rzeki nie była jeszcze u nas tak brudna. Strasznie tęskniłam za Maleńką Mafaldą.

Za moim łóżkiem była alkowa, w której sypiała Agata. Opowiadałam jej o swojej siostrze. Czasem mi to wystarczało, ale zazwyczaj ulgę mogła przynieść tylko wizyta w domu rodzinnym. Don Cosimo z pewnością wspominał pani o moich ucieczkach. To jego ulubione opowieści na mój temat. Ucieczki i kradzieże. Oczywiście jedno miało związek z drugim. Jedno i drugie brało się z głodu. Myślę, że wszystkie wykroczenia biorą się z głodu. Rozumianego najszerzej.

Kiedy siedziałam z domownikami przy stole, potrafiłam myśleć tylko o siostrze. Co będzie jadła na obiad? Czy w ogóle ma co jeść? Czy ojciec pamiętał, żeby zostawić jej pieniądze na zakupy? Niepokój o nią był dla mnie torturą. Wiele razy wyczekiwałam, aż zaśnie Agata i cała służba, żeby wyslizgnąć się z pokoju. Schodziłam cicho po schodach, przemykałam przez komnaty i korytarze, które w ciemności ciągnęły się w nieskończoność, mijałam kolejne drzwi. Nareszcie wolna. Wychodziłam na zewnątrz i zatrzymywałam się na chwilę w chłodnym, wilgotnym ogrodzie. Otwierałam skrzypiącą bramę, nie oglądałam się za siebie. Biegłam. Jak najszybciej. Na plecach miałam worek albo torbę, w której zawsze niosłam coś, co mogło się przydać mojej siostrze. Byłam szczęśliwa, kiedy biegłam, kiedy pot zalewał mi oczy, kiedy worek obijał się o nogi. Zwalniałam dopiero przy białej szutrowej drodze. Wędrowałam wśród wzgórz prosto do domu.

Zjawiałam się po cichu, nie robiąc z tego wielkiej sprawy, i podejmowałam domowe zajęcia w tym samym miejscu, w którym je przerwałam poprzednim razem. Przeglądałam szafy i kosze, sprawdzałam, co można ugotować na obiad, i brałam się do roboty. Maleńka Mafalda niemal tańczyła wokół mnie, ścisnęła mnie i obejmowała ze wszystkich swoich dziecięcych sił, aż zaczynałam płakać ze wzruszenia. Ona płakała razem ze mną, a potem razem śmiałyśmy się i płakałyśmy na przemian, póki nie wrócił ojciec. Wrzucił mnie do szoferki swojej ciężarówki i nie zważając na protesty Mafaldy, która dobijała się do kabiny, wrzeszcząc i błagając, żeby pozwolił mi zostać w domu, wiozł mnie jak wariat przez wzgórza. Z powrotem po białej drodze. Z powrotem do pałacu.

Znając ojca, wiedziałam, że jak zwykle ktoś będzie musiał za to zapłacić, i że kara najprawdopodobniej spadnie na moją siostrę. Potem się dowiedziałam, że wtedy, po powrocie z pałacu, zjadał wszystko, co znalazł w domu do jedzenia, nie zostawiając dla niej ani okruszka. Ale chyba się nie domyślał, że zaraz po moim przyjeździe razem z Mafaldą chowałyśmy przed nim żywność, którą wykradałam z pałacu. A

może się domyślał i dlatego zjadał chleb i kapustę, nie zostawiając dla niej nic? Czyżby poznawał po dechu, że Mafalda nie śpi, tylko żuje coś na swojej wąskiej pryczy?

Kiedy już odstawił mnie do pałacu, rozpaczając, jak tylko dziecko potrafi rozpaczać, włożyłam do łóżka i chowałam się pod kapą. Cała drżałam z tęsknoty i wściekłości. W końcu docierał do mnie głos Agaty. Czułam miękki dotyk chłodnych rąk na swoich mokrych, potarganych włosach. Rozbierała mnie i napełniała wielką wannę wodą, jak zawsze za gorącą.

Szorowała mnie do czysta i do czerwoności i z umytą głową układała spać.

Nazajutrz nie czułam nawet cienia skruchy. Prawdę mówiąc, bardzo lubiłam kraść jedzenie dla mojej siostry. Nawet w połowie tak by mi się to nie podobało, gdybym kradła dla siebie, ale kradzieże dla Mafaldy miały w sobie coś porywającego. Wyobrażałam sobie blask jej wielkich, smutnych oczu i zaraz rozglądałam się, co by tu zwinąć. Brałam coraz więcej. Nie, nie musiałam się zbytnio natrudzić, żeby zgromadzić te łupy. Agata szybko się zorientowała, co robię i w jakim celu. Pomagała mi w tym do spółki z jeszcze jedną służącą. W drewnianej skrzynce stojącej w spiżarni zbierały ser, suszone mięso i owoce. Do naszej konspiracji weszło nawet dwóch kucharzy. Gdy mieli upiec placek, biszkopt czy tort, na boku powstawała jego miniatura przeznaczona dla Mafaldy, i zawinięta w czyste białe płótno trafiała do drewnianej skrzynki. Zaczęłam chować po kawałku chleba z każdego posiłku, a te zapasy uzupełniałam, myszkując po szafach kuchennych, skąd brałam a to garść ryżu do chusteczki, a to dwa ziemniaki. Wkrótce, po tygodniu czy dwóch, łup ważył więcej, niż mogłam udźwignąć. Wspólnicy mojego procederu zapewniali mi poczucie bezpieczeństwa.

Kucharze albo Agata uprzedzali stajennego, na kiedy ma szykować dla mnie konia. Drobnej budowy, jak wszyscy dżokeje, z ogorzałą i pooraną zmarszczkami twarzą, stajenny czekał w cieniu po zachodniej stronie stodoły, trzymając wodze którejś z końskich piękności. Koń był już osiodłany i gotowy do drogi. Od tamtego dnia na samym początku mojego pałacowego życia, gdy po raz pierwszy wyprowadziłam ze stajni starą klacz i na oklep pojechałam do domu ojca, czułam się trochę jak bohaterka powieści awanturniczej.

Uśmiechnięty stajenny pomagał mi przytroczyć pakunek do siodła i sadzał mnie na grzbiecie. Wyglądałam zapewne jak księżniczka jakiegoś walecznego plemienia barbarzyńców. Klepnąwszy konia po zadzie, życzył mi szczęśliwej drogi. Pędziłam przed siebie. Przez sady cytrynowe, prosto do białej drogi.

Tak wyglądał mój plan ucieczki od jasnowłosego diabła. Od tych jego kandyzowanych fig, od pobożnych śpiewów, od jego żony w sukniach wyszywanych cekinami, od jego córek i od motylków haftowanych na ich pończochach. Plan ucieczki z pałacu i powrotu do mojej Maleńkiej Mafaldy, do dawnego życia, był już gotowy. Skoro nie mogłam uciec z pałacu na dobre, to cotygodniowe konne wyprawy z darami dla Mafaldy musiały mi wystarczyć. Moja dziewięcioletnia dusza nie zaznałaby spokoju, póki istniał cień obawy, że Mafalda cierpi głód. Zdumiewające, że jej bezpieczeństwo nie budziło we mnie aż takiej troski. Ufałam, że serce ojca nie pozwoli mu skrzywdzić Mafaldy, jakbym już nie pamiętała, że było ono

zimne i twarde jak kamień. Po latach nadal nie rozumiem, dlaczego w to wierzyłam. Lecz jednak
łam.

Wkrótce zaczęłam do zbieranej żywności dorzucać pojedyncze sztuki odzieży. Już nie tak ryzykownie jak wtedy, kiedy podczas pierwszej wizyty zdjęłam z siebie fartuszek i białą sukienkę, po czym wróciłam do pałacu w domowej sukience naszej mamy, niebieskiej w różyczki. Takich rzeczy już więcej nie robiłam. Zaczęłam działać subtelniej, od czasu do czasu wyjmowałam parę pończoch lub jakąś koszulę z kosza, w którym Agata trzymała rzeczy do cerowania. Długie majtki. Jedwabny podkoszulek z różową wstążką u szyi. Czasem coś z mojej własnej szafy, czasem z kosza na brudne rzeczy, stojącego pod drzwiami do pokojów Charlotte i Yolande.

Sweterki, chustki, wstążki. Kradłam z salonów, z pokoju lekcyjnego, nawet z kaplicy. Nigdy nie płądrowałam prywatnych pokoi, zabierałam tylko rzeczy pozostawione, zapomniane, zawieruszone we wspólnych pomieszczeniach. Te znaleziska mnie zachwycaly. Z Maleńką Mafaldą chowałyśmy przed ojcem skarby z jedwabiu i wełny w komórce na miotły, szmaty i balie. Jego noga nigdy tam nie powstała.

Zanim Mafalda skończyła siedem lat, gdy ja sama miałam niewiele ponad dziesięć, skompletowałyśmy dla niej przyzwoity posag. Tak przynajmniej przedstawiało się to naszym zachwyconym oczom. Żywności, ubrań, koców, książek, świecidełek miała bez liku, niby jakaś księżniczka zawieruszona przypadkiem w wiejskiej chacie. I wówczas to odezwała się we mnie kropla arabskiej krwi: zaczęłam namawiać Maleńką Mafaldę, żeby nadwyżki sprzedawała na bazarach. Stosując te same środki ostrożności, jakie i ja stosowałam, kiedy dla niej kradłam, powinna za każdym razem brać ze sobą tylko jedną rzecz. I wyruszać na targ niezbyt często. Lecz kobiety wkrótce zaczęły jej poszukiwać, dopytując się na przykład o nocną koszulę do sprzedania albo o jedwabny szal z frędzlami. Gdyby dowiedział się o tym ojciec, gdyby wyszło na jaw, że jego córka handluje na bazarach dobrami wykradzionymi z pałacu i zaszywa zarobione liry pod rąbkiem halki, trudno sobie wyobrazić, jak okrutną i bezlitosną wymierzyłby jej karę. Ale my się nie obawiałyśmy, że ktoś doniesie ojcu. To wspaniała cecha Sycylijczyków, jedna z wielu. Milczenie. Ojciec nigdy nie znalazł zapasów żywności i odzieży ani tajemnych zaszewek w bieliźnie. A jeśli nawet znalazł, to nie powiedział ani słowa Maleńkiej Mafaldzie i nie naruszył jej stanu posiadania.

Swoje wizyty w domu rodzinnym planowałam tak, żeby nie spotykać się z ojcem. Wydaje mi się, że wykazywałam w tym wielką przebiegłość. Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Trzeźwo myśląca odmiana Joanny d'Arc, postać pędząca konno białą drogą z woreczkami cukru i kartofli, z koronkowymi majtkami, darami, które miały uchronić Mafaldę przed głodem. Byłam dziewczynką tak zadufaną w sobie, że nigdy nie zwierzyłam udziału jasnowłosego diabła w tych moich przedsięwzięciach. Dopiero wiele lat później dowiedziałam się, komu zawdzięczałam swobodę odwiedzin u Mafaldy. To książę Leo zrozumiał, jak bardzo tęsknimy jedna za drugą. To on wydał stosowne polecenia Agacie i stajennemu. I wszystkim pozostałym. To on kazał położyć w spiżarni lalkę o lokach z jedwabnej nici, ubraną w długą białą sukienkę, w pięknym pudełku. To on kazał podrzucać swetry i szale w kaplicy albo w salonie. Tak, to był Leo.

Rozdział 2

I to właśnie Leo w swoim czasie zaczął zapraszać Maleńką Mafaldę do pałacu na niedzielny obiad, mając na uwadze - nietrudno się było tego domyślić - ewentualność jej przeprowadzki na stałe. Rankiem wysłał po nią samochód z kierowcą, by mogła wziąć udział w niedzielnych rytuałach pałacu. Szybko stała się maskotką służby, ulubienicą, *una pupetta*, jak ją nazywano. Ale moja siostra, przerażona tłumem ludzi krążących po pałacowych wnętrzach, ich sposobem wyrażania się, wyglądem, obcymi twarzami, które się nad nią pochylały, obcymi dłońmi głaszczącymi jej loki, nie odwzajemniała tej życzliwości. Gdy ja szybko poczułam się swobodnie w tych ponad wszelką miarę obszernych wnętrzach, Maleńka Mafalda wciąż usiłowała gdzieś się schować, skulona ze strachu. W pałacu stawała się onieśmielona i markotna. W czasie mszy zaczynała płakać. Płakała także przy stole. Pulchnymi dziecięcymi rączkami rozmazywała po twarzy łzy.

- *Amore mio, cos' hai?* Co ci się stało, kochanie? - pytałam ją wciąż na nowo.

Ześlizgiwała się z jedwabnej poduszki na kościelnej ławce albo z aksamitnej, którą kładziono na jej krześle, i ruszała na poszukiwanie miejsca, w którym można było bezpiecznie się wypłakać.

- Czemu nie chcesz zamieszkać tu razem ze mną? - pytałam ją. - Tu miałabyś trzy śliczne sukienki i codziennie o jedenastej rano dostawałabyś ciastko z różowym lukrem, jak księżniczka z bajki. Pamiętasz tę bajkę?

- Już nie potrzeba mi ładnych sukienek. I wcale nie lubię ciastek z lukrem. Chcę, żeby mama wróciła i żebyś ty wróciła i żeby tata wrócił. Tak, żeby wrócił. Teraz tak jakby wcale go nie było. Bo oszalał. Wy tłumacz mi, Tosca, dlaczego wszyscy odeszli? Jeśli ja też odejdę, to w domu już nie będzie komu czekać na tych, co powinni wrócić. Rozumiesz?

Odpowiedź, której udzieliła mi moja siostra w tamtym momencie naszego życia, na zawsze pozostała moim mottem. To nie zdarzenia nas kształtują, nie nasze nieszczęścia i nie ich sprawcy. Kształtują nas mury. Kultury upadają, gdy znikają ludzie, którzy w nich żyli. Ja to ja. Ona to ona. Miałyśmy tę samą matkę, tego samego ojca. Urodziłyśmy się w tym samym domu. Ale choć kochałyśmy się nawzajem bezgraniczną miłością, byłyśmy różne jak dzień i noc. I tak Maleńka Mafalda udaremniła plan osiedlenia jej w pałacu, uzgodniony przez księcia z naszym ojcem. Mianowała sama siebie strażniczką naszego małego domku przy białej żwirowej drodze za wzgórzami. Wiedziała, gdzie jest jej miejsce, nawet jeśli my, pozostali, zapomnieliśmy.

- Jakie były dalsze losy Mafaldy? - spytałam. - Czy w końcu nie zamieszkała w pałacu? Bo przecież teraz jest tutaj. Więc kiedy...

- Proszę mi nie przerywać co chwilę. Jeśli będzie pani cierpliwa, doczeka się pani odpowiedzi na wszystkie pytania. Proszę pozwolić mi opowiedzieć tę historię tak, jak zapisała się w mojej pamięci.

Nie przerywać jej co chwilę? Przecież do tej pory nie pisałam ani słówka, pomyślałam, ale posłusznie kiwnęłam głową.

Podjęła opowieść.

- Życie w pałacu, bardzo zdyscyplinowane i na swój sposób harmonijne, choć niekiedy pełne zamętu i przytłaczające, z czasem zaczęłam uważać za własne. Niezależnie od przyjemności stołu, od radości, jaką sprawiało zmysłom piękno wewnątrz i ogrodów, przestałam czuć się tam obco dopiero dzięki lekcjom. Bo to właśnie na lekcjach poczułam się jak *diva*.

Nauczyłam się czytać, kiedy miałam pięć lat. Osiągnięcie raczej rzadkie wśród dzieci z naszej wsi. Tym większe, że byłam dziewczynką. Mama posłała mnie do wiejskiej szkółki prowadzonej przez zakonnice. Naszą *maestra* była siostra Diana, mała, okrągła i pulchna, z pojedynczymi włoskami wyrastającymi na podbródku i oddechem pachnącym lukrecją. Chyba nie było nas więcej niż dwadzieścioro uczniów, wszyscy w jednej salce, choć na różnym poziomie nauki. To właśnie ona, siostra Diana, nalegała, bym usiadła wśród starszych dzieci, które zaczynały czytać, a nie z rówieśnikami, które dopiero głośno recytowały alfabet. W każdą sobotę pomagałam siostrze przy sprzątnięciu kościoła i przygotowaniu ołtarza do niedzielnej mszy, a potem siostra Diana i ja spędzałyśmy razem godzinę, a w miarę możliwości dwie, podczas których pomagała mi ćwiczyć się w czytaniu. Czytała na głos. Ja także musiałam czytać na głos. Zanim przywieziono mnie do pałacu, przeczytałam wszystkie podręczniki, wszystkie książeczki z urwanymi okładkami i pozaginanymi rogami, jakie stały na półkach regału dziecięcego w zakonnej bibliotece, a także każde kościelne wydawnictwo poświęcone misjom w Guadalajarze i Afryce Zachodniej. I zawsze, ilekroć wpadła mi w ręce gazeta, czytałam ją od deski do deski, zaznaczając niebieską kredką fragmenty, w których czegoś nie rozumiałam. Przynosiłam zbezczeszczone w ten sposób pismo na sobotnie spotkanie z siostrą Dianą, która między jedną i drugą bajką wyjaśniała zawilosci gazetowego języka, odsłaniając przede mną jeszcze dziwniejsze od bajek historie, dotyczące świata polityki i kultury, a także czynów złych ludzi, którzy działali w zмовie, a w gazecie nazywano ich mafią.

I dzięki temu, mając dziewięć lat, czytałam o wiele lepiej niż Yolande, która była prawie w moim wieku, a siedmioletnia Charlotte wciąż jeszcze zmagala się z ilustrowanymi książeczkami, zawierającymi nie więcej niż dwadzieścia słów. Nie dlatego, że księżniczki były mniej zdolne ode mnie. Po prostu ich edukacja obejmowała tak wiele różnych dziedzin, że nie osiągnęły biegłości w żadnej z nich. Musiała im wystarczyć powierzchowna znajomość francuskiego i jeszcze bardziej zdawkowy kontakt z angielskim. Orientowały się po łebkach w geografii świata i historii Włoch. Więcej czasu poświęcały łacinie i katechizmowi. *Żywoty świętych*, muzyka, rysunek i robótki razem z nauką dobrych manier i wysławiania się uzupełniały ich codzienny plan zajęć. Ja także miałam do nich dołączyć. Od razu jednak zaczęłam domagać się jak najwięcej lektur. Pożerałam wszystkie książki, które mi dawano, i prosiłam o następne. Wątpiąc, czy rozumiem, co czytam, nauczycielki kazały mi opowiadać treść książeczek. *Un divertissement* w przerwach między ćwiczeniami - jak mawiała mademoiselle Clothilde, nasza nauczycielka francuskiego i guwernantka, *professoressa*, jak ją nazywano. Agata przynosiła nam kawę z mlekiem i twarde słodkie ciasteczka, a ja wstawałam z krzesła i opowiadałam jedną książkę po drugiej. Pewnego dnia zaproszono jasnowłosego diabła, by posłuchał mojego streszczenia *Serca Amicisa*. I może za sprawą jego obecności -

albo też w jakimś przeblysku niebiańskiej jasności umysłu - opowiadałam obszerniej i z większą pewnością siebie niż kiedykolwiek przedtem, podkreślając słowa gestami, dorzucając porównania z innymi przeczytanymi książkami, a tu i ówdzie włączając krótkie, jedno lub dwuzdaniowe cytaty. Kiedy na koniec dygnęłam przed księciem, tak jak mnie nauczyła mademoiselle Clothilde, i usiadłam na swoim krześle między księżniczkami, zapadła cisza. Żadnej grzecznościowej pochwały, żadnych okrzyków „zuch dziewczynka”, zazwyczaj rzucanych lekko między jednym a drugim kęsem ciastka. Księżniczki siedziały jak skamieniałe, z podniesionymi głowami, sztywno wyprostowane w swoich jedwabnych sukienkach. Nasze nauczycielki także znieruchomiały w tamtej chwili. Zadyszana, lecz pewna, że zrobiłam jak najlepiej to, czego ode mnie oczekiwano, poczułam się, jakbym była jedyną żywą osobą w drętwej scenerii naszego pokoju szkolnego. Wtedy Leo wstał. Podziękował mi półukłonem, po czym przywołał nauczycielki i w najdalszym kącie udzielił im instrukcji dotyczących mojej dalszej edukacji. Po czym wyszedł. Także i w tym czuwał nade mną.

Rozdział 3

Od tego czasu czytałam, pisałam i uczyłam się pilnie jak jezuicki akolita, oddalając się coraz bardziej i bardziej od powierzchownej wesołości życia pałacowego. Leo zaczął sam uczyć mnie łaciny, potem dorzucił także lekcje greki, na moim stole do odrabiania lekcji pojawiały się kolejne tomy mitów greckich, i w ten sposób więcej dowiadywałam się o losach starożytnych bogów, niż kiedykolwiek wiedziałam o katolickich świętych. Spytałam go, czy to nie grzech zajmować się greckimi bogami, kiedy mogłabym w tym czasie czytać *Żywoty świętych*. Lekcja się już skończyła, ale usiadł obok mnie, gdy usłyszał to pytanie. Powiedział mi w zaufaniu i w tajemnicy, że pogańscy bogowie aż tak bardzo nie różnią się od katolickich świętych, jedni i drudzy są postaciami podobnego pokroju, nawet jeśli pewne elementy ich biografii albo cechy charakteru określiła inna epoka historyczna. Te wyjaśnienia, których udzielił mi z ożywieniem, ale ścisząc głos, zdumiały mnie tak bardzo, że aż zaniemówiłam. Księżę miał jeszcze więcej do powiedzenia na ten temat.

- To człowiek zdjął bogów z Olimpu i umieścił w kościele, Tosco. Nadał im nowe imiona. Zmienił historie ich życia tak, aby lepiej pasowały, tak to nazwijmy, do potrzeb współczesności. Ani to dobrze, ani źle. To nam się po prostu zdarzyło. Robiąc dalsze postępy w nauce mitologii greckiej i religii katolickiej, sama się przekonasz o ich podobieństwie. Bądź na to podobieństwo otwarta. Myślę, że *la Madonna* pod wieloma względami przypomina Demeter, boginię urodzaju i macierzyństwa. Naucz się o Demeter wszystkiego, czego tylko możesz, Tosco. Bo ona jest stale obecna w życiu ludzi. Zwłaszcza w naszych stronach, gdzie kiedyś mieszkała.

Chwilę później dowiedziałam się, że grecka bogini rolnictwa, która, jak mówił księżę, jest tak podobna do Matki Boskiej, jest blisko, niemalże w jakimś oddalonym skrzydle naszego pałacu. Ta wiadomość mną wstrząsnęła.

- A gdzie ma swój pokój?

- Nie pokój, tylko świątynię, Tosco. Ruiny świątyni znajdują się na wzgórzu poza murami Enny. Ale są też ruiny drugiej świątyni, tu, w naszej posiadłości.

Uspokojona, że od bogini dzieli mnie odległość paru kilometrów, zaczęłam się martwić, że mieszka w ruinach.

- Kiedyś pojdziesz, na czym polega łaska bogów. To im zawdzięczamy swoją zdolność do rozumienia samych siebie. Oni są nami, Tosco, a my jesteśmy nimi.

Chciałam zapytać, czy don Cosimo zgadza się z tymi opiniami o podobieństwie między Maryją a Demeter i dlaczego w kaplicy brakuje takiej figury. Czemu nie ma świętej Demeter? Ale on już zaczął krążyć po pokoju, wymachując rękoma i przemawiając po grecku, po łacinie i po francusku, aż w końcu znów zwrócił się do mnie po włosku.

- Słyszałaś o Safonie, Tosco?

Skuliłam się z przerażenia na myśl, że Safona może okazać się grecką boginią, siostrą bliźniaczką świętej Rozalii, ale ksiązę wyjaśnił mi, że była poetką.

*Przybądź więc tutaj, z Krety, do świątyni, otoczonej świętym gajem jabłoni,
gdzie oltarzowe unoszą się w niebo dymy kadzidel**

* Przełożył Nikos Chadzinikolau (wszystkie przypisy tłumaczkii).

- zacytował, a ja czułam, jak opuszcza mnie całe napięcie. Powtórzył te wersy jeszcze raz. Potem poprosił, żebym ja to zrobiła. Nie potrafiłam od razu zapamiętać słów, ale mogłam wyczuć w nich woń kadzidła. Powiedziałam mu o tym. Odparł, że też to zauważył.

Ksiązę stale wypytywał pozostałych nauczycieli o moje postępy w nauce i miał w swojej pieczy moją edukację. Przyznał mi przywilej nieograniczonego dostępu do biblioteki. Wspinałam się po spiralnych schodkach wieży, w której się znajdowała, a u celu miałam wrażenie, że ksiązę przebywa tam bez przerwy. Gdy tylko otwierałam ciężkie drzwi, widziałam jego postać wśród opasłych ksiąg. Dygałam grzecznie. Odpowiadał skinieniem głowy. Lampki z abażurami, stojące przy fotelach, rzucały nastrojowe światło na stół, przy którym siedział. Światło przyciemnione, żółte, w którym grzbiety oprawionych w skórę tomów ułożonych w wysokie stosy wszędzie dookoła wydawały się czymś nierzeczywistym. W powietrzu unosił się przyjemny, nobliwy zapach starych książek. Brałam ze stołu latarkę i wchodziłam na drabinę, żeby poszukać tytułu, który był mi potrzebny. Siadałam przy stole blisko Lea, zostawiając jednak zawsze przynajmniej jedno wolne miejsce pomiędzy nami. Wystarczająco blisko, by poczuć jego zapach. Był to zapach kwiatu pomarańczy, wilgotnego tweedu i błota na jego butach. W cichym poczuciu absolutnego szczęścia zaczynałam swoją podróż przez dzieła Safony.

W niektóre dni wszystkie modlitwy, spacery po ogrodzie, a nawet posiłki wydawały się tylko antraktem w lekturze. Żałowałam dwóch godzin straconych przy stole, wolałabym w tym czasie obcować z książkami. Męczyło mnie przebieranie się do obiadu, po obiedzie i potem znowu do kolacji, wysoki ton zachwyków nad księżniczkami, zmienne nastroje Simony i Lea. Coraz częściej goście zostawali na dłużej z powodu, który Leo i Cosimo nazywali *la grande guerra*, wielką wojną. Ta część wyspy poniosła chyba stosunkowo niewielkie szkody, więc nasz pałac stał się czymś w rodzaju przytułku dla potrzebujących dachu nad głową. A ja czytałam coraz więcej.

Kiedy było ciepło, czytałam w ogrodzie albo w sadzie cytrynowym, wyciągnięta na długiej marmurowej ławce. Lwie łapy, na których się opierała, wrosnięte między korzenie drzew, utkwione były do połowy w miękkiej, czarnej ziemi. Czytając, trzymałam książkę nad głową, pod osłoną baldachimu z ogromnych liści, lśniących jak nawoskowane. W ich cieniu nawet w skwarze południa zawsze kryła się enklawa wieczoru.

Kiedy wolno mi było skorzystać z dyspensy od codziennych obowiązków, na przykład z powodu bólu głowy, w swoim pokoju nie byłam samotna. Wcześniejszy przesyt blichtrzem życia pałacowego ustąpił miejsca wdzięczności za opiekę, za swobodę i wolny czas, dzięki któremu mogłam się uczyć.

Od nauki mogły mnie oderwać tylko konie. Najbardziej z nich wszystkich kochałam pewną klacz arabską. Odkąd Leo się o tym dowiedział, nie pozwalano na niej jeździć nikomu innemu. Siodłano ją dla mnie każdego ranka. Świątek i piątek, zawsze jeździłam konno w towarzystwie Lea i don Cosima, zawsze pomiędzy nimi, trochę z przodu. Zwłaszcza gdy nie znałam zbyt dobrze pozostałych jeźdźców. Jeśli to byli na przykład nowo przybyli goście, nie oddalałam się od Lea i don Cosima. Długo musiałam się odzwyczajać od jazdy na oklep i Leo wiedział, że siodło stanowi dla mnie ograniczenie swobody, tak jak dworska etykieta, więc często zsiadał z konia, żeby poprawić mi strzemiona lub popręg. Upominał mnie, żebym siedziała prosto. Czasem kładł mi rękę na krzyżu.

- Tu ma być wcięcie - mówił, przyciskając mocno.

Lubiłam to. Bardzo lubiłam. Nazajutrz starałam się siedzieć w siodle jak najbardziej niedbale. Czeakałam na dotyk jego dłoni. A choć z początku wolałam trzymać się grupy jeźdźców, z czasem zaczęłam ich wyprzedzać, galopowałam samotnie. Byłam spragniona pędu. I ryzyka.

Któregoś zimowego popołudnia w 1942 roku Leo zaproponował mi spacer po ogrodzie. Nieczęsto się zdarzało, żeby kogoś w ten sposób wyróżnił. Pamiętam, że było strasznie zimno, a ja wzięłam ze sobą tylko chustę Agaty, która zawsze wisiała na haku przy drzwiach do ogrodu. Narzuciłam ją niedbale na swoją długą sukienkę z szarej wełny. Później Leo owinął ją ciaśniej wokół moich ramion, strofując, że nie włożyłam palta. Do dziś to pamiętam. I pamiętam, co wtedy pomyślałam. Skoro tak troszczy się o mnie, musi chyba mieć dla mnie złe wiadomości.

- Moje dziecko, Mafalda została wysłana do twojej ciotki, do siostry waszej matki. Twój ojciec przyszedł do mnie dziś rano i prosił, żebym ci o tym powiedział. Chodzi o to, że nie miała należytej opieki,

bo wasz ojciec rzadko bywa w domu. Niestety, Mafalda sama zdecydowała, i to bardzo stanowczo, że nie zamieszka u nas w pałacu...

Urwał, bo wiedział, że ja wiedziałam, co zdecydowała Mafalda.

- Ale znaleźliśmy sposób, żeby nie stracić jej z oczu. Będziemy w kontakcie z twoją ciotką i całą rodziną w Vicari. Kiedy zrobi się znowu bezpieczniej, na pewno ją odwiedzisz. W każdym razie twoja siostra jest pod dobrą opieką. Ty zresztą także. To najważniejsze. Zwłaszcza w takich czasach...

Mówił coraz szybciej, wplatając niezbyt poważne uwagi, jakby mówił do małego dziecka. Jakby zapomniał, że mam już dwanaście lat z okładem, za pół roku skończę trzynaście. Jakby nie wiedział, że domyślałam się wszystkiego. Że ojciec od dawna próbował się pozbyć Mafaldy, wcisnąć ją któremukolwiek z krewnych na jak najdłuższy czas. Księżę mówił tak, jakby o niczym nie wiedział. Dawno już przebolełam to, że moja siostra jest ojcu niepotrzebna, tak jak wcześniej nie potrzebował mnie. Ale że Mafalda pogodziła się z perspektywą życia z dala ode mnie, zraniło mnie o wiele bardziej. Przez trzy lata spędzone w pałacu wierzyłam, że rozstałyśmy się tylko fizycznie i że w głębi duszy nadal byliśmy razem. Teraz nie wiedziałam, co myśleć.

- Tylko proszę, niech ci nie strzeli do głowy przegalopować osiemdziesiąt kilometrów do Vicari, jak przedtem tych kilka do domu. Chciałem powiedzieć... do domu waszego ojca.

Jak zwykle nie radził sobie nawet z najprostszą rozmową, jeśli jej temat miał związek z moim wcześniejszym życiem. Pomogłam mu.

- Nie zrobię tego. Dałabym radę. Myślę, że tak. Ale nie zrobię tego.

- Dostałem jej adres, więc możesz do niej pisać i posyłać jej prezenty, kiedy tylko zechcesz.

- Dziękuję.

Jak się okazało, adres, który ojciec dał księciu, wcale nie był tym, pod który wysłał moją siostrę. A jeśli nawet tak, to widocznie nie pozostawała tam długo. Kiedy Leo posłał kogoś do ojca z wiadomością, że musi się z nim zobaczyć, okazało się, że i on nie mieszka już w swoim gospodarstwie. Stajnie stały puste. W domu było głucho.

Rozdział 4

Może zabrzmiało to dziwnie, moja droga, ale ani przedtem, ani tamtej jesieni i zimy nic nie wskazywało na to, że świat na zewnątrz pałacu jest ogarnięty wojną. Oprócz gazetowych doniesień i audycji radiowych, których Leo, don Cosimo i chyba wszyscy mężczyźni przebywający akurat w pałacu słuchali z największą uwagą, nasze życie wyglądało tak samo jak przedtem. Byłam więc zaskoczona, kiedy pewnego ranka, w drodze do pokoju lekcyjnego, Yolande powiedziała: „Och, jaka jestem zmęczona całą tą wojną i tymi wszystkimi ograniczeniami”.

Charlotte też wyglądała na rozżaloną, choć ja nie widziałam ani śladu jakichkolwiek „ograniczeń”. Wyjaśniła mi, że niedługo nie będzie już cotygodniowych dostaw ciasteczek z Palermo, bo brakuje cukru. Powiedziała, że wie o tym od mamy. Dla niej to rzecz niewyobrażalna. Brak cukru?!

Zapasy w Palermo rzeczywiście wkrótce się wyczerpały, nie tylko jeśli chodzi o ciasteczka. Ale na mnie to nie robiło wrażenia. Nic nie wiedziałam o kartkach żywnościowych, o bombardowaniach. Nie miałam pojęcia, ilu włoskich chłopaków zostało zabitych lub wziętych do niewoli na froncie wschodnim, ilu zamarzło na śmierć w lekkich mundurach odpowiednich dla śródziemnomorskiego klimatu, ilu umarło z głodu, zanim zmogła ich rosyjska zima. Nic oprócz niedostatku cukru nie zakłócało nam, trójce dziewcząt, codziennego życia w pałacu. Przy nas nie wspomniano nawet o tym, co działo się w okolicy. O tym, że w *borghetto*, jakieś sześćset metrów od lśniącej jak złoto mosiężnej bramy, dzieci kładły się spać bez kolacji. Że zapasy w wiejskich *magazzini* zostały boleśnie nadszarpnięte, jeśli nie całkiem wyczerpane, i na stołach przykrytych ceratą chleb nie pojawi się aż do żniw. Zaczęłam jedynie zauważać, że Leo jest często roztargniony i posepny. Milczący jeszcze bardziej niż zazwyczaj. W ostatnim okresie wojny wyjeżdżał na wiele dni razem z don Cosimem i paroma innymi domownikami. Znikał. Być może mówił coś Simonie, ale na pewno nikomu więcej. Wracali z tych wypraw albo jakąś nie wiadomo gdzie zdobytą ciężarówką, albo wozem chłopskim, wyładowanym po brzegi oliwą, konserwami mięsnymi, warzywami, workami ryżu i karmą dla tych zwierząt, które nam jeszcze zostały. Wszystko to przykryte płachtami, które układały się w dziwne kształty, jakby pod spodem leżały ciała ludzi. Śpiących. Albo zabitych. Czarnorynkowe rarytasy, może z Palermo, może skądinąd. Kupował je tam, gdzie cokolwiek jeszcze można było zdobyć. Miałam się później dowiedzieć, że Leo uruchomił fortunę w gotówce, w pięknych okrągłych dziesiątkach, dwudziestkach i w pięćdziesięcilirowych banknotach, żeby żaden wieśniak na jego ziemi nie głodował. W ostatnich tygodniach przednówka, zanim pola i ogrody dały plony, nawet na czarnym rynku nic już nie można było dostać. Wtedy Leo otworzył pałacowe magazyny. Kiedy ktoś zawahał się nad ostatnią baryłką oliwy, księżę zapewnił go, że oliwy jest jeszcze pod dostatkiem. Ale jej już nie było. Don Cosimo opowiada po dziś dzień, jak Leo kazał pałacowym kucharzom zamiast oliwy używać smalcu.

- Przecież ten smalec jest zjełczały, panie. Zielony jak trawa.

- Taki jest właśnie najlepszy. Idź do kuchni i zrób pudding. Robi się go na smalcu. Mamy jeszcze suszone śliwki? To weź je do puddingu.

Don Cosimo bardzo lubi powtarzać tę rozmowę. Biedna Simona nie tylko nie miała ciastek, ale dostawała na obiad potrawę ze śliwkami i smalcem, podczas gdy wieśniacy delektowali się tym, co sobie przyrządzili z jej najlepszej oliwy z pierwszego tłoczenia. Jej spowiednik ledwo się powstrzymywał od śmiechu, biorąc kolejne dokładki tego piekielnego puddingu. W czasie wojny gotowość Lea do poświęceń na rzecz chłopów z majątku była bezgraniczna.

W 1943 Amerykanie wylądowali na wyspie. Niemcy stacjonowali tu już od ponad roku, by bronić ojczyzny swoich włoskich sojuszników. Dowództwo niemieckie kwaterowało w Ennie. Ale kiedy ogromna liczba Amerykanów z działami i ciężką artylerią pojawiła się na Morzu Tyrreńskim, a później u brzegów

Sycylii tamtego majowego dnia, o wiele mniej liczne i znacznie gorzej wyposażone wojska *Tedeschi* rzuciły się do ucieczki. Po wylądowaniu Amerykanów, król Wiktor Emanuel pozbawił Mussoliniego władzy i powołał generała Badoglio na szefa rządu. Wątpliwe, czy rząd miał wówczas cokolwiek do powiedzenia. Na początku września 1943 Włochy poprosiły Amerykanów o rozejm i tak oto wojna się dla nas skończyła. Choć wówczas nie byłam nawet świadoma, że się kiedykolwiek zaczęła.

Jedynie szkody wojenne, jakie spadły na pałac, przybrały postać trójki amerykańskich żołnierzy. Nie wiem, ile setek lub tysięcy stacjonowało w Ennie, z początku jako wyzwoliciiele lub może najeźdźcy, o co wciąż jeszcze trwają spory - a później, po zawarciu rozejmu, jako obrońcy pokoju. Każdy hotel, klasztor, internat, a nawet prywatny dom obowiązany był udostępnić im kwatery. Leo spotkał się z amerykańskim dowódcą i zaprosił go na obiad. *Noblesse oblige*. Don Cosimo próbował go odwieść od tego pomysłu, ostrzegając, że jeśli Amerykanie zobaczą taki piękny pałac, z pewnością zażądamy w nim dla siebie kwatery. Leo był jednak zdecydowany zademonstrować Amerykanom szlachetność sycylijskiej kultury i stylu życia. Był dumny, że jego córki i wychowanka mogą rozmawiać z gośćmi w ich własnym języku. Wszyscy się na tę okazję wystroiliśmy jak na święto. Z bukietem białych róż czekałyśmy na tarasie, powtarzając naszą mantrę: *Good afternoon, Sir, and welcome to our home*. Nie wiem, czego ja, Yolande i Charlotte oczekiwałyśmy po tych jankeskich żołnierzach, ale na pewno nie tego, co zobaczyłyśmy już wkrótce. Jeden z nich był wyjątkowo wysoki i gruby, i myślę, że to on był generałem. Po dwóch pozostałych zachowałam w pamięci tylko głosy, donośne i przenikliwe w uświęconej przez pokolenia ciszy pałacowej jadalni. W naszym odczuciu ich zachowanie było gorszące. Raził nas zwłaszcza hałaśliwy sposób jedzenia i to, że śmiali się z pełnymi ustami. Leo aż skurczył się w sobie na ten widok, a don Cosimo tylko wzdychał cicho nad talerzem. Nie pamiętam, czy Simona siedziała wtedy z nami. Kiedy już było po wszystkim, uznałam, że Amerykanie są na swój sposób czarujący. Być może dlatego, że byli w naszej okolicy jedyną zwycięską siłą, ostoją spokoju wśród całego zamętu tamtych czasów. Dopiero po dziesięciu latach, w zupełnie innym świecie, zaczęłam rozumieć, czym naprawdę była *la grande guerra*.

* * *

Pindar i Cezar. Nieśmiertelne *Żywoty świętych*. Literatura francuska, angielska i włoska. Geometria i astrologia. Gra na fortepianie. Słuchałam mszy z ław książęcej rodziny, wcinałam zupy przy rodzinnym stole, spacerowałam po ogrodzie, trzymając się z księżniczkami za ręce. Byłam jedną z nich. Lecz przecież nie byłam jedną z nich. Musiało się to zacząć, kiedy miałam mniej więcej czternaście lat: odtąd zachwyty gości nad księżniczkami obejmowały i mnie. Zjeżdżała się dalsza rodzina. Dzikie, zielonookie dziecko osierocone przez matkę wyrosło na młodą kobietę. Eloquentną, pełną wdzięku, pogodną. Dookoła słyszałam szepty.

„Słyszeliście, jak ona gra Brahmsa?”.

„Mówią, że zna na pamięć Wergiliusza”.

„Ma nieskazitelny paryski akcent”.

„Świetnie jeździ konno”.

„*Poverina*, pomyśleć, czym byłoby jej życie, gdyby nie zajął się nią Leo”.

„Księżę ma dobre serce”.

„Oko też ma niezłe”.

Rozdział 5

Niedługo po zakończeniu wojny wszystko wróciło do normy, a Leo i Simona wydali przyjęcie. Nie zginął żaden z naszych chłopców i mężczyzn, ani z tych wcielonych do wojska, ani z tych, co się zgłosili na ochotnika. Na wojnę poszło jedenastu z wioski i sześciu ze służby pałacowej. I chociaż trzech odniosło lekkie rany, cała siedemnastka wróciła do domu.

Był trzeci maja 1945. Zanim zaczęła się *festa*, Cosimo odprawił wspólną mszę dla domowników i mieszkańców miasteczka, zamiast dwóch osobnych nabożeństw, jak zazwyczaj. Odbędzie się to o wschodzie słońca w pałacowym ogrodzie, w cieniu całkiem świeckich dębów. Potem szliśmy gęsiego miedzami wśród pól pszenicy do cedrowego zagajnika nad rzeką.

Grupa mężczyzn wybrała się tam poprzedniego wieczoru, żeby nazbierać drewna na ogniska, zagrabieć ziemię pod drzewami i powtykać pochodnie. Szliśmy w łagodnym świetle słońca, stojącego jeszcze dość nisko nad ziemią. Mężczyźni nieśli kosze z prowiantem - pomarańcze, karczochy, ziemniaki. Dźwigali na plecach ławki i krzesła, sterty nakrochmalonych serwetek, prowadzili jagnięta i kozy, jak starożytni pasterze, którzy zamierzają składać ofiary bogom. Dwóch młodzieńców niosło mandoliny, a oprócz nich wiązki chrustu. Pamiętam ich szczególnie dobrze, bo w tamtym czasie zaczęło mi się wydawać, że kocham się do szaleństwa w jednym z tych trubadurów, choć nie mogłam się zdecydować w którym. Tego dnia obaj włożyli lśniące czarne spodnie z satynowymi lampasami, których wspaniałość natchnęła ich kolegów podejrzeniem, że splądrowali groby i zabrali spodnie nieboszczykom, żeby wystroić się na *festa*. I niewykluczone, że naprawdę tak było.

A kobiety? Stapały pewnie jak górskie kozice. Ich mocne, szerokie biodra opięte perkalowymi kieckami kołysały się w rytm kroków. Niektóre z dziećmi przy piersi, wszystkie niosły na głowach dzbanki z wodą lub winem, śpiewając prาดawną pieśń o kobiecej solidarności, która każe wspierać się nawzajem, kiedy mąż zdradza jedną z nich. I pomagać skrzywdzonej żonie w ukaraniu zdrajcy śmiercią. Śpiewały to w kółko, ledwie skończyły, zaczynały od nowa.

W 1945 roku w pałacu było tyle pojazdów, że nigdy nie udało mi się ich wszystkich zliczyć. Nie brakowało też dla nich benzyny. Mnóstwo ciężarówek, samochodów terenowych i zwykłych aut, ale my nadal chodziliśmy pieszo. Simona i księżniczki również. Wszyscy woleliśmy spacerować.

Zanim dotarliśmy do rzeki, ci z przodu zdążyli już rozpalić ogniska, zabić jagnięta i kozy, oprawić je i nadziać na ruszt. Natarli tusze oliwą, nafaszerowali dzikimi ziołami. Siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt osób tworzących tę grupę pracowało tak zgodnie, jakby tańczyli wspólny taniec. Scena, w której uczestniczyli, wydawała mi się czymś wspaniałym. Piękniejszym nawet od marzeń o szczęśliwej rodzinie, które

snułam jako mała dziewczynka. Marzeń o grubych ciotkach pachnących mydłem i wanilią, o odświętnie ubranych wujkach noszących po kieszeniach cukierki dla dzieci. W wyobraźni stworzyłam sobie dziadka, któremu mogłabym usiąść na kolanach i patrzeć, jak poruszają się zmarszczki na jego opalonych policzkach, kiedy mi śpiewa piosenki. W tych marzeniach moja matka nigdy nie płakała, a ojciec był mądrym i troskliwym *capo famiglia*, dającym nam wszystkim poczucie bezpieczeństwa życiowego. Ale postacie, które stworzyłam w marzeniach, były jak chińskie cienie osób, obok których żyłam w rzeczywistości. Być może każde dziecko miewa takie marzenia. Pani też je miała, moja droga?

Wiedziałam, że nie czeka na odpowiedź.

- Każdy z nas snuje własne marzenia, żeby lepiej radzić sobie z prawdziwym życiem. Ale różnimy się. Jedni jęczą i użalają się nad sobą, podczas gdy inni biorą się do pracy. Myślę, że różnimy się właśnie tym, w jaki sposób usiłujemy godzić marzenia z rzeczywistością. No, ale kiedy miałam około piętnastu lat, już dawno skończyłam z lamentami i użalaniem się nad sobą, choć nadal, od czasu do czasu, pozwalałam tym marzeniom toczyć się swobodnie. Dopiero widok festynu nad rzeką otworzył we mnie tę ciasną przestrzeń, w której przechowywałam wyobrażenia z przeszłości. Została wymieciona do czysta i zrobiło się miejsce na coś prawdziwszego. Zrozumiałam, że to, co ujrzałam i za czym tak bardzo zatęskniłam, patrząc na tę scenę nad rzeką, należało do mnie od zawsze. Choć nigdy nie żyłam pośród tych istot obdarzonych szczególną łaską, pochodziłam z ich sfery. Ich dziedzictwo było moim dziedzictwem, ich kultura trwała i we mnie. Poczułam, że mimo uporu, z jakim usiłowałam uwierzyć, że życie pałacu stało się moim życiem, nie była to prawda. Ale cóż, chyba się zagalopowałam w dygresję. Wróćmy więc do *festa*.

Kobiety uderzały karczochami o płaski kamień i faszerowały je masą z ziół i oliwy, tak samo, jak robimy to tu, w *villa*. Ktoś układał sardynki w długich płytkich rondlach o dziurkowanym dnie, inny przekładał je pomidorami krojonymi w grube plastry. W tych naczyniach sardynki z pomidorami wędziły się w dymie z płonących łądyg kopru. Stół z ustawionych na beczkach desek był przykryty haftowanymi obrusami i stały na nim stopy talerzy. Mężczyźni popijali przy swoich zajęciach, a kobiety śpiewały. Nie sposób było odróżnić służbę pałacową od mieszkańców *borghetto*. Wszyscy wydawali się szczęśliwi w tej wspólnej pracy. Ja w każdym razie czułam się szczęśliwa jak nigdy dotąd. Leo też był uśmiechnięty. Z ożywieniem krążył między grupkami, wtrącając się do wszystkiego, próbując sosów, napełniając winem kubki swoich wieśniaków. Był bez marynarki, nosił bryczesy i buty jeździeckie, jasne włosy lśniły od olejku pomarańczowego i potu. Wyglądał pięknie i wokół nie było ani jednej kobiety - nie wyłączając jego żony i córek - która myślałaby inaczej. To była druga rzecz, jaką zrozumiałam tamtego dnia. Tak naprawdę nie chciałam żadnego trubadura w spodniach od smokingu. Byłam zakochana w księciu.

Z uczy *festa* przerodziła się w *riposo*. Ludzie spacerowali po lesie, szli nad rzekę łowić ryby, po czym wracali do stołu. Muzyka grała przez cały dzień, ale gdy słońce zaczęło zachodzić, a dopiero co zapalone pochodnie rozblęły w mlecznej mgiełce idącej od rzeki, trubadurzy zmienili repertuar. Ucichły wesołe, skoczne piosenki i zaczęły rozbrzmiewać tęskne melodie w tonacjach molowych. Palce muzyków miękko trącały struny, a kaskady metalicznych dźwięków mieszały się z szumem wiatru. Dwie z

dziewczyn zaczęły tańczyć. Jedną z nich znałam. Nazywała się Lidia i czasem ją spotykałam, gdy przychodziła do pałacu pomagać w kuchni. Tę drugą widziałam po raz pierwszy. Była zupełnie inna niż Lidia. I inna niż każda z nas. Miała cerę barwy dojrziałych brzoskwiń, które leżały obok w misce z czerwonego szkła, i ciemne arabskie oczy migdałowego kształtu. Jej wysokie piersi, nieściśnięte żadnym stanikiem, poruszały się pod luźną białą sukienką w rytmie tańca, a wzrok był utkwiony gdzieś w oddali. Myślę, że widziała tylko gwiazdy. Dziewczęta tańczyły twarzą w twarz, trzymając się pod łokcie. Ich postacie były jasno oświetlone przez dwie pochodnie płonące po obu stronach. Trubadurzy odłożyli mandoliny, muzyka umilkła. Zresztą nikt już nie słuchał. Wszyscy zgromadzili się wokół tańczących, jedni stojąc, inni siedząc w kucki. Ta o brzoskwiniowej cerze budziła powszechny zachwyty. Lidia po chwili usiadła i ta druga tańczyła sama. Pewien starzec zagrał na organkach dziwną melodię, która, jak się zdawało, wprowadziła dziewczynę w rodzaj transu. Na chwilę stanęła w miejscu. Wydawała się pogrążona w głębokim śnie.

Wyprostowała się, zrobiła parę kroków, potem zaczęła się obracać. Poruszała się nieśpiesznie, dumnie wyprostowana, z ramionami wygiętymi nad głową, jakby wyczekując kolejnego sygnału od starca. Gdy go usłyszała, zawirowała szybciej. Jeszcze szybciej, teraz już w klasycznej pozycji baletnicy - jedna noga zgięta, drobna bosa stopa oparta o kolano drugiej nogi. Prędej, coraz prędzej. Aż w końcu to ona swoim szalonym piruetem narzuciła rytm starcowi, a w melancholijnej melodii odezwały się jakieś dzikie porywy namiętności. Dziewczyna kręciła się coraz szybciej i szybciej, rozrzucając czarne loki, które raz po raz muskały jej ramiona. Przy każdym obrocie patrzyła w ten sam punkt. Szybciej, wciąż szybciej, kręciła się w kółko jak arabski derwisz. Jej uroczą postać wirowała niestrudzenie, aż rozproszyła się w gwiazdzistej nocy niczym biały dym. Lśniły tylko czarne oczy. Wciąż utkwione w tym samym punkcie. Tam, gdzie stał Leo.

Po tańcu dziewczyny o brzoskwiniowej cerze nic więcej nie mogło się już wydarzyć. *Festa* zaczęła z wolna przycichać i dogasać. Potem znów zśliśmy gęsiego, miedzami wśród pól pszenicy. Wracaliśmy do domu. Szalałam z zazdrości o dziewczynę, która, co było jasne nawet dla moich piętnastoletnich oczu, prowokowała Lea, adresowała wprost do księcia swoją niedwuznaczną ofertę. Odmówiłam jaśminowej kąpieli, którą przygotowała mi Agata, i poszłam do swojego pokoju. Rzuciłam się na łóżko przykryte biało-żółtą narzutą, ukryłam twarz w poduszce. Rozplakałam się. Przez całą noc płakałam z zazdrości i rozpacz, ale także z innej jeszcze przyczyny. Czułam, że w moim życiu coś się kończy. Kiedy śniada dziewczyna tańczyła w słabym świetle dogasających pochodni, wydawało mi się, że zjawiała się i swoim tańcem coś mi odbiera. Z każdym obrotem jej ciała narastała moja strata. A kiedy ona wtopiła się w czarną noc, moje dzieciństwo zniknęło razem z nią. Załamana, zagubiona w pustce, czułam się kimś mniej ważnym niż kiedykolwiek, a może po prostu kimś innym niż dotąd? Agata czuwała przy mnie do rana, trzymała mnie w ramionach, póki świt nie zajrzał przez okiennice, i jakby światło nowego dnia mogło złagodzić moje cierpienie, powtarzała: „Już po wszystkim, moja maleńka”. Pamiętam, jak to mówiła, pamiętam jej migdałowe oczy spuchnięte od łez współczucia, jej chude ciało drżące z wyczerpania.

Tak, już po wszystkim, mówiłam sobie. Wciąż od nowa, bez końca. Lecz przypomniałam sobie i tę myśl, która nawiedziła mnie poprzedniego dnia nad rzeką. Widok festynu otworzył we mnie ten ciasny zakamarek, w którym gromadziłam obrazy z przeszłości. Przestrzeń ta została wymieciona do czysta i zrobiło się w niej miejsce na coś prawdziwego. Tylko co jest prawdą, a co fałszem? Czy moja miłość do Lea była prawdziwa? Czy moje życie w pałacu było prawdziwe? A zazdrość o dziewczynę z brzoskwiniową cerą? Czy prawdziwy był wczorajszy festyn? Być może nie mamy nic oprócz marzeń. I być może właśnie wtedy, kiedy chcemy sprawić, by stały się rzeczywistością, obracają się w popiół.

Trzy nowe spostrzeżenia walczyły o lepsze w moim umyśle. Po pierwsze, kochałam Lea. Po drugie, byłam zazdrosna o śniadoskórą dziewczynę, która nagle stała się dla mnie wcieleniem wszystkich kobiet zdolnych rozpaścić uczucia Lea. Po trzecie byłam wstrząśnięta odkryciem, że moja zazdrość obejmowała również Simone. Kiedy zaczęłam się nad tym wszystkim zastanawiać, lista potencjalnych rywalek okazała się znacznie dłuższa. Ale trzecie odkrycie było najbardziej zdumiewające. Zrozumiałam, że nie mogę pozostać w pałacu. Teraz, kiedy otarłam się o życie wieśniaków, zapragnęłam zamieszkać w *borghetto* razem z nimi. Nie potrzebowałam już haftowanych pończoch, wykwintnych obiadów, greki i łaciny, Brahmsa, ani nawet *Żywotów świętych*. Chciałam pracować w polu, nosić na głowie dzbany z winem, kołysać biodrami i śpiewać pieśni o miłości. Chciałam znowu jeździć konno na oklep, koło południa czuć ssanie w żołądku i opędać głód zupą oraz chlebem. A przede wszystkim chciałam pocałować Lea. Tym pragnieniem rozbrzmiewała cała moja dusza. Każde z tych odkryć wchodziło w kolizję z pozostałymi, lecz w końcu wszystkie klocki tej układanki trafiły na swoje miejsce. Przede wszystkim musiałam spotkać się z Leem.

Powinam spotkać się z nim, zanim odnajdzie go śniadoskóra dziewczyna. A raczej - zanim on ją odnajdzie.

Agata w tym czasie umyła się i ubrała. Poszła powiadomić domowników, że źle się poczułam po *festa* i ona będzie się mną opiekować, bo potrzebuję spokoju. Zaczęłam obmyślać swój plan.

Tego ranka szukałam natchnienia u Flauberta. W powieści, którą gwizdnęłam mademoiselle Clothilde. Bo kiedy razem z Yolande i Charlotte pisałyśmy wypracowania, mademoiselle często czytała książkę przy kominku w pokoju lekcyjnym albo na krześle w cieniu magnolii. Przez jakiś czas zdawało się, że zawsze, kiedy ją widzę, ma w rękach którąś z książek Flauberta, w każdym razie częściej widywałam ją z nimi niż bez nich. Ściśle rzecz biorąc, chodziło o jedną z tych książek. Jej tytuł brzmiał *Szkoła uczuć*. Cienkie broszurowe wydanie w ciemnobrązowej okładce. Zawsze pragnęłam tę książkę przeczytać. Kiedy skończył się czas drobnych kradzieży dla Maleńkiej Mafaldy, złodziejskie umiejętności przydawały mi się do „pożyczania” książek od mademoiselle Clothilde. Żadnej jednak nigdy nie trzymałam tak długo, żeby nauczycielka zdążyła się zaniepokoić. Zabierałam je najwyżej na popołudnie albo na jedną noc. Pochłonięwszy tyle stron, ile tylko zdołałam, zręcznie podrzucałam książkę nieopodal miejsca, z którego ją buchnęłam poprzedniego dnia. Kiedy wzięłam *Szkołę uczuć* po raz trzeci, mademoiselle spytała mnie ni stąd, ni zowąd, co myślę o tej powieści. Przyznała, że była niewiele starsza ode mnie, kiedy książka wpadła jej w ręce po raz pierwszy. Pamiętam, że śmiałyśmy się porozumiewawczo, niemal jak współniczki, choć żadna

z nas nie myślała na serio - co prawda, jeśli chodzi o mnie, nie jestem już tego taka pewna - o tym, żeby za pomocą opisanych w niej chwytów uwieść księcia. Ale tamtego ranka po *fiesta* właśnie to, co zapamiętałam z książki Flauberta, rozjaśniło mi umysł. Wydawało mi się, że jestem na właściwej drodze, że ta droga doprowadzi mnie do Lea.

W swój plan wtajemniczyłam tylko Agatę. Kiedy o nim usłyszała, usiadła i z trudem przełknęła ślinę kilka razy. Spojrzała na mnie dziwnie, taksująco, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

- Wejdz do wanny - brzmiało jej pierwsze polecenie.

W wannie umyła mi włosy francuskim mydłem, splukała zimną wodą, octem z białego wina i cytrynowym sokiem. Potem wyszorowała mnie centymetr po centymetrze łupinami z migdałów zawiniętymi w tiulowy woreczek. Owinięta ręcznikiem, czekałam, aż skończy mnie czesać i zakręci mi loki na paski płótna wydarte ze starego prześcieradła. Natarła mnie całą olejkami pomarańczowym, polerowała moją skórę skrawkiem lnianego płótna, aż błyszczałam jak atlas w świetle płomienia. Położyłam się spać. Spałam z zimnym okładem na oczach, podczas gdy Agata siedziała obok mojego łóżka, zajęta przerabianiem organdykowej sukienki na koszulę nocną i naszywaniem na nią koronek zdjętych z ozdobnych poduszek Simony. W końcu i ona usnęła z koszulą na kolanie. Jeszcze spała, kiedy wstałam i prześlizgnęłam się do garderoby, żeby przejrzeć się nago w dużym lustrze o żółtej ramie.

Chuda jak wyrosnięta nastolatka, przybrałam pozę śniadoskórej dziewczyny z festynu. Ale jej kształty były okrągłejsze, bardziej kobiece. Z nogą zgiętą w kolanie, opartą o drugą nogę, z ramionami wyciągniętymi nad głową, stanęłam wyprostowana, z wysuniętym podbródkiem - brakowało już tylko starca grającego na organkach. Spróbowałam zrobić piruet. Omal nie upadłam na swój chudy tyłek, ale zaraz wróciłam do pozycji. Agata stanęła w progu. Była pod wrażeniem moich prób naśladowania dziewczyny o brzoskwiniowej cerze, lecz nie odezwała się ani słowem. Nawet jej nie zauważyłam. W końcu, nie mogąc się już powstrzymać od śmiechu, zrzuciła z siebie sukienkę, fartuch i reformy, po czym stanęła przed lustrem obok mnie. Zamierzała pokazać mi, jak to się robi. Jeszcze mniej ode mnie nadawała się na baletnicę, więc dałyśmy spokój i zajęłyśmy się ćwiczeniem pocałunku z płatkami róży, pocałunku, jakim Rozaneta obdarzyła Fryderyka w *Szkole uczuć*.

Opowiedziałam Agacie o scenie, w której Rozaneta trzymała w zębach płatek róży, a Fryderyk musiał posmakować go, gdy wpijał się ustami w jej usta. Powoli dochodziłyśmy do wprawy. Tak, to wyglądało obiecująco. Agata ubrała się i znikła za drzwiami. Kiedy wróciła, z kieszeni sukienki wyjęła niewielki złoty przedmiot. Szminka. Należała do Simony. Koronki także należały do Simony. A także ten, o którego chodziło: był jej mężem. Szminką Simony Agata uróżowała moje piersi, potem pomalowała moją dolną wargę. Zapowiedziała, że przyniesie kolację do pokoju i poszła się tym zająć. Agata wie, co robi, pomyślałam. Leżałam na łóżku i układałam dalsze plany.

Zamierzałam tak leżeć, dopóki w pałacu nie zapadnie cisza. Dopóki Agata nie przyjdzie mi powiedzieć, że Leo poszedł już do swoich apartamentów. Miała pokręcić się w tamtym skrzydle pałacu jeszcze

przez pół godziny, aż się upewni, że księżę już tam zostanie. I że jest sam. Wtedy wróci, ułoży moje rozpuszczone włosy, zapnie mi nocną koszulę i wyprawi mnie do księcia. Z płatkami róży w zębach.

Ale co by Leo pomyślał, gdybym stanęła tak przed nim? Jak odniósłby się do płatka róży? Jak odniósłby się do mnie?

W tamtym czasie byłam tylko wyrosnięta, lecz wcale nie dorosła, ale prawdą też było, że moja kobiecość właśnie weszła w fazę rozkwitu. Potwierdzenie tego faktu znajdowałam w oczach Simony, a także w oczach księżniczek i młodego księdza, który przychodził pomagać don Cosimowi. Poznawałam to po spojrzeniach i rumieńcach chłopaków z miasteczka, rzucających monetą o to, który z nich ma przynieść drewno do pokoju lekcyjnego, który osiodła mi konia i gdy będę wsiadała, przez pół sekundy przytrzyma mnie w talii. Każde spojrzenie cudzych oczu odzwierciedlało zmiany, jakie we mnie zachodziły. Każde, z wyjątkiem spojrzenia Lea.

W rzeczywistości miłość do księcia rozwijała się we mnie powoli przez cały czas, odkąd przybyłam do pałacu. Podobało mi się w nim wszystko. Lubiłam jego głos, rysy jego twarzy, szorstkość poły jego marynarki, opadającej na moje ramię, kiedy przysuwał mi krzesło przy stole.

Przez miesiące i lata żyłam w nieustającym wyczekiwaniu na jego pojawienie się w pokoju muzycznym. Biegając między jednym salonem a drugim, wciąż nasłuchiwałam jego rozmów z don Cosimem, z którymś z zarządców, z prawnikiem albo z lokalnym politykiem. Znajdowałam niezliczoną liczbę spraw do załatwienia, tylko po to, żeby w jakiejś chwili przecięły się nasze drogi.

Kiedy tak leżałam, a czas mijał zbyt wolno, zaczęłam się zastanawiać nad pytaniami, które wcześniej od siebie odsuwałam. Dlaczego Leo zabrał mnie do pałacu? Dlaczego ludzie szeptali za moimi plecami, a milkli, kiedy wchodziłam do pokoju? Czy moje poczucie obcości, braku przynależności do czegośkolwiek i kogokolwiek miało jakieś uzasadnienie, czy była to tylko pusta skorupka, z której piskłę już się wydostało, ostatni ślad po dzikim dziecku, wychowującym się bez matki? A może właśnie dowód, że to dzikie dziecko wciąż jeszcze we mnie tkwiło? Leżałam zatem na łóżku, moje drobne, twarde piersi były delikatnie uróżowane, miałam skórę rozgrzaną zabiegami Agaty i pachnące cytryną włosy zakręcone w loki na paski płótna. Nagle poczułam się tak, jakby jakiś niewidzialny śledczy wkroczył do mojego pokoju, usadowił się wygodnie w nogach łóżka i wziął mnie w krzyżowy ogień pytań. Za kogo się uważałam, że pozwoliłam sobie spojrzeć poządlawie na męża innej kobiety? Czyżby ci, co szeptali, mieli rację? Czyżby poza innymi, zapewne bardziej szlachetnymi intencjami, księżę zabrał mnie do pałacu również po to, żeby uczynić ze mnie swoją kochankę? Czy tego dnia, który uważałam za początek swojej świeżo osiągniętej dorosłości, kierowały mną namiętności dojrzałej kobiety, czy może przekora niesfornego dziecka? Nie znałam odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Z każdym żalobnym uderzeniem dzwonów w kaplicy moje myśli stawały się cięższe. Kwadrans po kwadransie, od czwartej po południu prawie do północy. Moje serce drżało przy każdym uderzeniu, a zawstydzenie walczyło w nim z ekscytacją.

Agata długo nie wracała. Wpadła tylko na chwilę, żeby zostawić mi tacę z kolacją. Widocznie Leo miał gości. Albo siedział do późna w bibliotece. Może wyszedł? Lecz nie, w takim wypadku Agata przybiegłaby, żeby mi o tym powiedzieć. Tak, przybiegłaby - więc mogłaby także zajrzeć tu w każdej chwili, powiedzieć mi, że wszystko w porządku. Uczesać mnie. Lecz nie. Nie było jej, gdy dzwony były północ, ani kiedy znów zaczęły bezlitosne odliczanie o pierwszej. Skrajem prześcieradła starłam szminkę z ust i piersi, chwilę później już zasypiałam.

Ale nie zdążyłam zasnąć na dobre, kiedy obudziła mnie Agata, mówiąc, że już czas. Leo poszedł do swoich apartamentów. Korytarze były puste.

„Pośpiesz się” - powtarzała to raz po raz, adresując polecenie do nas obu. Palce jej się płątały, kiedy zdejmowała mi papiloty, czesała mnie i zapinała guziki nocnej koszuli. Wypchnęła mnie na korytarz, nakreśliła nade mną znak krzyża i zamknęła mi drzwi przed nosem. Zaczęłam biec. Gdy dotarłam do pierwszych schodów, zawahałam się. Nie miałam w ustach płatką róży. Nie było też szminki. Nie miałam na nogach pantofli, stopy marzły mi na kamiennej podłodze. Kamień jest zimny nawet w maju, a ja właśnie szłam po nim boso, z obnażonymi ramionami, i trzymałam się kamiennej poręczy przy schodach, mijając kolejne piętra. Nigdy nie byłam w pokojach Lea. Przynajmniej oficjalnie, bo kiedy na początku poznawałam pałac, owszem, z ciekawości poszłam zobaczyć, gdzie są książęce apartamenty. Wtedy chciałam chodzić tam i z powrotem, trzymając wartę przy miejscu, w którym spał. Byle tylko być przez chwilę tam, gdzie on. Móc słuchać jego oddechu, przykładając ucho do drzwi. Teraz też przyłożyłam ucho. Żadnego odgłosu. Zapukałam.

- *Avanti*. Wejdz.

Zamarłam. Cisza. Czekałam chwilę. Zapukałam jeszcze raz.

- *Avanti, Cosimo. Sono ancora in piedi*. Wejdz, Cosimo, jeszcze się nie położyłem.

Otworzyłam drzwi. Stał przy kominku, na wpół ubrany. Jego ciemna sylwetka w skąpym świetle wydawała się dziwnie daleka.

- Tosca! Co ci się stało? Źle się czujesz?

Ruszył w moją stronę, a ja podbiegłam do niego. Omal się z nim nie zderzyłam. Ale byłam córką koniokrada, jeździłam konno na oklep od trzeciego roku życia. Byłam świetną amazonką, więc wskoczyłam na księcia, jak na konia i objęłam go w pasie nogami. Szopa jego jasnych włosów rozwiewała się jak końska grzywa. Pocałowałam go. Moje nieuszminkowane usta zasypały pocałunkami jego twarz, czoło i głowę, uszy i oczy. Chwycił mnie za rękę i próbował odsunąć od swojej twarzy, ale nie przestawałam go całować. Odepchnął mnie. Upadłam na podłogę. Otarł czoło. Sięgnął po czerwony szlafrok, ja tymczasem podniosłam się z podłogi. Drzwi jego pokoju były uchylone przez cały ten czas. Podszedł do nich, związał pasek czerwonego szlafroka i otworzył je szerzej. Patrzył w moją stronę, ale jakoś przeze mnie, jakby mnie nie było. Podeszłam do drzwi i zatrzymałam się, przechodząc obok niego. Podniosłam na niego wzrok. Jego spojrzenie było nieuchwytnie, a przy tym przeszywające na wylot. To ja musiałam pierwsza odwrócić oczy. Wyszłam z pokoju i władczym krokiem oddaliłam się w głąb korytarza, jakby dwaj paziowie nieśli

za mną tren królewskiej sukni. Byłam pewna, że on patrzy w ślad za mną. Nie mogło być inaczej. Ale było. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi. Wtedy puściłam się pędem.

Rozdział 6

Następnego ranka nic już nie było takie jak dawniej. Pocałowałam Lea. I cóż z tego, że on nie odwzajemnił pocałunku? Moja zazdrość o śniadoskórą dziewczynę doznała ukojenia, przynajmniej mogłam udawać przed sobą, że tak się stało. Nic się poza tym nie zmieniło w moim życiu, jeśli pominąć to, że ubrałam się w prostą płócienną sukienkę Agaty, jedną z tych, jakie wkładała do pracy, i zaplotłam włosy w pojedynczy warkocz, sięgający mi do pasa, a przy śniadaniu pożerałam ogromne ilości chleba z masłem i wypijałam kolejne filiżanki ciepłego mleka, uprzejmie prosząc raz po raz o koszyk z chlebem, by położyć na swoim talerzu następne kromki. I następne. Oprócz tych widocznych sygnałów, że zaszła we mnie jakaś zmiana, wszystko zostało po staremu.

- Tosco, czyżbyś włożyła sukienkę Agaty? - zwróciła się do mnie nienaturalnie wesołym głosem Simona.

- Tak. Zamieniłam się z nią na ubrania - odparłam, jakbym opowiadała o nadzwyczaj roztroprnym posunięciu.

- Ale jeśli wyrosłaś ze swoich, wystarczy powiedzieć. Zajmie się tym krawcowa. Nie musisz nosić rzeczy Agaty.

- Nie, nie w tym rzecz. Po prostu wolę nosić sukienki Agaty.

Leo milczał. Księżniczki zaczęły chichotać. Simona złożyła serwetkę, wsunęła ją w srebrne kółko, a następnie zabroniła mi kiedykolwiek siadać do stołu w czymkolwiek poza moimi własnymi sukienkami. I było to właśnie to, co chciałam od niej usłyszeć. Że mam nie siadać do stołu w czymkolwiek poza... Bo widzi pani, właśnie o to mi chodziło. Nie chciałam już więcej siadać do stołu. Do ich stołu.

Po podwieczorku poprosiłam Lea, żeby mnie wysłuchał. Poszliśmy na spacer w stronę gaju cytrynowego. Powiedziałam mu o swoim życzeniu. Chciałam wyprowadzić się i zamieszkać w *borghetto*. Podziękowałam mu za doskonałe wychowanie i za to, że utrzymywał mnie przez sześć lat. Wyjaśniłam, że przyszedł już czas, żebym zaczęła pracować na siebie sama.

- Myślę, że poradziłabym sobie z pracą w polu, mogłabym też pomagać w kuchni albo opiekować się małymi dziećmi. Wszystkie te zajęcia są dla mnie bardziej odpowiednie niż to życie. - Wskazałam ręką pałac. Ten pomysł nie wziął się z chwilowych emocji. Dobrze się nad nim zastanowiłam. Właściwie w jakiś tam sposób zastanawiałam się nad nim zawsze, odkąd tu jestem.

Przypuszczał bez wątplenia, że to nieprawda, że wymyśliłam to wszystko, bo chciałam opuścić pałac z jego powodu. Dlatego, że mnie odepchnął. Przypuszczał, że jestem zawstydzona tym, co się wydarzyło. Podjęłam polemikę z jego przypuszczeniami, zanim je sformułował.

- Moja prośba nie ma nic wspólnego z naszym spotkaniem wczoraj wieczorem.

- Z naszym spotkaniem? No, tak. To znaczy, nie. Ach tak, z naszym spotkaniem. Nie, nie myślę, że chcesz opuścić nas z tego powodu. - Otarł czoło tym samym ruchem, co poprzedniego wieczoru w swoim pokoju. - A co będzie z dalszą nauką? Miałabyś u nas codziennie cztery godziny wolnego czasu na czytanie. Nie wtrącałbym się do twoich spraw, nawet gdybyś została w pałacu. A co z jazdą konną? Jesteś młodą dziewczyną, Tosco, i kierujesz się przede wszystkim emocjami. Myślę, że twoje wyobrażenie o świecie jest wyidealizowane. Życie w *borghetto* nie jest wcale łatwe.

- Wydaje mi się, że życie w pałacu jest równie trudne.

Wtedy się roześmiał. Śmiał się z całego serca. Usiadł na tej samej kamiennej ławce, na której tak często się wylegiwałam, czytając książki, i powtórzył za mną, rozbawiony:

- Wydaje mi się, że życie w pałacu jest równie trudne!

Przedrzeźniał mnie tylko, czy też tak sądził? Uspokoił się zresztą od razu. Uśmiechał się jeszcze tylko pod nosem, chyba mimo woli.

- Muszę przyznać, że kiedy tu zamieszkałam, wszystko mnie zaskakiwało i przytłaczało, i ten pałac, i wasz styl życia. Dziwiłam się każdemu drobiazgowi. Lubiłam przebiegać przez amfilady w pięknych sukienkach, lubiłam ceremonialną codzienność pałacu. Ale wkrótce wszystko to - oprócz czytania i nauki - zaczęło mi się wydawać pustym przedstawieniem. Jakbyśmy odgrywali role postaci z jakiejś bajki, która ciągnie się w nieskończoność, bo nie ma zakończenia. Ani złego, ani dobrego. Żadnego. I to wydawało mi się coraz bardziej i bardziej niepodobne do prawdziwego życia. Pamiętam, jak wyglądało moje własne życie, zanim tu zamieszkałam. Za sprawą tych wspomnień czułam się jeszcze bardziej samotna. Nie było moim marzeniem znowu cierpieć nędzę i głód, ale, choć trudno w to uwierzyć, wtedy byłam szczęśliwsza. Zwłaszcza zanim mama umarła. Lecz także wówczas, kiedy musiałam opiekować się Maleńką Mafaldą. To właśnie było moje życie. A przez te wszystkie późniejsze lata żyłam życiem, które nie było już moje własne. Żyłam życiem księżniczek. Życiem waszej rodziny. Proszę mi to wybaczyć, ale nie zawsze jestem księżciu wdzięczna za to, że wyrwał mnie z dawnego życia. Skutek tego był taki, że z jednego niedostatku popadłam w inny. Księżę to przecież rozumie, prawda? Jeśli chodzi o niedostatek, na pewno księżę czuje, że to prawda.

Leo już się nie uśmiechał. Przyglądał mi się, jakby zobaczył w mojej twarzy jakiś zupełnie nowy rys. Przyglądał mi się z uwagą.

- Daj mi trochę czasu - powiedział. - Być może znajdę jakiś sposób, żebyś mogła poznać *borghetto*, pozostając w pałacu.

Kiwnęłam głową, dygnęłam i przez ogród wróciłam do pałacu. Pragnęłam czegoś innego niż pałac i czegoś innego niż *borghetto*. Tym, czego naprawdę potrzebowałam, była jego miłość.

Przez wiele dni - niewykłuczone, że były to tygodnie - dalej zajmowałam swoje miejsce w pokoju lekcyjnym, w kaplicy i przy stole. Ubierałam się wyłącznie w swoje własne sukienki. Postanowiłam skromnie czekać. Pewnego razu, gdy późnym popołudniem zajrzałam do biblioteki, natknęłam się na Lea. Jakby się mnie spodziewał. Na stole nie było żadnej otwartej książki. Nawet lampka z abażurem nie świe-

ciła. W pierwszej chwili pomyślałam, że mu w czymś przeszkodziłam, chciałam się wycofać. Ale wskazał mi krzesło stojące obok.

- Wiele myślałem o czymś, co, jak się wydaje, dotyczy również ciebie. Myślę, że przyszła już pora o tym porozmawiać. Tak, nie należy tego odkładać.

Słowa, których użył - „o czymś” i „tego” - zabrzmiały tak, jakby chodziło o coś niemiłego. Albo jakby był skrepowany. W każdym razie dziwnie się czułam, siedząc obok niego. Tym razem nie było już, jak zwykle, wolnego krzesła między nami. Nie paliła się lampka na stole i nie byliśmy zatopieni w lekturze. Książkę obracał w palcach czarno-zielone wieczne pióro. W ciszy, jaka zalegała przez chwilę, odgadłam, o czym chciał ze mną rozmawiać. Wyglądziłam sukienkę, wyprostowałam się, dłonie położyłam na udach. Leo najwyraźniej zamierzał rozmawiać ze mną o sprawach płci.

- Wiesz, co oznacza słowo *latifondo*?

W żadnej z książek, które czytałam, nie wyłączając *Szkoły uczuć* Flauberta, nigdy nie spotkałam się z tym słowem. Zastanowiłam się nad jego łacińską etymologią i doszłam do wniosku, że musi oznaczać „szerokie łoże”. Pomyślałam, że zechce mi złożyć jakąś niezwykłą propozycję. Wstałam, zamierzałam odejść. Ale chyba tego nie zauważył, bo ciągnął dalej.

- *Latifondo* to wielkie obszary ziemi uprawnej. Właściciela tych wielkich obszarów ziemi nazywa się *latifondista*. Jestem *latifondista*, Tosco.

Do czegoś przynajmniej się wreszcie przyznał. Że jest tym *latifondista*. Choć nadal nie rozumiałam, jaki związek mogło mieć posiadanie ziemi uprawnej z jego upodobaniem do szerokiego łoża. Mówił dalej, bawiąc się piórem. Starłam się słuchać uważnie.

- Odziedziczyłem te ziemie częściowo po ojcu, częściowo po wuju. Podczas ostatnich osiemnastu lat, kiedy tylko ja ponosiłem odpowiedzialność za wszystkie te grunty, niewiele zrobiłem, żeby wykorzystać je jak najlepiej. Obsiewaliśmy tylko niewielką część pól, na niektórych wypasaliśmy owce, a reszta to ugory. Zaniebaliśmy swoje dziedzictwo. Nie inwestowałem w maszyny rolnicze, w systemy nawadniające. Nie zbudowałem dróg, nawet tych bitych, najmniej kosztownych, by umożliwić transport plonów, gdyby plony miały się pojawić.

Nie było mu łatwo wyrzucić to z siebie. Pastwiska, systemy nawadniające, ugory, te trzy określenia zabrzmiały w moich uszach dobitniej niż pozostałe, choć nadal nie miałam pojęcia, po co mi o tym mówi. Przyglądałam mu się jednak z taką miną, jakby wszystko to było dla mnie jasne. Ze zmarszczonym czołem i rozumiejącym spojrzeniem. Od czasu do czasu kiwałałam głową. Kontynuował swoją myśl.

- Wielu *latifondisti* sprzeciwia się reformom, które rząd zamierza przeprowadzić, by rozwiązać problem nędzy, w jakiej żyje ogromna część Sycylińczyków. Usunięcie zniszczeń wojennych bez przeprowadzenia reform może okazać się niemożliwe. Ale Rzym jest w swych działaniach beznadziejnie opieszale. Miną lata, zanim nowe prawa wejdą w życie, i kolejne lata, zanim zaczną przynosić pożytek. Państwo nie martwi się o swoich ubogich, rząd nic dla nich nie czyni. To my sami musimy zmierzyć się z tym problemem.

Teraz chłonełam każde jego słowo. Mówił cicho, prawie szeptem.

- We wszystkich regionach Sycylii i wszędzie na *mezzogiorno* Włoch wieśniacy zaczynają się buntować. Cierpią głód, śmiertelny głód. Patrzą, jak ich dzieci umierają z głodu, a tymczasem my - oni także - mamy wokół siebie ziemi pod dostatkiem. Ziemi leżącej odłogiem. Żyznej ziemi, mogącej urodzić więcej, niż ci wieśniacy kiedykolwiek oczekiwali. Bo przecież głód zawsze trapił tę wyspę, Tosco. Ma ona za sobą stulecia głodu. Oprócz permanentnego głodu pamięta tylko nasilone fale masowej śmierci głodowej. A najbardziej uprzywilejowani rolnicy, czyli dzierżawcy gruntów - i nasi dzierżawcy także - ledwie przędli. *Latifondisti*, dzielenie plonów po połowie to zhora średniowiecza. Czyni wieśniaków niewolnikami raczej niż rolnikami, a przy tym w praktyce dzierżawcy nie dostają przeważnie nawet należnej połowy. Wielu właścicieli ziemskich, *latifondisti*, zostawia swoim wieśniakom tylko tyle, żeby przeżyli. Panowie balują, chłopci pracują. Chciałbym, żeby to się wreszcie zmieniło. Przynajmniej w moim majątku. Moja żona zarzuca mi nadgorliwość. Zdaje się, że Cosimo podziela jej opinię.

Zaskoczył mnie sposób, w jaki wspomniał o Simonie. Było w tym coś znacznie bardziej osobistego, niż kiedy mówił, że czeka w kaplicy albo że spóźni się na obiad. To było coś, o czym rozmawiali we dwoje, sam na sam.

- Nie jest moim celem odebrać przywileje właścicielom ziemskim. Chcę tylko znieść wyzysk w moim własnym majątku, uwolnić od niego moich własnych chłopów. Co zrobią inni przedstawiciele mojej klasy, to już nie zależy ode mnie. Jeśli chcą przedłużać trwanie feudalizmu, nie mam na to wpływu.

Nie mam na to wpływu, powtórzył. A potem jeszcze kilka razy.

- *Tosca, tu ricordi quel ragazzo che suonava il mandolino durante la festa vicino al fiume?* Pamiętasz tego chłopaka, który grał na mandolinie podczas festynu nad rzeką?

- Pamiętam obu - powiedziała mu. Ujrzałam ich znowu, w ozdobionych lamпасami spodniach.

- Chodzi mi o tego, który nazywał się Filiberto, wiesz, który to?

- Tak - odpowiedziała nieco głośniejsz.

- Otóż niedawno, nie pamiętam dokładnie kiedy, jakieś dwa, trzy tygodnie temu ktoś, kogo nie znam, pojawił się w *borghetto* i rozmawiał tam z mężczyznami. Zwłaszcza z młodymi. Prowadził werbunek. Szukał najbardziej zdesperowanych. Ci, co werbują, umieją to rozpoznać. Spodobał mu się Filiberto. Filiberto, którego oboje rodzice ciężko chorują, a siostry i bracia - cała piątka - bez przerwy chodzą głodni. Tak, właśnie jego wybrał ten człowiek. Zrozpaczeni to niezły materiał na straceńców. Zaoferował mu żywność i lekarstwa, czyli to, co należało się tej rodzinie ode mnie. Żywność i lekarstwa, o które chłopak mnie nie poprosił, bo był zbyt dumny, żeby prosić jak żebrak. I za to ów człowiek chciał prostej przysługi. Czegoś, co nie wymaga zbyt wiele pracy. Ale przedtem zaprosił Filiberta w góry, tam, gdzie mieszkał ze swoimi kompanami. Posadzili go przy wspólnym stole. Jedli i pili, dowcipkowali i palili cygara. Biedny Filiberto wpadł w sidła z kretelem. Przyjęty do towarzystwa, uszczęśliwiony poczuciem wspólnoty i przynależności. Praca, którą mu proponowali, była zajęciem godnym mężczyzny. Propozycja wyglądała uczciwie. Pomyślał, że jeśli zacznie dla nich pracować, to przecież robi to dla rodziny.

- Tak jakbym sam ich słyszał, Tosco. „Położysz się pod rozszczepionym drzewkiem oliwnym, będziesz spokojnie czekał, a kiedy zobaczysz faceta w zielonej koszuli, wycelujesz w twarz. Tak, chodzi o to, żeby rozwalić facjatę człowiekowi, który zachował się niegodnie. Księżyc będzie świecił jasno. Będziesz wyraźnie widział cel. On przejdzie całkiem blisko ciebie. Umiesz strzelać, Filiberto? Każdy szanujący się wieśniak umie strzelać. Masz tu strzelbę. Kiedy ten w zielonej koszuli minie rozstaje, wkroczysz do akcji. Naciśniesz spust. Odczekasz pięć sekund, nasłuchując. I w krzaki. Biegnij do domu. W domu kładź się spać. Jutro zapłata będzie czekać pod drzwiami. Fasola, ryż, kartofle, kawa i cukier. Papierosy. Lekarstwa znajdziesz w białym pudełku. Jeszcze przed świtem”.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Szeptał i krzyczał na przemian. Kiedy na mnie spojrział, siedziałam ze spuszczoną głową. Mógł zauważyć, że płaczę. Płakałam. Całkiem spokojnie. Łykając łzy.

- Wybacz mi, Tosco. Nie powinienem ci tego wszystkiego opowiadać. Chciałem raczej mówić o tobie. O tobie i o *borghetto*.

- Bardzo dobrze, że pan mi o tym powiedział - odezwałam się, szlochając już na całego. - Ale co się stało z Filibertem?

- Jutro jest jego pogrzeb. Nie było żadnych worków z żywnością pod drzwiami przed świtem, a kiedy wybrał się w góry po swoją zapłatę, ktoś go zastrzelił. Zwłoki porzucili pod drzwiami, znalazła je matka. Żałosny tłumok bez twarzy.

I książkę także otarł łzę.

- Mój Boże, niepotrzebnie o tym mówię. Nikt w pałacu się o tym nie dowiedział, przynajmniej do tej pory. A może niektórzy wiedzą? Tak czy inaczej, te sprawy należą do *borghetto*. Oni chcą radzić sobie z tym sami, nic od nas... ode mnie nie potrzebują. Ból jest zbyt wielki. To wyłącznie ich tragedia.

- Dlaczego?

- Pytasz o powód jego śmierci? Rzecz chyba w tym, że Filiberto zbyt łatwo przyjął zlecenie. Ci ludzie mogli uważać, że świadczy to o słabości. Sprzedał się za worek ryżu i papierosy. Tak, to nie było świadectwem siły charakteru. Dlatego wykorzystali go raz i zlikwidowali. Nie nadawał się.

- Skoro potrafią zabijać, czemu sami nie zastrzelili tego człowieka w zielonej koszuli? Czemu potrzebowali kogoś takiego jak Filiberto, żeby zrobił to za nich?

- To właśnie jest przejaw ich sycylijskiej tradycji. Oni stawiają się poza społecznością i nie obchodzi ich żadne prawo oprócz tego, które sami dyktują. Na Sycylii państwo jest nieobecne. Dla niedołączonych rządów z dalekiego Rzymu wąski przesmyk, który dzieli Sycylię od półwyspu, okazuje się nieprzebytą przeszkodą. Wieśniacy sycylijscy wiedli życie rozbójników przynajmniej od tak dawna, jak długo na wyspie panował głód. Państwo nie jest tu zdolne nikogo ochronić. Więc miejscowi stworzyli własne państwo. Może to Scylla we własnej osobie swoim syrenim śpiewem zwodzi urzędników państwowych z właściwego kursu. Być może to ona uniemożliwia nawet państwowej dotarcie do brzegów wyspy, posyłając ją na skały. Ten, kto zastrzelił Filiberta - nie musiał to być żaden z mężczyzn, którzy zawierali z nim umowę - uznał, że to dla nich zbyt kiepski nabytek. Za mało przebiegłości, za mało zuchwalstwa. Niewykluczone,

że ten, kto zdecydował o śmierci Filiberta, nie uważał go za porządnego człowieka. Te bandyckie klany stosują własne kryteria moralne, własne systemy wartości. - Zatrzymał się obok mojego krzesła i położył mi dłoń na głowie. - A moja drobna, śmieszna rewolucja jest bardzo spóźniona. Zaspąłem, Tosco, prawda?

- Nie. Nawet sam książę nie mógłby odmienić losu Filiberta. Ani wpłynąć na moją decyzję. Czy książę sądzi, że ten wypadek ją zmieni? Że nie będę już chciała zamieszkać w *borghetto*? Nic podobnego. Będę chciała tam zamieszkać tym bardziej.

- Tak. *Sempre di pi*. Będziesz chciała tym bardziej. Jeszcze teraz wrażenia z *fiesta* podbudowują twój idealizm. Choć trudno w to uwierzyć, mój idealizm podbudowują także, i to mimo wypadku, o którym ci opowiedziałem. Ale podczas gdy historia Filiberta wstrząsnęła nami do żywego, festyn nie daje prawdziwego wyobrażenia o codziennym życiu *borghetto*. Takich festynów nie było tu od czasu, gdy żył jeszcze mój ojciec. Tym razem, zamiast pozwolić wieśniakom wspólnie zebrać środki na jakieś skromne przyjęcie, na którym dodatkową atrakcją byłby przysłany przeze mnie tort albo cokolwiek, co mógłby dla nich przygotować mój kucharz, wysłałem kierowcę do Trapani po świeże sardynki. Pojechałem razem z don Cosimem na targ do Enny i przywieźliśmy stamtąd najpiękniejsze warzywa i owoce, jakie tylko mogliśmy znaleźć. Wytoczyłem parę beczek wina z pałacowej piwnicy, dostarczyłem drewna na ognisko. Zrobiłem to, co powinienem był robić rok w rok przez całe dwadzieścia lat od śmierci mojego ojca. Nie poszedłem za jego przykładem. Za przykładem jego wielkodusznej życzliwości. Wybrałem kulturę dzieleńia ludzi na posiadaczy i biedaków. Zaakceptowałem tę normę społeczną. Ludziom, którzy głodowali, pracując dla mnie, gotów byłem doradzać, by jedli ciastka, gdy nie mają chleba, jak Maria Antonina. Oddawałem się swoim pasjom, czytaniu książek, jeździe konnej, a od czasu do czasu przychodziłem do *borghetto* na czyjś ślub, chrzciny albo z fałszywymi wyrazami współczucia i kwiatami na czyjś pogrzeb. Owszem, czasem szedłem napić się wina z ojcem jakiejś młodej dziewczyny, która dojrzała do zamążpójścia, by przyjrzeć się jej jak klaczy wystawionej na sprzedaż. Najczęściej odjeżdżałem umówiony z nią na spotkanie, wyposażony w *ius primae noctis*, prawo pierwszej nocy. Nie chcę przez to powiedzieć, że byłem złym człowiekiem, kimś niezającym współczucia. Zachowywałem się w sposób niegodziwy, i muszę dodać, że niegodziwość jest przekleństwem dla tego, kto ulega jej podszeptom. Byłem zadufany, pełen głupoty i arogancji. W swojej bierności stałem się całkowicie zdeprawowany. Potrzeba było dopiero wojny, żebym się ocknął. Przez te lata widziałem w *borghetto* takie rzeczy... don Cosimo także je widział... których nie zapomnę nigdy. Choć nie byłem bezpośrednią przyczyną niczyich cierpień, nie jestem bez winy. Ale jeśli chodzi o Filiberta, to wina spoczywa na mnie. I będę musiał z nią żyć, starając się ją odkupić.

- Filiberto podjął własną decyzję.

- Filiberto podjął desperacką decyzję.

- Być może. Ale moja decyzja nie jest desperacka. To nie festyn wpłynął na moje postanowienie, żeby zamieszkać w *borghetto*. To ludzie. Wieśniacy. Należę do nich i chcę żyć wśród swoich.

Milczał przez dłuższą chwilę. Wydawało się, że całą jego uwagę pochłania czarno-zielone pióro.

- To ciekawa konkluzja. Mówisz mi, że chcesz wrócić do siebie. Tak? Dobrze zrozumiałem?

- Nie myślałam o tym w ten sposób, ale... tak. Skoro pan tak to określił. Chcę wrócić do siebie. W *borghetto* będę u siebie.

Mówiłam powoli, jakbym badała wartość każdego słowa. Sama nie byłam przekonana, czy są najlepszej próby.

- Nie wydaje ci się, że każda dziewczyna z *borghetto*, w twoim wieku, młodsza, starsza, bez różnicy, z miejsca zamieniłaby się z tobą, gdyby tylko miała taką możliwość?

- Być może każda z nich chciałaby się ze mną zamienić. Przynajmniej przez chwilę. Póki nie odezwałby się w niej głos wspólnoty. Pragnienie życia wśród swoich. Państwu potrzeba do szczęścia zupełnie czego innego niż nam. Moja siostra rozumiała to o wiele szybciej ode mnie.

- I mówisz, że rozumiałaś to właśnie teraz? No, dobrze. To następny przejaw twojego idealizmu. Ale zastanówmy się, jak to będzie wyglądało w praktyce. Wiesz przecież, że wieśniacy na co dzień nie tańczą i nie bawią się. Tak, o tym wiesz na pewno. A czy wiesz i o tym, że często nie mogą najeść się do syta? Moi chłopcy chodzą głodni, Tosco, podczas gdy my tutaj, najedzeni, siedzimy dalej przy stole, póki nie podadzą nam deseru, który ledwie raczymy skubnąć. Jakby przynoszono nam jadowitą meduzę.

- Ale przecież z naszej kuchni posyła się do *borghetto* kosze i skrzynie pełne jedzenia.

- Tak, resztki z naszego stołu rozdajemy wieśniakom. Jakbyśmy dokarmiali zwierzęta. Oddawanie tego, czego już nie chcemy, nie jest dzieleniem się z innymi. Stać mnie na więcej. I zrobić więcej to mój obowiązek. Nie chcę już nigdy więcej zatrzymywać dla siebie tego, co powinienem oddać innym. Nie jestem aż takim idealistą, by wierzyć, że mogę wynagrodzić tym ludziom ich cierpienia i wieki nędzy, która jest ich historycznym dziedzictwem. I zawsze była ich historycznym dziedzictwem. Tak, była. Teraz mogę im pomóc. Mogę położyć kres wyzyskowi. Pomożesz mi?

- Czy ta pomoc będzie wymagała rezygnacji z zamieszkania wśród nich? Pomaganie panu ma mnie odciągnąć od tego pomysłu? Proszę księcia, nie chcę być traktowana jak dziecko. Nie jestem dzieckiem. I chyba nigdy nim nie byłam. A poza tym nie wiem, w jaki sposób mogłabym pomóc.

- Powiem ci, w jaki sposób. W swoim czasie wszystkiego się dowiesz. Ale chciałbym, żebyś najpierw spróbowała zrozumieć, że to dla twojego dobra próbuję cię powstrzymać. Nie dla własnego. Jeśli się tam przeniesiesz, to wszystko, czego się nauczyłaś, odrabiając lekcje i czytając książki, stanie się tylko wspomnieniem. Utracisz wolność zaspokajania swojej żądzy wiedzy. Nie będziesz już miała czasu na czytanie. Możesz sobie wyobrazić życie, w którym nie będzie czasu na czytanie? Jeśli naprawdę chcesz żyć w *borghetto*, możesz tam przebywać, nie rozstając się z pałacem. Możesz mieć jedno i drugie.

- Nie chcę jednego i drugiego. Chciałabym wrócić do własnego domu. A skoro to nie jest możliwe, spróbuję tam znaleźć dla siebie jakiś dom.

- Myślę, że to ci się może udać. Przy twoich zaletach nie jest to wykluczone. Ale ja nie przyłożę do tego ręki.

- To znaczy, że książę nie pozwoli mi odejść? Popatrzył na mnie i prawie szeptem odpowiedział:

- Pozwolę. Oczywiście, że pozwolę. - I zaśmiał się. - Nie jesteś moim więźniem.

- Więc kim jestem? Kim dla księcia jestem?

Leo zamilkł. Wziął do ręki czarno-zielone pióro i głaskał je opuszką kciuka. Żałowałam, że to nie mnie tak głaszczesz.

- Jesteś niezwykłą młodą dziewczyną. Jestem z ciebie bardzo dumny. Chciałbym, żebyś zawsze była blisko mnie.

Ostatnie słowa wypowiadał coraz wolniej.

Ale dlaczego nie spytał, kim on jest dla mnie? Dlatego, że wiedział? Zamilkł, przez chwilę bawił się swoim piórem. A potem znowu się odezwał.

- Nawet gdybym nie był tak samolubny, żeby chcieć cię zatrzymać przy sobie, i tak ostrzegałbym cię przed tym, co chcesz uczynić. Chociaż wydaje ci się, że jesteś z tej samej gliny co wieśniacy, oni nie będą cię uważali za swoją. W oczach większości z nich jesteś moją trzecią córką. Dla niektórych jesteś jeszcze kimś innym. *Una bella puttana*. Śliczna mała prostytutka. Pewnie nieraz słyszałaś szept za twoimi plecami w salonie. Szeptano tak, żebyś słyszała. Szepczący życzyli sobie, żebym ja także ich usłyszał. Chcieli, żebym tym domysłem zaprzeczył albo, jeszcze lepiej, potwierdził je. Ale wolałem rozprawiać o sprzęcie żniwnym i o cenach węgla, drażniłem ich swoją powściągliwością. Te szept odzywały się wszędzie. W *borghetto*... Tam się dopiero szeptało. Będą stronili od ciebie i ci, którzy mają cię za księżęcą córkę, i ci, którzy widzą w tobie moją kochankę. Ale jeżeli to ja cię tam pošlę... Jeśli zgodzisz się na to, żebym cię tam posłał... to znaczy, jeśli zgodzisz się reprezentować tam pałac, wieśniacy przyjmą cię jak najserdeczniej. Okażesz się wtedy wystarczająco obca, żeby twoja obecność nikomu nie przeszkadzała. Kontaktując się z tobą, będą przestrzegali granic, które wyznacza twoja rola.

- Jaka rola?

- Nauczycielki ich dzieci. Tak. Nauczycielka. *La maestra*. Wszyscy wiedzą, jak staranną odebrałaś edukację. Wszyscy wiedzą, że byłaś prymuską. Skoro nie uważają cię za równą sobie, musisz stanąć wyżej od nich. Jako ktoś, kto ma uczyć ich dzieci pisanie i czytania.

- A co z tymi, którzy szepczą za moimi plecami? Jeśli zostanę nauczycielką, to szept umilkną?

- Nie. Prawda jest taka, że będą cię brali na języki niezależnie od tego, co zrobisz. I niezależnie od tego, gdzie będziesz żyła. Od tak dawna mówiłem o tobie jako o swojej wychowawcy, że nie może być inaczej. Wbrew własnym intencjom i wszystkiemu, co potem uczyniłem, sam postawiłem cię w takiej sytuacji.

- Więc jestem naznaczona. Skompromitowana. Wszystko jedno, w pałacu czy w *borghetto*.

- Tak, jesteś naznaczona. Ale nie skompromitowana. Na dziś wystarczy. Dość już ode mnie usłyszałaś jak na jeden raz.

Sprawy, które rozważałem miesiącami, wyłożyłem ci w jedno popołudnie. Musimy na tym zakończyć tę rozmowę. Będziemy do niej wracać. Codziennie po trochu. Będziemy się jeszcze nad tym wszystkim zastanawiać.

Po raz pierwszy tego dnia uśmiechał się, kiedy do mnie mówił. W bibliotece było już całkiem ciemno. Wstał, włączył dwie lampki. Nawet ten łagodny blask, jaki roztaczały, raził mnie w oczy. Niespodziewane było to zakończenie naszego spotkania. Widocznie się tego domyślił, bo zgasił lampki i zapalił świeczkę. I tą samą zapałką przypalił papierosa. Po czym przeprosił, że mnie nie częstuje.

- Książę wie przecież, że nie palę - odparłam, ale było mi przyjemnie, że traktuje mnie jak dorosłą.

- Kiedy się zapoznasz ze swoimi nowymi obowiązkami, to kto wie, czy nie zapalisz ze zdenerwowania.

Powiedział to, siadając znowu w fotelu, i przeciągnął się z papierosem w zębach. Lubiłam patrzeć, jak pali papierosy. Podobały mi się bardziej od jego fajki. Wieczorem także zastałam go z papierosem. Trzymał go w zębach, jak zwykle. Zauważyłam to, kiedy tylko otworzyłam drzwi jego pokoju. Wyjął papierosa z ust i wrzucił do ognia w kominku. Podeszedł do mnie szybkim krokiem, niemal podbiegł.

- O co znów chodzi, Tosco?

Miał na sobie tylko spodnie do konnej jazdy. Patrzyłam na jego nagi tors. Jego głos wtargnął w moje zapatrzenie. Powiedział, że przed chwilą wrócił z przejażdżki razem z don Cosimem. Kiedyś wszyscy wybierzemy się na przejażdżkę tą samą trasą. Może w niedzielę. To dłuższa wycieczka, powiedział. Aż do pałacyku myśliwskiego. Piękny stary budynek. Teraz mieszkają w nim goście, jego kuzyni. W okolicy jest dzikie ptactwo. I zające. *Potremo pranzare là con loro*. Możemy pojechać tam na obiad. No, zobaczymy, do niedzieli jeszcze czas. Odezwał się dzwon. Za piętnaście minut nieszpory.

- To była prawda, co ci powiedziałem.

Pożegnałam się z nim. Dygnęłam i byłam już przy drzwiach. Ale odwróciłam się jeszcze w nadziei, że wyjaśni mi, jaką prawdę ma na myśli.

- To, że chciałbym, żebyś zawsze była blisko.

Rozdział 7

Kilka dni później wybraliśmy się do *borghetto* we trójkę - Leo, don Cosimo i ja. Nigdy nie jechałam autem od czasu, kiedy oni przybyli po mnie we dwóch do domu mojego ojca i zabrali do pałacu. Teraz znowu siedziałam z tyłu i przyklejałam się do skórzanej tapicerki, chuda wyrośnięta nastolatka w jasnoróżowej sukience opinającej kolana. Nogi mi urosły i były za długie, półleżąc, ledwie mieściłam się na tylnym siedzeniu, gdzie było dość miejsca jedynie dla dziecka. Pogniotła mi się sukienka. Tak samo jak tamtego dnia przed laty, za kierownicą siedział don Cosimo. Leo zajął miejsce obok kierowcy. Czy to jest to samo auto? Miałam nadzieję, że zrozumieją moje pytanie. Zrozumieli. Tak, to było to samo auto. Leo potrząsnął głową, jakby go coś zdziwiło. I uśmiechnął się. Byliśmy już na miejscu.

Przez prawie siedem lat, które przeżyłam w pałacu, rzadko bywałam w *borghetto*, znałam jedynie centralny placyk. Spacerowały po nim kozy, kury, gęsi, czasem wędrowny szewc rozstawiał tam warsztat, obok klatek z królikami, w cieniu kilku topól. Nic więcej nie miałam okazji zobaczyć. Ale teraz, w towa-

rzystwie paru mężczyzn, których Leo przedstawił jako wykonawców robót, obeszlśmy całą tę niewielką osadę, zaglądając do każdego budynku. Jednopiętrowe domy zbudowane z kamienia, tu i ówdzie *pasticcio* sklecona z drewna i cegieł. Żadnych wygod. Była w tym ubóstwie powaga i dostojeństwo. Jakaś odmiana harmonii. *Mensa*, jadalnia, pachniała duszonymi pomidorami, bo pomidory duszono tam w rondlach od niepamiętnych czasów. Długie stoły przykryte były kolorową ceratą. Pomyślałam, że z przyjemnością siadałabym na którejś z ławek przy takim stole. Obejrzelśmy salę, w której sypiali nieżonaci mężczyźni. Potem piekarnia, pomieszczenie, w którym robiono sery, wędzarnia i kaplica. I salka szkolna. Pozostałe pomieszczenia podzielono przepierzeniami na małe, nisko sklepione kłitki. Każdą zajmowała cała rodzina, gniezdząc się nieraz ze zwierzętami domowymi pod jednym dachem. Przy źródle długie, szerokie koryto z wodą dla zwierząt. W tym samym korycie kobiety prały odzież. Nie było żadnych innych urządzeń sanitarnych. W porównaniu z tamtejszymi warunkami mój dom rodzinny wydawał się zasobny. Zrozumiałam, dlaczego Leo powiedział mi, że jestem idealistką.

W osadzie zostało zaledwie kilka osób - tylko ci, którzy byli za młodzi albo za starzy, żeby pójść do pracy. I kobiety zajęte w kuchni albo w piekarni. Przystanąłam, żeby im się przyjrzeć. Nie było w nich ani śladu tej radosnej dumy, którą promieniały podczas festynu. W milczeniu robiły, co do nich należało. Nie przypominało to rutyny codziennych obowiązków. To była walka o przetrwanie. Usiadłam obok starca - tego samego, który grał na organkach podczas *fiesta*. Wydawało mi się, że go rozpoznaję. Na kościstych kolanach trzymał czarnookie niemowlę, wrzeszczące z uciechy, a może z niecierpliwości, gdy mężczyzna nabierał łyżką zupkę i przynosił do maleńkich usteczek. Chciałam zostać ze starcem i z niemowłkiem. Wyobraziłam sobie, jak wykapałabym oboje, położyła do łóżek i zajęła się przyrządzaniem dla nich posiłku. Ale zawołał mnie Leo.

W grupie mężczyzn rozmawiano o wybiciu dodatkowych okien, o budowie wewnętrznych ścian, o układaniu dachówek, o kominach, o osobnej zagrodzie dla zwierząt. O łaźni, o pralni, o latrynach. O prawdziwych łózkach, które miały pojawić się w sypialniach. Do wspólnej kuchni potrzebny był piec węglowy na dziesięć fajerek. Staralam się śledzić tok tej dyskusji, ale jeszcze bardziej przykuwał moją uwagę don Cosimo, który kręcił się wokół, otwierając i zamykając kolejne drzwi, jakby próbował ogarnąć umysłem rozmiar nędzy. Porzuciłam grupę mężczyzn i przyłączyłam się do niego.

- Zajmie to rok albo dwa, Tosco, i Leo całkowicie przebuduje tę osadę. Da dobry przykład, który pociągnie za sobą działania innych właścicieli ziemskich. Chyba że tamci zechcą dać mu nauczkę. Na przykład zastrzelą go za to, że podważył zastany porządek.

Wiedziałam, że ksiądz żartował, kiedy mówił o zastrzeleniu Lea. Ale zabrzmiało to jakoś bezdusznie w pobliżu miejsca, gdzie tak niedawno zginął Filiberto. Żart księdza mnie rozgniewał. Być może właśnie o to mu chodziło. Lecz nie pokazałam po sobie, że mu się udało wyprowadzić mnie z równowagi.

- Kto miałby go zastrzelić? Inni *latifondisti*? Popatrzył na mnie. Wytrzymał moje spojrzenie i uśmiechnął się.

- Tak. Inni *latifondisti*.

- Więc co robić? - spytałam, zastanawiając się, czy Leo mówił mu o swoim pomysłe, żebym została tu nauczycielką.

- Po prostu dodawajmy mu ducha, kiedy zacznie się załamywać. Bo na pewno zacznie się załamywać. Przebudowa to tylko drobna część zmian, które należy przeprowadzić. Trzeba się będzie zająć rekultywacją ugorów, nauczyć wieśniaków obchodzenia się ze sprzętem rolniczym i wprowadzić nowe metody upraw. Bo widzisz, Leo przysiągł, że rozparceluje posiadłość między wieśniaków i ich dzieci, uczyni z nich niezależnych rolników, zdolnych utrzymać się z produkcji rolnej dzięki sprzedaży nadwyżek, nauczy ich wątpliwej radości obracania gotówką. To będzie dzieło jego życia. I być może jego największy błąd. Nie wierzę, że wieśniacy staną się szczęśliwsi, kiedy zmieni się ich kondycja społeczna. Popadną raczej w nowy rodzaj udreki. Wyzbędą się tego, co w nich najbardziej ludzkie, zamienią to na dobrobyt. Ludzie powinni prowadzić życie, do jakiego się urodzili, Tosco. Jedni uprawiają ziemię, inni mają akty własności.

Zdał sobie sprawę z gafy, jaką właśnie popełnił, i przerwał swój monolog. Położył rękę na moim ramieniu.

- Jesteś częścią książęcej rodziny, do tego stopnia, że czasem zdarza mi się zapomnieć... Chciałem powiedzieć, że dla mnie to jest tak, jakbyś od zawsze do niej należała.

- *Va bene*, don Cosimo. *Capisco*. Rozumiem - zapewniłam go.

Znowu na mnie spojrział, tym razem tak, jakbym wydała mu się kimś innym niż do tej pory. I naprawdę byłam kimś innym. Nie tylko dlatego, że moją codzienną taftową spódnicę i nakrochmaloną bluzkę zastąpiła długa jedwabna sukienka, ani dlatego, że warkocze upięłam nad czołem, zamiast zawinąć je w obwarzanki wokół uszu. Nie to było istotą zmiany, jaka we mnie zaszła. Don Cosimo na próżno usiłował odnaleźć w bez mała szesnastoletniej Tosce, którą miał przed sobą, tamtą dziewczynkę sprzed lat. Nie umiał połączyć w jedną postać przyszłej *maestra* z dzikuską jeżdżącą konno na oklep. Więc Leo raczej nic mu o mnie nie powiedział. Don Cosimo podjął na nowo swój wątek.

- Jak już mówiłem, niektórzy rodzą się do pracy w polu. Inni dziedziczą własność ziemską. Zmniejszyć różnice społeczne między nimi to rzecz słuszna, gdy chodzi o warunki życia, o wyżywienie, o to, w jakich warunkach ludzie się rodzą i w jakich umierają. Ale wolałbym, żeby Leo na tym poprzestał. Nie ma żadnego powodu, żeby parcelować ziemię. To szalony pomysł, droga Tosco. Szalony w najbardziej niebezpiecznym sensie. Leo powinien zrozumieć, że wieśniakom wystarczy to szczęście, które stanie się ich udziałem, gdy przestaną spać ze świniami pod jednym dachem.

Po co mi to mówił? „Szalony w najbardziej niebezpiecznym sensie"! Czyżby myślał, że mam na Lea jakikolwiek wpływ? Oczywiście że nie. Ale w takim razie dlaczego... Don Cosimo ciągnął dalej.

- Książę to skomplikowana osobowość, Tosco. Tak skomplikowana, że miewa bardzo proste pomysły. Takie wydają się zwłaszcza jemu samemu. Mówi, że nie ma na świecie ani łajdaków, ani bohaterów. Według niego w każdym z nas jest trochę podłości i trochę świętości, choć rzadko w równych proporcjach. Czasem przypomina mi Chrystusa. Kiedy indziej bywa Lwem Tołstojem. Ale zawsze jest po trosze Kandydem. Upiera się, że to, co zamierzył, nie czyni z niego liberała ani radykała. Uważa się za ziemianina z

arystokratycznym dystansem do tego wszystkiego, co od niego nie zależy. Nie stara się zmieniać świata gdzie indziej, tylko właśnie tu. Inaczej mówiąc, jego świat jest nieduży. To jego włości. Jego chłopci. Kobiety i mężczyźni, których zresztą nie idealizuje, ale za których czuje się odpowiedzialny. Ma nadzieję, że wyszlachetnieją, że będą lepiej pracowali, jeśli zaczną jadać do syta i wygodnie sypiać. Zamierza zająć się całym ich życiem, potraktować ich jak własne dzieci.

Don Cosimo nie mógł spodziewać się, że zrozumie, o co chodzi w tych reformach, które miały doprowadzić do tego, żeby ludzie nie spali ze świniami pod jednym dachem, i co oznacza ów arystokratyczny dystans, tak samo jak Leo nie oczekiwał, że dotrze do mnie wszystko, co mówił mi tamtego popołudnia w bibliotece. Ale na swój sposób rozumiałam to wszystko, co mi wówczas powiedział. I rozumiałam również to, co mówił ksiądz. Przede wszystkim pojęłam, że Leo jest dobrym człowiekiem.

Spacerowałam z don Cosimem po *borghetto*, ale w moich uszach wciąż dźwięczał głos Lea. „To prawda, Tosco. Chciałbym, żebyś zawsze była blisko”. Były to słowa miłości. Czyż nie? Ale jakiej miłości? Ojcowskiej? Romantycznej? Rozmawiając z don Cosimem, ledwie wiedziałam, co mówię. Jeszcze mniej się orientowałam, co on mówił do mnie. Podczas tego „skromnego oczekiwania”, na jakie się zdecydowałam, by nie łamać pałacowych reguł, dowiedziałam się czegoś ważnego. Wiele powiedział mi Leo tamtego wieczoru w bibliotece przy świecy, reszty domyśliłam się sama. Jednego byłam pewna. Że to do mnie będzie należało podtrzymywać go na duchu, gdyby czyhało załamanie.

Rozdział 8

Prace budowlane w *borghetto* rozpoczęły się latem 1946 roku. Wieśniacy wychodzili rankiem do pracy w polu, a ciężarówki przywoziły robotników, wśród których było wielu niedawno zdemobilizowanych żołnierzy. To im przypadło zadanie przebudowy domów. Wieśniacy przenosili swoje sienniki i rzeczy osobiste do kuchni, kładli je pod ścianami sali jadalnej, a czasem pod gołym niebem, kiedy i tam prowadzono prace remontowe. I tak oto sypialnie, które Leo nazywał kwaterami mieszkalnymi, miały zostać wykończone późną jesienią. Postępy prac wywoływały okrzyki zachwytu każdego dnia, gdy wieśniacy, wracając z pola, widzieli nowy rząd okien, nowe powierzchnie dachu pokryte ceramiczną dachówką. Być może jeszcze bardziej niż łaźnia, pralnia i chlewy spodobał się nowy piec węglowy na dziesięć fajerek, w który wyposażono kuchnię. Ten piec był bowiem obietnicą sytości.

Ekscytacja, jaką wywołała we mnie możliwość obserwowania postępu robót, była podobna do tej, gdy Leo zdecydował przejąć odpowiedzialność za treści mojej edukacji. Co rano jeździłam do wsi razem z Leem i don Cosimem, a potem, opuszczając rytualną popołudniową herbatę w towarzystwie księżniczek, Simony i nauczycielek, udawałam się tam jeszcze raz. Nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Spodziewałam się, że po zakończeniu prac remontowych wioska stanie się przepięknym miejscem. Zachwycałam się zwłaszcza szkołą. Kiedy nikt nie widział, stawałam w drzwiach i wyobrażałam sobie, że przechadzam się między ławkami i czytam dzieciom na głos, tak jak kiedyś czytała mi siostra Diana. Od czasu do czasu Leo

wpadnie na chwilę, żeby posłuchać, jak dzieci recytują grecki alfabet, i opowiedzieć im przy okazji którąś ze swoich ulubionych historii, na przykład o Demeter. W dniu moich siedemnastych urodzin remont szkoły został zakończony. Choć nikt o tym nie wspominał, wiedziałam, że to prezent od Lea dla mnie.

Jego niegdyś sumienne uczestnictwo w życiu pałacu teraz przerywały częste nieobecności. Nieraz jadał z wieśniakami pod gołym niebem. Chleb, pomidory, oliwa i wino. Jak chłopiec, który za długo ugaśniał się po okolicy, zjawiał się z rozwichrzonymi włosami w pałacu w niedzielne poranki i przeskakiwał po dwa stopnie, żeby zdążyć wziąć kąpiel przed mszą. Nawet kiedy ciałem obecny był wśród domowników, widać było, że duchem przebywa gdzie indziej i nie może się już doczekać, kiedy tam się znajdzie. Daleko od wielkiej biało-błękitnej wazy, z której to już nie on nalewał zupę. Daleko od starannie ułożonych loków Simony i jej uróżowanych policzków. Daleko od księżniczek i również ode mnie. Niecierpliwy, zaangażowany bez reszty w pracę dla wieśniaków i wśród nich, księżę zachowywał się jak ktoś, kto przeżywa wielką miłość.

Subtelne jak koronka stosunki między Leem i Simoną zmieniały się powoli, nacechowane tą samą *politesse*, z jaką od zawsze układali swoje sprawy, i nawet ostateczna separacja na pozór niewiele zmieniła w ich trybie życia. Grzeczne ustępstwa. Milczące porozumienie. Upłynął przynajmniej rok, zanim w zręcznie odgrywanej komedii małżeńskiego szczęścia coś się załamało.

Simona zaczęła samodzielnie decydować o sprawach pałacu i jego mieszkańców, tak jakby Leo już się z niego wyprowadził. Przechodząc samą siebie w swych legendarnych zdolnościach scenicznych, podjęła się potrójnej roli - wielkiej damy, męczennicy i *femme fatale*, przy czym w każdej z nich jej poza przekraczała wszelką miarę sztuczności, a wszystkie trzy razem składały się na jej próbę obrony przed śmiesznością, na jaką wystawiło ją szalone ponoć postępowanie księcia. Chętnych do usłużnego współdziałania znajdowała na pęczki. „Kiedy zniżymy się do ich poziomu, oni natychmiast wejdą nam na głowę”. To credo arystokracji Simona wygłaszała zbolalym głosem, po czym chór upierścienionych postaci obecnych akurat w jej pałacu powtarzał je cicho, posepnie.

I czego u diabła spodziewała się po mnie w tamtym czasie? Była wobec mnie bez zarzutu, bardziej uprzejma niż zwykle - wobec dorosłej panny, będącej żywym dowodem jej niezmierzonej, cierplivej łaskawości. Lecz nie zważałam na odgrywane przez nią dramaty, ponieważ i ja, tak jak Leo, przeżywałam swoją wielką miłość: zostałam *la maestra w borghetto*.

Nie mając żadnych referencji ani dyplomów, ale pod kierunkiem pedagogów ze szkoły w Ennie, do których Leo i don Cosimo zwrócili się w tej sprawie, rozpoczęłam pracę. Podstawowy program nauczania był przeznaczony dla dzieci w wieku od pięciu do dwunastu lat. Starsze musiały już iść do pracy razem z rodzicami. Lecz tylko na razie. To się zmieni, zapewniał Leo, powtarzając tę obietnicę wciąż na nowo.

W mojej klasie było dziewięcioro uczniów. Trójka dzieci pięcioletnich, jeden sześciolatek, czwórka od siedmiu do dziewięciu lat i jedna przemiła trzynastoletnia dziewczynka imieniem Cosettina.

Złamałam umowę, w której zobowiązałam się, że nie będę jej przerywać.

- To była ta sama Cosettina? Ta, która...

- Tak, to była ona. Kiedy umarła, miała sześćdziesiąt jeden lat.

Pożalowałam swojego pytania, bo Tosca zamilkła. Poprosiłam ją nieśmiało, żeby mówiła dalej.

- Don Cosimo przychodził do mojej klasy codziennie o ósmej rano. Dzieci witały nas oboje. *Buongiorno, monsignore. Buongiorno, professoressa* - wydierały się na całe gardło. W niektóre dni don Cosimo odmawiał z nimi różaniec i czytał *Żywoty świętych*. Zawsze udzielał im błogosławieństwa. Każde z nich po kolei całował w czoło, ze spokojem poddawał się uściskom i przyjmował życzenia miłego dnia. Potem zaczynaliśmy lekcję. Był to początek nauki w najzupełniej dosłownym sensie. Uczyliśmy się alfabety. Pisaliśmy i odczytywaliśmy litery. Ale wkrótce się okazało, że moje wymagania są zbyt surowe. Nikt nie mógł usiedzieć spokojnie w ławce w czterech ścianach przez dłuższy czas, w dodatku zmuszony powstrzymać się od śmiechu i przeklinania. Zaczynały się ucieczki pod pretekstem wyjścia do ubikacji. Cosettina przyprowadzała z powrotem zbiegłych uczniów. Wybuchwały straszliwe kłótnie o kawałek ołówka. Trudno uwierzyć, ale za własne pieniądze kupowałam im *cioccolatini* i przynosiłam z pałacu bułki z serem. Te dzieci były głodne, a ja wiedziałam najlepiej, czym jest głód. Pamiętałam go równie dobrze jak twarz ojca. Nawet kiedy dokazywały, biegając, krzycząc i wrzeszcząc na piaszczystym podwórku pośród rozgrzanych upałem kamieni, widziałam przede wszystkim ich mizerne twarze, mówiące o nich to, czego one same by nie powiedziały. Tylko z daleka wyglądały jak dziecięce buzie.

Ale z czasem dzieci zaczęły posługiwać się ołówkiem. Rysowały i słuchały uważnie - choćby tylko przez minutę albo dwie - tego, co chciałam im przekazać. Cierpliwości, powiedziałyby Leo. To dopiero początek.

Czasem brały mnie za rękę i ciągnęły na podwórko albo zapraszały do jadalni i kłóciły się o to, kto będzie siedział obok mnie, gdybym zdecydowała się z nimi pójść. Nie chodziłam z nimi, choć jedna z kobiet pracujących w kuchni, matka Cosettiny, także mnie zapraszała. Pamiętałam, że wiele miesięcy temu oglądałam tę *mensa* i nie mogłam się doczekać, kiedy usiądę przy stole nakrytym ceratą. I stanę się częścią wspólnoty. Ale wiedziałam teraz, że Leo miał słuszość. Jedyne możliwe uczestnictwo we wspólnocie wymagało utrzymania dystansu. Mogłam dla nich pracować, ale żyć musiałam osobno. W *borghetto* spotkałam tamtą śniadoskórą dziewczynę. Nazywała się Olga.

„Olga, *vieni più vicino*, chodź tu do nas” - zawołał do niej w jadalni któryś z mężczyzn. Miała jaszkrawą czerwono-zieloną chustę, taką, jakie noszą Rosjanki, ale zawijała ją na głowie na kształt turbanu, spod którego wymykały się niesforne kosmyki włosów i opadały na wilgotne od potu policzki. „*Pazienza, pazienza, c'è abbastanza*. Cierpliwości, wystarczy dla wszystkich - odpowiedziała”.

Z wielkim płaskim koszem pełnym drobnej dymki, jeszcze ze śladami ziemi na cieniutkich jak pajęczyzna, świeżo wykopanych korzonkach, uwijała się między nakrytymi ceratą stołami, rozdając tę dymkę jak klejnoty. Po dwie sztuki na głowę. Dla dzieci po jednej. Na moim talerzu położyła aż trzy. Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło. *Benvenuta*, powiedziała. Dobrze, że jesteś.

Cosettina nałożyła mi *maccheroni è ceci*, ktoś inny postawił przede mną chleb, ktoś napełnił mi szklanek winem mieszanym pół na pół z wodą. Stołownicy maczali dymkę w puszkach zawierających sza-

ra, gruboziarnistą sól morską. Był to dla nich, mieszkańców gór, jedyny kontakt z morzem, bo nigdy nie widzieli go na własne oczy. Gryźli słone, chrupiące, białe cebulki, które paliły w usta. Łyżka makaronu, kęs cebuli. Pobudzała apetyt, pomagała zabić głód. Biedacy są ekspertami w jednym i w drugim. Robiłam to, co oni. Jakbym żyła wśród nich od zawsze. Byłam tam, gdzie od tak dawna pragnęłam się znaleźć.

Rozdział 9

W ciągu jednej wiosny i jednego lata ugory zrekultywowano i wybudowano niezbędne drogi. Był już rok 1948. Następny po przebudowie *borghetto*. Po raz kolejny sprowadzono robotników z różnych części wyspy, żeby wieśniacy nie musieli porzucać swoich codziennych zajęć. Musieli tylko przejść na własne wyżywienie. Leo zabierał coraz mniejszą część z ich zbiorów owoców i warzyw. Coraz mniej i mniej z tej - zależnej od kaprysów pogody - obfitości oliwek i winogron. Żeby zaspokoić potrzeby pałacu, Leo przyjął do pracy kilku najstarszych mężczyzn z *borghetto*. Zamierzał z nimi przekształcić ogromne połacie francuskiego parku w ogrody warzywne i ziołowe. Tam, gdzie kiedyś były klomby róż, teraz kwitły dynie i karczochy. Leo uważał to za symbol przemian. Starcy również ulegli przemianie. Robili teraz różne rzeczy dla księcia. Pracowali prawie wyłącznie dla niego. Kopali grządki, obsiewali pola i pielili chwasty - zastęp pomarszczonych i przygarbionych cherubinów - ostrożnie wkładali do ziemi sadzonki, ustawiając je w idealnie równych szeregach, żeby pędy miały dość przestrzeni, a liście kąpały się w słonecznym blasku. I plony dojrzewały.

Tak jak dojrzały już uprawy na nowych polach, po raz pierwszy obsiewanych zimą. Pszenica, kukurydza, jęczmień i bób kiełkowały w łagodnym lutowym słońcu. Te same uprawy, wysiane znów późną wiosną, prażyły się w płomieniach letniego upału. I ku zdumieniu wieśniaków, w upale dojrzewały także *la novara* - pomidory i arbuzy. Nie potrzebowały już deszczu, bo miały wodę dostarczoną im przez nowe rury, zatopione niczym tętnice w ciele ziemi. Jak sukulenty na pustyni, *la novara* rozkwitały, nie bojąc się suszy. Ożywia je promienny uśmiech Demeter, mówili wieśniacy. Do niej, tak jak i do świętego Izydora, świętej Rozalii czy do samego Zeusa, od zawsze kierowali swoje błagania, nie zapominając złożyć im, każdy według własnego uznania, niewielką ofiarę. Bochenek chleba, wianek dzikiego maku. Dla nich płonęło wielkie ognisko, rozpalone podczas pełni księżyca.

Istotne zmiany, jakie zaszły w *borghetto*, ułatwiły życie wieśniakom, a nadchodzące zbiory zapowiadały się obiecująco. Kobiety zamiatały i szorowały podłogi w izbach przydzielonych ich rodzinom. W każdym oknie co rano wietrzyły się materace i pościel. Z ciężkiego płótna i grubego barchanu kobiety szyły zasłony i stawiały polne kwiaty w doniczkach na schodkach przed drzwiami frontowymi. Na znak, że są na swoim. Powłóczki w jaskrawą kratkę suszyły się na podwórzu, powiewając niczym pirackie bandery; piekarnia wypiekała świeży chleb dwa razy dziennie. Zawsze rankiem w drugą sobotę miesiąca dzieci ustawiały się przed małym pomieszczeniem z bielonymi ścianami w kolejce do obowiązkowej wizyty u objazdowego lekarza. Obok urządzono salę porodową, a miejscowa akuszerka krzątała się wśród sprzętów,

licząc nowiutkie białe ręczniki, składając je i rozkładając przy każdej okazji. Tamtego lata 1948 roku w *borghetto* panował nastrój święta. Choć świętowano umiarkowanie, po sycylijsku. „Nie drażnij bogów swoim powodzeniem, bo gotowi są zrobić ci złośliwy kawał, tylko po to, żeby się rozerwać. Szs...”. Tosca spojrzała na mnie, kładąc palec na ustach. - Mogą usłyszeć.

Rozdział 10

- Okradli sami siebie! To się nie mieści w głowie!

- Wszystko mieści się w głowie, jeśli tylko uwolnimy się od ograniczeń narzucanych przez rozsądek. Upierasz się przy racjonalnym myśleniu w irracjonalnej sytuacji, Leo.

Leo i don Cosimo siedzieli sami w pokoju śniadaniowym, kiedy razem z księżniczkami podeszłyśmy do drzwi. Usłyszałyśmy tę wymianę zdań. Spojrzałyśmy po sobie, zastanawiając się, wchodzić czy nie. Przy stole nie było chyba nikogo oprócz nich dwóch. Yolande weszła pierwsza, a ja razem z Charlotte podążyłyśmy za nią. Dwaj mężczyźni siedzieli w dalekim końcu stołu. Nie zwrócili na nas uwagi. Usiadłyśmy, a Yolande szarpnęła za dzwonek. Służące przyniosły nam kawę z mlekiem, chleb i herbatniki, ale tylko Yolande zabrała się do jedzenia.

- Tato? - zawołała Charlotte.

- *Si... Buongiorno, ragazzo. Tutto bene?* - Ledwie spojrzał w naszą stronę, wstał, zczekał, aż wstanie don Cosimo i wyszli razem, nie odzywając się już ani słowem.

- Nie wiedziałaś o tym? - spytała mnie Yolande.

Zbliżała się do siedemnastych urodzin, ale jej ciało jakoś ociągało się z dojrzewaniem. Na policzkach i brodzie tu i ówdzie szczyptą pudru maskowała rozdrapane nocą pryszcze. Była niezgrabna i nieco zbyt pulchna, a kiedy mówiła, często nadaśanym tonem, dawała wyraz dziecinnemu rozdrażnieniu, wysuwając przy tym do przodu tłusty podbródek. Lecz oczy miała jak Leo. Mogłyby być ozdobą każdej twarzy. Jak fiołki rosnące pod drzewami cytrynowymi. Spojrzałam na nią.

- O czym miałam wiedzieć?

- O aferze związanej z *borghetto*. Zaszłam dziś rano do kuchni poprosić kucharza, żeby przyrządził *frittelle* i usłyszałam, jak mówił: *Qualcuno ha rubato tutto*. Ktoś wszystko ukradł.

- Może źle zrozumiałaś. Nie martw się - odparłam.

- Martwię się tylko tym, że nie podali *frittelle* - zapewniła mnie.

Charlotte siedziała, trzymając w ręku kromkę chleba równiutko posmarowaną masłem. Spoglądała to na mnie, to na siostrę.

- Nie przejmuj się, Tosco. Tata zrobi z tym porządek.

Prześliczna, jasnowłosa *infanta* w białej sukience. Charlotte była wykwintnym, delikatnym owocem chłodnego związku swoich rodziców. Połączył się w niej urok osobisty obojga. Pomyślałam o mojej siostrze, rok młodszej od Charlotte. O Małejkiej Mafaldzie. Już chyba dziesiąty raz tego ranka. Charlotte i ja

byłyśmy współniczkami w wieczornym przesiadywaniu do późna. Było w tym coś więcej niż powierzchowne stosunki towarzyskie, narzucone przez sąsiedztwo naszych sypialni. Rzadko kiedy odzywałam się do Yolande częściej niż parę razy dziennie. Za to Charlotte, gdy tylko mogła, odwiedzała mnie wieczorami w pokoju. Ten nieregularny rytuał wszedł nam w zwyczaj już parę lat wcześniej - miała wtedy dziewięć czy dziesięć lat. Pojawiła się u mnie późnym wieczorem i nie czekając na zaproszenie, bez słowa położyła się obok mnie na łóżku.

- To prawda, że jesteś *puttanina* taty?

- Wiesz chociaż, co to za słowo?

- Tak. Myślę, że oznacza bardzo dobrą przyjaciółkę. Albo laleczkę, taką *puppetta*. Mama mówiła: „Idź, Leo, idź do swojej *puttanina*!” Wiedziałam, że chodzi o ciebie, bo o tobie była wtedy mowa. Więc powiedz mi, co mam zrobić, żeby zostać laleczką taty, tak jak ty. Bo mnie się wydaje, że tata nie za bardzo mnie lubi. A ja go przecież uwielbiam.

Później powtórzyłam Leowi tę rozmowę z jego młodszą córką, a on śmiał się do łez. Potem jednak przyszły inne łyzy.

- Przez te wszystkie lata próbowałam się zajmować dziećmi, zwłaszcza Charlotte, ale Simona patrzyła na to niechętnie - mówił. - Kiedyś będę musiał ci o tym opowiedzieć więcej.

Z tych myśli wyrwała mnie Yolande, z irytacją szarpiąc za sznurek od dzwonka. Ukradkiem przesłałam Charlotte pocałunek, wstałam i zaczęłam zbierać swoje rzeczy. Trzeba było śpieszyć się na lekcje. W drzwiach odwróciłam się i szepnęłam:

- Wiem. Dobrze wiem, że twój tata potrafi zrobić z tym porządek.

Ale tego dnia nie było lekcji. Nikt też nie wyszedł do pracy w pału.

Wszyscy zebrali na placyku pośrodku *borghetto*. Wieśniacy otoczyli Lea, obok jego pięknie wygłansowanych butów biegały kury. Dzieci trzymały się spódnic matek albo spały w ich ramionach. Słońce świeciło blado na zachmurzonym niebie.

Nikt nic nie mówił. Cosettina gestem wskazała mi miejsce obok siebie.

- Nie jestem na was rozgniewany, nie będę wyciągał konsekwencji. Muszę tylko wiedzieć, kto z was to zrobił. Kto miał czelność nas wszystkich okraść, gdy właśnie zaczynamy korzystać z owoców naszej pracy. Okradł także sam siebie. Bo jestem przekonany, że ten, kto wyniósł nasze zapasy, był jednym z nas. Był jednym z nas, ale działał na polecenie ludzi z zewnątrz. Są poszlaki, a nawet dowody, że tak się stało. Proszę cię jedynie, żebyś się nie ukrywał. Nie zamierzam nikogo ukarać. Chcę tylko zrozumieć, co mogło sprawić, że jeden z nas obrócił się przeciwko całej reszcie.

Dookoła panowała cisza. Ciężka, nabrzmiała niewypowiedzianymi słowami cisza, zmacona jedynie gdakaniem kur i marudzeniem przestraszonych dzieci.

- Będę w swoim biurze aż do niesporów. Będę na ciebie czekał - powiedział Leo, nie wiadomo do kogo. Potem odszedł.

Leo wyznaczył na magazyn nowy budynek. Z kamienia i cegły, z porządnym dachem pokrytym czerwonymi dachówkami, z cementową podłogą pomalowaną na metaliczny szary kolor, jak kadłub okrętu wojennego. Wypełnił to pomieszczenie beczkami oliwy, gąsiorami wina i stosami worków z warzywami. W jednym końcu budynku ustawił blaty i mały piecyk. To miało być *laboratorio*, pracownia. Kobiety miały w niej robić przetwory z owoców cytrusowych. Leo kazał tam zanieść także worki suszonych jabłek i gruszek oraz migdałów. Niewyobrażalna obfitość dóbr. Złodzieje wynieśli nawet piec kuchenny. Na szarej podłodze o stalowym połysku nie zostawili nic poza dwoma gąsiorami wina i kociołkiem, w którym sporządzano dżem.

Poszłam do biura Lea. Drzwi były otwarte, a on czytał coś, siedząc w czarnym skórzanym fotelu.

- Sama strata nie była aż tak wielka, Tosco. Ale to był symbol mojego z nimi współdziałania. Naszego małego przymierza.

- Jak to się mogło stać bez niczyjej wiedzy?

- Ktoś pewnie wie. Może nawet większość z nich. Są w końcu Sycylijszymi. Nie tak trudno załadować to wszystko na pakę ciężarówki. Trzem, czterem silnym mężczyznom zajęłoby to niecałą godzinę. Zapasy zostały już uzupełnione. Wiem, że nikt do mnie nie przyjdzie przed nieszporemami.

- Ja przyszedłam. Chciałam powiedzieć, że poczuje się książe lepiej, jeśli będzie teraz myślał o nich, nie o sobie. *Loro sono vergognati*. Wstydzą się. Został książe skrzywdzony tak, jak ojciec może zostać skrzywdzony przez własne dzieci. Dał im książe prezent, ale jedno z nich wolało nie prezent, lecz pieniądze. Wszyscy teraz cierpią z powodu tego jednego człowieka.

Spojrzał na mnie. Zaczął podnosić się z fotela, ale nie czekałam, aż wstanie. Dygnęłam szybciej niż zwykle i wyszłam.

Była taka droga, przecinająca niżej położone łąki, na których latem pasą się owce. Leo, don Cosimo i ja jeździliśmy nią każdego ranka, pozdrawiając wieśniaków zmierzających na pola. Tamtego ranka znaleźliśmy dwóch mężczyzn leżących tuż przy drodze. Byli prawie niewidoczni w wysokiej trawie, poprzerastanej nacią dziczącej marchwi. Leo zsiadł z konia, po chwili dołączył do niego don Cosimo. Kazali mi zostać w siodle. Tylko, broń Boże, się nie oddalać. Spojrzałam na tych mężczyzn. Mogliby wyglądać na śpiących, gdyby nie poderżnięte gardła. Między kępami majeranku, oparty o czerwony kamień siedział starzec z ustną harmonijką w dłoni. Kiedy na niego spojrzałam, podniósł ją do ust i zagrał.

* * *

Don Cosimo ruszył przodem. Chyba śpieszył się do kościoła. Leo i ja jechaliśmy powoli, bez słowa, póki nie znaleźliśmy się prawie przy stajniach. Wtedy powiedział:

- Nigdy nie chcieli, żebym się wtrącał. Tak samo było, kiedy został zamordowany Filiberto. Życzyli sobie, żebym zachował arystokratyczny dystans. *Cosa nostra*. To nasza sprawa. Oto kolejna „ich sprawa”. Zorganizowali to. Jestem pewien, że żaden z nich nie pogrzyżył się bardziej niż to konieczne. I załatwione. Zręcznie, bezlitośnie, arogancko.

Rozdział 11

- Mój dziadek stawał czasem na skraju pola, kiedy wieśniacy siali lub kosili, i przyłączał się do ich śpiewu. Śpiewali hymny do Demeter.

- Zamierza księżę uczynić to samo?

Był niedzielny poranek pod koniec września 1948. Razem z Leem galopowaliśmy konno wokół świeżo zżętych pól sąsiedniego majątku. Zatrzymaliśmy się, żeby poczekać na pozostałych jeźdźców. Minął już ponad rok, odkąd Leo po raz pierwszy wspomniął mi o znajdującym się na terenie jego dóbr pałacyku myśliwskim. Tego właśnie dnia wybraliśmy się tam w dwanaście osób, zaproszeni i oczekiwani przez kuzynów, z którymi Leo często polował na ptaki. Paru naszych służących pojechało przodem, żeby pomóc ochmistrowi z pałacyku myśliwskiego, mężczyźnie, którego Leo nazywał Lullo, przygotować *colombacci* - wykwintne danie z gołębi na niedzielny obiad. Tydzień wcześniej ptaki zostały przeniesione z piwnicy do stodoły, żeby skruszały, jak mówił Leo. Twierdził, że ich wnętrzości marynuje się w miejscowej grappie z dodatkiem dzikich ziół i robi z nich pasztet. *A leecarda, in salm*, pieczony z jałowcem i smalcem w brytfannie w sosie własnym. Z entuzjazmem myśliwego wymieniał z pamięci listę podobnych dań, ale psując mu całą przyjemność, oświadczyłam, że przy stole nie tknę niczego oprócz zupy.

Z wysokiego kamiennego muru, otaczającego pastwisko, przy którym się zatrzymaliśmy, posypały się na nas łupki i drobne kamyki. Pasły się tam owce i być może jakiś baran uderzył rogami w mur z kruchego kamienia. A może to nie był baran? Może jastrząb przeleciał nad murem niezauważony i zahaczył o niego skrzydłem? Bóg jeden wie, co się tam stało, kiedy tak tkwiliśmy w siodłach obok siebie, a konie skubały młodą pszenicę. Były to moje osiemnaste urodziny. Leo jeszcze nie złożył mi życzeń. Inni zresztą także nie. Zgodnie z obyczajem, jakiś drobiazg powinien przy śniadaniu czekać na jubilata obok jego talerza. Schodzi się cała służba, żeby wspólnie z rodziną odśpiewać *tanti auguri*. Tego ranka nic takiego się nie wydarzyło. Przyjdzie mi chyba skończyć osiemnaście lat po cichu. Zeskoczyłam z konia i bez pytania przywiązałam lejce do łąku przy siodle księcia. Zamierzałam oddalić się, mając już dość makabrycznych opowieści o pasztecie z nadpsutego drobiu, ale Leo również zsiadł z konia i ruszył za mną.

- Chyba miałbym na to ochotę. To znaczy, z przyjemnością robiłbym to, co mój dziadek. Śpiewałbym stare pieśni podczas żniw. Zaczęło się od *ortolani*, którzy zajmowali się pałacowymi ogrodami warzywnymi. Kiedy mogę, siadam z książką w pobliżu, ale zamiast czytać, słucham ich opowieści o Demeter i świętym Izydorze. Zupełnie jakby znali się z nimi w dawnych czasach, co zresztą nie jest wykluczone. Przez te lata zbyt mało czasu spędzałem wśród wieśniaków pracujących na polach i w ogrodach. Zdziwiło mnie więc, że ci starzy ludzie rozmawiają o greckich czasach, że w swoim wiejskim dialekcie opowiadają sobie mity o Demeter, Persefonie, Hadesie, Zeusie, synu Kronosa, koloryzując tu i ówdzie, gestykulując lub gniewnie wymachując pięścią. Czasem mówili cicho i powoli, kiedy indziej nawet krzyczeli, zupełnie jakby występowali w teatrze. Zresztą w pewnym sensie był to teatr.

Ostatnie zdanie powiedział takim tonem, jakby wyjawiał mi kolejne odkrycie.

- Te historie są im równie bliskie jak perypetie ich ojców i dziadków. I jak historia o Jezusie i Marii. Są potomkami wieśniaków, których Demeter nauczyła uprawiać zboże na jałowych glebach. Od tego się to wszystko zaczęło, Tosco. Od przodków i od Demeter. Czasem zazdroszczę im tak bezpośrednich kontaktów z przeszłością. Ja muszę przysiąść faldów w bibliotece, żeby poznać historię, a oni po prostu nią żyją. Gdy ja spędzam czas nad książkami, oni, choć nie umieją czytać, tworzą jej dalszy ciąg. Przekazują zdarzenia przeszłości następnym pokoleniom. Pełnymi garściami. Wielu z nich na pewno chętnie by wróciło do chorałów gregoriańskich, do homeryckich pieśni, do kos i pługów, do kultu wina. Nie myśl, że zapomniałem, jaki to dziś mamy dzień.

- Do kultu wina? - udałam, że nie rozumiem.

- Czčili bukłak z winem. Albo dzban. Siedem razy dziennie kobiety i dziewczęta przechodziły gęsiego między żniwiarzami, z bukłakami pełnymi wina lub dzbanami na głowach. Mężczyźni brali od nich dzbany i pili. Dawnymi czasy, kiedy wszystkie prace trzeba było wykonywać ręcznie, siewy i zbiory były tak samo zrytualizowane jak tańce ludowe. Każdy ruch był uświęcony tradycją. Muzykanci grali na dudach, a wieśniacy machali kosami do rytmu.

- W ten sposób?

Weszłam na rżysko i obróciłam nadgarstki tak, jakbym trzymała w rękach kosę. Zrobiłam kilka kroków, udając, że koszę zboże. To było jak taniec.

- Tak. Coś w tym rodzaju - odpowiedział. Podbiegłam do niego.

- Jedno pole. Skośmy jedno pole dawnym sposobem. Na szczęście. Niech to będzie jak modlitwa. Pozostałe pola zostawimy maszynom. Możemy tak zrobić?

- Chciałabyś dostać taki prezent na urodziny? Żniwną ceremonię? Nie da się tego urządzić od razu, ale może spróbujemy w ten sposób zżąć ostatnie pole. Za pięć, sześć dni. Czy taki prezent sprawi ci przyjemność?

Spojrzałam na niego. Widziałam, jak z torby przy siodle wyjmuje paczkę sucharów. Nakarmił nimi konie, a ja po raz nie wiadomo który zadałam w myślach to samo pytanie. Kim dla ciebie jestem? Tak, odpowiedziałam sama sobie. Chciałabym dostać żniwną ceremonię w prezencie urodzinowym. Ale chciałabym też dowiedzieć się, kim dla ciebie jestem.

Od tamtego popołudnia, kiedy Leo pierwszy raz powiedział mi o swoich planach dotyczących *borghetto* i wieśniaków - dzień po tym, jak został zamordowany Filiberto - pracowaliśmy razem, jak partnerzy. Nasze spotkania, raz albo dwa razy dziennie, były całkiem naturalne i zrozumiałe, bo musieliśmy rozmawiać o tym, co zrobił on, o tym, co ja zrobiłam.

„Pole leżące najdalej na północ zostało już obsiane. Maszyny psuły się co chwila, ale jakimś cudem udało nam się skończyć przed zachodem słońca. Sam prowadziłem traktor”.

„Cosettina pięknie dziś czytała, a dzieci siedziały cichutko, oczarowane opowieścią. I nią też. Poruszone tym, że jedno z nich zaczęło już sobie radzić z tą gmatwaniną literek, z których składają się słowa. Kiedy skończyła, dzieci podnosiły rączki i zadawały pytania. To było wspaniałe!”.

„Wpadniesz na chwilę do szpitala jutro rano? Doktor powie ci, na co powinnaś zwrócić uwagę. Dzieci się go boją. A w mojej obecności są onieśmiałe. Ufają tylko tobie”.

Współpracowaliśmy jak ojciec z córką albo jak mąż z żoną. Spędzaliśmy razem dużo czasu, to mi wystarczało. I sprawiało dużo radości. Służba i wieśniacy patrzyli na naszą współpracę z dobrotliwą obojętnością. Zaprzętała ona tylko plotkarzy, publicznie spragnioną melodramatów, która kupuje bilety na pikantną historię księcia i jego *puttanina*. Za swoje pieniądze mogli jednak otrzymać co najwyżej sielankowy poemat czytany na głosy przez bohatera i jego żonę. Choć Simona miała zmysł teatralny i była gotowa zaoferować publiczności skandalizujące przedstawienie. Oto pozwalała kochankom prowadzić romans pod swoim dachem. Niekiedy nawet w obecności grona dalszych krewnych i przyjaciół. Pałacowi goście siadali z rodziną do stołu, słuchali z nami mszy w kaplicy. Okupowali salony. Wydawali polecenia naszej służbie. Leo znosił to ze spokojem. Księżniczki wydawały się udręczone. Niektórzy goście, bawiący u nas z wizytą, nie kryli oburzenia. Potem opinie się odwróciły. Plotkarze zawsze znajdą jakiś nowy punkt widzenia.

„Ja na przykład zawsze brałem stronę Lea. To on jest arystokratą z krwi i kości. Simona nie ma nic poza pieniędzmi”.

„Jest, że tak powiem, nazbyt histeryczna”.

„Szalona”.

„Despotyczna”.

„Biedne małe księżniczki”.

„Biedny poczciwy Leo”.

„I ta śliczna Tosca. Jak ona się odnajduje w tym całym zamieszaniu?”.

To wszystko chcieli wiedzieć. Ja też chciałam to wiedzieć.

Poprowadziliśmy konie wzdłuż szutrowej drogi w stronę pałacyku myśliwskiego. Tam przekazaliśmy je stajennemu. Myśliwi, krewni i znajomi księcia, wyszli nas powitać. Ujrzałam wówczas to, co Leo nazywał „pałacykiem myśliwskim”. Najprawdziwszy zamek, zwieńczony wieżą... Nie, dwiema wieżami. Pod każdym biforium żelazny balkonik, zaokrąglony jak stelaż strojnej tiurniury. Marmurowe portale, podobne do tych u nas w pałacu, były ozdobione herbami znamienitego rodu d'Anjou. Niżej krużganki o sklepieniach opartych na kolumnach z czerwonego marmuru, których rzeźbione głowice przedstawiały twarze bogiń. Albo świętych. Zaczęłam rozumieć. Stromy, spiczasty dach, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam, był kryty małymi owalnymi dachówkami, które wyglądały, jakby były z porcelany. Zupełnie jakby bogowie, nasyчени po uczcie, zrzucili talerze ze stołu prosto na zamek, po czym, zadowoleni z udanego wzoru, w jaki się ułożyły, postanowili utrwalić go złotym światłem.

Tylko który z dobrych duchów rozsypał przed laty z okna wieży nasiona roślin? Wszędzie rozciągały się całe ogrody przypadkowych krzewów. Róże marniały na słońcu, pnąc się wszędzie, gdzie tylko mogły. Oleandry osiągały niemal wysokość drzew, a gdzieś tam górowała nad nimi zapomniana sosna.

Nakrapiany pień samotnej magnolii rozdwajał się, tworząc coś na kształt łoża. Nigdzie nie było widać śladów działalności człowieka.

- *Gianpiero Sultano, ti presento Tosca Brozzi.*

Leo przedstawił mnie swoim gościom. Uśmiechnęłam się i powiedziałam: *molto lieta*, przed oczami jednak cały czas miałam ogrody. Myślamy byłam daleko od tych wszystkich ludzi i powitań. Stałam na szczycie wieży i rozrzucałam nasiona. W środku każdego z nich drzemało serce magnolii.

Zanim usiedliśmy, śliczny rudowłosy chłopiec roznosił szklaneczki z orszadą. Syn ochmistrza. Miał na sobie krótkie skórzane spodnie i cienką białą koszulę, bosa stopy były opalone na brąz. Nazywał się Valentino. Na oko miał około siedmiu lat i chyba tego dnia czynił honory domu, bo to on powiadomił mnie i inne kobiety, które z nami przyjechały, że na stole pod pergolą czekają na nas dzbany z wodą cytrynową i ręczniki.

- *Venite, venite* - powiedział, prowadząc nas w cień z taką radością, jakby ścieżka prowadziła do Dzieciątka w żłobie.

Długi kamienny stół stał pod sklepieniem krużganka od strony pastwisk i sadów oliwnych. Ozdabiały go bukiety dzikich kwiatów oraz świece w kolorze ochry w czarnych, stalowych świecznikach. Wszyscy już siedzieli. Nawet służące i stajenni, którzy przyjechali razem z nami, a także ochmistrz Lullo i jego synek. U nas w pałacu służba nie siadała do stołu z księciem. Wszyscy obecni wzięli się za ręce i don Cosimo odmówił modlitwę. Siedziałam między Valentinem a Leem. Po raz pierwszy w życiu trzymałam Lea za rękę.

Gliniane dzbany z winem, tace i półmiski zachwalanych gołębi krążyły z rąk do rąk dookoła stołu bez udziału lokaja. Było to coś pośredniego między etykietą pałacową i zwyczajami *borghetto*. Łączyło w sobie zalety obu porządków. Wzięłam grubą kromkę chleba posmarowaną czarną pastą. Jadłam ją bez noża i widelca, trzymając w dłoni, tak jak inni. Tak jak Leo. Była wspaniała, więc wzięłam następną. Tym razem podał mi ją Lullo.

- Zamarynowane wnętrzności piecze się na dużym ogniu z dodatkiem rozmarynu, szaławii, czarnych oliwek, czosnku, suszonej skórki z pomarańczy i czerwonego wina. Gdy wino wyparuje, należy go dolać więcej. Nie wolno dopuścić, żeby rondel się przypalił, ale zawartość nie powinna być zbyt płynna. Kiedy masa stanie się czarna jak zakrzepła krew i zacznie pachnieć zniewalająco, trzeba utrzeć ją z masłem w móżdżerzu. Potem powinna leżeć przez dwa dni przykryta płótnem.

- Amen - powiedzieliśmy wszyscy jednocześnie.

Na stole stały butelki marsali i *moscato* i małe srebrne czarki. Śliwki z liśćmi u szypulek moczyły się w miskach z wodą. Obok herbatniki w sezamowej posypce. Na jednej z tac leżały marcepanowe figi ułożone na przemian ze świeżymi.

- Zgadnijcie, które są które - powiedział Valentino, stawiając przed nami tacę.

Dochodziła piąta i już tylko Leo, don Cosimo i ja zostaliśmy przy stole, podczas gdy większość udała się do zacisza swoich sypialni na uświęcony tradycją popołudniowy odpoczynek.

Do pałacu zamierzaliśmy wracać samochodem którym przyjechał po nas ktoś ze służby. Nasze konie dotarłyby na miejsce nazajutrz. Zamierzaliśmy wyjechać o zmierzchu, raz tylko zatrzymując się w połowie drogi w *locanda*, którą lubił Leo. Był to stary kamienny budynek, częściowo zrujnowany, stojący w lesie piniowym. Mogliśmy tam dostać ser i wino. Wiedzieliśmy, że będziemy jednak potrzebowali przede wszystkim spaceru dla rozprostowania nóg.

- Zostanę tu na noc - oznajmił don Cosimo. - Jutro rano pojedę do Enny i wrócę do pałacu przed kolacją. Zostałem wezwany na dywanik, kuria biskupia nie jest ze mnie zbyt zadowolona.

- To musi znaczyć, że Pan Bóg jest z ciebie bardzo zadowolony, mój drogi - roześmiał się Leo.

Wstali obaj, podali sobie ręce i uściskali się.

- *A domani*, Cosimo.

- *A domani, principe. A domani*, Tosca. - Ksiądz wziął moją rękę i podniósł do ust, ale nawet nie musnął wargami skóry. - *Tanti auguri* - powiedział. - *Tanti auguri, cara* Tosca. Wszystkiego najlepszego. - I wyszedł.

Przedpołudniowa konna wycieczka, a także słońce i wino wypite do obiadu zrobiły swoje. I rojenia o nasionach rozrzucanych z wieży. I wnętrzości gołębi. Byłam zmęczona całym dniem i miałam wielką ochotę położyć się spać. Przy tym jednak chciałam zostać razem z nim. Skąd wzięła się we mnie ta śmiałość? Stąd, że był to dzień moich urodzin?

- Wtedy, wiele lat temu, kiedy przybyłam do pałacu, miał ksiązę zamiar mnie kiedyś pokochać, prawda?

Leo rzucał kawałki marcepanowej figi psom myśliwskim, które usiadły przed nim pokornie. Spojrzał na mnie, głaszcząc psa po pysku. Pokiwał głową, jakby spodziewał się takiego pytania.

- Zamiar, jak to określiłaś, nie był sformułowany tak dosłownie. Wtedy byłaś jeszcze dzieckiem. A ja znałem wiele uroczych kobiet, z którymi mogłem się zabawić. Z pewnością, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, uderzyła mnie twoja uroda. Zaintrygowałaś mnie. Ale nie zrobiłem ani kroku dalej. Czekałem, aż dorośniesz.

Nie wiedziałam, jak zareagować na jego odpowiedź. Na tę otwartość. Podobała mi się, ale trochę się jej obawiałam. Jakby coś zapowiadała, jakiś tajemniczy rytuał inicjacji.

- Wiesz pewnie, że to twój ojciec mi ciebie zaoferował. Jego zdaniem, byłaś niepoprawna już w wieku dziewięciu lat. Nazywał cię wściekłą wydrą. Twierdził, że twoja siostra jest potulna jak twoja matka. Kiedy przyszedł mi ciebie zaproponować, słuchałem go bardzo niechętnie. Miałem już dosyć wynurzeń kolejnych ojców albo, co gorsza, matek, które postanowiły pozbyć się własnego dziecka. Mniejsza o to, z jakiego powodu. Najczęściej chodziło o niemowlęta, nowo narodzone bękarty, których nie mogły przyjąć zakonnice, bo wszystkie miejsca w klasztorze były zajęte. W tych stronach ludzie bogaci nie rozmnażają się tak łatwo jak biedni, więc czasem udawało się sprzedać bękarta jakiemuś bezdzietnemu małżeństwu, dla którego takie dziecko było błogosławieństwem. Ale moja pozycja społeczna i płynące z niej obowiązki kazały mi dbać przede wszystkim o dzieci zmarłych wieśniaków. Ludzie umierali z najróżniejszych przy-

czyn. Grypa, gruźlica, osłabione serce, które pęka któregoś popołudnia przy pracy. Ktoś się poślizgnie, ktoś spadnie z wysokości, ktoś wzywał pomocy, ale zagłuszył go hałas młockarni. Najczęściej żadna z miejscowych rodzin nie może przyjąć ani wyżywić kolejnej duszyczki. Wówczas duszyczkę ową, wykąpaną, wystrojoną, uczesaną, przyprowadza się do pałacu i zostawia pod drzwiami dla służby. Z przeprosinami i wyrazami wdzięczności. W ten sposób moi rodzice wychowali dziesięć lub dwanaście sierot.

- Wam też to się zdarzało? Ludzie zostawiali dzieci, licząc na wasze miłosierdzie?

- Owszem, bywało i tak. Ale Simona jest kobietą innego pokroju niż moja matka. W takich wypadkach zanosilem grubą białą kopertę do któregoś z okolicznych klasztorów i wkładałem do obrotowego pojemnika przy furcie, zwanego kołem świętej Katarzyny. Potem czekałem, aż wyjdzie do mnie jakaś zakwiefiona zakonnica i zabierze becik. Nigdy nie zlecałem tego służbie. Sądziłem, że moje osobiste stawiennictwo zapewni niemowlęciu najlepszą opiekę i bezpieczniejsze życie. Może nawet miłość. Jest księga, w której zapisane są miejsca pobytu wszystkich tych dzieci. I na te adresy co roku wysyłam kolejne grube koperty. Zresztą mam z ich powodu ciągle kłopoty. Te dzieci wcale nie są święte. - Przez chwilę Leo siedział cicho z łokciami na stole i głową opartą na dłoniach.

- Ale żeby ktoś zachował się tak jak twój ojciec, to raczej się nie zdarzało - mówił dalej. - Ja przynajmniej niczego takiego sobie nie przypominam. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z mężczyzną w pełni sił, mającym powodzenie w interesach, który postanowiłby oddać mi zdrową, pogodną, rozumną i śliczną dziewięcioletnią córeczkę.

- Nigdy się nie zastanawiałam nad waszym pierwszym spotkaniem. Jak doszło do tego, że zawarliście umowę. Ale jestem pewna, że nie odwoływał się do litości. Musiała to raczej być rzeczowa rozmowa o interesach, bo nie byłam ani bękartem, ani sierotą. Tylko przedmiotem handlu. Nadwyżką, którą można wymienić na gotówkę. A może na konia? Nie błagał o pomoc ze łzami w oczach, uzalając się, że nie jest w stanie się mną zaopiekować. Po prostu mnie sprzedał, tak? Wtedy wiedziałam to równie dobrze jak teraz.

Zaskoczyły mnie moje własne słowa. Nie myślałam, że wyleje się ze mnie tyle goryczy, a jednak tak się stało. Leo zbliżył się do mnie i pochylił się, żeby mnie objąć. Uścisnąć po ojcowsku. Odsunęłam się, przybierając kokieterijną pozę.

- Proszę na mnie popatrzeć. Czy budzę litość? Jestem załamana? Przemykam się chyłkiem pod ścianami, bo własny ojciec mnie odrzucił? Nic podobnego. Nie mogę powiedzieć, że nigdy nie rozpaczalam, bo to by była nieprawda. Źle mnie traktował, a potem się mnie pozbył. Ale najgorszy ból już minął, zanim mnie księżę stamtąd zabrał. Więc to nie księżę mnie wybawił. Uratowałam się sama.

Pomyślałam od razu, że jestem strasznie niewdzięczna. Jaki diabeł we mnie wstąpił? Usiadłam znowu. Leo usiadł obok. Nie patrząc na niego, ośmieliłam się dotknąć grzbietu jego dłoni, którą położył na udzie. Musnęłam jego rękę koniuszkami palców. W geście skruchy.

- Powiedz mi coś o swoim ojcu. Cokolwiek. To, co pamiętasz - poprosił Leo, obracając dłoń tak, żeby ująć moją.

- Odkąd pamiętam, moje ciepłe uczucia wobec ojca wydawały mi się czymś niewłaściwym. Na początku, kiedy umarła matka, zabiegałam o jego miłość. Chyba próbowałam naśladować matkę. Bądź co bądź, przyszła moja kolej na matkowanie rodzinie, czyż nie? Kładłam rano dodatkowego herbatnika przy jego kawie, a ponieważ były wyliczone i musiały wystarczyć na określony czas, z pewnością wiedział, że to oznacza o jednego mniej dla mnie. Zawsze go zjadał, ale nigdy nie podziękował. W ogóle niechętnie się do mnie odzywał.

Nigdy nie wracał do domu przed zapadnięciem zmroku. Kładłam Maleńką Mafaldę do łóżka, opowiadałam jej na dobranoc bajkę o księżniczce, która miała trzy piękne sukienki, kąpała się w ciepłym mleku, codziennie o jedenastej jadła ciastka z różowym lukrem, a mama jej obiecała, że nigdy w życiu nie umrze. Całowałam ją na dobranoc i trzymałam za rączkę, aż zasnęła. Potem siadałam na stopniu przed domem z kotem na kolanach i czekałam. Tak siedząc, nieraz zasypiałam i budziłam się dopiero, kiedy kot podrywał się na widok ojca. „Tato, czekałam na ciebie. Jesteś głodny? Zostawiłam ci jajko i trochę chleba”.

Siadał przy stole, zjadał jajko. Rwał zębami wielkie kęsy chleba. Mama mówiła, że tylko zwierzęta jedzą tak łapczywie jak on. Stanąwszy obok stołu, paplałam o tym, jak długo musiałam usypiać Maleńką Mafaldę, albo o tym, że łokieć, który stłukła w zeszłym tygodniu, jeszcze ją boli. Jeśli nie było żadnych dobrych wiadomości, wymyślałam jakieś na poczekaniu. Mama też tak robiła. O tym, że, na moje oko, słomę w stajniach wystarczy wymienić za tydzień. O grzybach, które, idąc rano do szkoły, znalazłam pod pinią i już je rozłożyłam na dachu do suszenia. Gadałam i gadałam bez końca, w strachu przed ciszą, którą usłyszałabym zamiast jego odpowiedzi. Nie lubiłam tej ciszy, która zapadała między nami. Odkręcał kurek przy baryłce z winem i podstawił szklanę, nie spuszczać ze mnie wzroku. Wypijał całą szklanę wina kilkoma łykami. Rozpinał pasek, zrzucił spodnie i kładł się do łóżka. Do świeżej pościeli, którą zostawiła po południu Anna Lavanderia. Jeśli to nie był jej dzień - brałam prześcieradła spod materaca, gdzie leżały czyste i poskładane w kostkę, tak jak sobie życzył.

- Kim była Anna Lavanderia? - spytał Leo.

Co go to właściwie obchodzi, kim była, pomyślałam. Rozumiałam jednak, że ogarnął go smutek, gdy słuchał mojej opowieści, i szuka pretekstu, żeby i mnie od niej oderwać. Pomogłam mu.

- Anna Lavanderia. Wszyscy wołali na nią *la lavandaia*. Była praczką, chodziła po domach. Dla każdego miała ustalony dzień tygodnia. Robiła pranie i rozwieszała na słońcu do wyschnięcia, a po południu wracała, żeby pozbierać i wyprasować. Pracowała przeważnie dla zamożnych klientów, ale ponieważ Maleńka Mafalda i ja byłyśmy jeszcze za małe, żeby utrzymać w czystości stos prześcieradeł, po śmierci mamy ojciec zaczął korzystać z jej usług, płacąc w naturze. Worek pomidorów i dwie głowy kapusty na tydzień. Do tego karczochy, trochę ryżu albo od czasu do czasu coś z *dispensa*, które, jak mi się zdawało, ukryłam przed nim. Na przykład cukier i masło na ciasteczka dla Mafaldy.

Tak więc - wróciłam do przerwanej opowieści - nadal milcząc, ojciec leżał na łóżku z rękami założonymi pod głowę i przyglądał mi się. Nie wiedziałam, czy czeka, aż pochylę się nad nim, żeby go poca-

łować, tak jak uczyła nas mama. Nigdy tego nie zrobiłam. Po śmierci mamy nie pocałowałam go nigdy więcej. Zabierałam kota, wspinałam się po drabinie z tą grubą bestią pod pachą i siadałam na pryczy obok Maleńkiej Mafaldy. Czuwałam jeszcze przez chwilę, przynajmniej dopóki nie usłyszałam miarowego oddechu kota. Byłam strażniczką snu mojej siostry, *la vigilessa*. Kot mnie w tym wspierał. Razem byliśmy w stanie zapewnić Maleńkiej Mafaldzie bezpieczeństwo.

Upłynęło jeszcze dużo czasu, zanim przestałam zastępować mamę i stałam się po prostu Toscą. Zastępowanie mamy nie było właściwe. Wydawało mi się, że powinnam iść do spowiedzi za każdym razem, kiedy, posyłając mu słodki uśmiech mamy, mówiłam, że zostawiłam dla niego jajko. Wiedziałam, że uśmiech mamy na mojej twarzy niesie w sobie kłamstwo. Poczułam się znacznie lepiej, kiedy ograniczyłam się do robienia tego, co do mnie należało, nie zastanawiając się, czego ojciec pragnie i co mu sprawi przyjemność. Odtąd myślałam już tylko o Maleńkiej Mafaldzie i o sobie. A także o przyjaciółkach, o mojej nauczycielce i o ludziach, którzy każdego ranka na targu rozpromieniali się na nasz widok.

Przewieszałam brązową torebkę mamy przez dumnie wypiętą płaską pierś i chociaż wisiała mi u kolan, wierzyłam, że dodaje mi elegancji. Jakże kochałam tę torebkę! Jakże kochałam rozczesywanie włosów mojej siostry. Lubiłam zaplatać jej warkocze ciasno i starannie, używając własnej śliny dla przyglądzenia ich tam gdzie trzeba, a potem wiązać końce czerwonymi albo różowymi wstążkami. Zapinałam jej sandały i brałam za rękę. *Sei pronta?* Zawsze była gotowa i zawsze wystrojona, jakbyśmy wybierały się na odpust albo na festyn. Targ był dla nas jak rodzina, którą szłyśmy odwiedzić. Wyobrażałyśmy sobie, że to tak samo, jak gdybyśmy miały rodzoną babcię. Byłam szczęśliwa, że to ja z siostrą musiałyśmy chodzić po kapustę, ziemniaki, dwadzieścia deka *maccheroncini* czy cokolwiek innego, co było mi tego dnia potrzebne na kolację. Każdy dorzucał nam coś w prezencie. Natkę pietruszki, jabłko przekrojone na pół, garść złotych rodzynek zwanych *zibbibi*, których nigdy nie zjadałyśmy od razu, lecz zawsze chowałam je do torby na wystawny podwieczorek, dla mnie i Maleńkiej Mafaldy. Jeden z pasterzy na nasz widok zawsze wyciągał zza paska nóż i odcinał spory kawałek swojego najlepszego sera *pecorino*. Z tego większa część szła do torby, drugą dzieliłam na dwa kawałki. Z namaszczeniem, jakbym trzymała w dłoni hostię, mówiłam Mafaldzie, żeby wysunęła język i kładłam na nim kawałek sera. Otwierała buzię szeroko, jak malutkie głodne pisklę. Drugi kawałek był dla mnie. Nie gryź tego, mówiłam. Poczekaj, aż się rozpuści. Wtedy poczujesz smak i zapach, zachęcałam ją, bo wiedziałam, że polubi ten zdecydowany, ostry smak, tak samo jak ja go lubiłam. Zapewniałyśmy się nawzajem, że pozostaje w ustach przez całą drogę do domu, nawet jeśli tak nie było.

Gdy szłam do szkoły, z konieczności zostawiałam siostrę samą, z lalką w objęciach i kromką chleba na obiad. Czasem jednak zabierałam ją ze sobą i brałam na kolana albo sadzałam w końcu sali, gdzie mogła bawić się z innymi dziećmi zostawionymi pod opieką starszego rodzeństwa. Często też wcale nie wychodziłam do szkoły, zwłaszcza przez kilka pierwszych miesięcy po śmierci mamy. Gdy tylko wracałyśmy z targu, zabierałam się do gotowania obiadu. Jakbym musiała nakarmić dziesiątkę dzieci i pół tuzina wygłodzonych pasterzy - kroić warzywa, siekałam kapustę, obierałam ziemniaki i nakrywałam do stołu,

żeby pięknie wyglądał. Odkryłam, że mogę być szczęśliwa bez ojcowskiej miłości. Widzisz, zrozumiałam to dzięki panu Francescowi Brasiniemu.

- Co rozumiałaś? I kim był Francesco Brasini?

Tym razem Leo nie próbował mnie odwieść od głównego wątku, naprawdę wciągnęła go moja opowieść.

- Mniejsza o to, kim był. Ważne jest tylko to, co uczynił. Jeśli książkę będzie słuchał, wszystkiego się dowie. Zrozumiałam, że mój ojciec nigdy nie był dobry dla mamy, więc czemu miałby być dobry dla mnie? Nie mogłam tego oczekiwać. Pojęłam, że nie był dobry, bo tego nie potrafił. Po prostu nie był dobry, i tyle. Tak samo, jak nie był wysoki, nie miał jasnych włosów ani dużych stóp. Kiedy to do mnie dotarło, poczułam ulgę. Niektórzy po prostu przychodzą na świat z pustką w sercu. W tej pustce nie mogą się zrodzić ani dobre uczynki, ani cierpliwość, ani czułość. Jeśli ojciec się do mnie nie uśmiechał i nigdy się nie odzywał, to nie dlatego, że ja byłam nie dość dobra albo że nie byłam tego warta, tylko dlatego, że uśmiech, rozmowa i życzliwość były mu obce. Tak jak nie mogły mu wyrosnąć jasne włosy, nie mógł też zacząć się uśmiechać. W ten oto sposób mój ośmioletni umysł zaczął pojmować te sprawy. Nagle wszystko stało się jasne i proste. Dzięki temu udawało mi się rozwikłać kolejne tajemnice. To tak jak w układance: kiedy dopasujemy jeden fragment, będziemy wiedzieli, jak należy układać następne. To, co zrozumiałam na temat ojca, pomogło mi przyjąć naukę, którą dał mi *signor* Brasini.

- Tosco, kim, u licha, był ten Brasini?

- Jak mi książkę przerywa, to nie mogę opowiedzieć wszystkiego po kolei. Ojciec nigdy się do matki nie uśmiechał, nie mówił jej miłych rzeczy, nie głaskał, nie obejmował, nie całował. A kiedyś na targu zobaczyłam, jak pan Brasini odnosi się do swojej żony. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby ojciec był taki miły dla mamy. Nigdy tego nie zapomnę. Oderwał się od pracy, obrócił się do żony i pogłaskał ją po policzku wielką, spracowaną dłonią. Przyciągnął ją do siebie i pocałował, tak jak to robią na filmach. Całowali się przez dłuższą chwilę, potem na nią popatrzył i uśmiechnął się. Przyglądałam się panu Brasiniemu i jego żonie, obserwowałam ich przy ciężarówce, kiedy zgarniali z paki do worka cebulę swojego szefa. Wtedy także się uśmiechali. Kiedy to zobaczyłam, wiedziałam już, że mogę być równie szczęśliwa jak oni. Chciałam żyć tak jak oni, nie tak jak ojciec i matka. Byłam przekonana, że kiedyś pokocha mnie ktoś taki jak pan Brasini. Choć może wiedziałam tylko, że nie pokocham żadnego mężczyzny, który by nie był do niego podobny. Wszystko to doprowadziło mnie do odkrycia, że na świecie są dwa rodzaje mężczyzn. Tacy jak pan Brasini i inni niż on. Tacy, którzy cię przytulą i pocałują jak na filmie, i tacy, którzy nie zrobią tego nigdy przez sto milionów lat. Ale to nie jest ich wina. Oni po prostu nie potrafią tego zrobić. Tak jak mój ojciec nie potrafił być miły. Jednym rosną jasne włosy, innym nie. Niektórzy nigdy nie przytulą kobiety, nigdy nie uśmiechną się do niej, jakby była najlepsza i najpiękniejsza na świecie. Nieważne, jak bardzo byłaby piękna i dobra, nieważne, co robi i co mówi. Ona nie może sprawić, by on był dla niej czuły jak mężczyźni na filmach. Jak już mówiłam, tamtego ranka, kiedy na targu spłynęło na mnie to objawienie, miałam osiem lat. Może nawet niecałe. To objawienie pomogło mi uporać się ze świadomością, że ojciec

mnie nie chce. Dzięki temu też łatwiej mi było docenić dobroć księcia. Bo księżę zdecydowanie jest taki jak pan Brasini. Wiem to od dawna. Wiedziałam, zanim skończyłam jedenaście lat. Zmierzam do tego, że kiedy już stworzyłam teorię brasinizmu, wówczas to, że mój ojciec mnie nie chciał, przestało mnie obciążać. Pustka, niezdecydowanie, poczucie winy, które dźwigałam na plecach przez całe swoje życie, wszystko to zostawiłam za sobą. Zrzuciłam ten ciężar i poszłam dalej. Zrozumiałam, jak działa to wszystko i dlaczego czasem nie działa. A jeśli nawet się myliłam, jeśli moje odkrycie było nieprawdziwe i nie potwierdziłoby się w życiu innych, to w każdym razie jest rzeczą pewną, że sprawdzi się w moim przypadku.

- Wydaje mi się nieprawdopodobne, żeby ośmioletnie dziecko, choćby to była Tosca, mogło odnaleźć drogę w takiej dżungli trudnych emocji.

- To wcale nie jest takie nieprawdopodobne. Jeśli dzieci o czymś nie mówią, to przecież nie znaczy, że nie wiedzą. Czasem wystarcza im, że wiedzą i czują. Zatrzymują to dla siebie. Niekiedy cierpią z powodu nadmiaru wiedzy, ale może ona również przynieść im wyzwolenie, tak jak stało się ze mną. Lecz w obu wypadkach dzieci zachowują milczenie. Jestem wdzięczna panu Brasiniemu, który otworzył mi oczy na to, jak żyją inni ludzie. Gdyby nie on, może nadal myślałabym, że wszyscy mężczyźni są tacy jak mój ojciec. A skoro już o tym mowa, ojcu też powinnam być wdzięczna. Nie tylko za to, że wysłał mnie do pałacu. Również za to, że był tak stary w swojej obojętności. Prędzej czy później i tak bym od niego uciekła. Maleńką Mafaldę zabrałabym ze sobą. Ani przez chwilę nie powinien księżę wątpić, że zdołałabym urządzić dla nas jakieś inne życie.

- Tak, poradziłabyś sobie. Jestem o tym przekonany. - Leo nalał po odrobinie *moscato* do dwóch srebrnych kieliszków i podał mi jeden z nich. - *Tanti auguri, Tosca*. - Podniósł kieliszek do góry.

Sącyliśmy wino w milczeniu. Znowu wziął mnie za rękę.

- Kim ja jestem dla księcia? Czy księżę myśli o mnie jak o swojej córce?

- Nie. Nie jak o córce. Chociaż zawsze czułem się w obowiązku cię chronić. Ale Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebujesz rycerza. Prawie od razu wyzwoliłaś we mnie dziwne uczucia. Zawsze bawiła mnie twoja śmiałość i waleczność. Podziwiałem cię i chyba trochę ci zazdrościłem. Zakładałaś ręce, wysuwałaś podbródek, odmawiałaś wszystkiego, na co nie miałaś ochoty, i brałaś dodatkowe porcje tego, co ci przypadło do gustu. Nie tylko przy stole. Byłaś niezłym ziółkiem, moja droga Tosco. W pałacu zjawiałaś się jeszcze na wpół dzika. Ale jakie są moje uczucia dla ciebie, tego nie potrafię powiedzieć. Ulegają ciągłym zmianom. Nawet teraz, podczas naszej rozmowy. Wystarczy powtórzyć to, co powiedziałem już wcześniej: jestem szczęśliwszy, kiedy jesteś przy mnie. Wtedy naprawdę mam ochotę cię przytulić.

- I pocałować, jak na filmie?

- Być może.

Puścił moją rękę, wstał i przez chwilę spacerował po pokoju. Kiedy znów podszedł, spojrzał na mnie z ojcowskim wyrazem twarzy.

- Ale teraz powinnaś odpocząć. Poproszę Valentina, żeby pokazał ci drogę na *mansarda*. Tam są ciche pokoje, a na balkonach można nawet rozkoszować się chłodną bryzą. Valentino przyniesie ci zimną

wodę i wszystko, czego możesz potrzebować. A kiedy będziemy się zbierać do drogi, przyjdzie cię obudzić. Pewnie około ósmej.

Poszedł od razu poszukać Valentina, a ja podniosłam swój kieliszek, włożyłam do niego język i wylizałam ostatnią kroplę *moscato*.

Powyżej piątego półpiętra wąskich schodów przestałam liczyć i pomyliły mi się kierunki. Valentino poprowadził mnie do podwójnych drewnianych drzwi, otworzył je i zostawił klucz w zamku. Wodę, szklanek i dwa małe ręczniki zostawił na stole w *salone*, do którego weszliśmy. Życzył mi *buon riposo* i szybko się wycofał. Nawet według pałacowych standardów pokój był bardzo duży. Na ścianach obitych jedwabiem w kolorze ziaren kawy opierało się srebrnoszare sklepienie. Męski *salone*, pomyślałam, głaszcząc dłonią oparcie kanapy obitej spłowiałym aksamitem, na którym być może spoczywała kiedyś głowa Lea. Moje buty stukały głucho o kamienną podłogę, kiedy otwierając i zamykając coraz to nowe drzwi, przechodziłam z jednego pomieszczenia do drugiego. W niektórych wszystkie meble okrywały prześcierała i płócienne pokrowce. Jedno z nich stało zupełnie puste, tylko zwinięte dywany leżały wzdłuż ścian. Na jednym końcu długiego korytarza zauważyłam z daleka drzwi z urwaną klamką. Otworzyły się pod lekkim naciskiem mojego biodra, ukazując kolejną amfiladę pokoi z wysokimi, dawno niemytymi oknami, na których wisiały zetłale firanki. Za kolejnymi drzwiami znajdowała się sypialnia urządzona podobnie jak pierwszy *salone*. Łóżko przykryte wieloma warstwami brązowego jedwabiu wydawało się małą łódką na rozległym morzu kamiennej podłogi. Żyrandol z małymi brokatowymi abażurami nad każdą z żarówek w kształcie świecy wisiał nisko nad łóżkiem. Stało tam samotne krzesło, szafa bez lustra i komódka z kilkoma szufladami. Inne drzwi prowadziły na galeryjkę. Widok na pola rozciągał się aż po horyzont, gdzie prawie bezbarwne niebo spotykało się ze złotym łanem pszenicy. Galeryjka była pusta, jeśli nie liczyć przykrytego świeżym prześcieradłem i wyłożonego poduszkami łoża z baldachimem i migoczącymi kotarami z materiału cienkiego jak pajęcza nić, obramowanego szerokim, ciężkim pasem różowej satyny. Tam postanowiłam odpocząć. Zapomniałam wziąć ze sobą karafkę z wodą, więc najpierw musiałam po nią wrócić przez całą amfiladę. Na chwilę zatrzymałam się w sypialni przy galeryjce. Otworzyłam wszystkie szuflady którejs z komód. Czego tam szukałam? Może właśnie tego? Znalazłam dwie idealnie wyprasowane i poskładane koszule nocne z białego jedwabiu i flakonik perfum ze szklaną, skośnie szlifowaną zatyczką. Chanel N°. 5. Rozpieczętowałam flakonik i skropiłam się perfumami, pierwszymi w życiu, których nie podkrađłam Simonie. Jeśli nikt się mną nie zachwyci, pozachwycam się sama sobą, myślałam, szybko rozpinając guziki koszuli, którą miałam na sobie, i zdejmując *la canottiera*. Wyjęłam zatyczkę z flakonika i skropiłam się nimi, wcierając perfumy w skronie i kark. Wyciągnąwszy szpilki z warkoczy, wylałam trochę perfum na włosy. Wyszłam na galeryjkę, zrzuciłam buty, rozchyliłam kotary łoża i położyłam się na nim w spodniach do konnej jazdy. Zasłony falowały, unoszone łagodnymi podmuchami wiatru, a ja rozmyślałam o kobiecie, która nie była Simoną, używała perfum Chanel N°. 5 i nosiła cienkie jedwabne koszule. Zasłoniłam twarz uperfumowanym przedramieniem i zaśpiewałam: *Tanti auguri a me. Tanti auguri, cara Tosca*. Sto lat, sto lat. Kochana Tosco, wszystkiego najlepszego. Wiatr przyniósł woń zżętej pszenicy,

suszającej się w wieczornym słońcu. Była wymieszana z zapachem deszczu, nadciągającego po ciemniejącym niebie z zachodu, jego rychłe przybycie obwieszczały chmury. Deszcz spadnie, nim zajdzie słońce. Może Leo przyjdzie i położy się obok mnie jeszcze przed deszczem? Podałam się tchnieniom wiatru. Pozwoliłam im pieścić moje ciało, podczas gdy na zewnątrz już prawie zapadła noc, a zasłony falowały coraz bardziej niespokojnie. Potem wydało mi się, że ktoś jest w sąsiednim pokoju. Podniosłam się na kolana, instynktownie zasłaniając dłońmi piersi. Leo wyszedł na galeryjkę i zbliżył się do łóżka. W rękach miał moją koszulę i *canottiera*. Klęczałam, wciąż zasłaniając piersi. Leo, bez rozsuwania zasłony, objął dłońmi moją twarz i pocałował w usta przez tiul. Wciąż nie odsuwając zasłony, zdjął moje dłonie z piersi i zamiast nich położył swoje. Pieścił mnie. Potem się rozebrał. Rozsunął zasłonę i położył mnie na łóżku. Teraz on klęczał. Rozpiął mi spodnie i zsunął je ze mnie. Mocnymi ruchami dłoni masował moje ramiona i uda, palcami ugniatał ciało, mocno, wciąż na nowo. Od stóp do głów. Jakby był rzeźbiarzem, który chce ulepić kobietę z dziewczyny. Pojawił się jeszcze na chwilę czerwonozłoty odblask zachodu, a wiatr powrócił gwałtownym porywem. Satynowe obszycie zasłony uderzało o łóżko w równym rytmie, jak falbanka u sukni hiszpańskiej tancerki.

Kiedy wracaliśmy samochodem do pałacu, zrozumiałam, że wszystko, co dotąd wydarzyło się w moim życiu, było tylko wstępem do tego popołudnia. A wszystko, co się wydarzy później, będzie jego następstwem. Wiedziałam, że przyjdą i radość, i smutek, i pociągną mnie za sobą. Oparłam głowę o ramię księcia.

Rozdział 12

Leo dotrzymał obietnicy. Szóstego dnia po rozpoczęciu żniw wszystko było gotowe. W zapomnianym kącie magazynów znalazł stare kosy i dał je do wyklepania mężczyźnie, który w *borghetto* zajmował się ostrzeniem siekier i noży, zarówno kuchennych, jak i myśliwskich. Wybrał się potem z wizytą do najstarszego z wieśniaków, żeby wypytać, jak ludzie posługiwali się kosami w dawnych czasach. Ów wieśniak nazywał się Umberto. Zaczęli się schodzić pozostali mężczyźni, chcąc także skorzystać z jego nauk. Właśnie na to liczył Leo. I nauczyli się kosić kosami. Nazajutrz księżę i ja jedliśmy razem z wieśniakami kolację na świeżym powietrzu. Rozsiedliśmy się wszyscy na placyku. Na kamieniach, na schodkach, gdziekolwiek, gdzie można było mieć nadzieję choćby na lekki powiew wiatru, zabłąkany w bezwietrznej ciszy wieczoru. Zapamiętałam jednego z wieśniaków, tego, który rzucił pomysł, żeby od razu przeciwiczyć taniec kosarzy. Odsunęli na bok grabki, łopatki, wiaderka i inne zostawione przez dzieci zabawki, odpędzili domowe zwierzęta, po czym utworzyli szyk z Leem i Umbertem na czele. O wschodzie księżycy, w świetle samotnego kaganka, który jeszcze palił się obok jadalni, stawiali długie kroki, obracając się, jakby machali kosami, w rytmie odmierzonym przez Lea, naśladując starczy, lecz wciąż jeszcze dumny krok Umberta. Panowała taka sama cisza jak wówczas, gdy, wiele miesięcy temu, w świetle księżycy wirowała

dziewczyna o śniadej cerze. Wydawali mi się niezwykle piękni, kiedy poruszali się w tej delikatnej poświacie. Było ich wielu, każdy z własnymi marzeniami.

W dniu ceremonii żniwnej, dwie godziny przed świtem, droga prowadząca z *borghetto* na pole, które miało zostać zżęte kosami, była pełna ciężarówek i wozów, zwożących na miejsce wieśniaków. Wśród nich byliśmy i my - Leo, don Cosimo i ja. Jechało z nami dwóch muzyków z Enny, dudziarzy, ojciec i syn, których Leo odnalazł i zatrudnił na ten dzień. Obok stało kilku chłopców z *borghetto*, z prostymi bębenkami, zapewne domowego wyrobu, zawieszonymi na szyjach. Był z nimi Valentino, rudowłosy chłopiec z pałacyku myśliwskiego. Bez wątplenia wzięli go ze sobą, żeby wzmocnić swoje zbyt wątłe szeregi. Co chwila któryś z nich uderzał w membranę, jakby chciał sprawdzić brzmienie instrumentu. Albo własne umiejętności.

Nie rozmawialiśmy głośniej niż szeptem, jakbyśmy obawiali się kogoś zbudzić. Jakby w pszenicy czaił się wróg. W jednym końcu pola rozłożono na ziemi koce, a na nich leżały kosze pełne chleba i sera i stały ustawione szeregiem dzbany wina. Kobiety, od małych dziewczynek po zgrzybiałe staruszki, które miały je roznosić żniwiarzom, stały w pełnej gotowości. Nie zauważyłam tego wcześniej, ale wszyscy mężczyźni byli boso. Odstawiwszy na bok dzbany, kobiety zawiązały chusty na głowach. Leo rozdał kosy pierwszemu szeregowi żniwiarzy, pewnym ruchem wkładając styliska prosto w wyciągnięte ręce, po czym wszyscy zajęli swoje miejsca. Drugi i trzeci szereg stanął za pierwszym. W napięciu czekaliśmy na boga słońca, który miał zstąpić z granatowego nieba. Oszałamiające piękno tej sceny zaparło mi dech. Czy należała ona do codziennego życia naszej wspólnoty, czy też była to najważniejsza, kluczowa chwila, skupiająca w sobie cały jego sens? Ciemności rozproszyły się, przechodząc w liliową mgiełkę, a rozmazane nocne kontury powoli wypełniały się barwami dnia. Ludzie spojrzeli po sobie, wymienili powitania, klepiąc się nawzajem po plecach. Kobiety całowały się w policzki i już bez żadnych wstępów Apollo rozświetlił szary mrok szkarłatną poświatą i zabarwił niebo wszystkimi odcieniami czerwieni. Zabrzmiały dudy, chłopcy uderzyli w bębny, a żniwiarze pobłogosławili pracę, wołając do swojej bogini: *Alleluja!* I rozpoczął się mozolny trud. Tak jak parę dni wcześniej podczas próby w świetle księżyca, księżę i Umberto prowadzili żniwiarzy, wstępując w głąb wyrosniętych łąnów pszenicy. Prowadzili kosy zamaszyście i precyzyjnie, jakby właśnie do tego zostali stworzeni, i pomyślałam, że może tak właśnie było. Zostawiali za sobą równe pokosy, jeden przy drugim. Za kosiarzami szedł drugi szereg zbierający zżęte zboże. Za nimi z kolei ci, którzy konopnymi sznurami wiązali zboże w grube snopki. Następni układali te snopki w stosy, które miały czekać na młockę. Machnąwszy kosą trzy lub cztery razy, Leo stanął na skraju pola, dumny nie z siebie, lecz z nich. Pot mieszał się ze łzami na jego obsypanej sieczką twarzy, kiedy śpiewał hymn do Demeter. Śpiewał go wspaniałym, nieco schrypniętym basem:

*Daleko od Demeter, zbrojnej w złoty sierp, dawczyni plonów,
Córka bawiła się w gronie strojnych okeanid, zbierając
Na miękkiej łące kwiaty, róże, krokusy, piękne fiołki,
Irysy i hiacynty, narcyz wreszcie, który z woli Zeusa*

*Ziemia wydała na przynętę dla rozkwitłej dziewczyny,
Aby przypodobać się Przyjmującemu-Wielu,
Cudownie promieniejący dziw dla wszystkich patrzących,
Tak dla nieśmiertelnych bogów, jak i śmiertelnych ludzi*.*

* Przełożył: Zygmunt Kubiak.

Zabrzmiały dudy, a chłopcy uderzyli pałkami w bębni. „Święte” przeszły przez pole nie siedem razy w ciągu dnia, ale za każdym razem, kiedy dzwony były o pełnej godzinie. Mężczyźni pili wtedy wino i jedli chleb. Skończyli kosić wczesnym wieczorem, akurat wtedy, kiedy zaczęło się ściemniać. Leo ogłosił koniec pracy i wieśniacy padli na ziemię tam, gdzie stali. Leżeli na rżysku i patrzyli w niebo, dysząc ciężko, wśród śmiechu i pokrzykiwań. Mogliby liczyć na olimpijskie medale, gdyby nie walczyli o żywność, tylko o sławę. Wstawali, pomagając sobie nawzajem, po czym ruszyli gęsiego w stronę Lea, który czekał, by uścisnąć im dłonie. Starsi mężczyźni zamiast tego całowali go w rękę, tak jak ich ojcowie i dziadkowie, których jako chłopcy oglądali podczas żniwnego rytuału. Kiedy wieśniak całował rękę księcia, Leo odpowiadał tym samym. Był to gest nigdy przedtem niewidziany. Poczułam ciepło w sercu. Don Cosimo nakreślił dłonią znak krzyża. „Chwila, w której zniżymy się do nich, jest chwilą, w której oni wzniosą się do nas”.

- *Scemo. Scemo beato. Szczęśliwy głupiec.*

W szepcie księdza wyczułam cień gniewu. Spojrzał na mnie i powtórzył to jeszcze raz.

Rozdział 13

Leo nadal pracował niestrudzenie razem z wieśniakami i na ich rzecz, choć odkąd pierwszy krok został już uczyniony, kolejne prace coraz mniej rzucały się w oczy, a co za tym idzie, rozdrażnienie Simony powoli ustępowało. W pałacu zagościła na powrót nieco sztywna uprzejmość. Wydawało się, że Simona ma już za sobą swoje najgorsze ekscesy. A jeśli nie - może po prostu nabrała większego dystansu do własnego życia. Obwieściła domownikom, że nadszedł dla niej czas Dalekich Podróż. Odtąd często na dłużej wyjeżdżała na kontynent. Jej uwaga krążyła nieustająco wokół nadzwyczaj eleganckich strojów podróżnych i kapeluszy z woalką. Jej głos wibrował, gdy pouczała służących, jak powinni dbać o walizki podczas podróży do Rzymu czy Mediolanu, gdzie miała kuzynów. Obchodziło ją tylko jedno: gdzie będzie mieszkać i co jadać. Brała w ramiona swoje księżniczki, wtedy już dorosłe panny, przytulała je do piersi obleczonej w żałobną czerń i raz po raz całowała w policzki uszminkowanymi ustami. Dygały mówiąc: *Buon viaggio, Mamá*. Małą, koronkową chusteczką ocierała łzę. Niczym Maria Antonina, na którą czeka szafot. Ale na nią zamiast szafotu czekał przy schodach samochód.

Potem poczta regularnie doręczała księżniczkom różnokolorowe pocztówki i paczki owinięte szarym papierem oznaczonym egzotycznymi stemplami, pełnym nieczytelnych adnotacji. Lecz przesyłki nie cieszyły się zainteresowaniem. Do tego stopnia, że na srebrnej tacy w holu zalegały nieprzeczytane kolorowe kartki, a nieotwierane pudełka długo wały się po stołach.

Muszę przyznać, że czasem zazdrościłam Simonie tej swobody. Próbowałam sobie wyobrazić samą siebie, jak siadam na tylnym siedzeniu, zielonej limuzyny Bugatti, jak wchodzę na prom odpływający z Messyny albo zajmuję miejsce w nocnym pociągu do Wenecji. W moich wyimaginowanych podróżach przeważnie uczestniczył Leo, zdarzały się jednak i takie, w których byłam samotna. Któregoś razu, po kolejnym wyjeździe Simony, spytałam Lea, czy moglibyśmy porozmawiać z Yolande i Charlotte o podróżach. zaproponowałam im jakiś wspólny wypad. Skinął głową bez słowa. Tego samego wieczoru, przy kolacji, z werwą poruszył ten temat.

- Co byście powiedziały, moje księżniczki z dzikiej głuszy, na wspólną wycieczkę? Pojedziemy z Enny pociągiem do Palermo i zatrzymamy się w jakimś ładnym nadmorskim hotelu. Tam, w restauracji z tarasem zawieszonym nad falami, na kolację zjemy rybę - radość ulatywała z jego głosu z każdym słowem. Kiedy kończył, wyparowała do reszty. Ostatnie słowa wypowiedział zwykłym, chłodnym tonem. Jego córki nawet nie podniosły głów znad talerzy z zupą.

Ponieważ dotąd nigdy nie oddalałam się od pałacu bardziej niż podczas konnej przejażdżki, byłam zdecydowana wziąć na siebie zadanie przekonywania księżniczek i nalegać aż do skutku. Lecz mogłam tylko zasugerować im to, na co sama miałam ochotę. Przystąpiłam do rzeczy.

- Myślałyście kiedyś o tym, żeby rozbić obóz w górach? Piec kielbasę nad ogniskiem i spać pod gołym niebem?

- Nawet przez myśl by mi to nie przeszło - odpowiedziała Yolande z odrazą.

Nie dałam tak łatwo za wygraną.

- Może wolałabyś zwiedzić wielkie miasto? Chrząknięcie. Konsternacja.

- Albo popływać w morzu?

- Przecież nie umiemy pływać.

Leo zaczął mówić o nauce pływania, a ja tymczasem nie ustawałam w prezentowaniu kolejnych pomysłów. Co jeszcze mogłam zaproponować dziewczynom, których szafy pękały w szwach od natłoku francuskich jedwabów? Mieszkankom renesansowego pałacu, umeblowanego antykami i pełnego bezcennych dzieł sztuki? Sklepy, muzea, galerie obrazów mogły się schować. Udało mi się przynajmniej rozśmieszyć księżniczki.

- A może zwiedzimy jakiś zamek w Hiszpanii?

Odpowiedziała mi cisza. Ich umysły były niezłomne, zamknięte na siedem spustów. Księżniczki kochały swoje codzienne przyzwyczajenia i nie zamierzały zrobić nóżką obutą w dziecinny bucik ani kroku w stronę zewnętrznego świata. Poranna toaleta i układanie włosów, wdziwanie rozlicznych części garderoby, skomplikowanej niczym strój torreadora. Wciąż na nowo smarowanie masłem dobrze wypieczo-

nych grzanek, nieustająca procesja srebrnych półmisków, bez końca piętrzące się na paterach ciasteczka z kolorowym lukrem. Rozmowy obojętne i zionące nudą, jeśli już nie da się ich w żaden sposób uniknąć. Księżniczki budziło bicie dzwonów, bicie dzwonów obwieszczało im porę obiadu, nauki, modlitwy i snu.
Ave Maria!

* * *

- To przeze mnie - powiedziałam później do Lea.

- Nic podobnego. One są po prostu z innej gliny.

- Są dziecinne.

- Yolande jest tylko o rok młodsza od ciebie, a Charlotte o dwa lata. Ale może masz rację. W naszej sferze dość często zdarzają się kobiety, które w ogóle nigdy nie wyrastają z dzieciństwa. Z czasem stają się podstarzałymi dziewczynkami. Moje córki odmawiają mi zainteresowania już od tyłu lat, od ilu żyją. Od dnia ich narodzin starałem się do nich zbliżyć, jakoś zaistnieć w ich życiu, zostawić w nim choćby najmniejszy ślad. Dygały. Od święta całowały mnie w policzek. Mogłem liczyć tylko na takie przejawy ich miłości. Zajmowałem poczesne miejsce przy stole i w kaplicy, ale moja obecność oznaczała dla nich tylko zamęt i zagrożenie uświęconego porządku ich codzienności. Od dawna miałaś okazję to obserwować.

Był zły. Moja uwaga odłoniła w nim skrywane dotychczas cierpienie. Był zły, że musi cierpieć. Stałem obok jego fotela w bibliotece.

- Przykro mi. Pomyślałam sobie, że moglibyśmy spędzić z nimi trochę czasu inaczej niż do tej pory. Nie należy rezygnować. Może w końcu...

- Ponawianie prób nic tu nie zmieni. Powinniśmy po prostu być sobą. One nie są takie jak ty i ja. Należą do zupełnie innego gatunku ludzi. Są podobne do Simony.

- A kto je teraz odtrąca?

- Czyżby twoja koncepcja brasinizmu pomijała kobiety? „Niektórzy po prostu przychodzą na świat z pustką w sercu. W tej pustce nie mogą się zrodzić ani dobre uczynki, ani cierpliwość, ani czułość”. Nie mówiłaś mi, że zrozumiałaś to już w wieku ośmiu lat?

Jego głos był cichy, stłumiony.

- Więc dlaczego się z nią ożeniłeś?

- Kiedyś ci o tym opowiem. Pewnie już wkrótce poznasz tę historię.

Ze wszystkich stron płynęła niewypowiedziana akceptacja dla mnie i Lea. Dla naszego wspólnego życia. Dla naszego nieskrywanego romansu w najlepszym guście, taktownie podanego do wiadomości zainteresowanym. Wszyscy wiedzieli, że to nie ja byłam przyczyną rozkładu jego związku. A Simona wiedziała o tym najlepiej. Nie byłam ani intruzem, ani też tą trzecią w *ménage*. Tak się złożyło, że kochałam i byłam kochana przez męża innej kobiety. Mieszkałam z nimi pod jednym dachem. Ale ich związek był raczej spółką zawiązaną dla obopólnej korzyści niż małżeństwem. A przecież sakramentu nie można odwołać. W oczach Kościoła jest on nienaruszalny. Leo na zawsze pozostanie mężem Simony. „Dopóki śmierć ich nie rozłączy”. Większość domowników była znacznie lepiej ode mnie poinformowana co do

okoliczności zawarcia tego związku. Wiedziałam jednak, że w tamtym czasie i w tamtym środowisku nie brakowało par żyjących tak jak oni. Tam, gdzie w grę wchodzi bogactwo, uczuciom nie nadaje się znaczenia. Ta „prawda” spadła na mnie jak smagnięcie batem. Chociaż wiedziałam, że nie mogłabym już żyć bez Lea, czasem wmawiałam sobie, że zamierzam odejść. Fantazjowałam, że zostawiam ich wszystkich w labiryncie ich życia, że wydostaję się z niego, wyrąbując sobie drogę przez mur. Leo nie należał do mnie. Jego dom nie był moim domem. Ten labirynt także do mnie nie należał.

* * *

Któregoś popołudnia czytałam w ogrodzie, czekając, aż Leo i don Cosimo wrócą z cotygodniowej wyprawy w interesach do Enny, kiedy usłyszałam cichy chrzęst żwiru pod czyimiś stopami. Podniosłam głowę i zobaczyłam Simoneę. Szła w moim kierunku. Przeszkadzały jej w tym liście bujnie rozrośniętych karczochów. Deptała je bucikiem, smagała parasolką i przeklinała je pod nosem.

- Nigdy się nie przyzwyczaję do tej inwazji pospolitości w moim różanym ogrodzie!

Nie dodała „ani do twojej obecności pośród moich róż”, ale sądzę, że to także miała na myśli. Pokiwałam głową i uśmiechnęłam się. Uśmiech, który posłała mi w odpowiedzi, wydawał się nieszczerzy.

- Mogę usiąść obok ciebie? - spytała, choć już usiadła.

Nadal uśmiechałam się bez słowa. Wzięła do ręki moją książkę i przeczytała na głos angielski tytuł.

- *Great Expectations. Wielkie nadzieje.* Otóż to. - Tym razem w jej uśmiechu pojawił się cień ludzkich uczuć. - Tak rzadko widzujemy się na osobności - powiedziała, jakbym była jej najlepszą przyjaciółką.

Toteż przez chwilę wydawało mi się, że mówi do kogoś innego. A potem dodała jeszcze:

- W cztery oczy.

Bezgranicznie zdumiona, zacięłam się w swoim milczeniu, ale ona jakby tego nie zauważyła, a może to jej nie przeszkadzało. Zaczęła mi opowiadać o swojej ostatniej podróży. Opisywała dramatyczną różnicę między naszymi ciastkami a tymi wiedeńskimi, po czym wzięła w dwa palce żółtą krepdeszynową tkaninę mojej sukienki i oznajmiła, że bardzo podobną kupiła sobie w małym sklepiku w Mediolanie. I nie wiedząc już, o czym mogłaby dalej paplać, spytała:

- Jakie masz plany na przyszłość, Tosco? Niedługo skończysz dwadzieścia lat. Przypuszczam, że lada moment zaczniesz myśleć o małżeństwie.

Znowu odczytałam ukryty sens jej słów: „Niedługo zaczniesz myśleć o swoim własnym małżeństwie, a moje zostawisz w spokoju”. A jednak byłam w błędzie. Simona ciągnęła dalej.

- Chcę ci poradzić, żebyś nie podejmowała pochopnych decyzji. Po wojnie nasz świat zaczął pograżać się, mówiąc najdelikatniej, w zamęcie i anarchii. Wiem, że całe swoje życie przeżyłaś w tych strojach, ale teraz chętnie pomogliśmy ci, że tak powiem, poszerzyć horyzonty. Wielkie nadzieje. Przyjemnie jest marzyć.

Milczałam z uporem, a na dodatek zaczęłam wątpić, czy rzeczywiście usłyszałam to, co usłyszałam. Czy dobrze zrozumiałam, co do mnie mówiła. Przemawiała tonem kochającej ciotki, a kiedy chciała dać

wyraz swojemu zainteresowaniu moimi sprawami, użyła formy „my”, włączając w nią także Lea. Okazało się, że to jeszcze nie koniec.

- Góry na tej wyspie są na dwa sposoby odcięte od świata, moja droga. Podwójnie od niego oddalone. Ale też życie jest tu dwukrotnie bardziej przewidywalne niż gdzie indziej. Wszystkie zdarzenia, jakie tylko mogą się zdarzyć, zdarzają się raz za razem. Czy Leo mówił ci, że moi rodzice żyli tak samo jak my? Niby razem, ale nie do końca. Dość często się to zdarza tu u nas, gdzie przede wszystkim liczy się bezpieczeństwo, utrzymanie majątku i sukcesja. To znacznie ważniejsze niż rzecz tak ulotna jak miłość. Ziemia, klejnoty, budynki... - Podniosła chudą rękę obwieszoną szafirowymi bransoletami i wyciągnęła ją przed siebie. - To są wartości trwałe. Tylko one są ważne.

Patrzyłam, jak Simona bawi się swoimi szafirami, pierścionkami, włosami. Nasze spojrzenia się spotkały i na chwilę obie zastygłyśmy. Myślę, że doznałyśmy ulgi. Tym spojrzeniem powiedziałyśmy sobie więcej niż przez ostatnie jedenaście lat.

- Wiesz chyba o tym, że nie żywię do ciebie urazy. Choć dawniej bywało inaczej. Uraza, a może czysta zazdrość? Po pierwsze, zauważyłam, że jesteś naprawdę ładna. Taki uparty żrebak na długich, chudych nogach. Byliśmy oczarowani twoją odwagą. Przez długi czas byłaś dla mnie tylko dodatkową twarzą przy stole. Dopóki nie spostrzegłam, że zauważają cię inni. Przede wszystkim Leo. Lecz również wszyscy pozostali. Nie chciałam Lea dla siebie, ale nie życzyłam sobie też, żebyś mi go odebrała. Choć to dziwne, nie uważałam tego romansu za zdradę ze strony Lea. Przed tobą było już tak wiele innych kobiet... Czułam raczej, że to ty mnie zdradziłaś. I zabolala mnie twoja zdrada. Bo widzisz, nieświadomie zaczęłam myśleć o tobie jak o własnej córce. I rzeczywiście to było tak, jakby zdradziła mnie własna córka. Dbałam o ciebie tak samo... prawie tak samo jak o księżniczki. Wybierałam dla ciebie ubrania, zapewniałam opiekę lekarską, rozmawiałam z nauczycielkami o twojej edukacji. Uparłam się, że masz się uczyć religii i przystąpić do Pierwszej Komunii Świętej razem z Yolande i Charlotte. Później do bierzmowania. To ja wybrałam Agatę na twoją opiekunkę, bo znałam jej wrażliwość i czułe serce. Nie należałam do kobiet, którym macierzyństwo przychodzi z łatwością, chociaż bardzo się starałam. Ale jeśli matkowałam komukolwiek oprócz moich dziewczynek, to tylko tobie. Czy to dla ciebie za mało? Uważasz, że nie wystarczy?

Potrząsnęłam głową, ale bez przekonania. Przymknęłam oczy, ujrzałam twarz mojej matki. Moja siostra była do niej tak podobna.

- Och, Tosco - westchnęła.

Zabrzmiało to jakby wydała z siebie ostatnie tchnienie. Nie wiedziałam, co ją skłoniło do wygłoszenia tego monologu, i nie rozumiałam, co się takiego stało, że nie wykrztusiłam ani słowa. Umilkła, lecz nie odeszła. Zastanawiałam się, czy to westchnienie oznacza, że mnie odprawiła i teraz to ja powinnam odejść.

- Oczywiście moja zazdrość o twoją urodę czymś była całkowicie zrozumiałym. Kiedy kończyłaś piętnaście lat, ja miałam już czterdzieści. Ty zaczynałaś dopiero swoją drogę, ja już minęłam półmetek. Nigdy przedtem nie przejmowałam się siedmioma latami różnicy między mną i Leem. I naraz między moją

czterdziestką a jego trzydziestoma trzema latami otworzyła się bezdenna przepaść, z dnia na dzień coraz większa. Próbowałam powstrzymać czas. Tak, próbowałam zatamować jego rwący nurt ludzkimi ciałami. Ciałami mężczyzn, chłopców. Płatnych kochanków. Niemiłe to wspomnienia, ale nie da się ich wymazać. Wyobraź sobie, że kiedy ty i Leo krążyliście wokół siebie, przewidziałam, kiedy się zejdziecie, niemal co do dnia. Pewnie nie wiesz, że zmiany, jakie w tobie zaszły, ujawniały się nawet w sposobie picia kawy? Kiedy się odnaleźliście, wpadłam w rozpacz. Byłam całkiem spokojna przez te lata, kiedy flirtował z kobietami, które były mu równie obojętne jak ja. Nasze życie pozostawało wtedy w równowadze. To ty rozchwiałas tę względną równowagę. Widzisz, wątpię, czy kiedykolwiek wcześniej widziałam na własne oczy prawdziwą miłość. Póki nie zobaczyłam was razem. Prawdziwa miłość, moje dziecko, to rzadki kwiat. I ja na pewno nigdy jej nie doświadczyłam. Nawet się nie łudziłam, że mogę jej doznać. Przerazała mnie sama myśl o szczęściu. O czymś tak delikatnym i nietrwałym jak kwitnąca róża. Nie pojmowałam, czemu ktośkolwiek pragnie ulotnego szczęścia, gdy może wybrać nieprzemijające walory lęku i cierpienia. Czasem też zastanawiałam się, czy mój lęk i cierpienie zniknąłby, gdybym na to pozwoliła. Gdybym przestała je w sobie pielęgnować, gdybym przestała się nad nimi trząść. Może już nigdy się tego nie dowiem. Nigdy nie będę wiedziała tego, co ty wiesz, Tosco. Dużo o tym myślałam przez ostatnie dwa czy trzy lata. I naprawdę dobrze ci życzę. Ostatnio dostrzegłam w tobie jakiś niepokój. Wcześniej się to nie zdarzało. Dlatego chciałam z tobą porozmawiać. Stałaś się nerwowa. Może to z powodu tych wszystkich komplikacji. W życiu zawsze będą jakieś komplikacje, moja droga. Nie odchodź, Tosco. Zostań tutaj. Kochaj go, skoro musisz. Skoro znajdujesz w sobie dość odwagi. Kochaj go choć trochę i za mnie.

Gdy to mówiła, głos jej się załamał i przeszedł w szloch. Przez chwilę płakałam razem z nią. Gdy patrzyłam na nią przez łzy, wyglądała jak przejrzysta zjawka. Elokwentny duch w szyfonowej sukience w niebieskie cętki. Pamiętam loki na jej przyciętych włosach i rumieńce na policzkach. I że o tej porze dnia była prawie piękna. Kobieta, która przyszła mnie uspokoić. Zapewnić, że labirynt, w którym wszyscy żyjemy, jest także moim domem.

Kiedy życie w *borghetto* zmieniało się na lepsze, a Leo przekonywał się o coraz bardziej pogodnych nastrojach wśród Wieśniaków, sam także doznał spokoju. Mogliśmy opuścić pałac, wyruszając na pierwszą dalszą wycieczkę. Zapakowaliśmy do samochodu terenowego drewno opałowe i kosze z prowiantem, wojskowe kanadyjki, puchowe kołdry i latarenki na świece. Przez góry dojechaliśmy do płaskowyżu, gdzie spędziliśmy noc pośród pól dzikiego majeranku, hizopu i mięty. Leo rozgniółł naręcze ziół na płaskim kamieniu, zaparzył z nich wywar na ogniu, podał mi go w kubku z masy perłowej, zapewniając, że tym eliksirem Eleuzyjczycy poczęstowali pogrążoną w żałobie Demeter, kiedy, znużona, odpoczywała w ich obozowiskach.

Nazajutrz pojechaliśmy nad morze. Kiedy tylko je zobaczyłam, wyskoczyłam z samochodu. W biegu zrzuciłam spódnicę i bluzkę. Ściągnęłam stanik przez głowę i rozpuściłam warkocz. Z pluskiem i krzykiem rzuciłam się przed siebie, łykając słoną wodę. Mokra i lśniąca wyglądałam pewnie jak wielka brązowa ryba podskakująca na stalowobłękitnych falach gdzieś na skraju naszej wyspy. Ale już wkrótce

zateśniłam za górami. Za każdym razem, kiedy Leo zabierał mnie w jakiegokolwiek inne miejsce na naszej wyspie, odnajdywałam jego piękno i czułam radość. Ale zawsze tęskniłam za górami. A także za końmi. I za codziennym życiem. Yolande i Charlotte były chyba mądrzejsze niż ja.

Tak jak przez ostatnie lata, Leo i ja jeździliśmy konno. Ale teraz już nie braliśmy udziału we wspólnych przejażdżkach z gośćmi pałacowymi ani z don Cosimem po łatwych traktach jeździeckich. Zamiast tego przemierzaliśmy rzadziej uczęszczane górskie ścieżki i leśne ostępy lub wyjeżdżaliśmy na równiny, żeby się ścigać. Tam czuliśmy się wolni. Chociaż mogliśmy bez trudu zaplanować dzień i noc tak, żeby spotykać się w pałacu, te wycieczki przed brzaskiem były dla nas czasem największych miłosnych uniesień. Myślę, że nie ma większego szczęścia niż wstać wcześniej rano, ubrać się i w ciemnej kuchni spotkać Lea, który z potarganymi po nocy jasnymi puklami nalewał espresso do dwóch małych filiżanek. Biegliśmy potem, drżąc z zimna, przez ogród do stajni, jak para złodziei przemykających się w głębokiej nocnej ciszy. Wydawało się, że nawet konie biorą udział w naszym spisku, kiedy stały potulnie jak dzieci, czekając, aż skończymy je siodłać. Na koniec wkładaliśmy swetry i tweedowe kurtki, które wisiały w stajni. Jeśli księżyc nie świecił, jechaliśmy otwartymi traktami. Ale w księżycowe noce zanurzaliśmy się w płataninę ścieżek przecinających ciche, posępne lasy.

Któregoś dnia, kiedy mrok zaczął rzędnąć, zsiadliśmy z koni i poprowadziliśmy je na polanę. W mglistej poświacie stąpaliśmy ostrożnie wzdłuż palisady. Zatrzymaliśmy się na chwilę. Głaszcząc końskie szyje, czekaliśmy na wschód słońca. Gwałtowny podmuch wiatru powiał wśród suchych, pożółkłych dębowych liści, i gdzieś za naszymi plecami odezwał się dźwięk podobny do kobiecego szlochu. Choć miałam na sobie starą zamszową marynarkę Lea, drżałam z zimna, wsłuchując się w ten głos, który brzmiał łagodniej niż suchy szelest liści. Wiatr był teraz cieplejszy, a słońce wyjrzało zza gór. Ozłociło kamienistą ziemię i niebo. Płacz ucichł, a my ruszyliśmy nieco pewniejszym krokiem wzdłuż brzegu urwiska. Kiedy wyszliśmy na równinę, znów wskoczyliśmy na konie i popędziliśmy w szaleńczym galopie, szukając cienia. Odprowadziliśmy konie pod drzewa, żeby ochłonęły. Rozłożyliśmy się na trawie. Kochaliśmy się w rozkosznym, drżącym świetle, które sączyło się poprzez liście starych topól.

Ale najczęściej jeździliśmy do na wpół zrujnowanej *locanda* w lesie piniowym, tej samej, w której zatrzymaliśmy się kiedyś, wracając z pałacyku myśliwskiego w dniu moich osiemnastych urodzin. Siadaliśmy na chwilę w niewielkim salonie, z jego wysokich ścian odpadały płaty wyblakłej zielonej farby. Pokryta czerwoną terakotą podłoga zapomniała już chyba czasy, kiedy była płaska, a satynowe i skórzane obicia foteli i sofy wisiały w strzępach. Na samym końcu pomieszczenia stał fortepian, bechstein z ciemnego drewna, na którym czasem grywałam *Łabędzia* Saint-Saënsa. Leo słuchał, stojąc z zamkniętymi oczami i skrzyżowanymi na piersi rękami. Przerzywał mi po kilku taktach.

- To miał być łąbędź, Tosco. Ta melodia powinna przywodzić na myśl łąbędzia. A nie galopującego słonia. *Piano. Piano, amore mio.*

Czekała na nas herbata w porcelanowym dzbanku, zawsze ledwie ciepła. Chleb, marmolada, ciasteczka. Czasem fantazyjnie wycięty melon albo garść dzikich jagód z szypułkami i grudkami ziemi w

obitej różowej misce. W białoniebieskiej chińskiej wazie na szerokiej kamiennej półce nad kominkiem stały kwiaty albo kwitnące gałązki drzew. Nigdy nie spotkaliśmy żywej duszy, nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy innych gości, a gospodarze mieszkali w przeciwległym skrzydle budynku. Miękkie światło prześwitujące przez korony drzew wpadało do pokoju przez grube, nierówne szyby wysokiego szprosowanego okna i kładło się na naszych ciałach, gdy leżeliśmy na miękkim kobiercu w żółte róże. Wylegiwaliśmy się na tych żółtych różach przy ogniu płonącym na kominku i wyobrażaliśmy sobie, że tu jest nasz dom. Rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy, śmialiśmy się. Jedliśmy i pili. Zasnialiśmy i śniliśmy na ciemnoczerwonym kobiercu w żółte róże, którego krawędzie zdawały się wyznaczać dla nas granice świata. Albo leżałam z rękoma nad głową i bawiłam się jedwabnymi frędzlami dywanu, słuchając słów Lea. W świetle poranka, lodowatozielonym, wątlm i falującym niepewnie jak podwodna poświata, ciemnoczerwony dywan wydawał się nam jedyną rzeczywistością. Lecz kiedy zegar w korytarzu wybijał ósmą, zaczęliśmy się zbierać do drogi. Musieliśmy wracać do pałacu i do *borghetto*, żeby przystąpić do codziennej pracy.

Koperta z grubego papieru w kolorze wanilii była zaadresowana ręcznie i zapieczętowana czerwonym lakiem w staromodny sposób. Przy śniadaniu jeden ze służących wręczył ją Leowi.

- Ten pan czeka w holu na odpowiedź, proszę księcia - powiedział, uśmiechając się pod nosem.

Cała ta scena miała posmak osiemnastowiecznej literatury i Leo wydawał się nią zaskoczony. W ciszy patrzyliśmy, jak łamie pieczęć i wyjmuje list.

- Mam nadzieję, że to będzie zaproszenie na maskaradę - wtrąciła Charlotte, rozładowując trochę atmosferę, lecz mimo to uwaga wszystkich skupiła się na księciu, który czytał wiadomość.

- Ach, tak. Powiedz temu panu, że się zgadzam. I podziękuj mu, Mimmo - powiedział w końcu książę do służącego, który wyszedł szybko, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Leo podał list don Cosimowi. Dolał sobie kawy, aż przelała się z pełnej filiżanki na opalizujący biały spodek pomalowany w niebieskie kwiatki. Uśmiechnął się do nas. Kiedy don Cosimo skończył czytać, oddał list księciu i obaj wstali od stołu, mówiąc: *Buongiorno*. Leo skinął mi głową i szepnął, że zobaczymy się później.

Leo został zaproszony na kolację do arystokraty, którego posiadłość dzieliła od jego posiadłości mała wioska. Gospodarz informował w liście, że na tę kolację zaproszeni są również inni goście, zarówno z okolicy, jak z dalszych stron, na przykład z Palermo. Chociaż Leo potraktował to jak zaproszenie na spotkanie towarzyskie, list miał raczej ton wezwania. O cokolwiek mogło chodzić, było to pierwsze zaproszenie, jakie Leo kiedykolwiek otrzymał od tego sąsiada. Przyjęcie miało się odbyć późnym wieczorem tego samego dnia. Był to początek grudnia 1950 roku.

Choć prosił, żebym posiedziała przy nim w bibliotece, a później w jego gabinecie, przez cały dzień niewiele się odzywał. Spytałam, czemu tak chętnie przyjął zaproszenie, skoro nie uśmiecha mu się uczestniczyć w przyjęciu. Powiedział: „To kwestia obowiązku”.

Byłam przy nim, nawet kiedy się ubierał i wiązał eleganckie czarne buty, które wkładał tylko na wielkie okazje. Z kryształowej fiołki wylał sobie na dłoń parę kropel olejku pomarańczowego i wtarł go w

jasne włosy, jeszcze mokre po kąpieli. Kiedy czesał krótkie, grube pukle ciężką szczotką ze srebra, wydawało mi się, że mój książę jest znacznie młodszy, niż wynikałoby z jego metryki, zgodnie z którą miał już trzydzieści osiem lat. Poprosił, żebym po kolacji dotrzymała towarzystwa don Cosimowi. Życzył sobie, byśmy czekali na niego w małym saloniku przy kapliczce. Obiecał, że się nie spóźni. Jednak ksiądz, również ubrany odświętnie, oczekiwał go w holu, przy otwartych drzwiach frontowych. U stóp pałacowych schodów samochód grzał silnik.

- Właśnie skończył mi się воск do pieczęci, więc posłałem Mimma z ustną wiadomością do twojego gospodarza. Kazałem powiedzieć, że jako *sacerdote* z jego parafii, postanowiłem dziś wieczorem odsunąć na bok sprawy Kościoła, żeby móc udzielić błogosławieństwa temu zgromadzeniu. Nie prosiłem Mimma, żeby czekał na odpowiedź - powiedział don Cosimo.

Obaj parsknęli śmiechem, uściskali się i znów się zaśmiali. Wyglądali jak Don Kichot i Sancho Pansa, gdy sadowili się na przednich siedzeniach wiernego szarego chryslera.

Poza wieloma okolicznymi właścicielami ziemskimi, których Leo i don Cosimo znali, było tam dwóch mężczyzn, których nigdy wcześniej nie spotkali. Gospodarz przedstawił ich jako *politicos* z Palermo. Wydawało się, że pozostali goście znają już tych *dwóch Palermitani*. Poza księciem i duchownym całą grupę, w sumie dwanaście osób, łączyły niemal braterskie więzi. Ich wspólnym tematem była reforma rolna. Mówili o planowanym zarządzeniu, zgodnie z którym sycylijscy właściciele ziemscy mieli po symbolicznych cenach odsprzedać swoim wieśniakom wszystkie opuszczone i jałowe grunty, które jeszcze nadawały się do upraw. Szybko stało się jasne, że towarzystwo postanowiło rozprawić się tego wieczoru z Leem.

Kiedy goście zajęli miejsca przy stole, ucichł jak nożem uciął szmer rozmów prowadzonych w ciągu ostatniej godziny przy koktajlach. Mężczyźni zgromadzeni przy stole zaczęli jeden za drugim wyliczać szalone pomysły Lea. Odnowianie budynków w *borghetto*. Opieka medyczna, nauka higieny, sale porodowe, szkoła i obowiązek nauki dla dzieci do lat dwunastu. Kiedy już przynajmniej od pięciu lat powinny pracować w polu - rzucił jeden z mężczyzn. Inny dodał coś o dobrze zaopatrzonych spiżarniach i suto zastawionych stołach, o rozdawaniu ubrań i pościeli, o uroczystych mszach wieczornych w kaplicy. Dobre obyczaje wkrótce ustąpiły miejsca krzykom, gdy wypominano coraz to nowe przewiny księcia.

- A słyszeliście, moi panowie, że wieśniacy dobrego księcia Leo nie muszą już biegać za potrzebą do pięknego lasu? Pobielona latryna, panowie. Tylko higieniczna latryna jest wystarczająco dobra dla wieśniaków księcia Leo.

Rozległy się grubiańskie śmiechy. Atmosfera stawała się coraz groźniejsza. Wydawało się już, że trzeba by strzelaniny, żeby uciszyć to towarzystwo, lecz wystarczyło pojedyncze uderzenie srebrnym nożem o szklankę i zapadła cisza. To jeden z dwóch *Palermitani* przywołał obecnych do porządku.

- Drogi książę Leo, nie przeczymy, że kraj potrzebuje reform. Nadszedł już na nie czas. Ale ten czas nadszedł całkiem niedawno. Pozwólmy zmianom przyjąć właściwy bieg. Jeśli spróbujemy od ręki napra-

wić tysiącletnie krzywdy, żadna reforma się nie uda. Ci ludzie potrzebują bata nad sobą znacznie bardziej niż wieczornej mszy albo firanek w oknach.

- Albo lśniącej czystością latryny - krzyknął ktoś inny.

Znów zabrzmiały śmiechy, jednak ucichły zaraz po tym, jak Leo zabrał głos.

- Nie wątpię, że wieśniacy potrzebują kogoś, kto nimi pokieruje. Tak samo, jak potrzebują chleba i czystego, suchego miejsca do spania. Za zmiany, które wprowadziłem, również te, które zamierzam jeszcze wprowadzić, sam biorę odpowiedzialność. Nie zmuszam nikogo, żeby zrobił to samo. Nie uważam się za reformatora. Nie krytykuję was i nie namawiam do pójścia moim śladem. Nie będę parcelował ziemi ze względu na rząd, który tego ode mnie wymaga. Zrobię to raczej dlatego, że, moim zdaniem, to właściwe rozwiązanie.

Wy, szanowni panowie, róbcie, co uważacie za słuszne. Ja będę robił swoje.

Zapadła długa cisza. Ktoś potarł zapałkę o draszkę, ktoś poluzował zbyt ciasno zawiązany krawat. Rozległy się chrząknięcia.

- Czy to prawda, że całował księżę swoich wieśniaków po rękach?

Pytanie zadał drugi *Palermitano*, który nazywał się Mattia. Mówił cicho, nie zmieniając swojej przygarbionej pozycji, i Leo nie od razu się zorientował, do kogo należy ten głos.

- A co to ma za znaczenie? - spytał Leo, tocząc wzrokiem po twarzach wokół stołu.

Wówczas *Palermitano* o imieniu Mattia wstał, podszedł do krzesła Lea, oparł swoje krótkie ręce z nabrzmiałymi niebieskimi żyłami na ramionach księcia, zbliżył usta do jego ucha i powiedział łagodnie:

- Jeśli nie będą się bali, zaczną panem gardzić, księżę Leo. Słyszał pan o tym bez wątpienia wiele razy. Zapewniam, że to prawda.

Mattia podniósł głowę i zniżył głos do chrapliwego szeptu.

- Kiedy któregoś dnia usłyszymy, że spotkało księcia jakieś nieszczęście, wszyscy będziemy wiedzieli, co było jego przyczyną. Mam na myśli utratę szacunku. Tak, wszyscy będziemy wiedzieli, że ściągnął księżę na siebie nieszczęście przez te pocałunki.

Kiedy Leo wrócił późnym wieczorem, nie zajrzał do mojego pokoju. Odstąpił od naszego zwyczaju - zawsze wieczorem spędzaliśmy razem spokojną godzinę, żeby zastanowić się nad minionym dniem. Zrozumiałam, że coś go trapi. Byłam tym zaniepokojona. Zdarzenia tego wieczoru opowiedział mi nazajutrz z widoczną udręką don Cosimo. Kiedy opisywał mi przebieg tego spotkania, jego atmosferę przesiąkniętą pretensjami, otwartą niechęcią i potępieniem, mój nieokreślony niepokój zamienił się w dławiący lęk.

- Ale kim byli ci dwaj z Palermo? - spytałam don Cosima.

- Oni należą do rodziny - odpowiedział z irytującą prostotą.

- A co to jest, ta rodzina? Od dziecka słyszę, jak ludzie szepczą o niej po kątach. Czy to prawdziwa rodzina? A może banda przestępców? Wyrzutków społeczeństwa? Czy to ci sami, którzy zamordowali Filiberta?

- Na każde z twoich pytań odpowiedź brzmi „tak”. Są rodziną - jeśli nie przez pokrewieństwo krwi, to z wyboru. Takie więzy bywają o wiele silniejsze. Są też szajką bandytów. Bandytów, wśród których znalazłabyś wielu sławnych, wysokiej rangi, utytułowanych i cieszących się powszechnym szacunkiem członków naszego społeczeństwa. Obok polityków, arystokracji i przemysłowców spotkałabyś też wśród nich wielu księży. Jak również wielu przedstawicieli policji państwowej, lokalnej żandarmerii i organów kontroli finansowej. I wreszcie głodujących biedaków, gotowych bez szemrania wykonywać wszelkie polecenia, nie zważając na to, jak bardzo są odrażające.

Kiedy to mówił, zerkał z obawą w stronę drzwi do salonu, w którym siedzieliśmy. Jak przypuszczałam, spodziewał się, że w każdej chwili może wejść przez nie Leo. Potem jednak odwrócił się do nich plecami, jakby naraz przestał się przejmować, że książę usłyszy i weźmie mu za złe jego gadulstwo.

- Kiedy nie funkcjonuje żadna władza, znajdzie się ktoś, kto weźmie władzę we własne ręce. Rodziny są na Sycylii tym, czym gdzie indziej administracja państwowa. *La mafia*. Ta nazwa wywodzi się z arabskiego, czy to nie ciekawa okoliczność? Pochodzi od słowa *mahjas*, które oznacza schronienie, ratunek, miejsce, gdzie można szukać pomocy. Właśnie to mieli na uwadze średniowieczni rozbójnicy. Chcieli zapewnić bezpieczeństwo sobie i swoim rodzinom, kiedy wyruszali na bandyckie wyprawy. Działali jak Robin Hood. Kto mógłby ich potępić? Chwaccy rabusie grabili tego, kto miał więcej chleba, niż mógł zjeść do wieczora. Czy to ci nie brzmi znajomo, moja droga? Przecież i ty byłaś zuchwałą *brigantessa*, czyż nie? Upychałaś po kieszeniach chleb, ser i ciastka, żeby nakarmić siostrzyczkę. Więc rozumiesz, od czego się to zaczyna. Ale czy możesz zrozumieć - czy ktokolwiek może - jak i kiedy przerodziło się w zbrodnię? Mafia nie kradnie już nocą przy świetle łuczywa owiec ani krów, żeby potem zawlec krwawe ochłapy do swojej wioski. Jak lwy, które wloką swoje łupy do nory. Mafia pozostawiła ten rodzaj działalności prostaczkom. Chce więcej. Chce wszystkiego. Teraz to ona uciska biedaków, których niegdyś chroniła. Pamięć nie zawsze wychodzi z tego bez szwanku, kiedy jest przekazywana z pokolenia na pokolenie. Przez siedem, osiem czy dziewięć stuleci. A teraz, pod strategicznym kierownictwem zwycięzców drugiej wojny, mafia sięgnęła daleko od własnych skromnych, wiejskich korzeni. Tak jak wulkan Etna, mafia narzuca innym swoją wolę. Narzuca ją państwu za każdym razem, gdy grzęźnie ono we własnej słabości. Narzuca ją Kościołowi, który sam miał od niepamiętnych czasów skłonność do uświęconej przemocy. Narzuca ją każdemu, kto jest wystarczająco głupi, by wejść jej w drogę. A gdzie są teraz obrońcy uciśnionych? Gdzie się podzieli dzielni jeźdźcy, którzy przemierzali lasy, by chronić wsie przed wilkami? Powiem ci, gdzie się podzieli. Siedzą przy stole mafii. Świątując udane przedsięwzięcia i planując kolejne. Tak jak dziś wieczorem na przyjęciu. Wszystkie siły zawarły przymierze. To jedna ręka. Mafia, Kościół i Państwo. Ojciec, Syn i Duch Święty. Leo powinien schować swoją prawdę do kieszeni.

- Ale on tego nie robi - powiedziałam. - Nigdy.

- Zadziwiasz mnie, Tosco. Zdumiewa mnie twoja mądrość. Więc nic się nie da zrobić?

- To ksiądz powiedział, że nic się nie da zrobić. Wszystkie siły zawarły przymierze. Leo to odrębna siła i jeśli da się coś jeszcze zrobić, robi to na pewno. Nikt inny. Żadne z nas. Pamiętam, jak parę lat temu

mówił ksiądz, że będziemy musieli wspierać Lea, kiedy się zachwieje. Bo na pewno się zachwieje prędzej czy później, dodał ksiądz wtedy. Obiecałam sobie, że nie zostawię go samego. Myślałam, że będę umiała wesprzeć go lepiej. Pomyliliśmy się oboje. Byliśmy zbyt zarozumiali, prawda? Teraz wiem, że Leo nie zachwieje się nigdy. Ale czy ty, don Cosimo, nie zachwiałeś się w swoich przekonaniach? Gdzie jest twoje miejsce w tym układzie?

Niezwykły sposób, w jaki się do niego zwróciłam, zaskoczył go. Spojrzał na mnie przenikliwie.

- Nie mam w tym układzie żadnego miejsca, oprócz tego, że jestem spowiednikiem księcia. Za sprawą kryzysu wiary, z którym się borykałem, za sprawą pewnych zachowań albo poniechań, które z niego wynikły, zwolniono mnie ze znacznej części obowiązków i pozbawiono znacznej części praw związanych ze stanem kapłańskim. Jeśli kuria się mnie jeszcze nie pozbyła, to tylko za sprawą Lea. Ze względu na jego pełną i niepodlegającą dyskusji wiedzę o zdarzeniach i praktykach przyjętych w kurii. A także ze względu na jego hojność wobec parafii. Wobec całej diecezji. Ze względu na jego pieniądze i przysługi, i być może także milczenie o pewnych faktach, wciąż jeszcze mnie tolerują. Bo widzisz, droga Tosco, Kościół Święty na Sycylii to jeden wielki burdel. Dobrze wiesz, że uważam Lea za upartego, niecierpliwego szaleńca i znasz moje do niego przywiązanie. Moje wierne, dozgonne przywiązanie do tego Kandyda.

Rozdział 14

Po spotkaniu z ludźmi mafii często miałam wrażenie, że Leo mnie unika. A kiedy się spotykaliśmy, wyczuwałam, że myślami jest gdzieś daleko, jeszcze dalej, niż kiedy wyruszał na samotną konną przejażdżkę albo zamykał się w bibliotece na długie godziny. Jeśli rozmawialiśmy, to o jego niepokojach. Oczywiście nie wprost, ponieważ zawsze potrafił je ukryć. Lecz wyczuwałam je w tle różnych kwestii praktycznych, o których był gotów rozmawiać.

- Musimy zawiesić nasze poranne przejażdżki, bo w *borghetto* jest wciąż jeszcze mnóstwo do zrobienia - powiedział mi, kiedy było już oczywiste, że po wdrożeniu nowych systemów uprawy ziemi wieśniacy potrzebują nas coraz mniej. Na przykład zbiory z hektara wzrosły w sposób przedtem niewyobrażalny. Wieśniacy mieszkali i jedli znacznie lepiej niż kiedyś, byli lepiej ubrani i wreszcie mogli się cieszyć poczuciem bezpieczeństwa, jakiego nie zaznali w całym dotychczasowym życiu. Szkoła i szpital - dwa kolejne projekty, którymi pochłonięty był Leo po załatwieniu podstawowych spraw - rozkwitały równie pomyślnie.

Cosettina zrobiła tak wielkie postępy w nauce i tak bardzo pragnęła zostać *maestra*, że na siedemnaste urodziny Leo podarował jej małą aktówkę z lakierowanej na czerwono strusiej skóry, ozdobioną jej inicjałami. Wewnątrz znajdował się dyplom i dokument, w którym ksiądz mianował ją nową *maestra* w szkole w *borghetto*. A jeśli chodzi o mnie, awansowałam na stanowisko pani od lektur i w sobotnie poranki czytałam dzieciom książki.

Nawet moje cotygodniowe dyżury w szpitaliku okazały się już niepotrzebne, bo lekarz przyjeżdżał trzy razy w tygodniu, a władze przysyłały mu do pomocy pracowników socjalnych - jak przypuszczałam, także w celu wybadania, co się u nas dzieje. Bo plotki o księciu Leo i jego działaniach rozeszły się po całej wyspie i przeniknęły aż na kontynent.

Przeciwstawiając się uporowi Lea, przypominałam mu, że kiedyś uważał uniezależnienie chłopów od pałacu za jeden ze swoich najważniejszych celów. Przyznał mi słuszność, ale zaraz znowu zaczął z innej beczki.

- Potrzebuję trochę spokoju, Tosco. A ty, *amore mio*, powinnaś wrócić do swoich lektur klasycznych. Ostatnio nieco zaniedbywałem własne sprawy. Powinienem więcej czasu spędzać z moimi prawnikami i księgowymi, a także z agronomem. Wciąż mam przecież ziemię, jestem za nią odpowiedzialny - rzekł, wpatrzony gdzieś w przestrzeń ponad moją głową.

Domyśliłam się, że ma obawy. Nie o siebie, lecz o mnie. Kiedy wczesnym rankiem galopowaliśmy razem po łąkach i leśnych ścieżkach, oboje byliśmy wyśmienitym celem dla ukrytego strzelca. Skończyły się więc nie tylko wspólne przejażdżki, lecz także moje samotne wypadki. Mój własny, skrywany lęk także narastał. Stopniowo i po trochu Leo rezygnował z tego wszystkiego, co wypełniało nam nasze i tak dość wstrzemięźliwe życie. Jak w dziecięcej grze, w której rysuje się patykiem na piasku własne terytorium, zakreślił granice tego, co miało pozostać jego niedostępnym dla nikogo królestwem. Mafia nie umiała przenikać przez ściany, żyliśmy więc zamknięci w pałacu. Ogrody, gaje cytrynowe, *borghetto* i nawet najbliższe położone pola znalazły się poza naszym zasięgiem. Ale to minie, powtarzałam sobie. Leo przeżywał pierwszy atak obezwładniającego lęku. Odzyska spokój, kiedy przyjdzie wiosna. Usilnie przekonywałam o tym samą siebie. Na wiosnę na pewno wszystko się zmieni. Przez ostatnie trzy lata Leo wciąż spodziewał się najgorszego. Ale nawet przez te trzy lata bywało, że chwilami się uspokajał. Cień, który okrywał nasze życie, rozjaśniały przebłyски światła. Nie pojawiły się już kolejne zaproszenia w kopertach zabezpieczonych czerwonym lakiem, na żółtawym czerpanym papierze, takie jak ta, którą pamiętnego ranka podano mu na tacy podczas śniadania. Nie był już więcej niepokojony żadnymi wezwaniem ani ostrzeżeniami. Żaden jadowity wąż nie czyhał w trawie na trasie jego przechadzki. Chociaż zarzuciliśmy zwyczaj porannych konnych wycieczek - na zawsze, bo już nigdy nie mieliśmy ich podjąć - i choć nie wybraliśmy się więcej nad morze - przywykliśmy w końcu do takiego życia. Prawdę mówiąc, w tym czasie nasza codzienność nie zmieniła się aż tak bardzo w porównaniu z czasami, gdy byłam młodsza o parę lat. Nadal rządziły nią rytuały. Księżniczki nie znały innego stylu życia, a Simona podczas swoich coraz rzadszych pobytów w pałacu także znajdowała w nim zadowolenie. Jeśli potrzebowałyśmy nowych sukienek, kupiec albo jego pomocnik przywoził nam bele tkanin do wyboru albo wtaczano do małego *salone* przewoźną szafę na kółkach, pełną gotowej garderoby. Jeśli mieliśmy ochotę wieczorem posłuchać muzyki, zapraszano instrumentalistów i śpiewaków. Gdy przychodziła nam fantazja, by zjeść kolację po sąsiedzku w *borghetto*, z koszami owoców i słodczy przemierzaliśmy łąki. Czasem pracowaliśmy rano na polach i na grządkach, ramię w ramię z wieśniakami albo z *ortolani* w pałacowych ogrodach. Chciałam nauczyć się

gotować, więc przesiadywałam w kuchni między brytfannami i rondlami, nad górami mąki usypanymi na wyszorowanym stole, na którym zagniatą się ciasto na makaron albo na chleb. I zawsze byli u nas jacyś goście. Liczniejsi nawet niż dawniej. Kilka pokoleń kuzynów, owdowiałe ciotki, szwagrowie i przyjaciele przyjaciół przyjeżdżali, wyjeżdżali i znowu przyjeżdżali. Tak jakby nic się nie zmieniło. Jakby wokół nas wciąż jeszcze było bezpiecznie. A jeśli nawet goście szeptali między sobą, ich szepty nie docierały do moich uszu. Nie wiem, jak i kiedy się to stało, ale w ich oczach należałam już do pałacu.

Nadeszło święto Wniebowstąpienia, dzień, w którym wszelka woda uchodzi za wodę święconą i wieśniacy kąpią się w uzdrawiającej toni, podczas gdy Chrystus wstępuje w niebiosa. Potem ludzie wylegają się na słońcu, jedzą chleb i szynkę, piją wino. Choć mieliśmy we zwyczaju spędzać to święto razem z wieśniakami, tym razem Leo wolał zostać w pałacu. Ale nie był to spokojny dzień.

Już po zmierzchu stanęliśmy przy drodze za *borghetto*, Leo, don Cosimo i ja, czekając na przejazd wozów z powracającymi do domu wieśniaczkami. Z daleka widzieliśmy pośród skoszonych wiosennych pól ogniki latarenek przyczepionych do dyszli. Światła zbliżyły się na tyle, że słyszałam już skrzypienie osi pod ciężarem kobiet, które obsiadły wóz, każda w koronkowym szalu zarzuconym na głowę i ramiona, tak że warkocze były niewidoczne. Śpiewały, trzymając się pod ręce, a ja wyteżałam słuch, bo pod wschodzącym księżycem rozbrzmiewał najprawdziwszy chorał gregoriański. Żałowałam, że nie siedzę razem z nimi na uginających się deskach, że nie mogę się poddać rytmowi końskiego kłusa, ciężkiemu stukotowi podkół o starożytne kamienie.

Przybyliśmy do *borghetto* nie po to, by powitać wieśniaczki, ale po to, by uprzedzić je o tym, co znajdą w domu. A raczej o tym, czego już nie znajdą. Na pewno z daleka czuły zapach dymu i widziały jego czarne kłęby na wieczornym niebie. W *borghetto* wybuchł pożar. Ktoś sprytnie podłożył ogień, który rozszalał się, kiedy nikogo nie było w pobliżu. *Borghetto* spłonęło. Tego ranka z pałacowej oranżerii, gdzie piliśmy kawę, Leo i ja zobaczyliśmy, jak płomienie liżą budynki. Służba zauważyła to chwilę wcześniej i niektórzy już tam pobiegli, a z nimi don Cosimo. Obdzwoniliśmy okoliczne wsie, skąd szybko przybyły posiłki. Na pakę półciągarówki wrzuciliśmy narzędzia - widły, łopaty. Pracowaliśmy ciężko przy gaszeniu pożaru, rzucaliśmy łopatami ziemię, by stłumić ogień, wiadrami laliśmy wodę. To najprostsze sposoby ujarzmienia żywiołu. Choć przy tym bardzo wyczerpujące, nawet wtedy, kiedy ogień już dogorywał. Najmniej szkód poniosły budynki mieszkalne. Z *mensa*, kuchni i kaplicy pozostał tylko popiół żarzący się w wypalonych kamiennych murach. Rozumieliśmy, tak jak rozumieli wszyscy, że ten pożar był ostrzeżeniem. Mafia jest jak niechciany, ale uparty zalotnik. Pomysłowa, nieobliczalna, gotowa do przemocy.

W ciągu następnych dni odwiedzali nas przedstawiciele władz, wezwani z Enny przez Lea. Badali miejsce zdarzenia z drobiazgowością archeologów. Stwierdzili, że podpalenie nie miało miejsca. Nic nie wskazywało na czyjeś umyślne działanie. Pożar nie był spowodowany przez mafię, tylko przez nieuwagę kogoś z mieszkańców. Ich zdaniem piekarza. Gdy piec był wystarczająco rozgrzany, by włożyć do niego bochny chleba, piekarze zmiotli z podłogi na szuflę rozżarzone do białości węgielki i wrzucili je do wiadra, by - jak to zawsze czynili - wysypać je na ziemię za piekarnią. Ale tego ranka tak się śpieszyli, by zdążyć

się zabrać razem z innymi nad rzekę, że zlekceważyli zwykle środki ostrożności. Żar upadł na suchą trawę. Zbyt blisko sągu drewna. Suche trawy to świetna podpałka. Żar dosięgnął drewna. Ogień rozgorzał i zaczął się rozprzestrzeniać. Kiedy dotarł do butli z gazem w *mensa* nastąpiła eksplozja. Ale Leo, zamiast uspokoić się, że tym razem zawinił przypadek, nie uwierzył w ekspertyzę przedstawicieli władz.

- Może ktoś kazał im tak orzec? Skąd mamy wiedzieć, czy to prawda? Zresztą, czy my, Sycylijczycy, nie osiągnęliśmy doskonałości w sztuce trzymania języka za zębami? Umie to każdy z nas, bez wyjątku.

Ten incydent pozwolił mi ocenić siłę jego szaleństwa o wiele lepiej niż inne zachowania, świadczące jedynie o wyolbrzymionych obawach. A w obliczu szaleństwa rozsądek niewiele znaczy, tyle, co wąły strumień wody, który nie ugasi płomienia.

Pewnego wieczoru Leo przyszedł do mojego pokoju. Słyszac jego pukanie, Agata otworzyła drzwi. Siedziałam przy fortepianie, ubrana w srebrnobrązową suknię z bufiastymi rękawami. Ćwiczyłam *Łabędzia* Saint-Saënsa. Nie przerwałam, gdy wszedł. Grałam dalej, Leo usadowił się na *divanetto*. Wiedziałam, co powie, jeszcze zanim otworzył usta.

- To ma być łabędź, Tosco. Ta muzyka została napisana po to, by stworzyć wyobrażenie łabędzia. Nic nie wskazuje na to, żeby miało chodzić o słonia. *Piano. Piano, amore mio.*

- Ale we mnie jest tyle siły, a fortepian brzmi tak delikatnie. Co mam zrobić ze swoją siłą?

- Siła, właśnie o twojej sile chciałem dziś z tobą porozmawiać.

Wstałam od fortepianu i podeszłam do niego. Ucałował mnie z właściwą sobie powściągliwością w oba policzki i pociągnawszy za rękę, posadził na pufie obok kanapy. Zaczął bez żadnych wstępów.

- Tak się złożyło, że nie mam syna, dziedzica tytułu i majątku. Jestem ostatnim z rodu, ostatnim ze szlachtetnie urodzonych i nieszlachtetnie żyjących książąt d'Anjou. Mam tylko te dwie córki, rozświergotane kopie ich matki, niechże niebiosy mają je w swej opiece. Simona je rozpieściła jak francuskie pieski. Po mnie wzięły tylko nazwisko. Nawet moją krew, jak się wydaje, zdołała w nich jakoś zastąpić swoją własną, choć Bóg jeden wie, że właśnie dla tej książęcej krwi mnie poślubiła. Ale z tym już się pogodziłem. I jak już powiedziałem, nie mam dziedzica. Nie martwię się o materialne zabezpieczenie dla Simony, bo na jej majątek składa się więcej gruntów i nieruchomości, niż byłaby w stanie doglądać. Nasze małżeństwo doszło do skutku nie tylko przez długi mojego ojca, lecz także za sprawą podstępny. Jej ojciec wyznaczył ogromny posag. Posag bezprzykładnie, arogancko wprost hojny. Chciał, żeby jego córce niczego nie brakowało, ale nie zamierzał pozwolić, by ta fortuna dostała się w łapska jakiegoś łajdaka, który by ją przepił, przepuścił na dziwki albo przegrał w karty. Przyszły mąż miał oczywiście otrzymać jakieś udziały w tym majątku, ale tylko w tej części, którą Simona sama zechciałaby z nim dzielić. Gdyby miała wdzięk i talenty albo gdyby chociaż była miłą dziewczyną, zdolną do ciepłych uczuć, mimo tych surowych obwarowań bez trudu znalazłaby konkurentów do swojej ręki. Ale była pozbawiona podobnych zalet, co miało swoje konsekwencje. Kiedy jej ojciec wpadł na pomysł, żeby wydać ją za mnie, miała już prawie dwadzieścia pięć lat. To wiek, w którym niezamężną kobietę obyczaj kazał uważać za *la zitella*, starą pannę. Toteż jej ojciec

spuścił wtedy z tonu, ale tylko trochę. W tamtym czasie mój ojciec, Laurent d'Anjou, znalazł się w tarapatkach i potrzebował pomocy finansowej, a Federico z kolei, ojciec Simony, musiał jej znaleźć męża, i to czym prędzej, żeby nie stracić twarzy. Ci dwaj mężczyźni byli przyjaciółmi z lat młodości. Plan został zrealizowany nie bez elegancji. Dbałem o Simonę i zawsze postępowałem wobec niej przyzwoicie. Ale nie całkiem zmieniłem swój styl życia. Miałem osiemnaście lat, Tosco. Byłem nieco bardziej wyrośniętym chłopcem. Chłopcem, który musiał poświęcić się dla rodziny. To trochę tak, jak kiedy jest się wysyłanym na wojnę. „Ożenkiem ze starą panną uratujesz nas wszystkich, mój synu”. I wszystkim wyszedł na dobre ten kompromis. A przynajmniej wierzyłem w to, póki nie pokochałem ciebie. Mówię ci o tym, bo chcę, żebyś wiedziała, że dla mnie to ty jesteś rodziną. Ty i Cosimo. I wieśniacy. Tobie zapiszę cały swój majątek. Razem z Cosimem załatwimy niezbędne formalności.

Słuchałam tego jak jakiejś bajki. Tak. Jak dziwnej i bardzo smutnej bajki. A potem, gdy powiedział: „Żeby to przypieczętować, chciałbym podarować ci pewną rzecz”, byłam zaskoczona i przestraszona. Choć już wcześniej słyszałam - wprawdzie bez tych najbardziej przykrych szczegółów - wiele o jego małżeństwie, to kiedy opowiedział mi całą historię, poczułam przygnębienie i coś w rodzaju gniewu.

- Twój ojciec był tak samo okrutny jak mój - zauważyłam.

Potrząsnął głową, chciał bronić swojego ojca. Nieporadnie odpinał guzik od wewnętrznej kieszonki zamszowej kurtki jeździeckiej, którą nosił dzień w dzień, choć już od trzech lat nie jeździł konno. Jego ręka drżała, gdy długimi palcami wyłuskiwał stamtąd jakiś drobny przedmiot. Była to maleńka torebka w kształcie koperty. Uszyta z pikowanego jedwabiu w kolorze karmelowym. Leo otworzył zatrzask i wyciągnął naszyjnik z oszlifowanym fasetowo szmaragdem, zawieszonym na krótkim łańcuszku z czerwonego złota, i podał mi go na otwartej dłoni.

- Moja matka zawsze nosiła go na szyi. Byłem przekonany, że kiedy pochylała się nade mną i śpiewała mi kołysanki, musiała to być pierwsza rzecz, jaką zobaczyłem na tym świecie. Może było inaczej, ale to nie ma właściwie znaczenia. Aż do dnia jej śmierci nigdy nie widziałem jej bez tego klejnotu. Gdybym mógł się z tobą ożenić, dałbym ci to w prezencie ślubnym.

Nie wyciągnęłam ręki po naszyjnik. Nawet na niego nie popatrzyłam. Bo patrzyłam na Lea. Chciałam mu powiedzieć, że to nie klejnotów mi od niego potrzeba. Nawet jeśli ten szmaragd jest pamiątką po jego matce. Próbowałam mu wytłumaczyć, że byłabym szczęśliwa, gdybym mogła wyjść za niego za męża, ale wystarczy mi, że jestem tym, kim dla niego jestem. Choć po dziś dzień nie potrafię określić tego, kim właściwie dla niego byłam. Nie chciałam zostać jego spadkobierczynią. Powiedziałam mu to wszystko i jeszcze więcej, a on uważnie słuchał. Potem wsunął szmaragd z powrotem do jedwabnego woreczka.

- Moja matka nazywała się Isotta. Nie pamiętam, czy już ci o tym mówiłem.

- Mówiłeś - odparłam.

- Opowiadałem ci o jej śmierci?

- Nie.

- Mogę ci teraz opowiedzieć?

- Oczywiście.

- *Signora Isotta*, tego pani nie wolno robić - powiedziała jedna z pielęgniarek.

- Jeśli mi zabronicie, uduszę was. Natychmiast przyślijcie do mnie Lea.

Pielęgniarki zamierzały ułożyć ją do snu. Ale moja matka miała już inne plany na wieczór. Czekalem nieopodal. Chciałem być na miejscu, gdy Isotta wyśle po mnie którąś z pielęgniarek albo gdy któraś z nich wyjdzie, żeby mi powiedzieć, że matka umarła. Od paru dni spacerowałem od ściany do ściany, pałac, albo przysypiałem w fotelu, w niewielkim przedpokoju obok jej sypialni. Niekiedy, gdy pielęgniarki sądziły, że jest wystarczająco spokojna, by znieść bez szwanku emocje, jakie może wywołać moja milcząca obecność, pozwalano mi usiąść na chwilę przy jej łóżku i położyć dłoń na jej czole. Ale teraz wstała z łóżka, a na jej pięknej twarzy pojawił się uśmiech.

- Leo, tak bardzo cię kocham. Mówiłam ci o tym na pewno setki razy, ale teraz chciałabym powiedzieć, jak jestem dumna, że jestem twoją matką.

Zbliżyła się do mnie, wyciągnęła dłoń i dotknęła mojej twarzy, po czym, mijając mnie, podeszła do okna i otworzyła je. Wpuściła do pokoju przesiąkniętego zapachem umierania chłodne powietrze lutowego popołudnia. To był pierwszy haust świeżego powietrza, jaki zaczerpnęła, odkąd tydzień temu odwieziono ją, bliską śmierci, do szpitala. Miękkie szare zasłony zatrzepotały jak szalone. Zadzwoiła dzwonkiem, zażądała więcej poduszek.

- Jeszcze dwie, nie, cztery.

Ściągnęła z nich białe powłoczki i wyciągnęła z szuflady inne, ładniejsze, a także nocną koszulę i jedwabny szlafroczek do kompletu - z koronkowymi mankietami. Rozpyliła w powietrzu olejek z kwiatu pomarańczy. Resztą skropiła włosy i ściągnęła je w węzeł, z którego wysunęły się pojedyncze falujące kosmyki, które opadły na policzki. Miała jasne włosy, takie jak moje, a wśród nich trochę siwych, lecz jeszcze nie tak wiele. Nadal była piękną kobietą. Oświadczyła, że wychodzi do łazienki. Przez ramię przewiesiła jedwabną nocną koszulę i szlafrok. Wzięła biały ręcznik kąpielowy z wyhaftowanym złotą nitką monogramem - samotną literą I. W dłoni miała mydelniczkę w kwiatki. Kiedy wróciła, jej włosy były starannie ułożone, jakby spodziewała się gości na kolacji. Zapaliła świece i naląła whisky do dwóch szklaneczek.

- Jestem już spakowana, mogę wyruszyć w tę podróż - powiedziała, a jej śmiech zabrzmiał tak, jakby srebrna łyżeczka upadła na marmurową posadzkę. Umościła się wygodnie w łóżku, co trwało dość długo. Życzyła mi zdrowia i wielkiej miłości, bo wierzyła, że mam serce, które jest do niej stworzone. Siedziałem przy niej, nieco odurzony zapachem olejku i płonących świec, a także rześkimi podmuchami lutowego wieczornego powietrza, i powtarzałem jej raz po raz, że trzeba zamknąć okno, bo jest tak zimno, że zaraz mi zamarznie na śmierć. I śmiałyśmy się oboje, i oboje płakaliśmy.

- Specjalnie zostawiłam je uchylone, żeby śmierć nie musiała się dobijać - powiedziała.

I właśnie wtedy poprosiła mnie, żebym wyjął ten futerał z kasetki w jej szufladzie. Zrobiłem to i podałem jej, ale ona zamknęła moją dłoń, kładąc na niej długie palce.

- Weź to, Leo. Dasz ten szmaragd kobiecie, którą pokochasz. Wiesz przecież, że nie mam na myśli tej zwariowanej gryzетки, twojej żony. Nie chcę się wtrącać w to, jaki użytek zrobisz z innych moich klejnotów, ale proszę cię, żebyś zatrzymał ten jeden. Na wypadek, gdybyś się kiedyś zakochał.

Jej wzrok był utkwiony gdzieś daleko. Umilkła i obracała powoli obrączkę na palcu, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Jakby próbowała otworzyć szyfrowy zamek, nie mogąc sobie przypomnieć numeru.

- Nie wiem, czego bardziej powinnam ci życzyć: żebyś znalazł miłość, czy żebyś jej nie znalazł. Cierpi się w obu przypadkach. Ten szmaragd należał do mojej matki, a przedtem do mojej babki. Nie byłoby to prawdą, gdybym ci powiedziała, że przynosi szczęście, zdrowie czy inne ulotne dary losu. Wystarczy, że towarzyszył mi każdego dnia, odkąd skończyłam piętnaście lat. Zawsze czułam na szyi jego ciężar. Był przyjemny, jak balast, który zapewnia równowagę. Nie zgubisz tego szmaragdu, Leo? Pilnuj go, póki jej nie odnajdziesz. Ona zrozumie, czym był dla mnie. I chcę ci powiedzieć jeszcze coś. Wiesz, że byłam i pozostałam przeciwna nadużyciu, jakiego dokonał twój ojciec, wykorzystując twoją wielkoduszość. Oczekiwał od ciebie zbyt wielkiego poświęcenia, gdy zażądał, byś wszedł do rodziny tego parweniusza. Federico grywał z twoim ojcem w karty, i niewykluczone, że osobiście przyczynił się do jego finansowej ruiny. Całej prawdy Laurent nigdy mi nie wyjawiał. Poprosił cię o ratunek, chciał, żebyś spłacił jego długi, wyrwał nasze posiadłości ze szponów tych plugawych sępów, które krążyły nad nami przez ostatnie lata. Zażądał od ciebie zbyt wiele i to go w końcu zabiło. Nie przypadkiem umarł wkrótce po spłaceniu długów. Chciał ocalić majątek dla ciebie. Twój ojciec nie był złym człowiekiem. Ale był człowiekiem słabym. Tak, był słaby, a ja kochałam go zbyt mocno.

Znowu się roześmiała, tak samo srebrzyście. Cicho, jakby dzwoneczki dzwoniły gdzieś we mgle. Przytuliła mnie, ucałowała moje oczy i poprosiła, żebym zostawił ją samą. W momencie, który sama wybrała, i w sposób, jaki sama wybrała, umarła tej nocy. Nie minął nawet miesiąc od jej śmierci, kiedy pojechałem po ciebie do domu twojego ojca, i wiele razy przychodziła mi potem do głowy myśl, że to ona mi ciebie przysłała. I tylko tobie mogę oddać jej szmaragd. Bo to ty jesteś miłością jej syna. To jest twój ślubny prezent, Tosco. Naprawdę żałuję, że nie mogę cię w nim poprowadzić do ołtarza. Miałabyś we mnie kochającego i oddanego męża. Ale ślub nie jest możliwy. Gdybym mógł to zmienić! Jestem w rozpacz, że mogę ci zaoferować tylko taki połowiczny związek.

Wstał z *divanetto*, przyglądził włosy i zaczął spacerować po pokoju.

- Powinienem znaleźć jakieś wyjście, które pozwoli nam na wspólne życie w spokoju. Daleko stąd, gdzieś, gdzie nie dosięgną nas niczyje groźby i nie zwiążą nas żadne konwenanse. A jeśli to mi się nie uda, będziesz musiała stąd wyjechać, Tosco. Tak, wyjechać. Żeby ratować się przed nami wszystkimi. Przed nimi wszystkimi.

Była to najdziwniejsza przemowa, jaką mężczyzna kiedykolwiek wygłosił do swojej ukochanej. Powiedzieć jej, że powinna szukać ratunku w ucieczce.

- Nie rozumiesz, Leo? Ja już od dawna jestem częścią tego, co nazywasz „konwenansem”. Tak, jestem częścią tego, co kryje się pod słowami „oni wszyscy”. I być może to z woli twojej matki zostałam kobietą twojego życia. Więc jak możesz namawiać mnie do wyjazdu? Milczał i dalej chodził po pokoju.

- Nie bardzo lubię, kiedy wchodzisz w tę rolę. W rolę księcia z siedemnastowiecznej tragedii. Wtedy mam ochotę tobą mocno potrząsnąć albo się roześmiać. Może wystarczy już tego, Leo? Po co wciąż trzymać się tej roli? Choć Simona potrafi być niemila, zachowała się wspaniale w tych trudnych okolicznościach, które stworzyliśmy - dodałam.

- Bo ona nigdy, ani przez chwilę nie uważała, że należę do niej - odparł. - Więc jeśli bez walki pozwoliła mi odejść do ciebie, to nie z wrodzonej uprzejmości. Moim zadaniem było ją poślubić. Spłodzić z nią dzieci z prawego łóża i dać im swoje książęce nazwisko. Legalnie i dobrowolnie zostałem przez nią użyty jako reproduktor. A po narodzinach Charlotte lekarze ostrzegali ją przed kolejnym porodem. I odtąd nigdy nie reagowała na moje, w istocie nieszczerze, zaloty. Wśród niewielu cech, jakie cenię w Simonie, trzeba wymienić jej takt, uprzejmą powściągliwość.

- Toteż nie proponuję, byśmy oddawali jej boską cześć, Leo. Bez względu na to, jakie okoliczności towarzyszyły zawarciu tego małżeństwa i jak się potoczyły jego dalsze losy, jesteście mężem i żoną i mieszkacie w tym pałacu razem z córkami. I z wychowanicą, która została twoją kochanką. Czy to wszystko nie jest już samo w sobie wystarczająco skomplikowane, by nie komplikować spraw jeszcze bardziej? Kiedy wymagamy zbyt wiele od jakiejś osoby albo od sytuacji, albo jeśli zbyt wiele się spodziewamy po jakimś pomysle, zaczynają się kłopoty. Przez tę nadwyżkę oczekiwań można w końcu wszystko zepsuć. I może dlatego, że w porównaniu z tobą miałam tak niewiele, potrafię się zadowolić tym, co jest mi dane. Jestem wdzięczna losowi za życie, jakie mi przypadło w udziale, nawet jeśli są w nim trudne albo bolesne chwile.

Przeniósł się znowu na *divanetto* i pólżąc, przymknął oczy.

- Mam tego dość, Tosco. Naprawdę mam dość. I myślę, że nic się nie zmieni jeszcze przez długi czas. Ale może właśnie coś się zmieni... I wcale nie mam na myśli Simony...

Pociągnął mnie na sofę i przytulił mocno. Mówił szeptem, opierając podbródek na moim ciemieniu.

- Obiecuj mi, że jeśli kiedykolwiek, z jakiegokolwiek powodu już mnie tu nie będzie, wyjedziesz stąd. Obiecuj, że opuścisz to miejsce niezwłocznie. Nie licz na to, że spokojne życie, jakie tu prowadzisz, będzie trwało dalej, kiedy nie będę już mógł cię chronić.

Odsunęłam się.

- Co rozumiesz przez to? „Jeśli mnie tu nie będzie”? Chcesz przez to powiedzieć, że masz jakieś posiadłości we Francji czy w Hiszpanii, które musisz także rozparcelować i rozdać chłopom? Czyżby jakaś gałąź twojej rodziny żyła na przykład w Andaluzji?

Tak jak pierwszego dnia naszej znajomości, skryłam lęk pod sarkazmem. I teraz to ja zaczęłam chodzić po pokoju. Bliska płaczu, spytałam:

- A dokąd mam pojechać, kiedy nastąpi to twoje domniemane zniknięcie? W tej kwestii też coś postanowiłeś?

- Nie jesteś już dzieckiem. A może, jak sama twierdzisz, nigdy nim nie byłaś. Chociaż czyniłem wszystko, by chroniono cię i opiekowano się tobą jak dzieckiem. Jesteś bardzo silna, Tosco. Możesz urządzić swoje życie, jak zechcesz, zwłaszcza jeśli będziesz miała oparcie w przyjaciółach. Resztę dóbr, które mają się składać na twój posąg, powierzyłem don Cosimowi. Zostawiłem mu wszelkie instrukcje i dyspozycje. Kiedy postanowisz wyjechać, powinnaś się z nim porozumieć. W odpowiednim momencie on może ci znaleźć drogę.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziałam cicho. - Mówisz zagadkami. Czy masz na myśli swoją śmierć?

- Nie. To znaczy... tak. Ale nie tylko.

- Czy kiedy parcelowałaś ziemię w swoim majątku, to też z myślą o własnej śmierci? Czy dlatego założyłaś szkołę i izbę chorych, dlatego woziliś dzieci z *borghetto* na badania profilaktyczne do Enny, załatwiałaś starcom miejsca w domach opieki? Kiedy już wszystko szło tak wspaniale, zaczynasz nagle mówić o kolejnych zmianach. Skąd ci to przyszło do głowy, że miałbyś umrzeć? Tak jak parcelowałaś ziemię dla chłopów, teraz tak oddajesz mi pieniądze i klejnoty. O to ci chodzi, prawda? Przygotowujesz się do odejścia. Ale ja nie przypuszczam, żeby chodziło o twoją śmierć. Raczej zamierzasz stąd uciec. Zgadłam? Przed mafią, przed żoną, przed córkami, przed wieśniakami i kochanką. Przed własnymi ideałami, przed historią, przed bogactwem, pięknem, namiętnością i zdradą. Znam ten labirynt, w którym żyjesz, Leo. Znam go być może dłużej i lepiej niż ty sam.

- W to nie wątpię. I nie szukuję ucieczki.

- Więc co masz w planie? Samobójstwo? Na miłość boską, wyjaśnij mi, o co w tym wszystkim chodzi.

- Nie mogę ci tego wyjaśnić, bo sam tego nie rozumiem. Chcę tylko, żebyś była przygotowana na wszystko. Żebyś była czujna, tak jak ja próbuję być. To pierwsza rzecz, o której chciałem ci powiedzieć. Ale jest i druga: nawet biorąc pod uwagę twoje przekonanie, że prowadzimy bardzo szczęśliwe życie, za które powinniśmy być wdzięczni losowi, nie wierzę, że byłbym w stanie, a już na pewno nie przez całą resztę życia, cieszyć się wolnością tylko w rzadkich chwilach. Jestem być może ostatnią osobą, która powinna się wypowiadać na temat moralności, ale tym razem muszę to zrobić. Otóż uważam, że zgoda na takie życie byłaby głęboko amoralna. Nigdy nie przypuszczałem, że zakocham się w małej Tosce. Ale kocham cię i właśnie dlatego, że moja miłość jest tak czysta, muszę przygotować cię do życia beze mnie. Na pewno wiele spraw rozumiesz lepiej niż ja, ale jeśli chodzi o naturę mieszkańców tej wyspy, jestem ekspertem. Wiem, że jeśli zdecydujemy się na *fiutino*, wspólną ucieczkę, jeśli wyjedziemy gdzieś razem, to prędzej czy później dosięgnie cię poczucie winy. To, że będzie ono całkowicie pozbawione podstaw, nie uczyni go mniej dotkliwym. Będziesz się czuła odpowiedzialna za to, że dla ciebie porzuciłem swoje dotychczasowe życie, nawet jeśli nie było w nim ani cienia sensu wcześniej i nie mogło nabrać sensu bez

ciebie. Bez naszej wspólnej pracy. Poczujesz się kobietą upadłą, a zdobytą wolność utracimy, zmuszeni do życia poza społeczeństwem. Bo społeczeństwo się od nas odsunie. Osądzi nas i nawet jeśli nie będzie nas wytykać palcami, nie zapomni nam skandalu. Jeśli w przeszłości wyprowadzały cię z równowagi szeptki za plecami, to to, co usłyszysz, gdy stąd wyjedziemy, po prostu cię zniszczy.

Położył się znowu. Z przymkniętymi oczami wyglądał w świetle lampy jak posąg z białego marmuru.

- Masz słuszość - powiedział w końcu. - Mówię zagadkami. Nie chcę, żeby wszystko zostało po staremu, ale nie widzę takiej możliwości, żeby zacząć życie od nowa. Choć nikt nie wie, co nas jeszcze spotka. Albo Simone... albo... Nie wiem.

Usiadł nagle.

- Zastanawiałem się nad samobójstwem. W ten rycerski sposób mógłbym cię uratować. Przed nimi i przed sobą.

To zmusiłoby cię do rozpoczęcia życia na własny rachunek. Myśl o samobójstwie zagościła kiedyś w mojej głowie na całą godzinę, zanim przypomniałem sobie, że muszę ci powiedzieć coś ważnego i wyobraziłem sobie, jak budzisz się rano, z rozpuszczonymi włosami, i otwierasz oczy koloru zielonej morskiej wody na mieliźnie. Wiem, że potrzebujesz ośmiu długich kroków, by dopaść drzwi łazienki, znam piosenkę, którą śpiewasz, kiedy woda leje się do wanny, znam twoje krótsze i szybsze kroczyki, kiedy jesteś cała mokra i woda kapie ci z włosów, gdy kładziesz się z powrotem do łóżka, żeby osuszyć się przy mnie. Znam cię zbyt dobrze, żeby móc cię opuścić na zawsze z własnej woli, Tosco. Ale też ze względu na Charlotte i Yolande musiałbym sobie odmówić pójścia na łatwiznę, jaką jest samobójstwo. Choć nie byłem bardzo kochającym ojcem, poczuwam się do ojcowskiej odpowiedzialności i dlatego nie mógłbym im zostawić w spadku tak makabrycznej historii. I tobie również jej nie zafunduję.

Oboje milczeliśmy. Przez długi czas siedzieliśmy w ciszy, oddaleni od siebie.

- Isotta miała słuszość - odezwałam się w końcu. - Nie wiedziała, czego powinna ci życzyć. Miłości czy tego, by miłość cię ominęła. To prawda, że ból jest wielki w obu przypadkach. Czy twoje wcześniejsze życie nie było pełne bólu? A teraz, czy nie cierpisz znowu?

- Tak.

- Więc chodzi tylko o to, żeby zdecydować się na ten rodzaj bólu, który nam bardziej odpowiada? Wybrać rodzaj trucizny? Czy tylko tyle życie ma nam do zaoferowania?

- Być może.

- A jeśli tak, to czy zawsze będziesz nieszczęśliwy w głębi swojego szczęścia? Tego się obawiam, Leo. I to przeraża mnie o wiele bardziej niż oni. Widzisz, przyzwyczaiałam się nawet nie wymawiać głośno tego słowa. Ale nazwijmy rzecz po imieniu. Twoje cierpienie przeraża mnie o wiele bardziej niż mafia. Oni mogą nas tylko zabić. Ciebie albo mnie. Nie są w stanie nam zrobić nic więcej. Ale ty jesteś w znacznie większym niebezpieczeństwie. Życzysz sobie, żebyśmy usiedli w lesie i spokojnie czekali na wilki,

które przyjdą nas zjeść. To nasłuchiwanie, kiedy idziemy przez łąki, to rozglądanie się w cytrynowym gaju... Zamieniłeś nasze życie w egzystencję nędzarzy.

- Cosimo ma rację. Myślisz bezlitośnie jasno.

- W każdym razie jaśniej niż ty w tym momencie. Wróćmy do kwestii piękna. Jak sądzisz, ile piękna powinno być w życiu, żeby można było powiedzieć, że to nam wystarczy? I jak je zmierzyć? Jak powinno być opakowane, w jakich dawkach dostarczane? Prawda jest taka, że przeżyliśmy więcej pięknych chwil, niżby na nas przypadało. To znaczy więcej, niż przypada w udziale większości ludzi. Ale być może nasz przydział jeszcze się wcale nie wyczerpał. Trzeba podjąć ryzyko, Leo. Wybierzmy się jutro na przejażdżkę. Pojedźmy do starej gospody. Zagram ci tam *Łabędzia*. Będziemy pili letnią herbatę przy kominku i spali na czerwonym kobiercu w żółte róże.

- Mogę sprowadzić z *locanda* ten nieszczęsny dywan i będziemy na nim spali tutaj.

- To nie to samo, przecież wiesz. Czas, byśmy przestali się bać. Jeśli zechcą zastrzelić ciebie albo mnie, nic im w tym nie przeszkodzi. Ale nie możemy wciąż myśleć o śmierci. Jedyne sposoby, żeby wyostać się z naszego labiryntu, to wrócić do normalnego życia.

Rozdział 15

Ale nie wróciliśmy do normalnego życia. Leo żył jak z kamieniem uwiązany u szyi, a mnie także zaczął się udzielać jego lęk. Chcę ci pomóc, mówiłam mu, mogę udźwignąć ten ciężar, zrzuc go z siebie. Ale strach i mnie zmącił jasność myślenia. Teraz, gdy nie mogłam go już nazwać, wydawał mi się czymś jeszcze bardziej szatańskim. Nie był to strach przed mafią. Nie był to strach przed wendetą. Nie był to nawet strach przed śmiercią. Poruszaliśmy się jak zjawy, Leo i ja, w coraz ciaśniejszych labiryntach naszej wyobraźni, tak blisko jedno drugiego, że nie było już wiadomo, kto za kim podąża i kto kogo prowadzi.

- Wszystko byłoby lepsze od tego - powiedziałam mu.

Było późne popołudnie, sierpień 1954 roku. Leo przyszedł do mojego pokoju. Od dwóch miesięcy nie opuszczał pałacu, lecz tego dnia z nieco sztuczną nonszalancją oświadczył, że wybiera się z don Cosimem do Enny. Chodziło o podpisanie jakiegoś aktu notarialnego. Odrzuciwszy zwykłą, pozorną powściągliwość, objął mnie mocno. Przycisnął do piersi, głaskał po włosach i szeptał coś ponad moją głowę. Szept był tak cichy, że początkowo nic nie rozumiałam, rozpoznałam w nim jedynie dawną czułość. Jego serce szamotało się jak przestraszony ptak w klatce. Usłyszałam niewyraźnie, zamazane, miękkie słowa dialektu.

- Trza jechać - powiedział, zamiast „Pojadę”. Dialekt sycylijski nie zna czasu przyszłego. - Trza jechać - powtórzył.

Zaczął dzwonić dzwon w kaplicy. Do nieszporów pozostał jeszcze kwadrans.

- Poczekam na ciebie - powiedziałam, ale on był już za drzwiami. Już go nie było. Dlaczego te dzwony dzwonią i dzwonią? To dziwne. Może w ich mechanizmie coś się dziś popsulo. Czulałam się wolna.

Tak, właśnie. To były dzwony wolności. Jestem wolna. Leo wyjeżdża na parę godzin i jestem wolna. Postanowiłam poprosić kucharza, żeby przysłał nam potem kolację do mojego pokoju. Albo, jeszcze lepiej, do oranżerii. Agata nakryje tam dla nas do stołu. Włożę srebrzystobrazową sukienkę. Wplotę magnolie w warkocze, Leo to lubi. Wspaniale się składa. Po paru godzinach spędzonych poza domem wróci wypoczęty. I ja powinnam być wypoczęta, kiedy przyjedzie. Powinniśmy wreszcie zacząć myśleć o sobie. Z początku będziemy musieli udawać, że myślimy o sobie, ale potem przywykniemy. Tak, tylko o sobie.

Nakryłyśmy z Agatą do stołu. Od tak dawna nie robiłyśmy nic, co choć trochę wykraczałoby poza codzienną rutynę, że i my dwie także musiałyśmy zacząć trochę udawać. Słuchała uważnie mojej paplani. Zdjęła kwiat magnolii, który wetknęłam jej za ucho, i położyła go obok nakrycia przygotowanego dla Lea. W uszach wciąż dźwięczały mi słowa Lea, wypowiedziane w dialekcie, i dlatego zaczęłam mówić do Agaty po sycylijsku, co wniosło do naszej rozmowy ton intymności.

- *Ma io non ricordo pi. In dialetto, quale la parola „piacere”?* Zapomniałam jak się w dialekcie mówi „przyjemność”?

- *Non esiste.* Nie ma takiego słowa.

* * *

Przyniosłam do oranżerii małą butelkę *moscato* i dwa kieliszki, które stały u Lea na nocnym stoliku. Napijemy się wina na powitanie. Było mocno schłodzone, ale otoczka z kryształków lodu na cienkiej butelce koloru bursztynowego szybko roztopiła się i obeschła. Włożyłam szal, bo wiał chłodny wieczorny wiatr. Gdzież oni się podziewają? Mimmo przyniósł już gęsty, galaretowaty bulion w miseczkach. Pojawił się znowu, tym razem niosąc *tisana* z rumianku.

- Zostanę tu jeszcze chwilę, Mimmo - powiedziałam, bo zobaczyłam don Cosima na schodach. - Widzisz? Już są. Nic mi nie potrzeba. Idź odpocząć.

Tego wieczoru wydawało mi się, że Mimmo dziwnie się postarzał. Nie pamiętałam, czy kiedykolwiek mówił mi, ile ma lat. Don Cosimo stanął przy mnie. Nie wiedzieć czemu, ścisnął w dłoniach zamiszową kurtkę Lea. Bo to była kurtka Lea, ta zmięta i zakurzona rzecz, którą trzymał w rękach. A co to znowu, zdziwiłam się. Cóż Leo znowu wymyślił?

Wstałam i wyjęłam tę kurtkę z rąk don Cosima. Ulga, że już wrócili, ustąpiła miejsca nagłemu zawrotowi głowy.

- Od kiedy to przejął ksiądz obowiązki kamerdynera? - spytałam.

Otrzepałam kurtkę i wygładziłam zagniecenia, jak umiałam. I znowu ją otrzepałam. Zauważyłam przy tym, że drżą mi ręce. Zauważyłam, że nie mam odwagi podnieść wzroku na don Cosima. Zauważyłam, że nie potrafię dobyć głosu.

- On nie żyje, Tosco.

Wtedy spojrzałam na księdza. Przycisnęłam kurtkę do siebie. Tak, jakbym chciała się nią zasłonić przed tym, co mi powiedział.

- Zatrzymaliśmy się przy szosie do Enny. Dwa samochody zajęły nam drogę. Miały zgaszone światła. Zauważyliśmy je dopiero, kiedy były blisko. Wsiedli z nich dwaj mężczyźni. Nie zgasili silników. Może w samochodach siedziało ich jeszcze kilku. Myślę, że tak było. Ci dwaj otworzyli drzwi po stronie pasażera i zabrali Lea. Zawiązali mu opaskę na oczach. Ściągnęli kurtkę i rzucili na ziemię. Skuli mu ręce kajdankami. Wepchnęli go do jednego z samochodów. I odjechali. Bez jednego słowa. Siedziałem za kierownicą, nie mogłem się stamtąd ruszyć przez długi czas.

- Leo wróci. Może się zjawić w każdej chwili. To tylko kolejna próba zastraszenia. Gdyby chcieli mu zrobić coś złego, to i księdza by zabrali. Bo po co mieliby zostawiać świadka?

- Co ze mnie za świadek. Zobaczyłem dwa samochody bez świateł i dwie ciemne sylwetki w ruchu. Nie widziałem twarzy, nie słyszałem głosu. Mogę tylko potwierdzić, że ksiądz zniknął na moich oczach, to wszystko. I nie mam złudzeń, on już nie wróci, Tosco.

- Skąd ksiądz to może wiedzieć?

- Po prostu wiem.

- A ja wcale nie wiem. Dziś po raz drugi postanowili go nastraszyć, ot i wszystko. Czy ksiądz tego nie rozumie? Robią to z wprawą, tylko to jedno potrafią. Szepty, aluzje i cisza. W ten sposób udręczyli go bardziej, niż gdyby użyli noży i siekier. Ale Leo żyje. Jestem tego pewna, don Cosimo. Leo żyje.

Mój głos zaczął brzmieć piskliwie, przybrał tony bliskie hysterii. Bo ja także zrozumiałam, że Leo nie żyje.

Wiedziałam, że wciąż jeszcze siedzę w oranżerii, wiedziałam, że don Cosimo nadal do mnie mówi. Mówił mi, że był już u Simony. Kiedy wrócił, wszedł do pałacu tylnymi drzwiami, i poszedł prosto do niej. Bo Simona jest żoną Lea. To znaczy wdową. Więc tak należało zrobić. Powiedział mi, że z Simoną są teraz księżniczki i że będzie najlepiej, jeśli się do nich przyłączę. Będziemy czuwały wszystkie razem. Świece. Kadzidło. Służba też będzie czuwać. Powiedział mi, że pójdzie do *borghetto*. Trza iść, powiedział. Nie chciał, żebym została sama. Jakby nie rozumiał, że z księżniczkami i Simoną nie poczuję się mniej samotna. Znalazłam się w jakiejś mglistej krainie bez granic, wśród ciężkich, gęstych oparów. Jeśli tylko zrobię krok, zaraz się przewrócę. Więc muszę tu zostać. Wspomniałam Mafaldę, która chciała zostać w domu, żeby było komu powitać nas wszystkich, kiedy wrócimy. Musiałam zostać w oranżerii, żeby Leo mnie widział. Wyjęłam z włosów kwiaty magnolii. Moje serce biło w przyśpieszonym rytmie. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa. W tych uderzeniach słyszałam jego głos. Wołał mnie. Otworzyłam usta, żeby mu odpowiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Spróbowałam znowu, i jeszcze raz, i usłyszałam gdzieś daleko cichy kobiecy płacz. To był mój płacz. I gdzieś daleko rozległo się wycie szakala. Ale to ja zawylałam.

Świtało już i smugi matowego światła wpadały przez okna pałacowej kaplicy. Słysząc było tylko śpiew ptaków i czyjś chrapliwy szept nad różańcem. Charlotte trzymała mnie za rękę, tak jak przez całą noc. Yolande usiadła z dala od nas, obok mademoiselle Clothilde. Simona tkwiła samotnie w pierwszej ławce, pośrodku. Chociaż o świcie czuwanie się skończyło, nie wyglądało na to, by zamierzała opuścić kaplicę. A my musiałyśmy czekać na odejście wdowy i ruszyć w ślad za nią. Wszedł Mimmo. Zbliżył się

do Simony, podał jej grubą żółtawą kopertę zapieczętowaną czerwonym lakiem. Była do mnie odwrócona plecami, kiedy otwierała ten list. Wiedziałam, kto go przysłał. Jako pierwszy złożył jej kondolencje człowiek zwany Mattia. Tak. Leo nie wróci.

Mój umysł był całkiem pusty. Nie płakałam, nie odzywałam się, nie czułam bólu. W ogóle nie czułam nic. Tylko nasłuchiwałam. I patrzyłam. Siedziałam w *salone* z książką na kolanach. Zaczęli przychodzić ludzie. Ale przeszkadzał mi nawet ten powolny ruch w amfiladach. Przeszkadzały mi promyki światła przedzierające się przez zaciągnięte zasłony. Wyszłam na spacer do ogrodu, ale zabrakło mi sił. Usiadłam na kamieniu i słońce mnie oślepiło. Od czasu do czasu lekki wiatr niósł suche liście topoli, szeleszczące jak suknie, w których my, trójka dziewcząt, codziennie szłyśmy przez hol w stronę jadalni. Gawrony krakały nad moją głową, a ja słyszałam w tym krakaniu echa śmiechu księżniczek sprzed lat. A może też mojego własnego. Wróciłam do pałacu, usiadłam znowu w tym samym miejscu w *salone*. Zobaczyłam długie skrzynie pełne żałobnej odzieży, które przynieśli mężczyźni w białych rękawiczkach. Otworzyła im Simona z Agatą u boku. Wąska czarna sukienka, do tego kapelusz z szerokim rondem, z gęstą woalką, za którą będzie mogła się ukryć wdowa. Dla księżniczek czarne aksamitne spódnice z zakiecikami i czarne koronkowe mantylki. Simona zbliżyła się do mnie z sukienką, którą położyła na poduszce sąsiedniego krzesła. A na niej spoczął czarny jedwabny toczek z woalką. Pochyliła się, żeby mnie pocałować w policzek.

Msza żałobna za duszę Lea miała się odbyć w kaplicy w *borghetto*, świeżo odbudowanej po pożarze, który wybuchł w święto Wniebowstąpienia. Simona zadbała o każdy szczegół. I to nie według własnego gustu, lecz raczej tak, jak chciałby to urządzić Leo. Miała złożyć do grobu na wieczne odpoczywanie swojego księcia, którego poślubiła z dobrej woli. Stosy kwiatów zalegały dziedziniec. Kozy, kury i parę gęsi wałęsało się między pękami żółtych chryzantem i wielkimi bukietami czerwonych róż. Zwierzęta domowe delikatnie skubały płatki kwiatów, ale nikt ich nie odpędzał. Kaplica pałacowa była niewielka. Tłumy nadciągały bez końca. Ludzie stali na wysypanej białym żwirem drodze, na łące przed pałacem, wzdłuż między przy polu pszenicy. W okrutnym żarze lejącym się z nieba stali bez ruchu.

Ołtarz był od góry do dołu przybrany snopkami pszenicy, związanymi konopnym sznurem. Don Cosimo przygotowywał komunię między białymi świecami, wystającymi spośród gałązek oliwnych - owoce były jeszcze niedojrzałe, wyglądały jak drobne, twarde zielone pączki - i winorośli, ciężkiej od nabrzmiałych sokiem owoców. Ale nigdzie nie było ciała. Ani trumny. Człowiek zwany Mattia stał wśród żałobników, po lewej stronie kaplicy, pod ścianą. Nie więcej niż trzy metry od miejsca, w którym przypnęłam na brzeżku ławki. Wiedziałam, że to on. Poznałam go po spojrzeniu don Cosima, które raz po raz odrywało się od ołtarza i biegło w jego stronę. Poznałam go po tym, jak patrzył na mnie. Ale myślę, że i bez tego bym go poznała. Jak pan to zrobił, panie Mattia? Czy pan go zastrzelił? Czy raczej udusił gołymi rękami, a potem wybrał się gdzieś na dobrą kolację? A może w ogóle nie ubrudził pan sobie rąk tą robotą? Może pan ją zlecił komuś samym tylko gestem i porozumiewawczym spojrzeniem? Mógł pan przynajmniej, panie Mattia, pozwolić nam go pochować.

„Czy to prawda, że całował księżę swoich wieśniaków po rękach?”

„A co to ma do rzeczy?”.

„Jeśli któregoś dnia usłyszymy, że spotkało księcia jakieś nieszczęście, wszyscy będziemy wiedzieli, co było jego przyczyną. Mam na myśli utratę szacunku. Tak, wszyscy będziemy wiedzieli, że księżę ściągnął na siebie nieszczęście przez te pocałunki”.

Ojciec i syn, którzy co roku przyjeżdżali z Enny, żeby grać na dudach podczas święta zbiorów, czekali przed kaplicą. Simona wstała z ławki, a księżniczki ruszyły za nią. Ja także. I wszyscy inni. Wtedy dudziarze zaczęli grać. Młodociani dobosze z *borghetto* także byli obecni. Szli na czele konduktu, sunącego białą drogą do rodzinnego grobowca, który znajdował się na tyłach pałacu, za cytrynowym gajem. Dobosze, żałobnicy, dudziarze. Simona i księżniczki zbliżyły się do grobowca i każda z nich coś włożyła w jego ciemną czeluść, w której powinna zostać umieszczona trumna Lea. Kwiaty, listy, książki. Zrobiły mi miejsce, żebym i ja mogła podejść. Ale nie znałam tego zwyczaju - jeśli rzeczywiście był taki zwyczaj - i nie miałam przy sobie nic odpowiedniego. Zdjęłam więc toczek z woalką i włożyłam go do grobowca. Murarz i pomocnik przystąpili do pracy. Umieścili płytę na właściwym miejscu. Pomocnik cofnął się i skłonił głowę. Widziałam, że don Cosimo się modli, ale słyszałam tylko dźwięk młotka w rękach murarza.

Rozdział 16

Po pogrzebie przez dwa tygodnie albo i dłużej Simona nie opuszczała swoich pokoi. Myślę, że nie tyle z powodu żałoby, ile kataru. Dała wolne mademoiselle Clothilde, jedynej nauczycielce, jaka została jeszcze z nami. Don Cosimo prawie codziennie składał nam wizyty, ale wyprowadził się na plebanię, do pokoju, który zawsze czekał na niego w parafii Świętego Rocha. Teraz znowu podjął obowiązki wiejskiego księdza. Dotąd wpływy Lea w kurii chroniły go przed tym, co określano jako „przeniesienie do bardziej wymagającej posługi”, teraz zaś kuria powróciła do tego pomysłu. Nie było też żadnych gości. W pałacu została tylko Simona z córkami i ja.

Księżniczki zażywały walerianę i zasypiały twardo w swoich łóżkach albo spotykały się w małym saloniku, gdzie składały Bachowi nieco zgrzytliwe hołdy, grając na wiolonczelach. Kiedy wreszcie Simona opuściła pokoje, wydawała się pogodna i bardziej niż zwykle pobłażliwa dla córek, choć one także, jak się wydawało, dawno już przestały rozpaczać. Chciała porozmawiać ze mną o swoich planach. O planach, które dotyczyły jej i księżniczek. Miała zamiar zamieszkać w Genewie. Dziewczęta powinny spędzić rok w Paryżu. Śmierć Lea zniosła ostatnie ograniczenia, jakie nakładało na nią małżeństwo. Choć było jej bardzo przykro z powodu tej śmierci, w swoim inteligentnie wymijającym języku nazwała ją „kolejnym z jego wyborów”. Teraz nie była już dłużej skazana na drugorzędną rolę w teatrze pałacowego życia. Miała wszelkie warunki, by przyjąć rolę wesołej wdówki.

- A ty, Tosco? Czy don Cosimo oddał ci wszystkie dokumenty, związane z twoim dziedzictwem? To całkiem przyzwoity spadek, tak mi się wydaje. Zupełnie wystarczający.

- Tak - odpowiedziałam tylko.

- To nie znaczy, że nie życzyłabym sobie, żebyś została z nami. Pamiętam, że nie tak dawno temu sama prosiłam cię, żebyś z nami została. Żebyś skończyła z tymi szalonymi, nierozumnymi ucieczkami. Ale teraz obawiam się o ciebie, Tosco. Boję się, żebyś nie uwierzyła, tak jak my wierzyliśmy, że nasze zasoby czasu są nieograniczone, że możemy z nich czerpać, nie licząc lat. Życie wydaje się bezkresną drogą, dopóki pewnego dnia nie zauważymy ze zdumieniem, jak niewiele nam zostało. Ja to właśnie zauważyłam. Zostało mi z niego naprawdę niewiele. Niedługo przekroczę pięćdziesiątkę. Ty nie przeżyłaś jeszcze nawet połowy moich lat. Twój byt jest zabezpieczony dzięki zapisom w testamencie Lea, a czasu masz pod dostatkiem. Nie zmarnuj go, żyjąc tylko wspomnieniami o naszym księciu. On byłby ostatnim, który by sobie tego życzył.

- Tak, mówił mi o tym. Powiedział, że gdyby stało mu się coś złego, powinnam wyjechać. Don Cosimo też mi to stale powtarza. Myślę, że przypomina mi o tym, bo Leo sobie tego życzył. Ale jest tego samego zdania. Wyjadę. Taki mam zamiar. Nie wiem tylko, jak się do tego zabrać. Od czego zacząć.

- To przecież nic trudnego. Leo zostawił ci pałac myśliwski, prawda?

- Tak. Ale obawiam się samotności.

- Wiem, nie chcesz zostać sama. Choć tu byłaś bardzo samotna. Jeśli stąd odejdziesz, dalej będziesz równie samotna. Nawet jeśli wyjedziesz bardzo daleko, twoja samotność podąży za tobą. Tak będzie jeszcze przez pewien czas. Ale rzecz w tym, że nowe otoczenie zmusi cię do czegoś więcej, niż wystarczało tu u nas. Tu kościelne dzwony regulowały rytm naszego życia. Pałac myśliwski jest tak duży, że potrzeba dużo służby, żeby go utrzymać na odpowiednim poziomie, a to oznacza, że i tam życie będzie się toczyło w rytm kościelnych dzwonów. Ale jeśli znajdziesz się gdzie indziej, będziesz musiała stworzyć swoje życie. Tak, Tosco, myślę, że to właściwe słowo. A może powinnam powiedzieć: odbudować? Musisz odbudować siebie samą. Powinnaś uczyć się, pracować, zawierać znajomości z osobami w twoim wieku, decydować, jak chcesz spędzić czas, a nie poddawać się biernie temu, co się wydarza, póki w końcu nie zauważysz, że czas ucieka coraz szybciej. Więc nie radziłabym ci przeprowadzić się teraz do pałacyku myśliwskiego. Będzie on w razie potrzeby twoim schronieniem. Twoim własnym miejscem. Może się zdarzyć, że pewnego dnia... No, powiedzmy, pewnego zechcesz mieć rodzinę. Jeśli tak ci wygodniej, zostaw tu u nas swoje rzeczy. Zabierz wszystko, co zechcesz, ze swojego pokoju, z pokoju Lea. Dobierz sobie do towarzystwa kogoś z tutejszej służby i wyjedź. Dokądkolwiek, blisko albo daleko. Pałac będzie należał do mnie, póki żyję, potem przejdzie na własność moich córek. Nie wiem, czy któraś z nas będzie tu mieszkać, a jeśli tak, to jak długo i ile służby pozostanie na stałe. Ale zawsze będziesz mogła tu wrócić.

- Myślałam o tym, żeby wyprowadzić się do *borghetto*. Zawsze chciałam tam zamieszkać. To znaczy, marzyłam o tym wiele lat temu, a teraz wygląda na to...

- Tak, wiedziałam o tym twoim dziecięcym marzeniu. Leo rozmawiał o tym ze mną. Prosił mnie, żebym spróbowała cię przekonać do pozostania z nami w pałacu. Lecz, jak się okazało, on sam z powodzeniem odwiódł cię od tego pomysłu. Jeśli wówczas miał istotne argumenty, teraz te jego argumenty tym bardziej pozostają w mocy. Nie możesz przekreślić lat, które spędziłaś w pałacu, swoich przywilejów,

swojego miejsca wśród nas. Choć ludzie z *borghetto* cię polubili, choć polubili cię, mimo że kochałaś księcia, choć lubili księcia, mimo że on kochał cię - nie należysz do nich. Z uprzejmości pozwolą ci zamieszkać wśród siebie, ale nie będą się z tobą czuli swobodnie. Nawet z Leem nie czuli się swobodnie. Poza tym, większość rodzin zbudowała już własne domy na swojej ziemi. *Borghetto* już niedługo stanie się miejscem opuszczonym.

Nie uszło jej uwagi moje zdumione spojrzenie, kiedy powiedziała mi, że Leo omawiał z nią moje marzenia. Było jasne, że ich związek miał mocne podstawy, z którymi żadne z nich się nie afiszowało. A może tylko ja tego nie zauważałam? Może nie chciałam zauważyć? Zaczęła mówić o tym, że powinnam spędzić zimowe ferie w Genewie razem z nią i z księżniczkami, ale ja nie trzymałam się jeszcze na nogach dość mocno, by pokonać schody i wrócić do swojego pokoju. Simona zorientowała się, że jej słowa do mnie nie docierają. Objęła mnie i powiedziała:

- Leo nie żyje, ale to ty pogrążasz się w otchłani, Tosco. Znajdź drogę do własnego życia.

* * *

Pewnego dnia pod koniec września poczułam się lepiej. Ozdrowiałam - być może przez przekorę. Jeśli mafia nadal zamierzała mnie zgładzić, to zaczęłam robić wszystko, by ułatwić jej zadanie. Wróciłam do konnych przejażdżek. W bryczesach Lea, które musiałam spinać paskiem, w jego zamszowej kurtce, zapiętej na wszystkie guziki, z rozpuszczonymi włosami galopowałam na ogierze księcia. W oszołomieniu wolnością, biorąc rewanż za dawne czasy, dosiadałam go na oklep.

Jeśli chcecie mnie zastrzelić, „przyjaciele”, tu jestem - wołałam, a wiatr porywał słowa. - *Sono qui, signor Mattia. Sono qui tutti, voi bastardi. Venite a prendermi.* Tu jestem, panie Mattia. Tu jestem, sukinyń! Dalej, zastrzelcie mnie! Czasem zaś wzywałam Lea, żeby na mnie popatrzył, bo robię to, co powinniśmy byli robić od początku, zamiast chować się w czterech ścianach. Wystawiałam się na strzał, pędząc przez otwarte przestrzenie, przez lasy, po kamienistych zboczach i nawet przez wioski. Jakże łatwo mi było odnaleźć w sobie małą dzikuskę, córkę koniokrada. I jak świetnie mi to służyło. Nigdy nie przestajemy być sobą.

Często pędziłam tak przez cały dzień, w nadziei, że jeśli wieczorem będę całkowicie wyczerpana, to przynajmniej uda mi się zasnąć. Nie wkładałam kapelusza dla ochrony przed palącym słońcem i pozwoliłam, by moja skóra zbrązowiła jak u Saracena. Jadałam tylko bulion z chlebem, czasem jajko. To samo, co w dzieciństwie. To odpowiednia strawa dla furii, którą się wtedy stałam. Zaczęłam nawet otwarcie palić papierosy. Trzydzieści, czterdzieści papierosów dziennie. Wychudłam doszczętnie.

Pędziłam do pałacyku myśliwskiego i przemierzałam jego wielkie pokoje. Kładłam się na łożu z baldachimem, które stało w *mansarda*, gdzie po raz pierwszy się kochaliśmy w dniu moich osiemnastych urodzin. Głaskałam połyskliwą zasłonę z szeroką satynową falbaną. Jeśli nie było zbyt gorąco, zamykałam oczy i zasypiałam na tym łożu albo rozsiadałam się w rozwidleniu pnia magnolii. Tak, Chou, właśnie tej magnolii. Zaczęłam się zastanawiać, jakie życie bym prowadziła, gdybym tu zamieszkała. Może zajęłabym się na nowo uprawą gruntów, tak jak to uczynił w swoim majątku Leo. Zrobiłabym z tej ziemi kwitnące

gospodarstwo. Trzeba by było włożyć ogrom pracy w ogrody i w sam pałac. Ale byłoby tutaj pięknie. Tylko kto by ze mną zamieszkał? Gdyby tak mama i Mafalda mogły być ze mną! Nawet ojciec. On także. Zaprosiłabym Agatę i Mimma, Lullo i Valentino oczywiście mogliby tu pozostać. Czy don Cosimo zgodziłby się tu osiaść z nami? Simona mówiła mi, że powinnam poszukać własnej drogi. Czy nie o tym właśnie marzyłam? O odtworzeniu *borghetto* w tym pałacu? Ale to jednak nie to. To jeszcze nie to, czego bym chciała. Nawet gdybym zgromadziła wokół siebie wdowy z całej okolicy, to jeszcze nie byłoby tym, o co mi naprawdę chodziło. Uważałam się za wdowę. Lecz nie tego chciałam. Marzyłam tylko o jednym - żeby mieszkać i pracować z dobrymi ludźmi. Chciałam pójść dalej tą samą drogą, na którą wstąpił Leo. Myślę, że w pewnym sensie chciałam stać się nim. Nosłam jego bryczesy, jego kurtkę. Jeździłam na jego koniu. Chciałam być dobra tak jak on. Tak, chciałam stać się nim. I w ten sposób przywrócić mu życie.

Później ta niezłomna kobieta gdzieś się zawieruszyła, a jej miejsce zajęła tchórzliwa panienska. Lubiałam ją znacznie mniej. Zbliżał się grudzień i tak jak przepowiedziała mi Simona, poczułam się w pałacu bardzo samotna. Księżniczki wyjechały na spotkanie nowego życia. Postanawiałam, że i ja wyjadę. Byłam pewna, że w końcu to uczynię. Ale nieustające rozmyślenia, dokąd powinnam się udać i jak tam będzie, co zobaczę i kogo spotkam, odbierały mi resztkę odwagi.

Pewnego ranka wyciągnęłam z dna szafy, do której kiedyś ją wrzuciłam, czarną walizeczkę, podobną do lekarskiej. Nie było w niej żadnych leków ani środków opatrunkowych. Wypełniały ją atlasowe woreczki i aksamitne futeraliki, które kryły w sobie klejnoty Isotty. Leżał w niej także długi list, napisany przez Lea wiele lat temu. Nosił datę sierpień 1948. Była w nim mowa o tym, że mam dostać klejnot jako prezent na osiemnaste urodziny. I inny list, krótszy, że niektóre z woreczków i futeralików mają być moimi prezentami ślubnymi. Było też kilka dokumentów wyceny klejnotów. Te złożyłam i schowałam do bocznej przegródki. List zaś wsunęłam do torebki. Położyłam się na łóżku i oparta na poduszkach, otwierałam po kolei woreczki i futeraliki. Kładłam klejnoty obok siebie, na pościeli. Były tam niezliczone sznury pereł dużych i małych. Naszyjnik z podłużnych diamentów. Woreczek rubinów oszlifowanych, pomieszanych z nieoszlifowanymi, opatrzony kartką z odręcznym napisem - było to z pewnością pismo Isotty - *tutti sangue di piccione*. Gołębia krew, tak określano ich barwę. Był jeszcze inny woreczek rubinów bez żadnego opisu. Isotta musiała szczególnie lubić szmaragdy, bo oprócz tego, który zawsze nosiła na szyi, miała też dwa pierścionki ze szmaragdami i kilka par szmaragdowych kolczyków. Był woreczek zawierający same pierścionki, większość z diamentowym oczkiem. I było tych klejnotów znacznie więcej. Kiedy odłożyłam je wszystkie na miejsce, zaczęłam się pakować. Bo kiedy dotykałam tych skarbów, ogarnął mnie zupełnie nowy rodzaj lęku. Lęku przed czymś o wiele bardziej przerażającym niż mafia. W wyobrażeniu ujrzałam siebie, opartą o te same poduszki w tym samym łóżku, w otoczeniu tych samych lśniących klejnotów, rozłożonych na prześcieradle. Tyle że w tym wyobrażeniu ja sama byłam o wiele, wiele lat starsza niż owego dnia.

Wyjeżdżając, Simona zostawiła mi nieduży kufer na kółkach i dwie walizki średniej wielkości. Postanowiłam wypełnić trzy sztuki bagażu wszystkim tym, co może mi się przydać, kiedy otworzę nowy

rozdział swojego życia. Choć w ciągu poprzednich miesięcy umierałam z tęsknoty za przeszłością, teraz niecierpliwie pragnęłam odmiany. Spakowałam ubrania i książki. Kiedy skończyłam, w kufrze pozostało jeszcze sporo miejsca, a obie walizki nadal były puste. Do jednej z nich włożyłam lekarską walizeczkę. Drugą umieściłam pod swoim łóżkiem, przykrytym biało-żółtą kapą. Wykąpałam się i ubrałam, po czym poczekałam na popołudniową wizytę don Cosima. Kiedy skończyłam opowiadać mu o tym, co postanowiłam, powiedział:

- Powinnaś odłożyć to o dzień albo dwa. Spotkanie z prawnikami, od którego się dotąd uchylałaś, jest nieodzowne. Oni wyjaśnią ci wszystko, co dotyczy części składowych twojego dochodu. Będziesz musiała podpisać pewne dokumenty. A potem możesz jechać.

- Rozumiem. A czy ksiądz wie, dokąd zamierzam pojechać? Przynajmniej na początek?

- Przypuszczam, że do Palermo.

- Czyżby ten wybór był aż tak oczywisty?

- Nie. Nie jest oczywisty, ale jest najrozsądniejszy. Jestem przekonany, że to dla ciebie najlepsze miejsce na początek.

Ma ono w tej chwili więcej zarówno dobrych, jak i złych stron niż jakiegokolwiek inne. Znam pewien pensjonat w starej części miasta. Mogę cię polecić właścicielom, a potem rozejrzysz się za innym mieszkaniem na stałe, jeśli zechcesz pozostać w Palermo. Przekonasz się, że mieszkańcy tego miasta są na ogół uprzejmi. Zwłaszcza rodzina, która prowadzi ten pensjonat. Ale poza tym, że cię tam wprowadzę, niewiele będę mógł ci pomóc.

- Nie proszę o pomoc. - Moja brawura miała w sobie coś niemal aroganckiego.

- Więc umówmy się na spotkanie z prawnikami. Jutro rano spróbuję to załatwić. Po spotkaniu będziesz mogła wyjechać do Palermo, choćby jeszcze tego samego dnia. Podwiozę cię samochodem do Enny. Tam wsiądziesz do pociągu - powiedział.

Przysłuchiwałam się tej beznamietnej wymianie zdań, zwłaszcza brzmieniu naszych głosów, jakby z daleka. Mój ton był niecierpliwy, jego - przygaszony i ciężki od smutku. Żadne z nas nie przekroczyło niewidocznej linii, która nas odgradzała od siebie. Przyjrzałam się księdzu, który jak zahipnotyzowany błędził wzrokiem po krwistoczerwonych ścianach *salotto*, w którym siedzieliśmy. Pomyślałam, że don Cosimo jest zmęczony. Że przede wszystkim jest zmęczony mną. I chciałby już pozbyć się obowiązków, które nałożył na niego Leo.

- Dziękuję - powiedziałam, ale on zniknął już za drzwiami.

I tak oto w wieku dwudziestu pięciu lat zmieniłam swój status, z *la puttana* stając się spadkobierczynią. Miałam klejnoty w atlasowych woreczkach. Konto w szwajcarskim banku. I sejf. Wiedziałam, że jeśli zacznę rozmowę z Agatą, z Mimmem albo z kimkolwiek innym o mojej nagłej decyzji niezwłocznego opuszczenia pałacu, ich pełne życzliwości rady osłabią mój impet. Dlatego, pomyślałam, trzeba te więzi uciąć krótko i stanowczo. Muszę znaleźć drogę do własnego życia.

W niecały tydzień później don Cosimo przyjechał po mnie wielkim szarym chryslerem, który, gdy jego silnik pracował na jałowym biegu, dygotał równie gwałtownie jak ja. Obrzuciłam pałac ostatnim, pożegnalnym spojrzeniem. Dotknęłam szmaragdu, który nosiłam na szyi. Miałam na sobie czarny żałobny strój. Futro bobrowe, długie aż po podwyższone obcasy moich sznurowanych półbutów. Czarny aksamitny beret, przykrywający koronę z warkoczy. Don Cosimo załadował do bagażnika mój kufer, a ja postawiłam obok walizkę, w której schowana była mała lekarska walizeczka. Usiadłam na miejscu obok kierowcy, które dotąd zawsze zajmował Leo. Wzięłam głęboki oddech i wyczułam w powietrzu cień zapachu kwiatów pomarańczy. Don Cosimo ruszył z miejsca i już byliśmy w drodze. Odwróciłam się. W portyku stali, patrząc w ślad za nami, Agata i Mimmo. Rozczapierzywszy palce, położyłam na szybie dłoń w skórzanej rękawiczce.

TLR

CZEŚĆ III

Palermo 1955

Rozdział 1

Następnego popołudnia, gdy około piątej poszłam na spotkanie z Toscą pod magnolią, odniosłam wrażenie, że wygląda nieco inaczej. Jej silna, dominująca osobowość wydawała się nieco wycofana, a do głosu doszło coś znacznie bardziej kruchego. Wydawała się zarazem starsza i bardziej dziewczęca. Kontynuowała swoją opowieść.

- Jak nowo narodzony, niewylizany jeszcze żrebak szłam chwiejnym krokiem w porywistym wietrze po poplamionym olejem maszynowym i śmierdzącym sadzą peronie, z toczkiem w jednej ręce i walizką, kryjącą torbę lekarską, w drugiej. Ledwie mogłam dotrzymać kroku młodemu bagażowemu, który wytaszczył mój kufer z pociągu. Zatrzymywał się co parę metrów i oglądał za siebie, żeby sprawdzić, czy za nim idę. Raz po raz traciłam z oczu jego niewysoką, krępa postać, która to znikwała w kłębach pary, to pojawiała się znowu, to znów ginęła w gęstym tłumie. Za każdym razem, kiedy rozlegał się gwizd, zatrzymywałam się, przerażona i bliska płaczu. Gdy znalazłam się na ulicy, stanęłam przy swoich bagażach i zaczęłam się rozglądać z taką rozpaczą, jakbym przejechała koleją nie ledwie sto kilometrów dzielących mnie od pałacu, ale została wystrzelona do innej galaktyki z jakiejś diabelskiej katapulty. Prawie się roześmiałam, kiedy dotarła do mnie ta prawda. Przeklęty Mattia. Usłyszałam gdzieś w pobliżu dialekt sycylijski, i choć tutaj w mieście brzmiał on trochę inaczej niż u nas, w górach, zaczęłam mu się przysłuchiwać i to mnie uspokoiło. Serce przestało bić jak szalone. Wciąż jeszcze znajdowałam się na Sycylii.

Pomachałam ręką w stronę postoju taksówek po drugiej stronie ulicy. Nie odniosło to żadnego skutku, oprócz tego, że jeden z kierowców też mi pomachał i przesłał całusa. Popatrzyłam, co robią inni podróżni. Zrobiłam to samo. Podeszłam do taksówki, zajrzałam przez uchylone okno i podałam adres. To zadziało. Kierowca nosił coś w rodzaju czerwonego fezu i kurtkę podobną do wojskowej, rozpiętą, pod nią przelewał się jego ogromny brzuch. Wygramolił się z auta, wstawił mój kufer do bagażnika i dał znak ruchem głowy, żebym wsiadła. Wsiadłam. Zatrzasnął drzwi i zanurzyliśmy się w gorączkowym arabskim zmierzchu.

Miasto wyglądało, jakby dopiero co zostało zniszczone. Czarne domy, wypalone, jak po wielkim pożarze, który zaledwie wczoraj strawił ich wnętrzości, sąsiadowały przez ścianę ze wspaniałymi budowlami, arogancko pyszniącymi się bezwstydną skutecznością, z jaką udało im się pozostać przy życiu. Palermo już na pierwszy rzut oka wydawało się skłócone samo ze sobą. Dobrze, że przynajmniej ruch uliczny był tak nieśpieszny. I dobrze, że grało niemiłosiernie trzeszczące radio, że całe ciało kierowcy poruszało się do taktu, a na trzy pompon jego fezu podskakiwał aż pod sufit samochodu. Przez mniej więcej dwadzieścia minut tej jazdy ani razu nie pomyślałam o Leu. To chyba dobrze. Zanim się obejrzałam, kierowca

zahamował gwałtownie przed wysokim, otynkowanym na czerwono budynkiem z łukami okien opartymi na kolumnkach. Wyjął z bagażnika mój kufer i postawił go na wąskim chodniku, podczas gdy ja wyciągałam pieniądze, żeby zapłacić za kurs. Tak rzadko miałam z nimi do czynienia, że włożyłam za dużo monet w jego szorstką łapę. Nadal kołysząc się w takt muzyki, cierpliwie odliczył tyle, ile się należało, schował do kieszeni, po czym odwrócił moją dłoń wewnętrzną stroną do góry i położył na niej resztę bilonu. Życzył mi miłego wieczoru. Stałam na chodniku, póki taksówka nie zniknęła za rogiem. Pomachałam za późno, by kierowca to zauważył, nawet jeśli patrzył w tylne lusterko. Wniosłam po schodkach najpierw kufer, potem walizkę, po czym nacisnęłam okrągły guzik na małej mosiężnej tabliczce. Napis obok guzika głosił: *Pensione d'Aiello*.

Choć od tygodnia codziennie spędzałam z Toscą po parę godzin, podczas których opowiadała mi kolejne fragmenty swojej historii, patrzyła na mnie z niezmiennym wyrazem zdziwienia w oczach: skąd się właściwie wzięłam i jak to się stało, że siedziałam obok niej o zmierzchu pod magnolią.

- I co było dalej, kiedy już przybyła pani do *pensione*?

Banalne pytanie miało na celu skłonić ją, by opowiadała dalej. Ale ona się tylko uśmiechnęła.

- Niewiele zapamiętałam z tego pierwszego wieczoru. Z tych pierwszych dni. O wiele lepiej pamiętam, co się nie wydarzyło. Widzi pani, liczyłam na to, że nowe miejsce od razu mnie całkowicie odmieni. Że podróż uczyni mnie kimś bez przeszłości. Zagłuszy jej odgłosy. Chciałam wymknąć się jej duchom, przechytrzyć ją. Bardzo liczyłam na Palermo. Na azyl, jaki znajdę „w nowym miejscu”. Liczyłam na to, że podróż pociągiem, życzliwość spoconego kierowcy w czerwonym fezie uczyni dla mnie to, czego sama uczynić nie potrafiłam. Ale pociąg, kierowca w fezie i całe to miasto okazały się bezsilne wobec duchów. Leo, Cosimo, Mattia. Wszyscy trzej czekali na mnie w moim pokoju w *Pensione d'Aiello*. I wciąż na nowo rozbrzmiewał mi w uszach głos Simony: „Powinnaś odnaleźć drogę do własnego życia”.

Przyzwyczałam się już do sposobu opowiadania Toski, czasem żywiołowego, czasem pełnego zadumy. Do afektacji, której ton zawsze pobrzmiwał w jej głosie. Kluczyła, to wybiegając naprzód, to się cofając, podejmowała na nowo porzucone wątki, ale zawsze miała do opowiedzenia następną i jeszcze następną historię. Teraz jednak stała się powściągliwa.

- Nie potrafię opowiedzieć pani o latach spędzonych w Palermo, jeśli będę musiała pominąć historie innych ludzi, które wplotły się w moją własną. Ale one nie należą do mnie i nie wiem, czy wolno mi je opowiadać. Przed opuszczeniem pałacu całe moje życie kręciło się wokół Lea i wokół naszego związku. W Palermo pojawiło się obok mnie wiele innych postaci.

- Zakochała się pani znowu? To pani ma na myśli?

- Być może. Ale nie tylko. W tamtym czasie Palermo było miastem jeszcze bardziej niebezpiecznym niż podczas wojny. Starożytne, zmęczone wiekami historii, lecz znowu w gorączce, podnoszące się z popiołów i po raz kolejny atakowane przez najeźdźców. Tylko że teraz najeźdźcami nie byli Grecy, Saraceni ani Normanowie. Byli nimi chłopcy z gór. Głodni, zdesperowani chłopcy z tutejszych gór. I paru innych, zza morza.

- Zza jakiego morza?

- Mam na myśli amerykańskich żołnierzy. Tak, amerykańscy żołnierze. Byli wśród nich i tacy, którzy urodzili się na tej wyspie, a potem wyemigrowali i zostali Amerykanami. I wylądowali tu w 1943 roku. Amerykańska inwazja na Sycylię odmieniła sposób działania mafijnych klanów. Z wiejskich bandytów, gotowych poderżnąć komuś gardło za worek mąki, przeobraziły się w zupełnie inną organizację przestępczą. Mafia zaczęła handlować narkotykami, uczestniczyć w sprzeniewierzeniu państwowych pieniędzy, wymuszać haracze i wyzyskiwać czarny rynek.

- Ale co to miało wspólnego z panią?

- Proszę przypomnieć sobie freski w naszej jadalni. Te miejsca pomiędzy postaciami, które pozostały puste. Białe plamy. Pozostały białe, ponieważ oryginalny rysunek był na nich za bardzo zatarty, by konserwator mógł odtworzyć te partie w sposób wiarygodny. Artysta musiałby w tym miejscu namalować coś na własną rękę, i w ten sposób zniszczyć historyczną wartość fresków. To samo dotyczy mojego życia. Są w nim białe plamy, których nie wolno mi zapełnić.

- *Io capisco. Io capisco.* Rozumiem - powiedziałam.

- Byłam postacią ze sztuki Pirandella, Chou. Jedną z postaci poszukujących autora. Szukałam dla siebie odpowiedniej fabuły. Byłam tak bardzo przyzwyczajona do uregulowanego życia pałacu, do dzwonnów wyznaczających pory dnia, do rytuałów i nawet do tego, że Simona wybierała dla mnie sukienki, a Agata utrzymywała je w porządku. Od piętnastu lat nie decydowałam nawet o tym, co będę jadła. Nie zastanawiałam się nad cenami, nie miałam pojęcia, ile co kosztuje. Nigdy sama nie przygotowywałam sobie kąpieli. I wątpię, czy od czasu, gdy w wieku piętnastu lat pojęłam, że kocham księcia, miałam choćby jedną myśl, która by go nie dotyczyła.

Kiedy byłam sześciolatnim dzieckiem bez matki, o wiele lepiej radziłam sobie z codziennością niż wtedy, gdy miałam już dwadzieścia pięć lat. Dawniej wierzyłam, że Leo przemienił dziewczynkę, która we mnie żyła, w kobietę. I dopiero teraz zaczynałam rozumieć, że zrobił coś zupełnie innego - nieświadomie sprawił, że pozostałam dzieckiem. Uczył mnie, inspirował i chronił, i wiem, że gdyby nie tchnął we mnie życia, umarłabym. Tak, byłam postacią w poszukiwaniu autora.

Upodobałam sobie jedną sukienkę i nosiłam ją dzień w dzień. Ciemnobrązową w deseń z białych kwiatów kamelii i zielonych listków. Do tego długi, brązowy wełniany szal. Grube czarne pończochy i czarne sznurowane półbuty. Włosy zaplatałam w pojedynczy warkocz, który opadał na plecy. Pod spodem nosiłam biały gorset. Nie życzyłam sobie wymuszonej zażyłości, która wynikłaby z siadania trzy razy dziennie do stołu w jadalni *pensione*, więc skłamałam swoim gospodarzom, że jadam gdzie indziej. Tak, byłam nawiedzona.

Rano zbiegałam po schodach przykrytych czerwonym chodnikiem i cicho wychodziłam. I równie cicho wślizgiwałam się z powrotem w południe. Po południu wybiegałam cichaczem jeszcze raz i wracałam wczesnym wieczorem. Jeszcze tylko ostrożny, cichy obrót długiego klucza w zamku, i już mogłam

położyć się do łóżka. Dwa wyjścia, dwa powroty bez jednego słowa. Byłam wyjątkowo mało absorbującym duchem.

Poznawanie miasta rozpoczęłam od tego, że ruszałam w ślad za jakimś przechodniem. Jednego dnia trafiałam w ten sposób na nabrzeże, innego na targowisko. Każde miejsce nanosiłam na swoją własną, wewnętrzną mapę. Wytaczałam własne szlaki. Wiedziałam, gdzie trzeba usiąść, żeby obserwować łódki rybaków. Wiedziałam, o której godzinie wychodzą w morze, o której powracają, o której wychodzą znowu. Rozpoznawałam żony rybaków, czekające na nabrzeżu. Opalone twarze, uszmińkowane usta. Piersi ledwie mieszczące się pod fartuchami, strzępiące się bluzki opięte na grubych brzuchach. Połatane kalosze i dziurawe pończochy. Nadchodziły w trzy albo cztery, ramię przy ramieniu, i zatrzymywały się przy samym skraju nabrzeża. W moich oczach stanowiły olśniewającą trupę. Czekałam na nie jak na przyjaciółki, zapominając, że dla nich jestem niewidzialna. Na targowiskach miałam zawsze pod ręką stulirową monetę. Torba śliwek, dwie garście solonych fistaszków. Kawalek *pecorino pepato* i ćwierć bochenka chleba z sezamem. Albo dwa krążki arabskiej pity, kupione od człowieka, którego wszyscy nazywali Święty. Choćbym nawet dzień w dzień kupowała te same rzeczy od tych samych ludzi, nikt nie zwracał uwagi na ducha, którym się stałam. Resztę, która została mi z zakupów, zawsze wkładałam w rękę Cygance, która pachniała jaśminem i nieświeżym potem. Żebrała nieopodal straganu handlarza rybami, a mnie się wydawało, że on był jej synem. Zorientowałam się, że ta żebraczka także jest duchem, i przez długie miesiące była jedyną osobą, której ośmielałam się spojrzeć w oczy.

Choć każdy, kto miał coś do jedzenia, zjadał to na ulicy, ja wstydziłam się robić tak samo. Na ławeczce, na skraju Parco della Favorita, w moim punkcie obserwacyjnym między barakami a beczkami z naftą, składowanymi na nabrzeżu, zasiadałam do obiadu. Gdy rozwijałam gruby biały papier, w który zapakowany był ser *pecorino*, wspominałam czasem plasterki tego sera, które owczarze odkrawali dla Mafaldy i dla mnie z wielkiego ciemnożółtego krążka, i to, jak otwierała buzię, czekając na kawałek - niczym głodny mały ptaszek. Teraz mogłam kupić tyle sera, ile chciałam. Tyle, ile potrzebowałabym dla gromadki dzieci i męża, który pośpiesznie wraca do domu na obiad, a nawet *di più, di più*, znacznie, znacznie więcej. Kiedy sprzedawca chwycił za błyszczący nóż do sera, pokazywałam mu, żeby wyciął większy klin, nie taki, jeszcze większy. Jedząc ten ser, usiłowałam przywołać dawny głód. Zamykałam oczy i czekałam, aż na moim podniebieniu pojawi się ostry, kwaśnawy, palący smak, ale nic takiego nie następowało. Zawijałam więc ser w gruby biały papier, wkładałam go do torebki i spacerowałam, póki nie spotkałam dziecka wysłanego po sprawunki, albo, jeszcze lepiej, grupki bawiących się dzieci, którym rozdawałam ser po plasterku. Tak, cud następował niezawodnie, rozpoznawałam tę chwilę ekstazy za sprawą plasterka sera, i wtedy zaczynałam się zastanawiać nad wszelkimi emocjami, z jakimi wiąże się uczucie głodu.

Gdziekolwiek się znalazłam, rozglądałam się za nim. Nie były to świadome, celowe poszukiwania. Raczej instynktowna pogoń za ukochanym. Na targowisku, w barze, na ulicy, wzdłuż molo nieustająco szukałam wzrokiem mojego zabitego księcia. Na widok każdego wysokiego, jasnowłosego mężczyzny, dostrzeżonego w tłumie, serce skakało mi do gardła. Zaczynałam biec, przeciskając się przez ciżbę, prze-

biegałam przez ruchliwe jezdnie, by nie zniknął mi z oczu. Leo! Leo! - wołałam, a ludzie przepuszczali mnie, z przekleństwem albo z dobrym słowem na ustach, rozpoznając odwieczną scenę, w której kobieta biegnie za mężczyzną. Ich oczy zdawały się zachęcać: dogoń go, pocałuj albo zastrzel, zrób to, co ci dyktuje serce. I wszystko to wydawało mi się najzupełniej normalne do pewnego dnia. Zobaczyłam na ulicy matkę.

Rozpoznałam jej kruchą urodę w twarzy tej kobiety, która stała na przystanku wśród ludzi czekających na autobus. Kosmyki jasnych jak pszenica włosów wymykały się spod chustki zawiązanej z tyłu. Moja matka wiązała chustkę tak samo. Jasnoniebieska bawełniana sukienka z lekko wywatowanymi ramiionami, jasne bawełniane pończochy i czarne skórzane czółenka - matka ubierała się tak w każdą niedzielę do kościoła. Wmieszałam się w tę grupkę, bo pomyślałam, że ja też powinnam poczekać na autobus. Nie spuszczałam oka z kobiety, która - co do tego miałam już pewność - była moją matką. Inaczej niż wtedy, kiedy podążałam w ślad za mężczyzną podobnym do Lea, by w końcu się przekonać, że to nie on, tym razem nie miałam wątpliwości. Zdrowa część mojego umysłu wiedziała, że to szaleństwo zrodzone ze smutku i samotności wywołało jej obraz. Ale dlaczego na mnie nie patrzyła? Czy to możliwe, że mnie nie widzi, skoro ja widzę ją? Zbliżyłam się do niej i popatrzyłam na nią otwarcie. Przyglądałam się jej, jakby stała w muzeum figur woskowych.

- Mamo, to ja - powiedziałam cicho. - Mamo, widzisz mnie?

- Tosca - szepnęła. - *Che cosa ci fai qui?* Co tu robisz?

To nie była moja matka. To była Mafalda. Mafalda, która właśnie zbliżała się do wieku, w jakim była mama, gdy umarła. I wyglądała tak samo jak matka, kiedy widziałam ją po raz ostatni. W ciągu trzydziestu lat, podczas których nie spotykałam się z moją siostrą, wyrosła i stała się żywym obrazem matki, jej sobowtórem.

- *Ciao, piccola* - powiedziałam.

Pozwoliła się pocałować, ale nie odwzajemniła pocałunku.

- Co tu robisz, tak daleko od swojego pałacu, Tosco? - Odsunęła się ode mnie, poprawiła chustkę na głowie i przymrużyła oczy, żeby łza nie spłynęła jej po twarzy.

- Ja? Teraz mieszkam tutaj.

- Czy twój książę tutaj także ma pałac?

- Dlaczego nie dałaś mi znać, gdzie jesteś? Dlaczego mnie opuściłaś, dlaczego ukryłaś się przede mną? Nie wiedziałam, co się z tobą dzieje.

Pociągnęłam Mafaldę za ławeczkę, która zwolniła się po przyjeździe autobusu. Ale ona mnie odepchnęła, podniosła rękę i uderzyła mnie w policzek. Przytomnie chwyciłam ją pod ramię.

- Ja? Ja cię opuściłam? - wrzasnęła. - Jesteś pewna, że pamiętasz to tak, jak było naprawdę? Zostałaś mi i ojca i...

- Mafaldo, przestań. Przestań! Nie wiedziałas, bo byłaś za mała, żeby to zrozumieć, ale prawda jest taka, że ojciec sprzedał mnie księciu. Dostał za mnie konia.

- Wiem o tym. Ale to było na początku. Pamiętasz, ciągle to powtarzałaś. Lubiałaś robić z siebie ofiarę. Biedną sierotkę sprzedaną do pałacu. Prawda jest inna. Ojciec zrobił ci wielką przysługę, kiedy cię do nich wysłał. Nie sprzedał cię przecież do niewoli, miałaś tam bajeczne życie. I zawsze mogłaś wrócić. Nie byłaś uwięziona, prawda? Rozumiem, gdybyś została tam przez jakiś czas, przez rok czy dwa, żeby zażyć tamtejszego życia. Byłaś jeszcze mała i przewróciło ci się w głowie. Ale zostać na zawsze? Nigdy nie przypuszczałam, że tam zostaniesz. Czekałam na ciebie. Ojciec też na ciebie czekał.

- To nieprawda. Ojciec chciał się mnie pozbyć, dobrze o tym wiesz. Nie pozwolił mi wrócić. Zapomniałaś?

- On chciał cię tylko sprawdzić. Nawet ja to rozumiałam. Chciał się przekonać, czy wolisz być z nami, czy z nimi. Jestem o tym przekonana, Tosco. Ale ty od razu uległaś pokusie życia w pałacu.

- Miałam wtedy dziewięć lat, Mafaldo. Byłam przerażona, wściekła i głodna... I to prawda, wtedy czułam, że wolę Lea od naszego ojca. Ale zostałam w pałacu po części dlatego, iż sądziłam, że to mi daje lepsze możliwości opiekowania się tobą. Byłaś za mała, żeby to zrozumieć. A ja byłam za mała, żeby przeprowadzić swoje plany w sposób konsekwentny. Tak, masz rację. Doznałam zawrotu głowy. Ale opiekę nad tobą uważałam za swoje najważniejsze zadanie. I opiekowałam się tobą, pamiętasz? Czy nie odwiedzałam cię, kiedy tylko mogłam? Nie przywoziłam ci prezentów? Później, kiedy wyjechałaś i ojciec także zniknął, mogłam już tylko czekać. Przypomnij sobie. Przecież ty wiedziałaś, gdzie jestem. Leo i don Cosimo szukali cię przez kilka lat. Nie zlekceważyli żadnego najmniejszego nawet śladu. Pisali listy do gmin i diecezji, w których mieszkali ludzie noszący nasze nazwisko albo nazwisko panięńskie mamy. Ruszali w podróż, żeby spotkać się z kimś, kto być może coś wiedział... I nic. Ja też byłam na ciebie wściekła, Mafaldo.

- Nie miałaś żadnego powodu być na mnie wściekła. Byłaś wściekła sama na siebie, dlatego że okazałaś się inna niż ja. I pewnie trochę mi zazdrościłaś, Tosco. Zazdrościłaś mi, bo się nie zaprzedałam. Tylko w jeden sposób mogłaś się mną opiekować naprawdę. Powinnaś była zostać ze mną na dobre i złe. Nie byłoby nam źle, Tosco. Razem byłoby nam najlepiej. Owszem, czekałam na twoje prezenty, nie mogę zaprzeczyć. Ale wiesz co? Byłam już wtedy bezpieczna. Wiedziałam to, co przedtem wiedziałyśmy obie: że zawsze sobie poradzę. Że nieważne, w jaki sposób, ale zawsze potrafię jakoś się urządzić. Tyle że w jakimś momencie tobie to przestało wystarczać. Nie chodziło ci już tylko o to, żeby sobie poradzić, żeby się urządzić. A mnie to wystarczało w zupełności.

Milczaliśmy przez dłuższą chwilę, taksując się nawzajem wzrokiem. Każda z nas już prawie zaczynała mówić, ale rezygnowała.

- A kiedy ojciec zachorował... - odezwała się w końcu Mafalda. - Czy ty w ogóle wiedziałaś o jego chorobie? Powiedział mi wtedy, że chciałby, żebym i ja przeprowadziła się do pałacu. Płakałam, krzyczałam, błagałam go, żeby nie oddawał mnie księciu. I wtedy urządził mnie u *zia* Elena. Zawiózł mnie do niej i obiecał, że niedługo mnie odwiedzi. I nigdy więcej go nie widziałam.

Mafalda usiadła na ławce. Właściwie przycupnęła na jej brzeżku. Twarz miała bladą i udręczoną. Spojrzałam na jej ręce. Były czerwone i szorstkie. Wyglądały dziwnie staro jak na ręce dwudziestodwuletniej kobiety. Z twarzy przypominała Madonnę Belliniego. A ręce wydawały się pożyczone od innej postaci lub przymocowane do jej smukłych przegubów przez pomyłkę. Usiadłam obok niej i wzięłam jej dłonie w swoje.

- Kiedy ojciec długo nie przyjeżdżał, sama pojechałam do domu - powiedziała. - Zajęło mi to cały tydzień, ale dotarłam tam. Za późno. Wyjechał. I nic już mi nie zostało. Nie chciałam wracać do *zia* Elena. Nie było mi u niej dobrze. Ale nawet do głowy mi nie przyszło zapukać do bramy pałacu. I tak zostałam zupełnie sama, zanim skończyłam dwanaście lat. Na ogół nie było mi trudno znaleźć pracę. Mogłam robić wszystko, cokolwiek zapewniłoby mi chleb i kąpiel do spania.

- Ale dlaczego... Dlaczego nie przyszedłeś do mnie?! Dlaczego nie poprosiłeś o pomoc? Przecież ja nic nie wiedziałam! Skąd miałabym wiedzieć? Przez cały ten czas nie miałam pojęcia, co się z tobą dzieje.

Stałam nad nią, krzycząc, płacząc i potrząsając nią. A potem ją przytuliłam.

- Dlaczego? Dlaczego, *piccola*?

- Dlatego, że nie chciałam twoich prezentów, twoich zapasów, twoich ubrań. Chciałam ciebie, Tosco. Chciałam, żebyśmy byli rodziną.

Mafalda umilkła. Wytarła łzy czystą chusteczką, wyciągniętą z torebki.

- Wsiadam w następny autobus. Przyjedzie za parę minut. Jestem umówiona i nie chcę się spóźnić.

- Umówiona? Chcesz powiedzieć, że się teraz rozstaniemy? Przecież musimy porozmawiać. Zabiorę cię do swojego pokoju. Nawet nie wiedziałabym, gdzie cię szukać, nie znam twojego adresu. Nie możesz po trzynastu latach tak po prostu odjechać autobusem.

- Wciąż szukam ojca. Wszystkie oszczędności przeznaczam na te poszukiwania. Wiem, czym jest pisanie błagalnych listów do obcych ludzi. Przyjechałam do Palermo, żeby spotkać się z kobietą, która znała ojca. Myślę, że była jego kochanką. Dawno temu, kiedy mieszkaliśmy jeszcze razem, znalazłam w jego rzeczach list, właściwie krótką wiadomość. Zatrzymałam ją. Nie wiem dlaczego. Może tylko dlatego, że było to kilka miłych zdań na ładnym papierze. Pod spodem podpis: Loretta. Spodobało mi się to imię. Kiedy zaczęłam go szukać, o wiele później, najpierw napisałam do tej Loretty, która nazywała się Capella. Mieszkałam wtedy na piazza Amerina. Ale nie odpowiedziała. Więc przyszedłam pod ten adres. Okazało się oczywiście, że już tam nie mieszka. A przynajmniej tak mi powiedziała *portiniera*. Zapomniałam o niej. Odnalazłam inne dawne tropy. Ale sądzę, że on już nie żyje od wielu lat. Albo raczej tak myślałam do niedawna. Parę dni temu dostałam list od tej pani Capelli. Bo byłam w kontakcie z ludźmi, dla których pracowałam na piazza Amerina, i to oni odesłali mi list. Pani Capella prosiła, żebym do niej zadzwoniła. Przez telefon umówiła się ze mną na dzisiaj. I nic mnie nie zatrzyma, nawet ty, Tosco.

- Więc spotkajmy się później. Przyjdę, gdzie zechcesz, powiedz tylko gdzie.

- Jedź ze mną, Tosco.

- Nie chcę. Wolę poczekać na ciebie.

Mafalda wstała, podbiegła do autobusu, który właśnie zatrzymał się przy krawężniku, a syk otwieranych drzwi zagłuszył to, co powiedziała mi na pożegnanie.

- Jutro - usłyszałam tylko.

Wskoczyła na stopień, zapłaciła za przejazd, odwróciła się do mnie i pomachała.

- Pensione d'Aiello! - krzyknęłam. - Pensione d'Aiello!

Następnego dnia wyszłam wcześniej rano, kupiłam chleb i ser w *gastronomia* na rogu, torbę dojrzałych gruszek i litrowy bukłak wina, po czym wróciłam do *pensione*, żeby czekać na siostrę. Poprosiłam panią d'Aiello o kieliszki, serwetki, talerze. I nóż. Oświadczyłam, że spodziewam się wizyty. Powiedziała, że będziemy mile widziane przy rodzinnym stole w porze obiadu albo kolacji. Zapytała, czy zaparzyć herbatę, czy posłać po ciasteczka, i wydawała się rozczarowana, kiedy uprzejmie odmówiłam. Posprzątałam pokój, w którym i tak panował idealny porządek, wzięłam do ręki książkę. Nie mogłam jednak czytać, nie umiałam się odprężyć i nie byłam w stanie usiedzieć w miejscu. Raz po raz wstawałam, by podejść do okna. Około piątej zaczęłam dyskuszę z jakimś pełnym obaw wewnętrznym głosem. „Przecież nie podała dokładnej godziny, więc o co chodzi? Jeśli ma pracę, a z pewnością jakąś ma, to pracuje przez cały dzień. Powiedziała «jutro». I nic więcej. A to może oznaczać najróżniejsze rzeczy. Na przykład telefon, a nie wizytę. Nie telefon, tylko list”.

O dziesiątej zjadłam chleb, wypiłam kieliszek wina i położyłam się do łóżka.

Przez trzy kolejne dni postępowałam w taki sam sposób. Czwartego dnia zaczęłam się zastanawiać, czy spotkanie z Mafaldą mi się nie przysniło. Szukałam dowodów, że naprawdę miało miejsce, lecz oczywiście żadnych nie znalazłam. Postanowiłam wybrać się autobusem do jej miejscowości, do Piana degli Albanesi. Trzydzieści kilometrów za miastem, być może trochę mniej. Niewielkie miasteczko, nie będzie trudno ją odszukać. Ile Madonn Belliniego może mieszkać w Piana degli Albanesi? Czwartego dnia o trzeciej po południu zarzuciłam na ramię torbę, do której włożyłam swoje poranne zakupy, i wyruszyłam na dworzec autobusowy. Ech, gdybym miała konia. Jakie to było proste, gdy byłam małą dziewczynką, znałam drogę, wiedziałam, gdzie szukać siostry. Przez kilka dni miała dość czasu, żeby przemyśleć naszą rozmowę. Obie mogłyśmy ją sobie przemyśleć przez ten czas. Stałam w kolejce do kasy biletowej i starałam się wyglądać w miarę przytomnie. Nie jeździłam autobusami, odkąd umarła matka. Mafalda miękko dotknęła mojego ramienia.

- Jedziesz do mnie, Tosco? Przepraszam, że nie przyszłam do ciebie wcześniej. Ojciec nie żyje. Pani Capella nie chciała powiedzieć mi tego przez telefon. Umarł wiosną, ale ona dowiedziała się o tym dopiero kilka tygodni temu.

Wzięłam ją pod rękę i wyszłyśmy na ulicę.

- Niewiele potrafiła mi powiedzieć ponad to, że ojciec mieszkał w Kalabrii. Że chorował. Że jego choroba trwała długo i pogłębiała się coraz bardziej. Pisywali do siebie od czasu do czasu, lecz ani ona nie jeździła do niego, ani on do niej przez ostatnie cztery lata. Kiedy już bardzo długo nie dostawała odpowiedzi na swój list, zadzwoniła do kobiety, która wynajmowała mu mieszkanie. Od niej się dowiedziała o

śmierci ojca. Dlatego napisała do mnie na piazza Amerina. Pojedziemy razem na jego grób i zamówimy mszę w jego intencji. Mam nadzieję, że pojedziesz z nami. Teraz już wiesz tyle co i ja. Chciałam być sama przez chwilę, zanim się z tobą spotkam. Wiedziałam, że to zrozumiesz.

- Chodźmy do mnie - powiedziałam.

Mafalda położyła się na moim łóżku, a ja usiadłam na fotelu obok. Chciałam, żeby to ona mówiła. Pragnęłam tylko słuchać. Wydawała mi się spokojna i odprężona. Zaczęła opowiadać wszystko, co jej się przypominało i nie kończąc jednej historii, podejmowała następną, po czym wracała do urwanych wątków, w nadziei, że za nią nadążam. Nadążałam. Kiedy leżała na tym miękkim łóżku, wydawała mi się wyjątkowo piękna. A jej opowieść nie budziła żadnych wątpliwości i nie upominała się o współczucie.

Kiedyś pracowała w firmie produkującej konserwy rybne jako pomoc kuchenna na trawlerze. Kiedy indziej była niańką do dzieci u angielskiej rodziny mieszkającej w Taorminie. Podróżowała po całej Sycylii, najmując się do zbioru winogron, migdałów i oliwek razem z wędrownymi robotnikami rolnymi. To dlatego miała tak zniszczone ręce. Mieszkała w Piana degli Albanesi prawie od dwóch lat i myślała, że zostanie tam na zawsze. Pracowała jako szwaczka w małej, wytwornej pracowni krawieckiej, którą prowadziły dwie Francuzki. Powiedziała mi, że zdarzały się klientki, które przyjeżdżały do nich po suknię ślubną aż z Rzymu. Dwie Francuzki widocznie miały głowy na karku, skoro poznały się na kimś tak ładnym i miłym jak moja siostra, pomyślałam, oddając im sprawiedliwość. Ale ona mówiła już o jakimś mężczyźnie. Kochała człowieka imieniem Giorgio. W ciągu dnia pracował jako portier w magistracie w Piana degli Albanesi, a wieczorami grywał na skrzypcach w zespole kameralnym. Był najstarszym z ośmiorga dzieci - dwóch chłopców i sześć dziewcząt - w mieszanej rodzinie. Ojciec był Sycylijczykiem, a matka Słowenką. Opowiadała mi o jego oczach - były szare i lekko skośne, po matce. Powiedziała mi, że po południu, skończywszy pracę, przychodził do jej mieszkania i przygotowywał dla niej kolację, którą wstawiał do pieca, by była ciepła, a wazonie zostawiał świeże kwiaty. I liścik na stole. Potem wychodził, żeby odpocząć przed próbą. Weekendy spędzał u niej, lecz nie wszystkie. Lubiała być z nim i lubiała być sama. Musiała się uczyć. Zapisła się na kursy zaoczne w szkole ekonomicznej, chciała zdobyć dyplom księgowej. Wydawało mi się, że księgowa, szwaczka i robotnica rolna to zajęcia doskonale pasujące do tej Madonny Belliniego. Powiedziała mi, że Giorgio kupił kufer na jej ślubną wyprawę, że jego matka i siostry wypełniły go prześcieradłami, ręcznikami, koszulami nocnymi, a nawet ubrankami dla dziecka. Giorgio oświadcza się Mafaldzie w każdą niedzielę, zaraz po mszy. Może pewnego dnia przyjmie jego oświadczenia. Pracowała tak ciężko ta moja mała siostrzyczka. Robiła to, czego ja nigdy nie musiałam robić. Znalazła swoją drogę do własnego domu.

Gdy przyszła moja kolej na opowieść, ograniczyłam się do suchego wyliczenia faktów. Kiedy powiedziałam jej, że Leo nie żyje i z czyjej ręki zginął, rozplakała się. Przepraszyła mnie za swoje sarkastyczne uwagi na jego temat, kiedy spotkałyśmy się na ulicy. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że moglibyśmy zostać parą. Różnica wieku. Inna sfera. Jego żona i dzieci. Nie wspomniałam o zapisach testamentowych, obawiając się, że konto w banku, pałacyk myśliwski i szmaragdy wniosą między nas jeszcze większy roz-

dźwięk, jeszcze głębsze poczucie obcości. Mafalda spytała, dlaczego mieszkam w *pensione*, co z pewnością kosztuje znacznie więcej niż jakieś skromne mieszkanie. Skłamałam, mówiąc jej, że właśnie rozglądam się za takim mieszkankiem. A jeśli chodzi o poszukiwanie pracy, dorzuciła, ma w tej kwestii ogromne doświadczenie i może mi pomóc. Gdyby mi brakowało pieniędzy, może się ze mną podzielić swoimi oszczędnościami. Ale mimo to nie chciała obiecać, że będziemy się często widywać. Jej życie jest już wypełnione po brzegi, powiedziała mi. Usiadła na łóżku, spuszczać na podłogę szczupłe dziewczęce nogi. Patrzyłam na jej drobne stopy w czarnych czółenkach, na jej ręce, zwisające luźno przy udach. Spojrzała na mnie.

- Tosco, za późno, żebyśmy mogły znowu być rodziną. Tak mi się wydaje. I teraz, kiedy się dowiedziałam, że ojciec umarł, mam wrażenie, że moja rodzina składa się już tylko ze mnie. Nie żyje mi się źle. Pewnego dnia, być może, zechcę dzielić życie z Giorgiem. Albo z tobą, jeśli będziesz sobie tego życzyła. Ale teraz naprawdę wolę być sama. Przebyłam o głodzie i chłodzie ogromną drogę z naszych stajni do mojego małego mieszkania w Piana degli Albanesi. Przeważnie było mi bardzo ciężko, wierz mi. Ale dałam sobie radę. Od tak niedawna mam prawdziwy dom. Kiedy budzę się rano, wciąż nie mogę uwierzyć, że łóżko, na którym spałam, jest moim własnym łóżkiem. Że naprawdę gdzieś mieszkam. Że już nie muszę tulać się z kąta w kąt. Że mogę się kąpać, kiedy zechcę, że mam trochę ładnych ubrań, dwa garnki i cały serwis obiadowy ze srebrno-granatowym paskiem na brzegach. Nie będę ci teraz opowiadała, jak mnie to wszystko wciąż dziwi i zachwyca. Ale ty masz silną wolę i charakter, Tosco. Boję się, że przy tobie moje życie utraci równowagę. Tę cudowną równowagę, która pojawiła się w nim tak niedawno. Nie mogę na to pozwolić. Nie chcę podjąć takiego ryzyka. Nie dlatego, żeby cię ukarać za twoje dawne decyzje, ale i one mają swoje konsekwencje. Nie umiem o nich zapomnieć. Żyliśmy osobno przez tyle lat, i jestem przekonana, że tak już powinno zostać. Jeśli będziesz się do mnie odzywała, ja zrobię to samo. Nie stracisz mnie z oczu na nowo, mogę ci to obiecać. Zaproszę cię na obiad w którąś sobotę w ciągu najbliższych tygodni i być może przedstawię ci Giorgia. Pozwolisz mi tu dzisiaj przenocować? Jest już bardzo późno i czuję się strasznie zmęczona.

Umyła się, odmówiła włożenia nocnej koszuli, którą jej zaoferowałam, ściągnęła sukienkę, ustawiła swoje czółenka na parapecie niczym drogocenny skarb, uklękła przy łóżku, żeby odmówić modlitwę, po czym wśliznęła się pod kołdrę.

- Chcesz, żebym ci coś opowiedziała na dobranoc? - spytałam, podchodząc. Pogłaskałam ją lekko po twarzy.

- Tęskniłam za tobą, Tosco, przez wiele lat. Nawet nie wiesz, ile łez wylałam z tej tęsknoty. Zdarzało się, że pomijałam Jezusa i *la Madonna*, i nawet świętą Rozalię, i modliłam się bezpośrednio do ciebie: „Nie opuszczaj mnie, Tosco, nie opuszczaj mnie nigdy”. Kiedy cię utraciłam, płakałam dłużej niż po śmierci mamy. Teraz już ledwie ją pamiętam. Wydaje mi się, że w moim dziecięcym umyśle ty zajęłaś jej miejsce. Ty zostałeś matką. Moją matką. A potem odeszłaś. Więc nic mi nie opowiadaj. Przeszłość już nie wróci. Nie cofniemy czasu. Czasu nie da się cofnąć. Ojciec umarł. Mama umarła. Cieszę się, że przeżyłaś

tę piękną miłość do Lea, ale i on zginął. A my nie jesteśmy już małymi dziewczynkami, które zasypiały, trzymając się za ręce. Nie powinnaś mnie była nigdy zostawić, Tosco. Dla nikogo.

Siedziałam w fotelu, kiedy już spała. Drzemałam niespokojnie, jakbym czuwała przy chorej. Kiedy obudziłam się przed świtem, nagle zauważyłam, że już jej nie ma. Pojechała. Napisała parę słów na wyklejce, którą wyrwała z mojej książki. Był tam jej adres i numer telefonu do pracowni. Prosiła, żeby dzwonić tylko w nadzwyczajnych wypadkach. I żeby napisać do niej, kiedy już będę miała stały adres albo jeśli będę potrzebowała pieniędzy. Dołączyła do tego liściku 2000 lirów - złożony na pół banknot brzoskwiniowej barwy.

Widywałam Mafaldę od czasu do czasu. Zdobyła dyplom księgowej. Rozstała się z Giorgiem i na jej prośbę kufer z wyprawą oddano jednej z jego siostr, która właśnie miała wychodzić za mąż. Mafalda zaczynała prowadzić sprawy finansowe najpierw jednego, potem kilku różnych małych przedsiębiorstw. Przeniosła się do większego mieszkania. Zakochiwała się i odkochiwała raz po raz dość gorączkowo, ale nikt na stałe nie zdobył jej serca. I ja również nie. A jednak pewnego grudniowego popołudnia, sześć lat po tamtym spotkaniu na przystanku autobusowym, wyszliśmy razem na miasto, i rozmawiając, jeśli dobrze pamiętam, o jej pracy, szliśmy dla rozgrzewki szybkim krokiem, ona zaś, jak to było dawniej w zwyczaju między nami, wsunęła swoją dłoń w moją, i pocałowała mnie w policzek, ułożywszy usta w ten nieuchwytny uśmiech z obrazu Belliniego.

Rozdział 2

Moje życie nie toczyło się tak burzliwie, jak życie Mafaldy. W niektóre dni byłam niemal zdecydowana wracać do pałacu. Wydawało mi się to takie proste. Wystarczyło wsiąść do pociągu jadącego w przeciwnym kierunku niż ten, który mnie tu przywiózł. Ale kiedy zaczynałam się nad tym zastanawiać, zauważałam, że w ciągu miesięcy mojego pobytu w Palermo pałac się ode mnie oddalał, odległość rosła i była teraz znacznie większa. Droga powrotna wydawała mi się zaminowana. Jeszcze nie teraz, odzywał się we mnie jakiś głos.

W słonecznym żarze upalnego lata moje wędrówki po mieście stały się rzadsze. Siadywałam godzinami w *caffès*, kryjąc się pod parasolami z napisem „Campari”, które jednak nie chroniły przed żarem. Paliłam kupowane na czarnym rynku papierosy, które wyjmowałam ze srebrnej papierośnicy, wyłowionej spośród skarbów Isotty. Moim ulubionym napojem była ciepława coca-cola pita przez słomkę. Jeśli w którejś z tych kawiarni ktoś spróbował wdrzeć się do mojego świata, zbytnią poufałością niepokojąc ducha, którym byłam, szybko kładłam należność pod szklanką albo pod talerzykiem i wychodziłam, by parę metrów dalej wsiąść w innym barze przy via Maqueda. Nie wiem dokładnie, od kiedy, ale nauczyłam się organizować swój czas w taki sposób, by do ostatniego baru przy via Maqueda, tego na rogu via del Bosco, docierać punktualnie o szóstej po południu.

Upozowane na tle białych zasłon w oknach, modnie ubrane kobiety w jedwabnych sukienkach zasiadały tam pod czarną markizą. W kapeluszach ozdobionych aksamitną różą pochylały się po dwie, po trzy nad filiżankami z herbatą lub nad szklaneczkami brandy Alexanders i wytwornymi ciasteczkami z zielonym albo różowym lukrem. Ja wołałam jednak siedzieć we wnętrzu, w bezpiecznym półmroku baru, pod hałaśliwym wentylatorem, który zwieszał się z sufitu. Najmniejszy stolik, stojący przy samej ścianie, był zawsze wolny. Z tego miejsca widziałam je, kiedy nadchodziły. Obce, nieznane kobiety. Niekiedy zbierały się nawet w dziesięć albo i więcej. Mrużyły oczy podrażnione dymem z papierosów, których nie wyjmowały z ust, a ich metaliczne głosy ostro wbijały się w ciszę. Przystawiały krzesła i stoły, łączyły je, by siedzieć razem i cieszyć się siostrzaną bliskością. Tak, wszystkie nosiły jedwabne sukienki. Krótsze od mojej i skrojone bliżej ciała. A ich białe sandały miały wyższe obcasy. Oczy uwodzicielsko podkreślone ciemnozieloną albo turkusową kreską, włosy zakręcone w piękne loki. Pewnego wieczoru przed snem spróbowałam zakręcić sobie włosy tak jak one. Tylko po to, żeby zobaczyć, jak wyglądałabym w tej fryzurze. Nawet się sobie podobałam, ale było oczywiste, że nie jest to fryzura odpowiednia dla ducha, którym byłam. Dla nich - jak najbardziej. Kimkolwiek były. Ale kim były? Fordanserkami? Praczkami, które właśnie skończyły robotę? Sprzedawczyniami, wędrującymi ze sklepu do domu? Były młode. Takie młode jak ja. Młodsze niż ja.

Tamtego lata prawie wszystkie popołudnia spędziłam przy małym stoliku obok ściany w ciemnym barze przy via Maqueda. Tak jak handlarze na targowisku, tak jak żony rybaków na nabrzeżu, dziewczęta o falujących włosach także nie zwracały na mnie uwagi. *La puttanina*, tak mnie w pałacu nazywały głosy szepczące za plecami. A teraz siedziałam w barze i ze spokojem przyglądałam się tym prawdziwym. prostytutkom. *Les demi-mondaine* z krwi i kości. Potrzebowałam tygodni, zanim poszlaki przemieniły się w prawdę. Słyszałam, jak wybuchają ochryplym śmiechem po jakimś zwierzeniu wypowiedzianym teatralnym szeptem. Zerkają w kieszonkowe lusterka, oglądają, jedna po drugiej, flakon perfum o zapachu bzu albo szminkę, wysypywały na stół zawartość torebek. Drobne monety, tabletki, chusteczki do nosa. Jakże zachłannie jadły! Jakby umierały z głodu. Widziałam, jakim spojrzeniem obrzucał je barman. Jakby były owcami przeznaczonymi na rzeź. Jego wzrok przeskakiwał z jednej na drugą. Którą pupę dziś sobie wybierze? To, co szczególnie rzucało mi się w oczy u kobiet z baru przy via Maqueda, to smutek ukryty pod warstwą szminki. Pod szykowną fryzurą. Ich widok wtrącał mnie w mój własny smutek jeszcze głębiej. Odkąd zrozumiałam, kim są, często się zastanawiałam, czy kiedy tak siedzę ukryta w cieniu, nie jest mi dana okazja do spojrzenia na samą siebie, na to, czym nie byłam, ale być mogłam. Jakby ich los mógł stać się moim, gdyby nie dobroć Lea. Czyżbym w końcu doszła do wniosku, że to Leo mnie uratował? Że być może nie znalazłabym w sobie dość siły, by uratować się sama? I że w najlepszym razie umarłabym od tej samej gorączki, na którą z opuszczenia i rozpacz zapadła moja matka? Czy to możliwe, żeby poluzował się wreszcie ten żelazny chwyt, w jakim trzymała mnie moja niewypowiedziana rozpacz? Moja nienawiść? Czyżby odkrycie, że nienawiść i rozpacz to dwie maski, pod którymi najczęściej kryje się lęk, zadomowiło się w mojej pamięci na dłużej?

Dzień po dniu siedziałam w półmroku baru przy via Maqueda, nieopodal stołu tych dziewcząt, przysłuchując się ich rozmowom. Co parę tygodni wyjmowałam z torebki zieloną książeczkę bankową, pełną stempli i wpisów z datami i sumami wpływów oraz rozchodów. Na początku każdego miesiąca, kiedy zjawiałam się w banku, żeby pokwitować kolejny przelew, przekonywałam się, że nie wydałam nawet drobnej części swoich dochodów z poprzedniego miesiąca. Byłam świadoma, że na moim rachunku bankowym gromadzi się nadwyżka, ale nigdy nie zauważyłam - ani kupując następny karton papierosów albo torebkę fistaszków, ani płacąc kawiarniany rachunek, ani wkładając dwa nowiutkie banknoty do koperty, którą wsuwałam pod drzwi biura pani d'Aiello w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca - nigdy dotąd nie zauważyłam, że jestem uprzywilejowana w porównaniu z innymi. A przecież oprócz konta w banku miałam jeszcze dokumenty z wyceną klejnotów, schowane razem z nimi w lekarskiej walizeczce. Nigdy nawet nie zsumowałam ich wartości. Przyglądałam się więc dziewczynie z baru, gdy liczyła drobne, układając monety w słupki przed jedną ze swoich koleżanek. Ta, dla której były przeznaczone, powtarzała:

- Nie, nie chcę! Przecież nie możesz zawsze wyciągać mnie z kłopotów.

W niektóre dni przychodził do baru pewien mężczyzna i siadał wśród dziewcząt. Mówił w dialekcie. Jego głęboki, spokojny głos docierał do mojego stolika przy ścianie. Otwierały torebki. Jedne wyjmowały z portmonetek zwitki banknotów, inne tylko bilon. Któraś z nich uderzył mocno, na odlew wierzchem dłoni w policzek. Ostrzeżenie, wobec którego inne skuliły się ze strachu. W obecności tego wymuskanego faceta wszystkie milkły. Łzy. Obietnice poprawy. Ja też złożyłam obietnicę poprawy. Byłam pełna pychy i obłudy, byłam zajęta głupstwami. Zauważyłam to po raz pierwszy, kiedy Leo powiedział mi o śmierci Filiberta. Obietnica, którą złożyłam wtedy w barze, dotyczyła mojego wyjścia z cienia.

Musiały to być pierwsze dni września, kiedy pojechałam na piazza Venezia do klasztoru Benedyktynek, by kupić sobie na obiad *cannoli* - specjalność zakonnicy. O zakonnicach wypiekających *cannoli* wiedziałam z rozmowy, zasłyszanej w kawiarni.

„Najlepsze *cannoli* w całym Palermo”. „Doskonałe”.

„Smażą je na poczekaniu, zwijają w rurki i jeszcze ciepłe nadziewają kremem ze świeżej ricotty, niezbyt mocno posłodzonej, z kandyzowaną skórką pomarańczową i płatkami gorzkiej czekolady”.

„I z rumem”.

Stanęłam razem z wieloma innymi w surowej klasztornej sieni. Byłam następną w kolejce do furty.

- *Tre per piacere* - powiedziałam.

Włożyłam bilon do obrotowego pojemnika pod przegrodą, zwanego kołem świętej Katarzyny. Chwilę później pojemnik znowu się obrócił. Wyjęłam z niego małe tekturowe pudełko i gdy ruszyłam w stronę wyjścia, omal nie wpadłam na jedną z dziewczyn z baru przy via Maqueda. Skinęłam jej głową, ale mnie nie poznała. Wysłałam na zewnątrz, na schody, i usiadłam na jednym ze środkowych stopni, w smudze cienia.

Zjadłam *cannoli*, jednego po drugim. I zdałam sobie sprawę z tego, że czekam na dziewczynę z baru. Wyszła, dźwigając wielkie pudło. Otrzepałam okruchy z sukienki, otarłam usta i wstałam.

- Spotykam cię czasem w barze przy via Maqueda - powiedziałam. - Chciałam się tylko przywitać. Nazywam się Tosca.

Wyciągnęłam do niej rękę, ale czy to z powodu pudła, które niosła, czy też dlatego, że nie bardzo ją zainteresowała obca, wysoka kobieta w niemodnej sukience, nie odwzajemniła tego gestu. Uśmiechnęła się tylko i zaczęła schodzić po schodach. Już chciałam pobiec za nią, i pewnie bym to uczyniła, gdyby się nie zatrzymała. Odwróciła się i zawołała do mnie:

- *Ci vediamo, allora. Più tardi. Mi chiamo Nuruzzu.* No to do zobaczenia w barze. Nazywam się Nuruzzu.

- Do zobaczenia, Nuruzzu. - Pomachałam do niej. Nie duch, zrobiłam to ja sama.

Po tym spotkaniu na klasztornych schodach wszystko się zmieniło. A właściwie dopiero zaczęło się stopniowo i powoli zmieniać. Z początku spośród dziewcząt z baru przy via Maqueda tylko Nuruzzu była gotowa się ze mną zaprzyjaźnić. Niektóre z pozostałych sądziły, że szukam sposobu, żeby wkręcić się do branży, albo że pójdę z klientem, który się pojawi, i odbiorę im zarobek.

- Nasz rewir jest już zatłoczony. Za dużo dziewczyn, a za mało klientów. Odejdź stąd.

Inne podejrzewały, że je szpieguję. Niewinnie wyglądająca, nieumalowana dziewczyna z konkurencyjnego rewiru. Pewnie z nabrzeża. Niektóre, wydymając usta, w których tkwił papieros, i wypuszczając nosem dym, ostrzegawczo przewracały oczami, dawały innym do zrozumienia, że należy mieć się przede mną na baczności. Broniąc mnie, Nuruzzu opowiedziała im pokrótce mój życiorys, czyli to, co sama jej o sobie powiedziałam. Byłam od niedawna w Palermo. Dotąd mieszkałam w górach. Ani nie byłam związana z branżą, ani nie zamierzałam się do niej wkręcić.

- Poza tym jest za wysoka i w ogóle nie ma biustu - powiedziała Nuruzzu, kiedy pewnego razu siedziałam przy ich stole i niektóre z nich wymieniły nieprzychylnie uwagi w odmianie dialektu, której nie rozumiałam. Wszystkie się roześmiały i ja śmiałam się razem z nimi, wspominając Lea, który tak bardzo kochał moje szczupłe, smukłe ciało i małe, twarde piersi.

Ale nieważne, jak wyglądałam i co im mówiłam, dziewczyny z baru pozostały nieufne. Musiały bronić siebie i swojej pracy. Oprócz Nuruzzu żadna nie zaryzykowała przyjaźni ze mną.

Spotykałyśmy się po kryjomu, jak przestępczynie, w miejscach, w których, zdaniem Nuruzzu, nie groziło nam natknięcie się na żadną z jej towarzyszek. Ani na tego mężczyznę, który przychodził do nich po pieniądze. Zazwyczaj rankiem, w małej, obskurnej *caffè* za starym targiem La Vucciria. Bez swego służbowego stroju - kusej sukienki i pantofli na wysokim obcasie - i bez makijażu wyglądała na piętnaście lat. Gdy podeszła do mnie za pierwszym razem, w ogóle jej nie poznałam, w białej bluzce i szerokich czarnych spodniach. Na drobnych stopach miała wyszywane koralikami płaskie klapki, a świeżo umyte włosy ściągnęła w koński ogon. Byłam zdumiona, kiedy pochyliła się nad stolikiem i pocałowała mnie w oba policzki.

- Nuruzzu!

- Tak, prawdziwa Nuruzzu.

Spotykałyśmy się tak przez kilka miesięcy. Dwa razy w tygodniu. Często tylko raz. Były takie tygodnie, w których nie pojawiała się wcale. Ale wtedy już nie bywałam w barze przy via Maqueda, gdzie zbierały się jej koleżanki. Wystarczały mi spotkania z Nuruzzu.

Lubiła rozmawiać. Kiedy siedziałyśmy razem, przypominało mi to dawne niekończące się rozmowy z Agatą, a także z Cosettiną w szkole w *borghetto*. Nuruzzu opowiedziała mi, że wynajmuje *monocale*, kawalerkę w *palazzo* obok dworca kolejowego. Mieszkała sama, miała dziewiętnaście lat. Marzyła, by porzucić swój *métier*, znaleźć posadę w sklepie albo nawet zostać służącą. Kiedyś pracowała jako pokojówka. Nosila czarną sukienkę i biały fartuszek ze skrzyżowanymi szelkami, była uczesana w koczek i spędzała dnie, polerując srebra i czyszcząc różne przedmioty, które nigdy nie są dość czyste, a wieczorem roznosiła kieliszki z marsalą wśród gości swojej pani. Powiedziała mi, że ma jeszcze trochę oszczędności z tamtych czasów. Dzieliła wtedy pokój z kobietą imieniem Assunta, o wpół do siódmej jadła kolację z pozostałą służbą, przy stole przykrytym lnianym obrusem, w pokoju z tapetą w brązowo-zielone paski. W czwartki miała wychodne. To w czwartek poznała Piera.

- Był bardzo zaborczy, jak wszyscy faceci z tej branży - powiedziała. - Przynajmniej na początku naszej znajomości. Oni wiedzą, jak podejść dziewczynę. Umieją powiedzieć jej właśnie to, co pragnie usłyszeć. Obiecał, że znajdzie mi lepszą pracę. Będę więcej zarabiać. Znacznie więcej. I będę mieć dużo wolnego czasu. Będziemy mogli spotykać się nie tylko w czwartki. Powiedział, że to bardzo szczególne zajęcie, tylko dla najpiękniejszych dziewcząt. Miałam szesnaście lat i byłam dziewicą. Rozpuścił mi włosy, rozsypał je na poduszce. Karcił mnie wiśniami. Mieszkanie było piękne, myślałam, że należy do niego.

- Twoi rodzice... - odezwałam się i to nie było pytanie. - Mój ojciec zginął na wojnie. Lub raczej wykorzystał czas wojennego chaosu, żeby się ulotnić. Wielu mężczyzn zrobiło tak samo. I zapewne niejedna kobieta. Moja matka nie czekała na wybuch wojny, uciekła wcześniej. Widziałam ją tylko raz, kiedy przyszła do ojca po pieniądze. Miałam dziewięć lat.

Nuruzzu opowiadała mi o obietnicach Piera, o tym, jak ostrożnie i stopniowo wprowadzał ją do nowego zawodu. Przyszedł z nią do baru przy via Maqueda, żeby ją przedstawić innym dziewczynom. To one zajęły się jej szkoleniem. Oprowadzały ją po ulicach. Nazywały *piccio*, bo była z nich wszystkich najdrobniejsza. Nuruzzu przekonywała je, że Piero to jej *fidanzato* - narzeczony. Że wkrótce się pobiorą, że on musi tylko załatwić przedtem kilka spraw. Nie obrażała się, kiedy się z tego śmiały. Nigdy więcej nie zobaczyła Piera. Dziewczyny z baru Maqueda powiedziały jej, że już nie pracuje w tym fachu. On także zmienił pracę na lepszą.

Powiedziała mi, że dwa razy próbowała uciec. Najpierw do Trapani, potem do Messyny. I dwa razy ją znaleźli. Pobitą wieźli z powrotem do Palermo na podłodze półciężarówki. Leżała na brzuchu, ręce i nogi miała skrupowane. Dodała, że naprawdę trudno powiedzieć, kto zachowuje się brutalniej - alfonsi czy

klienci. Jedni i drudzy są ulepieni z tej samej gliny. Zwierzęta w ludzkiej postaci, powiedziała. I powtórzyła to kilka razy.

- Dopóki jestem w stanie zarabiać dla nich pieniądze, będę w ich mocy, nie pozwolą mi odejść. Ale nie jestem złą dziewczyną, Tosco. Większość z nas nie jest zła. Myślę, że nie ma wśród nas ani jednej, która pewnego dnia usiadła, zastanowiła się i sama wybrała sobie ten zawód. Ale każda z nas wierzy, że zasłużyła sobie na taki los. Bo nawet jeśli początkowo tak nie było, to przez te lata zapracowały na to. Żadna z nas nie ma wszystkich zębów, zostały nam blizny od przypalania papierosami, byliśmy bite i duszone. Z naszych zarobków zostawiają nam tylko tyle, żebyśmy nie umarły z głodu. Tego dnia, kiedy spotkałaś mnie u benedyktynek, kupowałam ciastka za pieniądze, które ukryłam. To były moje urodziny. Urządziłam sobie przyjęcie urodzinowe. Wiesz, dlaczego codziennie siedzimy w barze przy via Maqueda? Owszem, potrzebujemy towarzystwa, ale oprócz tego jesteśmy głodne, a w tym barze możemy się najeść i alfonsi płacą za nas rachunki. Dla wielu z nas to jedyny posiłek w ciągu dnia.

W pewnym momencie Nuruzzu pochyliła się, żeby pocałować mnie w policzek na pożegnanie i odeszła, zostawiając mnie przy stoliku w *caffè* obok Vucciria. Nie od razu zdałam sobie z tego sprawę, że w uszach dźwięczy mi głos Lea. „Wielu właścicieli ziemskich, *latifondisti*, zostawia swoim wieśniakom tylko tyle, żeby przeżyli. Panowie balują, chłopci pracują. Chciałbym żeby to się wreszcie zmieniło. Przy najmniej w moim majątku”.

Ale co mam zrobić, Leo? Jak mam im pomóc? Jak ratować Nuruzzu? Czy mam ją zabrać do pokoju w pensjonacie d'Aiello, gdzie obie będziemy żyły życiem duchów, ona - bo będzie ukrywać się przed alfonsami, a ja z twojego powodu? Jest ich wiele... Wiele jest kobiet takich jak Nuruzzu. I takich jak ja.

Pewnego listopadowego poranka, kiedy deszcz bębnił o szyby *caffè* obok La Vucciria, a maleńki lokalik w niebieskawym świetle przesączonym przez ciężkie chmury wydawał się nieco mniej obskurny niż zwykle, przetałam zaparowaną szybę skrajem szala i wyjrzałam przez okno przy moim stoliku. Nuruzzu się spóźniała. Pokruszyłam herbatniki z orzeszkami piniowymi i wrzuciłam do gorącego mleka. Zjadłam to łyżką, jak zupę. Potem znowu przetałam końcem szala kółko na szybie. Zobaczyłam niewyraźnie jakąś postać w czerwonej chuście, która właśnie przebiegła przed oknem. Przecisnęła się między ludźmi stłoczonymi przy kontuarze i usadowiła się naprzeciwko mnie. Nosiła ciemne okulary. Przestraszyłam się tego, co mogły skrywać.

- Nie idź do pracy dziś wieczorem. Ani jutro. Spróbuję cię przekonać. Chciałabym ci pomóc, będę cię prosić, żebyś mi na to pozwoliła.

- Już mi pomogłaś, Tosco. Bardziej, niż ci się wydaje. Właściwie nie stało się nic straszego. Wczoraj wieczorem jeden z klientów zaprosił mnie na kolację. Poszłam z nim, było całkiem przyjemnie. Kiedy wychodziliśmy z *taverna*, czekało na nas dwóch facetów. Mojego kawalera pobili o wiele mocniej niż mnie.

- Gdybyś miała gdzie się podziać, to znaczy, gdybyś nie musiała się martwić o to, z czego będziesz żyła, uciekłabyś od swoich alfonsów?

- Myślę, że tak. Ale zawsze pamiętałabym, że oni tak łatwo nie zostawią mnie w spokoju.

Z udawaną wesołością zdjęła okulary i pochyliła się ku mnie.

- Czemu pytasz? - Zaśmiała się. - Zamierzasz zabrać mnie do domu, Tosco? Przedstawić bratu? Ta-
ki masz plan?

Sama myśl o wolności sprawia mi ból. Nie każ mi myśleć o wolności.

Z podbitych, napuchniętych oczu spłynęły dwie łzy.

- Zamierzam znaleźć takie miejsce, w którym będzie można żyć. Dla mnie. Dla ciebie. A może i dla
innych. Chcę kupić mieszkanie.

Znowu skryła twarz za okularami i roześmiała się, ale teraz śmiech brzmiał inaczej.

- Chcesz kupić mieszkanie? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Prawda jest inna. Chcę kupić *palazzo*.

Popatrzyła na moje buty. Kupiłam je na targu za 75 lirów. Spojrzała na zamszową kurtkę Lea i na
mój szal. Wyrażnie powątpiewała w moją wypłacalność.

- Nie jesteś przecież niczyją utrzymanką, prawda? Nigdy cię nie spytałam, z czego żyjesz. Zawsze
myślałam, że jeśli zechcesz, sama mi o tym powiesz.

- Jestem sama, Nuruzzu. Miałam męża, ale mój mąż nie żyje. Jestem wdową - wyjaśniłam.

- Rozumiem. Jesteś taka młoda. Zginął na wojnie? - spytała łagodnie.

- Tak, na jednej z wojen, jakie przez cały czas toczą się na świecie. Mam dość pieniędzy, starczy dla
nas obu.

- Mówisz to na serio? - spytała.

- Bardzo na serio.

- I bardzo nierozsądnie. Oni cię rozszarpią na sztuki i rzucają psom na pożarcie. Jestem ich własno-
ścią. Musiałabyś upaść na głowę, żeby się w to wplątać. Przed nimi się nie ukryjesz, dopadną cię tak samo
jak mnie.

- Raz już przeszłam przez coś podobnego.

- Co masz na myśli?

- To, że nie boję się twoich przyjaciół.

* * *

Tosca znowu umilkła. Jej wargi chwilami poruszały się nieznacznie, jakby chciała coś jeszcze do-
powiedzieć. Ale te słowa nie były przeznaczone dla mnie.

- Nuruzzu to nie jest takie częste imię, prawda? - Ja pierwsza przerwałam milczenie.

- Niezbyt częste.

- Jedna z kobiet, które tu mieszkają, nazywa się Nuruzzu. Słyszałam, że inne tak się do niej zwracały.

- Tak, to jest Nuruzzu. - Tosca spojrzała na mnie. - Ta Nuruzzu. Przyjaźnimy się od bardzo dawna. Bo trzeba pani wiedzieć, że przez siedem lat od tego spotkania w *caffè* Nuruzzu mieszkała ze mną. I od czasu do czasu, w różnych okresach, wiele dziewcząt z baru przy *via Maqueda*.

Z początku zajmowałyśmy jedno piętro zrujnowanego *palazzo* niedaleko Quattro Canti. Tam się urządziłyśmy, Nuruzzu i ja. Zaczęłyśmy prowadzić wspólny dom. Kupiłyśmy łóżka, materace, kanapy i stół do jadalni. Zapłaciłyśmy czterem mężczyznom za przyniesienie pieca gazowego od handlarza starzyzną z dzielnicy doków. Kupiłyśmy garnki i patelnie. Ręczniki, ścierki i koce. Nasz dom był zorganizowany jak pogotowie opiekuńcze. Nuruzzu miała swoje obowiązki, ja swoje. Przeprowadziłyśmy rozmowę wstępną z każdą kobietą, która chciała z nami zamieszkać. Wysyłałyśmy je na badania lekarskie. Przechowywałyśmy wyniki. Rozdawałyśmy im odzież, czystą, choć używaną. I pościel. Razem z odbitką regulaminu. Wolno było wziąć prysznic dwa razy dziennie. Wciągałyśmy te kobiety w codzienne obowiązki. Dla wielu z nich znajdowałyśmy pracę. Jeśli pracowały poza domem i nadal mieszkały u nas, musiały dorzucać się do kosztów utrzymania. Wizyty były dozwolone tylko w niedzielne popołudnia, i tylko w *salone* w czyjeś obecności. Niektóre kobiety wprowadzały się z dziećmi, z matkami. Brałam je w opiekę. Od najmłodszych do najstarszych. To było jak powrót do *borghetto*. Założyłyśmy przedszkole dla naszych dzieci, ale przyjmowałyśmy do niego także dzieci matek, które z nami nie mieszkały. Nie, nie było to żadne wielkie przedsięwzięcie, proszę tak nie myśleć.

Ludzie nazywali nas *i virgineddi*. Małe zakonnice. Nasz dom był znany w okolicy jako „Klasztor”. Ale ironia, którą podszyte było to określenie, szybko się ulotniła, zastąpił ją ton podziwu i szacunku. Szacunku dla naszego sposobu życia i dla naszych przedsięwzięć. W miarę jak rosły nasze szeregi odkupywałam pozostałe piętra *palazzo*. W końcu cały należał do nas. To, czego obawiała się Nuruzzu, nadeszło również. Przysyłano nam ostrzeżenia i pogróżki. Kilka razy zdarzyło się, że któraś z naszych kobiet omal nie zginęła, gdy usiłowano te pogróżki zrealizować. Ale było nas wiele i okazałyśmy niezłomność. Pomoc nadeszła z nieoczekiwanej strony. Od zbuntowanego odłamu organizacji mafijnych. Choć prawdopodobnie największą naszą podporą była nasza determinacja.

Jakąż przyjemność sprawiała nam nieznaną granic brawura. Ta brawura w ciągu lat zapewniła naszemu domowi sławę i poważanie w półświatku. Nie była to sława przytułku dla upadłych kobiet, ale miejsca, w którym zdarzają się cuda. Cudem było już samo nasze przetrwanie w świecie podlegającym mafijnym zasadom bezlitosnej zemsty. Jak się obroniłyśmy? I dlaczego byłyśmy zdane na siebie?

Spojrzenie jej wąskich, kocich, oczu zatrzymało się na horyzoncie.

- Białe plamy, jak te na freskach... - odpowiedziałam. Kiwnęła głową.

Nigdy, z nikim nie rozmawiałam o mojej sytuacji finansowej. Narzucałam drakońskie oszczędności, na targowisku szukałam najtańszych okazji i za każdym razem, kiedy musiałam sięgnąć do kieszeni, krzywiłam się, jakbym trzymała tam węża. Prawie wszystko, czego potrzebowałyśmy, kupowałam od handlarzy starzyzną - oprócz jedzenia. Wróciłam do skrajnej oszczędności, której nauczyłam się w dzieciństwie. Proszę mi wierzyć, o wiele więcej radości sprawiało nam wymyślanie smacznych dań z resztek i ochłapów,

niż gdybyśmy codziennie jadły na obiad pieczeń. Nie ośmieliłabym się drażnić świata takim brakiem umiaru, taką nonszalancją, jaka była w pałacu. Tak, przestałam w końcu marzyć o życiu w *borghetto*. Ale dziś wydaje mi się, że zawsze próbowałam odtworzyć *borghetto* tam, gdzie się znajdowałam. *Borghetto* takie, jakie ujrzałam po reformach Lea. Codzienne przydziały chleba były skrupulatnie odmierzane, i tym różniły się dni powszednie od świątecznych. Umiarkowanie we wszystkim. Wspólne sprzątanie i pranie, rozdawanie obuwia i odzieży. Pewność, że dla nikogo nie zabraknie posiłku. Tak działał nasz „Klasztor”.

- Tu jest podobnie - zauważyłam.

- Tak, tu jest podobnie, chociaż tu mamy wszystkiego znacznie więcej. I więcej przestrzeni. Na pewno więcej spokoju. Nie wiem dokładnie co takiego, jakie zdarzenie obudziło we mnie potrzebę powrotu w nasze góry. Mogłam spędzić resztę życia w Palermo. To było dobre życie. Tak, z czasem stało się całkiem dobre. Myślę, że spowodowały to myśli, jak wiele można by zrobić na tamtej ziemi, mając do dyspozycji tamte pokoje. Część mojego umysłu samowolnie przeniosła się w góry, żeby pracować tam na rzecz posiadłości. Odnawiała pomieszczenia, sadiła warzywa, budowała. I zajmowała się kuchnią.

Mieszkanki wspólnego domu w Palermo nie wiedziały, po co wyjeżdżam. Oddałam jego sprawy w pewne, sprawdzone ręce. Bo trzeba pani wiedzieć, że Mafalda przyłączyła się do nas już rok wcześniej. Zamieszkała w Klasztorze razem z Nuruzzu i ze mną. Odwiedzała nas przez lata co jakiś czas, przyglądała się naszemu życiu, i w pewnej chwili zaczęła bywać na obiadach. Kiedy wprowadzałam ją w swoje plany powrotu w góry, uznałam, że powinnam powiedzieć jej także o pałacu, o gruntach i o całej reszcie. Wyznałam, że szukam kogoś, komu mogłabym powierzyć sprawy naszego domu w Palermo.

- Ja się tym zajmę - powiedziała po prostu. I zajęła się.

Wyzaczyłam fundusz na dom, tak jak Leo, który utworzył specjalny fundusz dla swoich wieśniaków, kiedy rozparcelował ziemię. Pomoc, jakiej potrzebowałam, była pod ręką. Zaprosiłam wszystkie *virginetti*, które by chciały wyruszyć razem ze mną w góry. Pewnego wieczoru przy kolacji ogłosiłam, że wyjeżdżam nazajutrz wcześniej rano. Nuruzzu bez słowa wstała od stołu, spakowała swoje rzeczy, zapięła sweter i włożyła buty, które uważała za odpowiednie na górskie drogi. Zawiązała chustkę na głowie, i tak przygotowana do wyjazdu przeczekała na kanapie aż do świtu. Tylko ona ze mną pojechała.

- Przyjechała z panią tutaj?

- Tak, tutaj. Przyjechałyśmy do pałacyku myśliwskiego, Nuruzzu i ja. Mafalda została w Palermo jeszcze przez trzy lata. Ale kiedy zjawiłyśmy się razem z Nuruzzu, Lullo nadal tu mieszkał. Lullo, ochmistrz i Valentino, jego śliczny rudowłosy synek, który tymczasem dorósł i właśnie się ożenił. Mieszkali we trójkę i razem pracowali w pałacu i na polu. Choć niestrudzenie robili wszystko co mogli, pałac i gospodarstwo były w ruinie, bo czas zrobił swoje.

CZEŚĆ IV

Villa Donnafugata 1963

Dotarliśmy na miejsce krętymi górskimi drogami, Nuruzzu, nasz szofer, który był właścicielem obitej niebieskiej ciężarówki, i ja. Siedziałam na miejscu dla pasażera, obok kierowcy.

Nuruzzu usadowiła się na pace, pośród naszych nielicznych bagaży. Była to jej pierwsza podróż podobnym pojazdem, odkąd wieziono ją z powrotem do Palermo po jej nieudanych ucieczkach. Na kolana trzymała pudło zawierające trzydzieści sztuk *cannoli* od benedyktynek. Nuruzzu śpiewała i piszczła, gdy poczuła górskie powietrze, którego nigdy wcześniej nie знаła i nawet nie przypuszczała, że pozna.

Nie pamiętam, czy w ogóle miałam jakieś wyobrażenia na temat tego, co zastaniemy w pałacu. Wiedziałam tylko, że to tam było moje miejsce.

Kiedy kierowca zakręcał ostro, z przechylem, na kamienistej drodze, wyciągnęłam z kieszeni klucz, który przez osiem lat leżał pośród innych kluczy w podłużnej metalowej kasetce. Przez uchwyt przewleczona była ta sama co kiedyś żółta tasiemka, po której go rozpoznałam. Talizman. Drzwi zostaną otwarte.

W ogrodach kwitły polne kwiaty. Rozrastały się krzaki róż, sosny pięły się w górę, drżące jak struny w powiewach lekkiego, gorącego wiatru. Pierwszego dnia po naszym przybyciu ogrody wydawały się nietknięte ludzką ręką. Usiadłam w rozwidleniu pnia magnolii. Byłam tam jeszcze, kiedy Lullo, zaalarmowany okrzykami i śpiewem Nuruzzu, przybiegł z oddalonych pól, towarzyszyły mu dwie suki po psach myśliwskich Lea. Zupełnie jakby się nas spodziewał, zawołał bez zdziwienia:

- *Ben tornata a villa Donnafugata, signorina!*

Kiwnął głową w stronę Nuruzzu i kierowcy i zaczął wnosić bagaże do pałacu.

Spojrzałam na Toscę - czegoś szukała wzrokiem, jakby przeczesywała dno swej pamięci w poszukiwaniu zatopionych skarbów. Patrzyła na ogrody. Czyżby ujrziała samą siebie w rozwidleniu pnia magnolii? Ja mogłam ją sobie tam wyobrazić bez trudu.

- Wzorem Lulla - ciągnęła dalej - natychmiast zaczęliśmy używać słowa *villa* w odniesieniu do pałacu. Spodobała nam się nazwa *villa Donnafugata*. Trafiająca w sedno, aluzyjna, ironiczna. Tylko my dwie mogłyśmy wiedzieć, jaka trafna to była nazwa. Tak, tylko Nuruzzu i ja to wiedziałyśmy.

Choć wszystkie pokoje zarosły kurzem, zdaje się, że tego pierwszego dnia nie zrobiliśmy już nic więcej poza wzięciem kąpieli, zjedzeniem czegoś i pójściem do łóżek. Pamiętam, że Lullo rozpałił ogień, gdy o zmierzchu Valentino wrócił z żoną z pól. Nawiasem mówiąc, to właśnie ona zajrzała pani w oczy, kiedy zakradła się pani do kuchni zaraz po przyjeździe. Nazywa się Annamaria. Połączyła nas owego dnia niewypowiedziana potrzeba, by choć na chwilę zebrać się w jednym pomieszczeniu, rozłożyliśmy więc wokół kominka poduszki z kanapy i resztki zbutwiałej pościeli. I raczyliśmy się *cannoli*. Chyba nie jadłyśmy nic ani przedtem, ani potem. Wypiłyśmy herbatę. Rzuciłyśmy okruchy psom. Prawie się nie odzywa-

łyśmy, ale śmiałyśmy się przez cały czas. Tego wieczoru, kiedy już spałyśmy, Lullo rozniósł nowinę po okolicy: *La Tosca è tornata!*

Powinam była pani powiedzieć, że podczas parcelacji gruntów Leo przyznał niektórym wieśniakom z *borghetto* grunty graniczące z polami, które należały do *villa*. Ci nowi właściciele ziemi - tak samo jak tamci, którzy dostali grunty leżące bliżej tamtego pałacu - przerobili budynki gospodarcze na mieszkania albo od podstaw zbudowali domy z kamienia. Każda rodzina miała teraz własny dom. Każda uprawiała własną ziemię. Wieśniacy pracowali dodatkowo, w ten czy w inny sposób, na polach należących do *villa*. Pola, które zapisał mi Leo, były niegdyś tymi najmniej urodzajnymi. Wieśniacy mogli uczestniczyć w podziale plonów z pól należących do *villa*, albo nawet w podziale dochodów ze sprzedaży tych plonów, ale woleli przez lata odkładać każdy grosz na specjalny rachunek, nad którym osobistą pieczę sprawował Lullo. Rachunek został założony na moje nazwisko. Zebrała się na nim suma, która może nie powalała na ziemię, ale gdy się ją dodało do moich bieżących dochodów, była całkiem zadowalająca. Nuruzzu i ja, z pomocą wieśniaków, zaczęłyśmy doprowadzać pałac do porządku. A kiedy poradziłyśmy sobie z najpilniejszymi pracami wewnątrz i na zewnątrz budynku, wzięłyśmy się do uprawy pól. Kupiłyśmy narzędzia i maszyny, zajęłyśmy się wytyczaniem dróg, melioracją, zakładaniem sadów. Brałyśmy pod uprawę coraz więcej pól leżących dotąd odłogiem. Zrobiłyśmy od nowa to samo, co kiedyś zrobił Leo. Pamięta pani, jak po jego śmierci zapragnęłam stać się nim? W oczach wieśniaków on i ja byliśmy po prostu jedną osobą.

Lullo nigdy nie wątpił w mój powrót. Tak samo zresztą, jak pozostali. Żeby mnie powitać, przychodzili po dwoje, po troje. Niektórzy zjawiali się w pojedynkę. Nie prowadziliśmy długich rozmów, nie było o czym. Tak jakbyśmy rozstali się zaledwie wczoraj. Przynosili bukiety polnych kwiatów, związane konopnym sznurkiem. Pomarańcze na gałązkach, z listkami. Dzbany wina, krążki sera. Pieczone jagnię w zeliwnej brytfannie zawiniętej w białe płótno. Pewnego dnia jedna z kobiet z sąsiedztwa zapakowała do balii wszystko, czego potrzeba na zupeł, i niosąc balię na głowie, przemierzyła całą drogę z wioski do *villa*. Można byłoby ugotować z tego posiłek dla dwudziestu osób, więc zaczęliśmy się śmiać na widok tej obfitości, po czym zaprosiliśmy ją razem z rodziną na kolację. I myślę, że właśnie w wyniku tego zdarzenia znowu zawiązała się między nami wspólnota. Tym razem wolna od celebry święta albo żałoby. Siedzieliśmy razem przy stole i poczułam, że jestem w domu. Przypomniałam sobie, jak w swoim czasie, po pierwszej przebudowie *borghetto*, wieśniaczki zaczęły ustawiać doniczki z kwiatami na zewnętrznych schodkach. Te doniczki oznaczały, że rodziny wreszcie są na swoim. Uczyniłam to samo. Zatoczyłam koło i spodobało mi się to.

Powiedziałam im to samo, co dziewczynom z baru Maqueda w Palermo: że jeśli kiedykolwiek, ktokolwiek spośród nich, w zdrowiu albo w chorobie zapragnie zamieszkać w *villa* z Nuruzzu i ze mną, z Lullem, Valentinem i Annamarią, drzwi zawsze będą stały otworem dla nich i dla ich rodzin. Podałam do wiadomości szczegóły, które wiązałyby się z taką decyzją. Tak jak w Palermo, we wspólnym domu miały obowiązywać pewne reguły, wymagany był wkład pracy. Nie mogło być inaczej.

Nikt nie przybiegł jednak do nas co tchu przez wzgórze, taszcząc siennik. Ludzie byli zbici z tropu. Onieśmieleni, jak sądzę. I pozostawali pod niesłabnącym wpływem feudalnych zasad współżycia. Nigdy nie zdecydowaliby się zamieszkać pod jednym dachem ze swoim księciem, więc nie mogli zamieszkać i pod moim dachem. Właśnie dlatego, że w ich oczach reprezentowałam księcia. Ale pewne znaczenie przypisałabym również nowym przyzwyczajeniom, jakich nabrali przez ten krótki czas, odkąd zostali niezależnymi rolnikami. Zamieszkanie pod moim dachem byłoby dla nich krokiem wstecz. W stronę dawnego *borghetto*. Woleli zatem mieszkać osobno? A może jednak trochę tęsknili za dawnym życiem plemiennym? Lecz jeśli nawet tak było, to ich dzieci i wnuki nie znały już tej tęsknoty. Jeśli już ktoś się do nas sprowadzał, była to decyzja przemyślana pod każdym względem. Ale przez te trzydzieści dwa lata, odkąd wróciłam do domu, bagaż feudalnych zasad całkowicie odrzucono, onieśmielenie zniknęło. Okazało się, że tęsknota za życiem plemiennym znowu wzięła górę. I życie plemienne rozkwita. *Almeno, finora*. Przy najmniej do tej pory...

Tęsknota za życiem plemiennym. Spodobało mi się to określenie. Jeśli chodzi o mnie - już zaczynałam tęsknić za nią, za jej obecnością. Za tymi godzinami, które spędziłyśmy pod drzewem magnolii. To tak jak przy lekturze *Anny Kareniny*, kiedy odwracamy ostatnią kartę. Jak wtedy, kiedy po trzecim akcie *Madame Butterfly* spada kurtyna, zasłaniając pogrążonego w rozpacz Pinkertona. Coś w nas wtedy umiera.

Odezwała się znowu.

- Jak powiedziałam, przynajmniej do tej pory. To właśnie była historia, którą chciałam pani opowiedzieć, Chou. Kto inny będzie musiał dopisać do niej zakończenie. Moja historia go nie ma, brakuje w niej też paru istotnych fragmentów, lecz mimo to wydawało mi się, że powinna ją pani poznać. Cieszę się, że mogłam ją pani opowiedzieć. Mam nadzieję, że moje słowa, których było zapewne zbyt wiele, wynagrodziły pani bezlitosne milczenie, jakim została pani powitana przez wieśniaków parę tygodni temu. Jestem zdolna zarówno do uprzejmości, jak do arogancji, więc mogłabym równie dobrze zachować się tak jak oni. Sama do końca nie wiem, dlaczego postąpiłam inaczej. Zmęczyłam panią przez ostatnie dni? Czy może przyzwyczała się pani do roli słuchaczki...

- Nie, wcale nie czuję się zmęczona. Tylko tyle, że zawsze coś w nas umiera, kiedy dobiega końca coś dobrego. Coś pięknego. Kiedy kończy się coś pięknego, boli bardziej, niż kiedy kończy się coś bolesnego.

- Ale w tym właśnie jest sedno sprawy, nieprawdaż? Każdy z nas potrafi to odróżnić. Co jest piękne, a co bolesne. Ja sądzę, że oba są prawie tym samym. Prawda jest taka, że oba sprawiają, iż coś w nas umiera. I właśnie tak wypełnia się czas, który został nam dany.

Milczałam. Ona także umilkła.

- Znajdzie pani w swoim pokoju sukienkę, którą przerobiła dla pani Agata - powiedziała po długiej chwili. - Dziś wieczorem będziemy mieli gości na kolacji. Starych przyjaciół, którzy urodzili się w tych górach, ale teraz mieszkają w Palermo. I jedną albo dwie osoby z sąsiedztwa.

- Czy Fernando powiedział pani, że wyjeżdżamy jutro rano? Mamy zamiar jechać do Noto.

Zostawiła moje pytanie bez odpowiedzi.

- *Aperitivi* o dziewiątej wieczorem w *salone francese*. Zdaje mi się, że tego salonu pani jeszcze nie widziała. O tej godzinie jest w nim wyjątkowe światło. Wiem, że pani kocha piękne światło. Teraz jest już ósma. Obie powinnyśmy pójść się przebrać, nieprawdaż?

Wstałyśmy, pozbierałyśmy ze stołu dzbanek i szklanki, postawiłyśmy na wózku, na którym stało już kilka innych. Ktoś miał go pewnie odprowadzić do kuchni. Odeszłam pośpiesznie.

Odmłodzona srebrno-brązowa suknia leżała na naszym łóżku. Zebrana w talii, dół rozłożony szeroko, jak w witrynie modnego sklepu. Nie podchodząc do lustra, przyłożyłam ją do siebie. Czy to jej własna suknia? A może Simony? Albo którejś z księżniczek? Wyobrażając sobie wieczory, w których uczestniczyła ta sukienka, gdy była nowa, gdy marzenia kobiet, które mogły ją nosić, jeszcze nie wyblakły, trzymałam ją tak przez dłuższą chwilę, aż ujrzałam Toscę, boso, w organdykowej nocnej koszuli, jak pędzi po chłodnych, kamiennych schodach pałacu do swojego księcia, i Simonę, we fryzurze przyciętej na pazia, w szarej sukni wyszywanej lśniąco srebrnymi cekinami, a także Charlotte i Yolande, w białych pończochach haftowanych w motylki, potem zaś dziewczynę o brzoskwiniowej cerze, wirującą w świetle księżycy. Ujrzałam wieśniaczki w bawełnianych bluzkach, wspinające się po kamieniach z dzbankami wina na głowach i dziećmi w chustach, dziewczyny z baru przy *via Maqueda* w falujących fryzurach, przy zestawionych razem stolikach, w półmroku, pod hałaśliwym wentylatorem, i Nuruzzu na sofie, w chustce na głowie, w swetrze zapiętym na wszystkie guziki. Wdowy, piszczące przy myciu włosów w sadzawce z fontanną, Isottę w jedwabiach, popijającą koniak i negocjującą warunki ze Śmiercią. Na koniec ujrzałam jeszcze jedną postać w tym widowisku. Bardzo małą. Widziałam właściwie tylko jej oczy, wielkie, ciemne i smutne. Resztę zasłaniały gęste, rozpuszczone włosy, ale poznałam - to byłam ja. I byłam zarazem nimi wszystkimi. Bo wszystkie jesteście tym samym.

Nie od razu zauważyłam kartkę z wiadomością, którą na nocnym stoliku zostawił mi Fernando. Napisał, że już się przebrał i tymczasem pojechał z Valentinem do Enny w jakiejś pilnej sprawie. Być może trochę się spóźni na przyjęcie, więc mam iść sama, nie czekając na jego powrót. Spotkamy się w *salone francese*.

Rozebrałam się, nalałam do wanny trochę różnych olejków zapachowych i odkręciłam kurki na cały regulator, spodziewając się, że woda z nich będzie jak zwykle ledwie ciekła, ale tego wieczoru lała się mocnym, gorącym strumieniem prosto w te olejki cytrynowe, pomarańczowe i lawendowe. Mieszała się z nimi, tworząc opalizującą pianę. Kąpiąc się, myślałam o tym, jak bardzo żałuję, że nie dane mi było poznać księcia.

Było już po dziewiątej, gdy przebrałam się w srebrno-brązową suknię. Leżała jak uszyta na miarę. I tak też się w niej czułam. Długie rękawy zakończone mankietami Agata odcięła w całości, usunęła też sztywny kołnierzyk. Staromodnie przyzwoita suknia zyskała w ten sposób głęboki dekolt i niezbyt szerokie ramiączka. Dół skrócono, a odcięty pas tkaniny zamienił się w szeroką szarfę naszytą w talii, przez co góra

upodobniła się do gorsetu. Zapięłam jedwabne paski u moich pantofelków. Jeszcze tylko czarna kredka do powiek i szminka do ust. Włosy były wciąż wilgotne po kąpieli, ale zabrakło mi czasu, żeby je suszyć. Zwinęłam je w luźny węzeł i pozwoliłam mu swobodnie opaść. Nie miałam ze sobą wieczorowej torebki ani pereł. Obcięłam więc krótko dwa kwiaty kremowej róży, okręciłam kolczaste końce cienką tiulową chusteczką i przypięłam ten bukiet u dekoltu. Myśląc o Tosce, o Flaubercie i o płatku róży między wargami Rozanety, zesłam po schodach, żeby poszukać *salone francese*.

Zatrzymałam się przed wysokimi, złożonymi, lecz dość zniszczonymi drzwiami, których jedno skrzydło było uchylone. Zachodzące słońce rzucało ostatnie różowawe promienie na ściany i powlekało odcieniem mosiądzu postacie mężczyzn i kobiet siedzących na niewielkich sofach i szezlongach, obitych spłowiałym i wytartym brokatem, niegdyś błękitnym, który od niepamiętnych czasów nie widział tapicera. Kobiety i mężczyźni rozmawiali cichymi, sennymi głosami, trzymając modne dawniej szerokie kieliszki do szampana. Różowe światło zgasło, kiedy weszłam do środka. Kamienną posadzkę i tapety z chabrowoniebieskiego jedwabiu na ścianach oświetlały teraz tylko drżące płomyki świec ustawionych na stołach, stolikach i półce nad kominkiem. Don Cosimo, który zauważył mnie w drzwiach, zbliżył się z otwartymi ramionami.

- Pani Chou. *Buona sera*.

Prowadzona pod rękę i przedstawiana wszystkim po kolei, pożałowałam naraz, że nie zostałam w swoim pokoju, by dalej śnić na jawie w opalizującej pianie kąpieli. Tutaj, w *salone francese*, wyglądałam jak staromodna dama, która zabłądziła przypadkiem w samo serce królestwa Armaniego. Wszyscy byli tu spowici w czerń. Ale nie w czerń żalobną, tylko w tę elegancką. Wąsko skrojone nogawki spodni opadały miękko, połyskując jedwabną nitką, na czarne buty z krokodylowej skóry. Jeszcze więcej jedwabnej nitki miały w sobie czarne T-shirty albo koszule z rozpiętym kołnierzykiem i dość długie marynarki o szerokich ramionach. Razem z don Cosimem - który był ubrany tak samo jak pozostali - było czterech mężczyzn. Dwie kobiety nosiły doskonale skrojone, wcięte w talii krótkie czarne żakiety podkreślające szczupłą figurę. Wąskie spódnice do kolan, szczupłe nogi, gołe, opalone na słońcu, w czółenkach z czarnej lakierowanej skóry. Tosca włożyła jedną ze swoich czarnych sukien, szyfonową tunikę, która u góry sięgała aż po łańcuszek ze szmaragdem, lecz odsłaniała brązową jak u Saracenów skórę pleców i ramion. Byłam jedyną postacią niepasującą do tego żywego fresku, dlatego miałam ochotę odłączyć się i zbiec. Ale zamiast tego wzięłam z tacy, którą mi podsunęto, taki sam szeroki kieliszek musującego wina i razem z innymi spełniłam toast. Był to toast za moją pomyślność. Nie zapamiętałam żadnego z nazwisk gości i zwątpiłam, czy kiedykolwiek zobaczę znowu swojego weneccjanina. Zastanawiałam się, kim są ci ludzie. I usiłowałam odgadnąć, dlaczego Tosca nie pożyczyła mi po prostu jakiejś czarnej sukienki.

Jeden z mężczyzn, chyba najstarszy z obecnych, zauważywszy moje zmieszanie, pochwalił suknię.

- Pamiętasz, Tosco, kiedyś nosiłaś suknię w tym samym cudownym kolorze - powiedział, posyłając mi uśmiech.

- Tak, chyba tak - odparła i zwróciła się do mnie. - Jak już wspomniałam, znamy się tu wszyscy od wieków. To, czego sama nie pamiętam, pamiętają inni.

Zapomniałam więc o udreće niemodnej damy i popatrzyłam na don Cosima. Uprzytomniłam sobie, jak bardzo go polubiłam. Poczułam też sympatię dla tego najstarszego mężczyzny w marynarce od Armaniego, którego sposób bycia i maniery wydawały mi się znacznie bardziej naturalne niż u pozostałych. Ale kiedy nas zaproszono do stołu, to nie on, lecz ten drugi, także w marynarce od Armaniego, podał mi ramię i skinął głową, mówiąc:

- *Con piacere, signora.*

Na imię miał Icilio, tak mi się przedstawił. Siedziałam przy stole między nim i don Cosimem, który był zatopiony w dyskusji z jednym z czarnych żakietów. Naprzeciwko siedziała Carlotta, a obok niej stało puste krzesło przeznaczone dla Fernanda. Gdzie się podziewasz? Wracaj czym prędzej! Tosca zajęła miejsce naprzeciwko Icilia, i przez chwilę miałam nadzieję, że to raczej do niej niż do mnie będzie kierował nieco nosowo brzmiący potok swojej wymowy, który popłynął wartko już w holu. Tymczasem jednak zajęłam się kolacją.

Sarde a beccafico, świeże sardynki upieczone z oliwą, tartą bułką, czosnkiem, rodzynkami i orzeszkami piniowymi podano na glinianych talerzach. Na tacach leżały *pannelle*, placuszki z ciecierzycy. Pojawiły się na srebrnym półmisku skwierczące, prosto z pieca czarne oliwki z czosnkiem i cytryną. Podano też *maccu*, przetarty świeży bób zapiekany w oliwie z dzikimi fenkułami do smarowania grzanek. *Fangottu*, w ogromnych misach z białej porcelany - z sosem ze świeżych pomidorów, oliwy i kawałków sera *pecorino*, jeszcze nie całkiem dojrzałego. Była to sobota, więc piekarz Furio osobiście przyniósł do stołu i podzielił dwukilowe pszenne obwarzanki z sezamem, przezornie dla większej łatwości dzielenia ponacinane przed upieczeniem. W piecu upodobniały się do wielkiej złotej korony. Potem było jagnię pieczone z grzybami i górskimi ziołami. Szaszłyki z kielbasy i ziemniaków zawijanych w plastry boczku, upieczone nad ogniem z gałązek winorośli, ułożone na drewnianych deskach, na których obnoszono je wokół stołu. Nie było tylko mojego weneccjanina. Spytałam Toscę, czy jej to nie zaniepokoiło, że Fernando i Valentino jeszcze nie wrócili.

- Nie, ani trochę - powiedziała. - Bo widzi pani, kiedy Valentino jedzie do miasta, załatwia sprawy dla wielu osób, które nie mają czasu ani możliwości, żeby tam pojechać. Więc zawsze musi to trochę potrwać.

- Ale dochodzi jedenasta! Tam już od dawna wszystko jest pozamykane!

- Odbiera towary bezpośrednio od dostawców - odparła. - Zatrzymuje się w pięciu, sześciu miejscach i pakuje do samochodu to, co było zamówione. Kawę. Grappę. Tu i ówdzie wymienia ploteczki. Czasem partyjka *briscola*.

- Pani tęskni za mężem. To wzruszające. - Icilio położył swoją wielką, opaloną dłoń na mojej, żeby mi dodać otuchy.

- Nie tyle za nim tęsknię, ile chciałabym, żeby już wrócił.

- A czy to nie to samo?

- Jutro wyjeżdżamy. Tylko dlatego się niepokoję.

Icilio pochylił się ku mnie, przyglądając się, jak niewprawnie zdejmuję z patyczka ziemniaki i kawałki kielbasy. Odłożyłam nóż i widelec i odwróciłam się do niego. Na to właśnie czekał. Nieco ciszej, ale wciąż w tym samym pompatycznym tonie oznajmił mi, że w życiu powinna panować *un' armonia di amore, dovere è tradimento*. Równowaga między miłością, obowiązkiem i zdradą. Dodał, że ważne są wszystkie trzy. Żadne z nich nie przetrwa samo. Ani dwa bez trzeciego.

W tym miejscu zrobił pauzę, podniósł kieliszek i przełknął łyk wina. Wciąż jeszcze na niego patrzyłam, ale myślałam o tym, że ledwie sobie poradziłam z kompleksem niemodnej damy, a tu trafiły mi się te nieszczęsne szaszłyki jak przyspawane do patyczków oraz gość, który ma ochotę perorować o zdradzie, harmonii i prawdziwej miłości.

- Chce pan przez to powiedzieć, że mój mąż spóźnił się na przyjęcie, bo właśnie mnie zdradza?

- Jeśli nie zdradził pani dziś wieczorem, zdradzi panią jutro rano, o ile oczywiście nie uczynił tego już wczoraj. Miłość bez obowiązku i zdrady nie jest miłością.

- Rozumiem. Te trzy rzeczy budują harmonię.

- Właśnie. Cieszę się, że pani to zrozumiała.

Znowu pociągnął łyk wina. Podniósł swój szaszłyk i zgrabnie ściągnął zębami kawałek kielbasy, a potem kartofel. Po czym otarł usta serwetką.

- Oczywiście ta prawda dotyczy także pani.

Roześmiałam się może nieco zbyt szczerze, bo jeden z czarnych żakietów odwrócił tlenioną na blond głowę w moją stronę, skonsternowany. Icilio chciał mnie przekonać, że moja miłość do Fernanda będzie pozbawiona harmonii, jeśli go nie zdradzę. Zdrada jest moim obowiązkiem, jeśli naprawdę go kocham. Tak, właśnie to próbował mi wytłumaczyć. I jestem przekonana, że nigdy w życiu nikt nie uwodził mnie w tak dowcipny sposób. Powiedziałam mu o tym. Podziękował i napenił mój kieliszek. Ściągnął kielbasę i kartofla z następnego patyczka. I powiedział mi, że róże przy moim dekolcie wyglądają niezwykle pociągająco.

- Wie pani, Sycylijczycy prowadzą podwójne życie. Na widoku i w ukryciu. Mówi się - pod różami. Wymowne określenie. Prawda ukryta jest pod pozorami, pod gestami. Podam pani jeszcze jedno, bardziej subtelne znaczenie tego określenia. Święta Rozalia jest naszą patronką. Znajdujemy się pod ochroną świętej Rozalii. Powierzamy się świętej pustelniczce, a jeśli nie będzie wystarczająco sprytna, by wyciągnąć nas z kłopotów, w odwodzie mamy jeszcze Demeter, boginię plonów. Słyszała pani o Demeter?

- Tak.

- Dobrze. Więc rozumie pani, że Sycylijczycy, zwłaszcza mężczyźni, wierzą w moc pięknych kobiet.

- Chyba rozumiem.

- Pindar nazwał nas ludźmi zakochanymi w sztuce wojennej. Pochlebia mi jego opinia, ale, niestety, nie jest prawdziwa. Pindar się pomylił, *signora*. Albo, inaczej mówiąc, miał słuszność tylko po części. Jesteśmy dziećmi naszych matek, domorosłymi złotoustymi mówcami i Machiavellami. Wszystkiego, co umiemy, nauczyliśmy się od kobiet.

- Kult bogini...

- To za mało powiedziane, *signora*. Za mało. Sycylijczycy wierzą, że sami są bogami. My, pasterze z tej wyspy, wszyscy uważamy się za bogów. Pochodzimy bezpośrednio od Zeusa, Hery, Posejdona i samego Hadesa - nie była to szczególnie zgodna rodzina, każde z nich miało arcytrudny charakter. Naszym dziedzictwem jest mądrość życiowa oraz zachłanność. I poczucie bezsilności. Bogowie mieszkali na naszej ziemi. Wzniesli świątynie, w których czcili jeden drugiego i samych siebie, mścili się, siejąc spustoszenie, mordowali, kochali, świętowali i oszukiwali się, uprowadzali cudze żony, wykradali sobie dzieci. I otaczali się pięknem. Spali na łóżach usłanych polnymi kwiatami i pili wino z alabastrowych pucharów. Oprócz tych dwóch rzeczy - posłania z polnych kwiatów oraz alabastrowych pucharów do wina - my wszyscy, ich potomkowie, naśladujemy ich zwyczaje, żyjąc tak, jak oni. Zapewne zdążyła już pani zauważyć, że tutaj przeszłość jest wciąż obecna. Nie znika ani na chwilę. Dlatego nie pragniemy zmian i nie jesteśmy zainteresowani tym, żeby zmieniać się sami. Jesteśmy doskonali. W ten sam niedoskonały sposób, co bogowie - zakończył, gdy wniesiono galaretkę z arbuza i pietrową paterę pełną brzoskwiniowych ciasteczek.

Mój weneccjanin powinien był już dawno wrócić. Zajęta oliwkami prosto z pieca, szaszłykami, ubraniami od Armaniego, dyskretnym przyglądaniem się Furiowi, na co nikt oprócz Icilia nie zwrócił uwagi, skłonnością Sycylijczyków do podwójnego życia, ich mądrością i zachłannością, świętą Rozalią, oszukaństwem i alabastrowymi pucharami, nie miałam czasu pomyśleć o Fernandzie. Po deserze wszyscy wyszliśmy do ogrodu.

Tosca szepnęła do mnie, że Fernando jest już na górze, w naszym pokoju. Powiedziała, że zostawił dla mnie wiadomość w kuchni - prosił, żeby mi powtórzono, że jest zmęczony. Poszedł odpocząć. Czeka na mnie. Ale nie muszę się śpieszyć. Przeprosiłam i pobiegłam do niego od razu.

Fernando leżał na łóżku w ubraniu i spał. *Canarino*, filiżanka wody ze skórką cytrynową, stała na nocnym stoliku, jeszcze ciepła. Usiadłam przy nim i dotknęłam jego czoła. Mój weneccjanin był wyczerpany po całym prawie miesiącu spędzonym w sadach i na polach. Jego miękkie ręce bankowca stały się szorstkie, jasna skóra nabrała koloru ochry, bo pracował i bawił się w sposób, jakiego nie znał do tej pory. Poruszył się i wymamrotał coś na temat grappy, którą pił z Valentinem, i zrozumiałam, że *tisana*, ze skórki cytrynowej, miał załagodzić dolegliwości żołądkowe.

- Zejdę na dół, żeby powiedzieć wszystkim dobranoc. Zaraz wracam.

Usiadł na posłaniu.

- Myślę, że powinniśmy wyjechać dziś wieczorem.

- Przecież jesteś zmęczony. Wyśpimy się i wyruszmy rano.

- Nie. Wolę jechać po ciemku niż za dnia. Zaraz wstanę i spakuję resztę rzeczy do samochodu. Ulotnijmy się czym prędzej.

- Smutek rozstania? W tym rzecz?

- Nie. Nie wiem, o co chodzi, ale na pewno nie o smutek. Nigdy nie znałem tęsknoty za domem. Chyba teraz mi się to właśnie zdarzyło. To chyba to, co masz na myśli, kiedy mówisz o gorzko-słodkich nastrojach. Nigdy nie wiedziałem dokładnie, co masz na myśli. Ale teraz wydaje mi się, że już wiem.

- Tak, gorzko-słodkie nastroje. Życie przechodzi w tonację molową. Zaczynamy wtedy widzieć najmniejsze przejawy jego piękna. - Poglaskałam go po twarzy. - Czyżbyś miał zamiar zdradzić mnie jutro rano? A może zdradziłeś mnie już dziś wieczorem?

- Co?

- Nic, nic. Zaraz wracam.

Kiedy zeszłam znowu do ogrodu, świece były już zgaszone. Domownicy poszli spać. Mężczyźni w marynarkach od Armaniego odjechali do Palermo, a może zostali na noc w *villa*. Nie, Icilio był tu jeszcze. Siedział z Toscą pod magnolią. Czy powinnam wycofać się, zanim mnie zauważą? Czy raczej życzyć im dobrej nocy? Jeśli wyjedziemy dziś wieczorem, już jej więcej nie zobaczę. Icilio zapalił zapałkę.

- *Buonanotte, Tosca* - odezwałam się. - *Signor Icilio. Volevo solo dirvi buonanotte.*

Icilio zapalił papierosa i nie przerywając rozmowy, wstali oboje. Podeszli do mnie.

- Czekałam na panią - powiedziała Tosca. - Czekaliśmy oboje. Jak się czuje Fernando?

- Lepiej, tak mi się zdaje. Ale zaraz do niego wracam.

- Ja też idę już na górę. Właśnie namawiałam Icilia, żeby u nas przenocował.

- Zawsze, jeśli to tylko możliwe, wolę spędzać niedzielę w Palermo.

- Och, *signor Icilio* po prostu za kimś tęskni. Czy to nie wzruszające?

Tosca wydawała się zmieszana. Trzykrotnie ucałowała Icilia w policzek. I raz mnie, czego nigdy dotąd nie uczyniła. Dotykając mojej twarzy, powiedziała:

- Miło nam było panią gościć i zawsze będziemy panią dobrze wspominać.

Po czym odeszła.

Zostałam z Iciliem w ogrodzie, patrzyliśmy, jak zmierza do drzwi. Wciąż jeszcze spoglądałam w ślad za Toscą, gdy Icilio musnął ustami mój policzek, jeszcze ciepły od pocałunku Toski. I zaczął się oddalać. Byłam już przy wejściu, kiedy zatrzymał się i powiedział teatralnym szeptem:

- *Signora. Signora.*

Odwrociłam się i oparłam plecami o drzwi.

- W innym czasie, kochałbym się w pani na zabój... I byłbym wspaniałym kochankiem.

Wdrapałam się po schodach do Fernanda, rozważając teorię Icilia. Ale wątpiłam w obowiązek i w zdradę. Chwilami wątpiłam nawet w miłość.

Fernando spakował już nasze rzeczy i napisał liścik dla Toski, drugi dla Valentina i trzeci dla Agaty. Zdjęłam srebrno-brązową sukienkę i włożyłam dżinsy. Wygodne buty i biały podkoszulek. Właśnie składałam sukienkę, żeby ją schować do walizki, gdy Fernando się odezwał.

- Chodź tutaj. Przytul się do mnie na chwilę, zanim odjedziemy.

Położyliśmy się na łóżku i zaczęliśmy rozmawiać o naszej podróży. Po krótkim czasie zdaliśmy sobie z tego sprawę, że żadne z nas nie ma ochoty jechać do Noto. Ani w żadne inne miejsce na Sycylii. Chcieliśmy wracać do domu. Najkrótszą drogą prosto do Wenecji. Oboje poczuliśmy ulgę, kiedy się okazało, że jesteśmy w tym zgodni. Otworzyliśmy rozkład jazdy pociągów. Możemy już o świcie być w Kalabrii. A w Wenecji na kolację.

Znieśliśmy na dół nasze bagaże i zostałam przy nich w ogrodzie, gdy Fernando poszedł po samochód. Zamierzał podjechać bliżej, bo brama, przy której zaparkował zaraz po naszym przybyciu, była dość daleko. Usiadłam w rozwidleniu pnia magnolii. Kiedy usłyszałam, że Fernando nadjeżdża żwirową alejką z drugiej strony *villa*, wzięłam część bagażu i ruszyłam w tamtym kierunku. Przyszedł mi pomóc. Po chwili wszystkie walizki znalazły się w bagażniku. Nigdy nie wdziałam *villa* od tej strony, więc zaczęłam się jej przyglądać. Zauważyłam sporą galeryjkę ciągnącą się wysoko wzdłuż zewnętrznej ściany, podpartą takimi samymi kolumnami z czerwonego marmuru, na jakich opierał się portyk. Musiało tam być dość miejsca, by równocześnie mogło tańczyć walca kilka par. Albo chociaż jedna. Zmieściłoby się też łóże z baldachimem i opalizującymi zasłonkami, wykończonymi ciężką jedwabną plisą. Fernando ponownie włączył silnik. Wsiadłam do samochodu i cicho zatrzęsłam za sobą drzwi. Kiedy zawracał na podjeździe, obejrzałam się i popatrzyłam na tę galeryjkę. Zobaczyłam czyjąś twarz w oknie sklepionym gotyckim łukiem. Czyjąś sylwetkę. Cień. Nie, zobaczyłam tam dwa cienie.

Epilog

Marzec 2000. List od Toski

Lui è morto. On nie żyje. Leo umarł miesiąc i trzy dni temu. Tak, dobrze mnie Pani rozumiała. Umarł niedawno. To z nim mieszkałam przez te wszystkie lata po jego „zmartwychwstaniu”. Po jego powrocie. Wyobrażam sobie, jak bardzo jest Pani zaskoczona. „Czemu mi o tym nie powiedziała?” albo nawet „Dlaczego mnie oszukała?”.

Na swoje usprawiedliwienie mam to, że jestem Sycylijką. Tajemnice, a nawet nieszczerość to moje dziedziczne przywileje. *Chiaroscuro* to inny sposób opowiadania historii. Mogłabym pani powiedzieć, że milczenie nie zawsze służy do tego, żeby coś ukryć i kogoś oszukać. Czasem tylko chroni i zapewnia bezpieczeństwo. Mogłabym Panią przekonać, że grzech przemilczenia często w ogóle nie jest grzechem. Czy kobieta warta tego miana kiedykolwiek opowiada swoją historię do końca, niczego nie zatrzymując dla siebie? Na pewno nie, moja droga przyjaciółko. Odślaniamy się, tak jak nasi bogowie - jeśli w ogóle się odślaniamy - wtedy, kiedy chcemy, przed tymi, których wybieramy sami.

Było to w roku 1968, pięć lat po moim powrocie z Nuruzzu z Palermo do *villa*, którą zamierzałyśmy ożywić. Pewnego ranka kamienistą krętą drogą przybył Leo, gwałtownie otworzył drzwi starego rovera, którego silnik nadal pracował, znad kierownicy uśmiechnął się do Agaty i do kobiet pracujących w ogrodzie i położył palec na ustach, by wiedziały, że mają nikomu nie wspominać o tym, co właśnie zobaczyły. Wszedł do środka i zaczął nasłuchiwać. Podszedł do drzwi *salone francese*, gdzie usiłowałam grać Saint-Saënsa. Jego wysoka, szczupła postać była jak zjawą z innego świata. Miał cień zarostu na policzkach i potrzebował kąpieli. Nosił te same bryczesy i buty do konnej jazdy, w których widziałam go ostatniego wieczoru przed zniknięciem. A ja miałam na sobie jego zamszową jeździecką kurtkę.

- To ma być łabędź, Tosco. - Takie były pierwsze słowa, jakie usłyszałam od niego po czternastu latach. - Ta muzyka powinna przywoływać obraz łabędzia. Nic nie wskazuje na to, że ma się pojawić słoń.
Piano, piano, amore mio.

Nie ma powodu się irytować, Chou. Jakbym słyszała Pani pytanie: Dlaczego? Dlaczego pozwolił pani cierpieć tyle czasu? Czemu nie dał znaku życia? Ale wtedy naprawdę niewiele się zastanawiałam nad takimi pytaniami. Kiedy minął pierwszy wstrząs i oszołomienie, kiedy ucichł w mojej głowie łomot podobny do turkotu kół w uliczce wybrukowanej kocimi łbami i popatrzyłam na jego postać stojącą w drzwiach, to była dla mnie cudowna, podniosła chwila zadośćuczynienia. Chciałam tylko patrzeć na niego bez końca. Chciałam go objąć, ale nie stało się tak, jak tamtego wieczoru, gdy miałam piętnaście lat. Teraz to on wziął mnie w ramiona i przycisnął do piersi. Tym razem to on zaczął całować moją twarz, włosy i usta. A potem podniósł mnie i okręcił wokół siebie w powietrzu, jeszcze raz, i jeszcze raz, trzymając pod ramiona, i nie wiedziałam, czy to sen, który się zaraz skończy, czy też sen się dopiero zaczyna. Śmiałyśmy się, krzyczeliśmy i płakaliśmy, dziękowaliśmy bogom bezgłośnie, bo w chwilach największego szczęścia

słowa wydają się puste i zbędne. Nic nie mówiąc, wzięłam księcia za rękę, oprowadziłam po *villa*, i raczej mu pokazałam, niż opowiedziałam, wszystko, cośmy tu zrobili. Chodząc po pokojach, spotykaliśmy tych samych ludzi, których znał w przeszłości - moją kochaną Agatę, małego rudowłosego Valentina, który wyrósł i stał się przystojnym mężczyzną, Olgę o brzoskwiniowych policzkach i Cosettinę, która przeżegnała się kilka razy, po czym dotknęła twarzy Lea z taką miną, jakby to była figura świętego Franciszka. Przybiegł skądś don Cosimo, robiąc mnóstwo zamieszania, jak to miał w zwyczaju, i dwaj starzy przyjaciele objęli się mocno. Trwało to tak długo, że w końcu przyszło nam ich rozdzielić. A kiedy weszliśmy do kuchennej części pałacu, wszystkie wdowy - nawet te, których Leo wcześniej nie znał - podniosły dziki hałas, krzycząc, zawodząc, wzywając świętych. Wśród nich stała Maleńka Mafalda. Nie przyłączyła się do gromady, która obstępiała Lea. Pozostała z boku. Dostrzegł ją jednak, od razu rozpoznał i sam do niej podszedł. Po czym podniósł ją do góry, jak to zwykł robić, kiedy miała sześć lat.

- Mamy tu jeszcze jedną piękną kobietę, która chciałaby cię powitać w domu, Leo - powiedziałam mu.

Oszołomiony emocjami, pozwolił mi się poprowadzić przez ogrody, a za nami ciągnęli domownicy. Zatrzymaliśmy się przed piekarnią. Z twarzą czerwoną od gorąca Carlotta z dwiema pomocnicami po raz drugi tego dnia wyciągała chleb z pieca i wrzucała bochenki do okrągłych koszy. Leo widział, co robią, ale chyba nie poznał nikogo, bo tylko się uśmiechał.

- *Papà!* - wyszeptała Carlotta. Powtórzyła to jeszcze raz, nieco głośniejsze. I podbiegła do niego, wołając na całe gardło: - *Papà! Papà!*

Muszę się przyznać do jeszcze jednego grzechu przemilczenia. Carlotta to włoska wersja imienia Charlotte. Tak, chodzi o księżniczkę Charlotte. Kiedy do nas przyjechała po moim powrocie z Palermo, życzyła sobie, żebyśmy nazywali ją Carlottą. Dlaczego nie powiedziałam Pani, że Carlotta jest córką księcia d'Anjou? Zna Pani odpowiedź. Bo jestem Sycylijką. Ona też jest Sycylijką. Ale proszę mi wierzyć, Chou, że po dziś dzień mam w uszach jej krzyk: *Papà!* Był to ten rzadki przypadek, kiedy słowa nie są jedynie przykrym zgrzytem, zakłócającym przeżycie czystego szczęścia.

Zanim zdobyłam się na zadanie pytań, Leo sam zaczął coś niecoś opowiadać. W ciągu wielu dni, a nawet tygodni, ostrożnie dozował swoje historie, zawsze upewniając się, czy zdążyłam już przyswoić poprzednią porcję, zanim przeszedł do kolejnej. Zbliżając się do tej części mojego listu, obawiałam się, że to wszystko, co powiedział mi wkrótce po powrocie, a także wiele lat później, w połączeniu z uzupełnieniami, jakie poczynił don Cosimo, okaże się dla Pani zbyt trudne i zawikłane. Czasami wątek mi się wymyka. Ale muszę jakoś sobie z nim poradzić, jeśli mam opowiedzieć to w całości. Inaczej musiałabym w tym miejscu zakończyć list.

Leo powiedział mi, że to don Cosimo uratował mu życie. Ocalił go przed mafią i przed nim samym. Bo widzi Pani, Leo podjął desperacką decyzję, by oddać się w ręce mafii. Zamierzał stawić się przed człowiekiem, tym Mattią, który wyszeptał mu do ucha swoje pogroźki pamiętnego wieczoru, kiedy Leo został wezwany na spotkanie z ludźmi mafii w sąsiednim majątku. Leo podjął tę decyzję, mimo że w ciągu trzech

lat, jakie nastąpiły po pamiętnym przyjęciu, nie otrzymał od tych ludzi kolejnego ostrzeżenia i nie wydarzyło się nic nowego oprócz tego, co stworzyła jego własna wyobraźnia. Tak, lęk wpędził go w rodzaj szaleństwa i Leo postanowił przypomnieć Mattii o jego obietnicy.

Wiedział, że Simona i księżniczki są bezpieczne. Chronione przez fakt separacji. Niebezpieczeństwo mogło grozić mnie, don Cosimowi i wieśniakom, i to nie dawało mu spokoju dniem i nocą. Choć sądzę, że przyszło to Pani do głowy, ale przecież mogłaby Pani spytać, dlaczego nie przerwał swojej działalności, a przynajmniej dlaczego nie przestawił się na pomaganie wieśniakom w mniej prowokujący sposób. Dlaczego nie chciał żyć ze mną cicho i spokojnie. Byłaby to wtedy historia o innym człowieku, Chou. Każdy z nas jest tylko sobą, póki żyje.

W tamtym czasie Leo nie zakończył jeszcze czynności prawnych związanych z parcelacją majątku, był wciąż zajęty uruchamianiem kanałów sprzedaży produktów rolnych, zakładaniem wieśniakom kont bankowych, organizowaniem specjalnego funduszu na pokrycie ewentualnych strat po pierwszym półrocznym bilansie handlowym. Pomyślał o wszystkim. Zadbał o mnie i o don Cosima. I kiedy załatwił te wszystkie sprawy, kiedy zakończył parcelację ziemi, mógł już zapłacić mafii za swoje czyny. Mattia zapowiedział mu przecież, że kiedyś za nie zapłaci. Leo oznajmił don Cosimowi, że nie zamierza czekać pod miedzą, aż mafia po niego przyjdzie.

Powiedział don Cosimowi, którego dnia zamierza jechać do Palermo, żeby się spotkać z Mattią. Spisał swoją ostatnią wolę, wydał polecenia. Powierzył don Cosimowi swoje sejfy, oddał mu kluczyki. Przeniósł do jednego sejfu wszystkie klejnoty i papiery wartościowe, które dotąd były rozrzucone po różnych bankach. Był gotowy. Cosimo tymczasem podjął własną desperacką decyzję. Kiedy to piszę, mimo woli myślę o śmierci Isotty. O matce Lea, że w podobny sposób porządkowała wszystkie swoje sprawy, szykując się na śmierć.

Zanim nadszedł dzień, w którym Leo zamierzał jechać do Palermo, don Cosimo sam skontaktował się z Mattią. Wyobrażam sobie, jak musiała zaintrygować tego człowieka prośba don Cosima o spotkanie, na którą zresztą przystał z ochotą. Odkonczyło się w cztery oczy, bez uzbrojonych ochroniarzy, których spodziewał się duchowny, w salonie pełnym kwitnącego bzu. Słyszeć było Callas, śpiewającą arię z *Traviaty*. Choć żaden z nich nie czuł się swobodnie, obaj zachowywali się jak starzy przyjaciele. Popijali kawę i whisky i palili tanie cygara marki Toscano, których wielkim amatorem był Mattia.

Don Cosimo posłał pierwszą piłkę, bo był do tego zobowiązany. Zapytał Mattię, dlaczego jeszcze nie zabił księcia. Dlaczego zostawił go w spokoju przez ostatnie trzy lata.

- Czyżby Kościół zalecał księżom nakłanianie wiernych do spowiedzi? Jakies nowe szaleństwo Rzymu?

Jeden do zera dla Mattii. Ale don Cosimo grał dalej. Powiedział Mattii, że reformy księcia są już prawie zakończone. Zaczął przytaczać szczegóły związane z parcelacją gruntów, na co Mattia tylko machnęła ręką, jakby mówił - wiem o tym dobrze, wiem o wszystkim. Wtedy don Cosimo spytał, dlaczego mafia pozwoliła księciu realizować projekty, które uważała za tak bardzo dla siebie niebezpieczne.

- Jesteśmy ludźmi honoru - odparł Mattia. - Długo dyskutowaliśmy o tym, jak postąpić w tej kwestii. Czy warto robić z księcia męczennika. To by mogło przysporzyć nam więcej kłopotów niż te jego, jak to ksiądz zechciał określić, „reformy”.

Mattia wyjaśnił duchownemu, że różnica zdań, jaką wywołała w mafii sprawa stosownej odpłaty dla księcia, doprowadziła zapewne do wymierzenia mu znacznie bardziej dotkliwej kary, niż gdyby po prostu wpakowano mu w serce tę kulkę, której się od tak dawna spodziewał. Don Cosimo przyznał, że złowieszcza cisza i zawieszenie rzeczywiście bardzo dało się księciu we znaki. I chyba właśnie wtedy powiedział:

- Chyba już czas, *signor* Mattia, żebyście go zastrzelili.

Mattia popatrzył na niego z niewzruszoną miną. Spytał, czy duchowny myślał już o tym, kiedy i w jaki sposób mafia sprzątnie księcia.

- Będzie to *lupara bianca*, *signor* Mattia. Ktoś go zastrzeli, kiedy będzie przez łąki zmierzał w stronę *borghetto*. Jest tam zagajnik sosnowy i buczyna.

- Jasno powiedziane, don Cosimo. I z zimną krwią. Chciałbym zrozumieć, jak to się stało, że się ksiądz przyłączył do naszego niezadowolenia z postawy księcia? Czyżby coś uszło mojej uwagi, jakiś rozdźwięk między wami? Bardzo by mnie to zmartwiło. Chciałem powiedzieć... zmartwiło by mnie to, że jestem niedoinformowany. Ale ma ksiądz słuszność, *lupara bianca* to właściwe rozwiązanie. Tak, w sam raz dla księcia. Tylko proszę mi powiedzieć, don Cosimo, jaką korzyść odniesie ksiądz dzięki jego śmierci? Czy tym czymś będzie *la puttanina*? Przyznaję, jest bardzo ładna. Ale jak sądzę, żył z nią ksiądz bez przeszkód już wtedy, kiedy była dzieckiem. Przepraszam, jeśli uraziłem. Nie zamierzam jej zagarnąć dla siebie. Możemy się nią dzielić, don Cosimo. Co ksiądz o tym sądzi? Kiedy księcia już nie będzie, *puttanina* zostanie dla nas obu łupem do podziału.

Don Cosimo wiedział, że Mattia próbuje wyprowadzić go z równowagi. Chce udęczyć go, wprawić w gniew, zmusić, by wypadł z roli. Ale don Cosimo nie dał się zbić z tropu i to Mattia musiał w końcu rzucić broń.

- Wyjaśnię w swoim czasie, co sprawiło, że *lupara bianca* urządził mnie jako rozwiązanie sprawy księcia Lea - powiedział - ale przedtem, *signor* Mattia, proszę mi wyjaśnić, co pan zyska na jego śmierci?

- Wendeta nie jest pojęciem abstrakcyjnym. Moi bracia i ja zyskamy pewien szczególny rodzaj spokoju umysłu, właściwy ludziom honoru, którzy dotrzymują słowa. Księżę Leo sam o tym wspomniął tamtego wieczoru. Pamięta ksiądz? Powiedział, że my będziemy robić swoje, a on musi zrobić, co do niego należy. Księżę Leo dotrzymał słowa. My także dotrzemy.

- A gdybyście, dotrzymując słowa, ukarali go w inny sposób? Przed chwilą wspomnieli pan, że istnieje kara bardziej dotkliwa niż kulka w sercu.

Don Cosimo powiedział potem księciu, że Mattia w tamtej chwili otwarcie okazał poruszenie. Kilka razy podnosił i odkładał słuchawkę telefonu, który stał na stole pomiędzy nimi.

- Cosimo, obaj jesteśmy bardzo zajętymi ludźmi. Dziękuję za pańską wizytę. Na odchodnym proszę przyjąć ode mnie zapewnienie, że pańskie słowa... zostaną przez nas rozważone z należytą uwagą.

Don Cosimo opowiadał, że Mattia wstał i wyciągnął do niego rękę, ale on się nie ruszył z miejsca.

- Proszę poczekać, *signor* Mattia - powiedział. - Jeszcze nie odpowiedziałem na pańskie pytanie. Pytał pan, co zyskam, jeśli sprzątniecie księcia. Zdaje się, że tak pan to określił. Ta forma usunięcia go, o której wspomniałem - *lupara bianca* - nie musi oznaczać śmierci. Może to być porwanie, wygnanie, niewola. Owszem, to także rodzaj śmierci, ale w innej postaci. Śmierci niepojmowanej dosłownie. Pan, jako człowiek honoru, nie straci twarzy, dotrzyma słowa, ukarze księcia. Ukarze pan go jeszcze dotkliwiej niż dotąd, gdy po groźbach zapadła złowieszcza cisza. Księżę nie jest pańskim nieprzyjacielem. On panu niczego nie zabrał. Nie nawoływał do buntu. Nikogo nie nakłaniał do żadnych działań przeciwko panu. Nie pragnął dla siebie pańskich wpływów ani majątku. Nie walczył o władzę, chciał tylko pomóc pięciu dzieciątkom mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy cierpieli głód. Księżę także jest człowiekiem honoru, *signor* Mattia.

Mattia nie odpowiedział. Przymknął oczy, jak w transie. Jedyńm dźwiękiem rozlegającym się w tym pokoju był przez długą chwilę głos Marii Callas.

W końcu don Cosimo odezwał się znowu.

- Księżę niewiele dba o własne życie. Być może wkrótce sam się pan przekona, jak niewiele. Ale mnie na jego życiu zależy. Nie po to, żeby je z nim dzielić, nie po to, żeby spędzać z nim czas. Chciałbym wiedzieć, że taki człowiek wciąż jeszcze chodzi po tym naszym nędznym padole, nawet jeśli nie może cieszyć się swobodą. To właśnie jest propozycja, z którą dzisiaj do pana przybyłem. Proszę skazać go na banicję, panie Mattia. Pan zdecyduje, kiedy, w jakich okolicznościach, pod jakimi warunkami. On się do tego dostosuje. Jedyne, o co proszę, to żeby zostawił pan w spokoju dziewczynę.

- *La puttanina*? Tego nie mogę panu obiecać.

- Więc moja misja zakończy się niepowodzeniem.

Mattia, jakby był sam w pokoju, chodził, siadał, znowu chodził, brał do ręki książkę i kartkował ją, patrząc w inną stronę, zamykał oczy, jego wargi wypowiadały bezgłośnie jakieś słowa niczym modlitwę.

- Chcę go dostać - odparł wreszcie. - Kiedy ksiądz wróci do pałacu, dalsze instrukcje będą tam już czekały. Chcę go dostać jutro. Nie, dziś wieczorem. Musi ksiądz przekonać wszystkich, że to *lupara bianca*. Jest pan księdzem tak długo, że na pewno nauczył się pan kłamać, Cosimo. Trzeba, żeby wszyscy w to uwierzyli. Przede wszystkim dziewczyna. Zorganizuję dla niego miejsce odosobnienia. Proszę pozostać w pałacu, żeby podtrzymywać na duchu wdowę i córki. I dziewczynę. Jeśli kiedykolwiek spróbuje pan nawiązać kontakt z księciem albo on z panem, zabiję was obu. To samo się stanie, jeśli księżę spróbuje nawiązać kontakt z dziewczyną, choćby przelotny. Zabiję ją. Zwłoki wyślemy mu w pudle. Zobaczysz, jak umierała, i jeśli od razu nie padnie trupem na ten widok, jego także zabiję. Proszę mu to powtórzyć.

Tym razem to don Cosimo wstał pierwszy i wyciągnął rękę do Mattii. Mattia nie odwzajemnił tego gestu, ale powiedział:

- Myślałem, że wyrzuciłem już z pamięci te historie, opowiadane przez moją babkę, przez moją matkę, o tym, jak im się żyło w czasach młodości. O głodzie i chłodzie albo w piekielnym upale. O pracy do upadłego, o tym, że je traktowano jak śmieci. O tym, że właściciel ziemski gwałcił upatrzone kobiety, a one nie mogły się obronić. Zapomniałem o tym wszystkim, ale dziś, nie wiedząc czemu, wszystko to mi się przypominało. Każdy szczegół. Proszę zrobić to, na co się umówiliśmy, don Cosimo. Proszę to zrobić, zanim znowu zapomnę o przeszłości. Ach, tak, jeszcze kurtka. Ta kurtka, w której stale chodzi. Niech ksiądz ją zatrzyma. Odda dziewczynie.

Don Cosimo sądził, że to ostatnie Mattia powiedział tylko po to, żeby mu pokazać, jak szczegółowa była jego wiedza. Bo Leo rzeczywiście stale chodził w tej samej zamszowej kurtce jeździeckiej. Ale choć stale ją nosił, prawie nigdy nie opuszczał w niej terenów pałacowych. A więc Mattia musiał mieć wtyczki w pałacu.

- Kto to jest, *signor* Mattia? - spytał don Cosimo.

Jak potem opowiadał Cosimo, Mattia wybuchnął śmiechem. Śmiał się i potrząsał głową, gdy odprowadzał go do drzwi.

Tak więc, dzięki zabiegom don Cosima, Leo został oszczędzony i znalazł się w niewoli. Wiem, o co chciałaby Pani spytać. Co by się stało, gdyby Leo sam pojechał do Mattii? I co zrobiłby Mattia, gdyby książe się nie poddał, a don Cosimo nie interweniował w jego sprawie?

Pytałam o to ich obu. Może Pani sobie wyobrazić, ile razy. Żaden z nich nie znał odpowiedzi na pierwsze z tych pytań, tym bardziej ja jej nie znałam. Sprawa księcia i tak stała się przyczyną kontrowersji między tymi ludźmi, a w stanie nerwowego wyczerpania, w jakim Leo się wtedy znajdował, mógł im się wydawać jeszcze większym zagrożeniem. Na drugie pytanie odpowiedź jest jednoznaczna. W takim przypadku książe zostałby zamordowany.

A więc po trzech latach, spędzonych ze mną w pałacu, w którym sam się dobrowolnie uwięził, przez następnych czternaście mieszkał w miejscu odosobnienia, które urządził dla niego Mattia. Na pewno jest Pani ciekawa, gdzie go wysłano. Jakie prowadził życie. I z kim mieszkał.

Leo został wysłany do gospodarstwa rolnego, jakich wiele na płaskowyżu. Jego pola oddalone były zaledwie o parę kilometrów od zachodniej granicy majątku, który książe musiał opuścić. Przebywał tak blisko, a zarazem tak daleko. Przewrotna taktyka, pomyśli Pani zapewne, ale przekona się Pani, że to nie to.

Razem z dużą, wielopokoleniową rodziną dzierżawcy rolnego Leo pracował w polu wiosną i latem. Zimą pomagał przy drobnych naprawach w stajniach, oborach i w domu. Był ceniony jako robotnik i miły kompan, bo takim się też okazał. Sypiał na przestronnym poddaszu w jednym z budynków gospodarczych. Nie było mu tam źle. Jadał przy rodzinnym stole. O jego odzież i bieliznę dbały domownicy. Zapraszano go do udziału w nielicznych uroczystościach, jakie obchodzili ci prości ludzie z gór. Chociaż pracowali ciężko i żyli ubogo, zdaniem Lea nie byli wcale biedni. Nie wyglądało na to, żeby ledwie wiąźali koniec z końcem. Wydawało się, że życie, jakie prowadzą, w zupełności im odpowiada. Przyjezdny ksiądz co nie-

dziela odprawiał dla nich mszę w kaplicy wśród pól. Rodziły im się dzieci, grzebali swoich zmarłych. Dwa razy w miesiącu mała grupka mężczyzn, niekiedy także kobiet, udawała się na targ do któregoś z okolicznych miasteczek. Leo często był wśród nich. Będzie się Pani zastanawiała, jak to się stało, że nikt go nigdy nie rozpoznał. Chociaż nosił strój biedaka, chociaż, być może, przyjął sposób bycia ludzi prostych, myślę, że każdy, kto znał go przedtem, musiałby go rozpoznać w każdym przebraniu. Ale proszę pamiętać o bezwzględny, niewzruszony sycylijskim nakazie milczenia.

Kilka razy do roku Mattia razem ze swoją rodziną - z żoną, dorosłymi dziećmi i wnukami - przyjeżdżał kolumną samochodów, by spędzić niedzielę razem z rodziną dzierżawcy. Była to bowiem także jego rodzina. Tak, miejscem, w którym Mattia uwięził Lea, był jego dom rodzinny. Ludzie, z którymi Leo mieszkał i pracował, byli krewnymi Mattii. Leo twierdził, że do tych niedziel, na które Mattia zapowiadał swój przyjazd, przygotowywano się jak do Bożego Narodzenia: sprzątano, gotowano, wstawiano polne kwiaty do wazonów, wyciągano beczułki z piwnicy. Mattia był bowiem ich dobroczyńcą, ich opiekunem. I synem marnotrawnym.

Mattia zawsze witał się z Leem uściśnięciem dłoni. Zaglądał mu głęboko w oczy. Kładł ciężką dłoń na jego ramieniu. Pilnował, żeby szklanka księcia nie była pusta.

Mattia ukarał Lea - a mało brakowało, by go zabił - za jawne nieposłuszeństwo wobec mafii. W znacznie mniejszym stopniu była to kara za rzeczywiste czyny, za samowolne zmiany, jakie Leo wprowadził w odwiecznym systemie hierarchicznym, który pozwalał bogatym cieszyć się bogactwem, a nędzarzom tkwić w nędzy. Nieposłuszeństwo było znacznie większą winą. Lecz mimo to nie należy lekceważyć tego, czego dokonał Leo. Widzi Pani, gdyby wszyscy właściciele ziemscy postąpili tak jak on, bardzo ograniczyłyby to dochody mafii. Bo to znacznie czystsza robota, grabić kilku słabych i drżących ze strachu obszarników niż wyciągać ostatnie grosze od tysięcy wieśniaków, którzy od wieków cierpieli głód, a teraz szykowali strzelby i wymachiwali aktami własności, na których ledwie zdążył wyschnąć atrament. To nieposłuszeństwo wobec organizacji mafijnej było największą winą Lea. Nie było aż tak ważne, na czym to jego nieposłuszeństwo polegało. Zuchwalstwo mogło równie dobrze objawić się w inny sposób. Chodzi o to, i to właśnie jest najtrudniejsze do przyjęcia, że nie chodziło o to, co Leo rzeczywiście zrobił, ale o sam afront, i to za niego musiał zapłacić. W pojedynku między Leem i mafią nie chodziło o zasady i światopogląd, tylko o wymuszenie szacunku. Leo nie okazał mafii należytego szacunku. Nie pozwolił jej postawić na swoim. Był to grzech śmiertelny. Sam zmusił mafię, żeby ukarała go dla przykładu.

Ale wróćmy do zasad i światopoglądu. Proszę zauważyć, że Mattia na swój własny sposób - wspomagając krewnych żyjących na roli - robił to samo, co zrobił Leo dla swoich wieśniaków. Okoliczności i efekty były rzecz jasna nieco inne, lecz obaj, Mattia i Leo, postępowali podobnie. Nie sądzę, by Mattia to zauważył, zanim przyjechał do niego don Cosimo, zanim zasiedli razem w salonie, paląc cygara Toscano, pijąc whisky i słuchając Marii Callas. Ale prawda była taka, że szefa mafii i księcia łączyły podobne postawy i emocje. Być może ich osobowości pod pewnymi względami także były dość podobne. I być może -

spróbujemy przypuścić - Mattia doszedł do wniosku, że na miejscu księcia zachowałby się tak samo. Ale to tylko domysł.

Przez te wszystkie lata Leo nigdy nie zadał Mattii pytania o długość wyroku. O to, kiedy będzie mógł opuścić gospodarstwo, w którym był uwięziony. Na nowo podjąć własne życie. Mattia także nigdy nie wypowiedział się na ten temat. Kara Lea zakończyła się, kiedy Mattia umarł. Po jego śmierci nikt nie przyjechał do Lea, choć książę się tego spodziewał. Długo wyglądał obcego samochodu na białej drodze. Czekał tak przez rok od pogrzebu, ale nikt się nie pojawił. Wtedy Leo uznał, że jego wina została odkupiona i że czas już opuścić rodzinę, z którą żył i pracował. Choć żał im było rozstawać się z Leem, od zawsze wiedzieli, że jego pobyt u nich musi się kiedyś skończyć. I wątpię, czy przez te wszystkie lata dowiedzieli się, że Leo przebywa u nich jako więzień. Jak się domyślam, Mattia powiedział im po prostu, że musi udzielić Leowi schronienia, że w ten sposób wyrządza mu przysługę. Opowiedział jakąś historyjkę na temat tarapatów, w jakich rzekomo znalazł się Leo. Wyjaśnił im, że jego znajomy musi na jakiś czas „zniknąć”. Może rodzina Mattii dowiedziała się od niego, że trzeba ukryć zbiega, któremu obiecał ochronę, co w końcu leżało znacznie bliżej prawdy niż kłamstwa. Nie sądzę też, by Mattia opowiadał się komukolwiek z członków mafii ze swojej decyzji pozostawienia Lea przy życiu. Co najwyżej wspomniał rodzinie, że jakiś inny odłam mafii zamierzał zlikwidować ich gościa. Był to zapewne jeden z tych wypadków, kiedy pochwały za skuteczność udzielono zbiorowo i nikt nie wiedział, przez kogo konkretnie wykonana została mokra robota. Ale - być może - Mattia zamknął sprawę Lea w jakiś inny sposób. Niewykluczone, że w tym celu sam musiał coś poświęcić. W każdym razie zamknął jego sprawę. Jakkolwiek to załatwił, zamknięcie sprawy Lea oznaczało także pozostawienie mnie w spokoju. Byłam bezpieczna. Mattia dopilnował, by nikt z mafii nie przeszkodził mi w przeprowadzce do Palermo i w ułożeniu sobie tam życia. I to już nie jest domysł. Schowawszy do kieszeni bułki z serem, w ciepłym deszczu, bo był to maj, koniec maja, Leo pożegnał się z rodziną, która go gościła, i przez pola, przez kamieniste zbocza doszedł do bitej drogi, prowadzącej w jego strony. Opowiadał mi potem, że wcale się nie spodziewał zastać mnie w pałacu, ale to od niego musiał rozpocząć poszukiwania. Wiedział, że kogoś tam przecież spotka. I czegoś się o mnie dowie. Może myślał, że będą tam księżniczki i Simona? Liczył, że odnajdzie don Cosima? Nie mógł nikomu powiedzieć, gdzie był przez cały ten czas. I nie zamierzał powiedzieć o tym nikomu - oprócz mnie. Ale gdzie miał mnie szukać? A może jego powrót okaże się niepożądanym wtargnięciem w moje życie? Może kocham kogoś innego, może wyszłam za mąż? Kiedy dotarł na miejsce, pałac nie wydawał mu się opuszczony ani zrujnowany. Wbiegł po niekończących się kamiennych schodach do frontowego wejścia, uderzył w kołatkę w kształcie lwiej paszczy na masywnych drzwiach.

- *C'è qualcuno?* - zawołał. - Jest tam kto?

Drzwi nie były zamknięte, więc stukając głucho butami o gołą posadzkę, przeszedł przez hol i zobaczył Mimma, który mył szczotką marmurowe schody prowadzące na piętro.

- Mimmo! - zawołał książę, ale Mimmo dalej mył schody. Książę zawołał więc jeszcze raz. Tym razem Mimmo odezwał się, nie patrząc na ducha, którego głos tak bardzo przypominał głos księcia.

- Słucham, książę?

Książę zawołał go po raz trzeci, a Mimmo powiedział:

- Jesteśmy już po obiedzie, ale zajrzę do spiżarni, na pewno coś się tam znajdzie.

- Mam co jeść, Mimmo - powiedział książę, wyciągając z kieszeni nierozpakowane bułki i ser. Marne trofea, jak na czternaście lat nieobecności.

Ze wspaniałą sycylijską wyniosłością Mimmo oparł szczotkę o poręcz schodów, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i zrzucił je na dół, pozwalając sobie tylko raz przelotnie spojrzeć na ducha. Po czym złapał znowu szczotkę i wychylony ponad poręczą, zawołał:

- Znajdzie ją książę pan w pałacyku myśliwskim. Jest jeszcze piękniejsza niż dawniej.

Kiedy Leo zniknął mu z oczu, Mimmo usiadł na schodach i zapłakał. Płakał ze szczęścia i ze zdumienia. O tym opowiadał mi potem on sam.

Czy dobrze się domyśliłam, o co chciałaby Pani spytać? Jak zachowała się mafia w związku z powrotem Lea? Jak już wspomniałam, Mattia uznał jego sprawę za zamkniętą. Zakończył ją w sposób sobie tylko wiadomy. Lecz kiedy Leo pojawił się ponownie - choć przecież nie trąbił na prawo i lewo o swoim zmartwychwstaniu - cała sycylijska mafia wiedziała o tym już po paru godzinach. Czy ludzie ci przeżyli absolutne zaskoczenie, kiedy się dowiedzieli, że książę, którego miało już od dawna nie być na świecie, żyje? Czy mogli w to w ogóle uwierzyć? Czy ktokolwiek z nich mógłby podejrzewać, że to Mattia był wybawicielem księcia? A jeśli tak, czy wzięwszy pod uwagę to, kim byli, mogli zdecydować o poniechaniu wendety?

Po powrocie z narzuconego mu odosobnienia Leo był znacznie spokojniejszy i odporniejszy niż kiedyś. Liczył na to, że teraz zostawią go w spokoju. Don Cosimo przyznawał mu rację. Mnie także wzmocniły lata mojego własnego wygnania, nie mówiąc już o moich osobistych doświadczeniach z mafią. Miałam swoje powody, by sądzić, że wendeta zostanie zarzucona. I jak się okazało, wszyscy troje mieliśmy rację.

Dla Sycylijczyka oszustwo rzadko kiedy pociąga za sobą wendetę, ponieważ przebiegłość jest wyrazem szacunku. Kto jak kto, ale Mattia był przebiegły. W ten sposób okazywał organizacji mafijnej należny szacunek. I mafia, jak się okazało, wołała wziąć jego przebiegłość za wyraz szacunku niż za oszustwo. Przyjęcie za dobrą monetę oszustwa Mattii nie oznaczało kapitulacji, tylko coś w rodzaju ustępstwa. Była to pokorna rezygnacja. Zgoda na remis, wymuszona przez zmęczenie. Sycylijczycy często wybierają remis zamiast zwycięstwa. Remis bywa korzystniejszy od zwycięstwa. Odebranie zwycięstwa przeciwnikowi okazuje się nieraz bardziej pociągające niż zapewnienie go sobie samemu. Dla Sycylijczyka odebranie zwycięstwa przeciwnikowi to największy triumf. Leo pozwolił Mattii, a poprzez niego całej mafii, ogłosić zwycięstwo, choć Mattia powstrzymał się od pozbawienia go życia. I zwycięstwo mafii było większe, niż gdyby książę został po prostu zamordowany. Niż gdyby wpakowano mu w serce zapowiedzianą kulę, żeby go uspokoić raz na zawsze. Mattia uczynił coś, co pozwoliło mafii uzyskać znacznie więcej.

Zamiast odebrać mu życie, zawłaszczył je. Proszę mi wybaczyć, że się powtarzam, próbuję wyjaśnić to Pani jak najlepiej, Chou. Być może muszę to wyjaśnić samej sobie.

Leo wybrał dla siebie pokoje na ostatnim piętrze *villa* i zamknął się w nich jak mnich w klasztorze. Nigdy nie pysznił się swoim ocaleniem, nie triumfował, że udało mu się przeżyć, i tym, jak sędzę, ułagodził ewentualnego zabójcę, jeśli ktokolwiek jeszcze zamierzał go zgładzić. To jego delikatność i szacunek dla cudzej miłości własnej, jego uprzejmość, ten jego nieksiążęcy sposób bycia pomógł podtrzymać delikatną równowagę sił i sprawił, że akt złej woli wobec starzejącego się księcia byłby czymś zupełnie niestosownym.

Księżę przeżył w całkowitym niemal odosobnieniu, z dala od ludzkiego wzroku, wszystkie te lata, które upłynęły między jego powrotem z niewoli i powtórna śmiercią. Rzadko się z kimś spotykał, prawie nie miewał gości, którzy by nie należeli do rodziny. Jeśli pominąć ludzi z mafii, którzy odwiedzali go z pełną szacunku i niemalże przywiązania regularnością. Icilio, którego poznała Pani podczas pobytu u nas, był jednym z nich. Icilio to syn Mattii, i niewykluczone, że ojciec opowiadał mu coś niecoś o księciu. Ale ja nie wiem o tym nic pewnego.

Don Cosimo przechował bibliotekę należącą do Lea. Została złożona w skrzynkach wysypanych tytoniem, żeby ochronić książki przed żarłocznością moli i innych szkodników. Skrzynki umieszczono w zakrystii i na tyłach ołtarza kościoła św. Rocha. Kiedy wróciłam z Palermo, dom Cosimo i Mimmo przenieśli już większość z nich do *villa*. Przypuszczam, że Leo tęsknił za swoimi książkami nie mniej niż za mną. Były dla niego cenniejsze niż cokolwiek innego. Czytał w swoich pokojach przy kominku albo w zacienionym krużganku. Jadł i pił bardzo skromnie, choć z przyjemnością. Od czasu do czasu siadał z domownikami przy wspólnym stole. Zawsze był gotów usiąść z każdym z nich i zająć się zarówno najdrobniejszym problemem, jak i najbardziej poważnym. Czekał na mnie, słuchał mnie uważnie, kochał mnie. Nie mógł się nacieszyć moją miłością. Tak jak to było kiedyś z tym kobiercem w żółte róże, jego pokoje stały się dla nas całym światem. Kiedy zajmowałam się sprawami domu, Leo pisał, słuchał muzyki, grał na flecie. Jeździł konno, codziennie przynajmniej przez cztery godziny. Zimą wyruszał przed samym zachodem słońca a latem - na długo przed świtem. I tak przez lata. Zawsze chciałam się do niego przyłączyć, prosiłam, żeby zabrał mnie ze sobą, ale nigdy się na to nie zgodził. Chociaż lęk przed wendetą właściwie nie miał już sensu, wciąż jeszcze tkwił w nim cień obawy o mnie.

Pewnie wydaje się Pani, że nigdy go Pani nie spotkała, ale na pewno widziała go Pani niejedną raz, kiedy wyruszał na przejażdżkę albo z niej wracał. I to właśnie Leo pochwalił Pani srebrno-brązową suknię na przyjęciu ostatniego wieczoru przed waszym wyjazdem. Podał Pani rękę i przedstawił się jako Leo-Alberto. Jak zwykle przy tych rzadkich okazjach, kiedy znajdował się wśród ludzi niebędących domownikami, wolał, by nie wiedziała Pani, kim jest. Ale powinna Pani wiedzieć, że przyłączył się do nas tamtego wieczoru głównie po to, by Panią poznać. Bo oczywiście wiedział o naszych spotkaniach pod magnolią.

Przejrzałam te świeżo napisane strony i mam wrażenie, że opowiadam o tym wszystkim zbyt obszernie, jednocześnie pozostawiając w swojej historii liczne białe plamy, które nie ułatwiają jej zrozumienia. Ja sama wciąż jeszcze nie wszystko z niej rozumiem. Lecz gdybym nawet mogła wyjaśnić to Pani lepiej, nie jestem pewna, czybym zechciała.

Kiedy mieszkałam w Palermo, często pisałam do Simony, wpytując o nią i o księżniczki. Chociaż nigdy nie zostawiała moich listów bez odpowiedzi, jej listy wydawały się nieco sztywne i ogólnikowe. Zraniła mnie ta zmiana w jej stosunku do mnie. I to ja pierwsza przestałam pisać. Nie pisałam do niej już od ponad roku, kiedy Carlotta zawiadomiła mnie o jej śmierci. Była to nagła choroba, z którą organizm nie walczył, tylko szybko skapitulował. Czasem wydaje mi się, że to Simona była z nas wszystkich najmądrzejsza i że jej uprzejme wycofanie się z kontaktów ze mną było raczej oddaniem mi pola, że chciała w ten sposób pomóc mi oderwać się od przeszłości, abym wreszcie uczyniła to, do czego mnie zachęcała: „Znajdź swoją drogę, Tosco”.

Carlotta pisała mi, że ona i Yolande zamierzają pozostać w Rzymie, gdzie mieszkały, gdy Simona zachorowała. Co do ich późniejszych planów, Carlotta pisała, że nie są jeszcze określone. Wysłałam im list kondolencyjny, a potem kilka kolejnych listów, ale więcej się nie odezwały. Wkrótce potem, jak opuściłam Palermo i wróciłam w góry, zaprosiłam je do siebie. Carlotta przyjechała sama. I już została z nami. I tak oto jedyna podróż, jaką Leo odbył po powrocie, była podróżą do Rzymu. Chciał odwiedzić Yolande. Don Cosimo pojechał razem z nim, i to od niego dowiedziałam się trochę o zdarzeniach związanych z tą podróżą. Leo nie powiedział mi o niej ani słowa.

Don Cosimo opowiadał, że Yolande okopała się w zatwardziałym staropanieństwie we wspaniałym starym rzymskim pałacu w okolicach Parioli. Zgodziła się spotkać z ojcem dopiero po długotrwałych błaganiach i namowach, w których pośredniczył kamerdyner, rozmawiając z nim przez *citofono*. Wątpię, czy Leo spodziewał się, że jego starsza córka zbiegnie ze schodów i rzuci mu się w ramiona tak jak Carlotta. Ale jego uczucia ojcowskie i duma zostały wystawione na poważną próbę, gdy wspinał się po schodach do apartamentów Yolande. Don Cosimo zatrzymał się przy palmach w pełnym złoceń przedpokoju, gdzie pozostał niezauważony, i uczestniczył milcząco, niczym sekundant księcia, w pojedynku bez broni, jaki rozegrał się, kiedy Leo zbliżył się do Yolande. Siedziała na kanapie - na samym jej brzeżku - w *salone*. Nie wstała, by przywitać się z ojcem i nie zachęciła go, by usiadł. Bez żadnych wstępów spytała, po co przyjechał. Leo zamilkł, być może ze zdumienia. Ciszę przerwała Yolande, wyrażając przypuszczenie, że z pewnością chodzi o pieniądze. Takim tonem, jakby radziła mu, żeby poszedł do kuchni, gdzie dadzą mu bochenek chleba, starsza córka oświadczyła, że pewien procent przychodów z różnych transakcji może być przepisywany na niego, jeśli się w tej sprawie skontaktuje z jej prawnikami. W przeciwnym razie...

Leo nadal milczał. Nie mógłby się odezwać, nawet gdyby znalazł teraz te słowa, które przez długie lata pragnął wypowiedzieć, które układał, odrzucał i znowu układał, póki nie uznał, że oddają to, co czuł. Podczas gdy ona rozprawiała o nieruchomościach i prawnikach, on zaczął się obawiać, że nie zdoła sobie przypomnieć, co chciał jej powiedzieć ani dlaczego mu na tym zależało. Ludzie się nie zmieniają tak ła-

two. Yolande zawsze trzymała się z daleka od ojca i on także się do niej zbytnio nie zbliżał. Leo odwrócił się i ruszył do drzwi, uwalniając księżniczkę od swojej osoby, co przywróciło zwykły rytm jej popołudnia. Tak jak i w dawnych czasach, kiedy zaglądał do córek, po czym odchodził.

Gdy mogłam korzystać z wnikliwych uwag Lea, przezorna staranność, z jaką dbałam o utrzymanie wdów i pozostałych domowników, zamieniła się w natchniony zapal. Choć życie w *villa* toczyło się w miarę gładko, z chwilą powrotu księcia wszystko zaczęło układać się jeszcze lepiej. Nie było to tak, jakby wszystko, co trudne albo nużące, nagle zniknęło, lecz raczej tak, jakby więź, która nas łączyła, mnie, wdowy i całą resztę, uległa wzmocnieniu. To, co Pani zobaczyła i poczuła, gdy była Pani tu z nami, to, co Panią zafascynowało - to było właśnie to. Cień jego obecności.

Minęły właśnie dwa lata, odkąd Leo zachorował. Postanowił nie rozpoczynać leczenia. Miał nadzieję, że choroba cofnie się sama. Ale postępowała, i nie wyglądało na to, by miał wyzdrowieć. Wtedy wziął sprawy w swoje ręce. Zrobił to równie zdecydowanie, jak kiedyś jego matka. Po raz drugi zaplanował własną śmierć. Wyznaczył jej czas prawie co do minuty. Był bowiem nieodrodnym synem Isotty.

Nigdy nie mówił o śmierci, raczej o morzu, o morzu, które oczekiwało go, ukryte gdzieś za drzewami. Dźwięki, płynące z jego umęczonych, podziurawionych płuc, przypominały mu szum morza. Słyszał w nich fale rozbijające się o brzeg. Słyszał morze. Co oznaczało morze dla tego człowieka, który kochał ląd? Nigdy się nie dowiedziałam, czy bał się tego morza, czy do niego tęsknił. Dotąd się nad tym zastanawiam.

Don Cosimo i ja czuwaliśmy przy nim na zmianę, a potem często oboje spędzaliśmy przy nim dzień i noc. Koczowaliśmy przy jego łóżku, odgrzewaliśmy mu zupe, robiliśmy dla niego grzanki, karmiliśmy go okruchami, jak małego ptaszka. Don Cosimo wiele razy proponował mu spowiedź, ale Leo twierdził, że duchowny i tak już wie o nim o wiele za dużo. A kiedy don Cosimo chciał przynieść mu wiatyk, wytrącił mu z ręki fiolkę z olejami, prosząc, żeby go raczej wyprawił do Hadesu, po czym obaj zaczęli się śmiać. Śmiali się, rozumiejąc, być może, że śmiech to jedyny rozsądny sposób, by pożegnać się po blisko sześćdziesięcioletniej przyjaźni i przewrócić ostatnią kartę wspólnej historii. Don Cosimo mówił Pani o swojej miłości do mnie. To, co ich łączyło, także było jakąś odmianą miłości.

Pamiętam, że kiedy ucichł ich śmiech i zapadła cisza, zbyt głęboka, byśmy mogli zapełnić ją słowami, Leo wyciągnął do mnie rękę. Jak dziecko, które potrzebuje pocieszenia. Ujęłam jego dłoń. Przytuliłam go. Wydawało mi się, że staje się z godziny na godzinę coraz lżejszy. Popatrzył na mnie i powiedział do don Cosima, że wydając ostatnie tchnienie, wolałby pocałować swoją Toscę niż zimny krucyfiks. Niż odlaną z metalu stopę ukrzyżowanego Chrystusa.

- „Zwróć ostatnie spojrzenie na to, co piękne” - zacytował Leo, i zaczął irytować się sam na siebie, że nie pamięta, z jakiego to wiersza. W końcu zdecydował, że sam weźmie odpowiedzialność za te słowa, i wtedy powtórzył je jeszcze kilka razy. - Zwróć ostatnie spojrzenie na to, co piękne. Tak, wolę pocałować moją Toscę.

Pewnego wieczoru Leo powiedział nam, że chciałby pożegnać się z rodziną. Miał oczywiście na myśli wdowy i rolników. Szczególnie ludzi, którzy byli z nami od bardzo dawna, „od kiedy byliście małże”, tak się wyraził. Zwykle tak określał okres przed swoim uprowadzeniem: „Kiedy byliśmy małże”.

Powiedziałam Agacie o życzeniu Lea, ona zaś powiadomiła pozostałych. Zebrali się wszyscy razem nazajutrz wcześniej rano. Już przed świtem czekali na schodach, na podestach i w korytarzu prowadzącym do jego pokoi. Może Pani to sobie wyobrazić, Chou: nikogo nie brakowało. Przyszli ogrodnicy, rzemieślnicy, chłopcy pracujący w polu i mieszkańcy miasteczka. Kilka pokoleń. Ojcowie i synowie, dziadkowie i wnukowie, matki z dziećmi na rękę. Wykąpałyśmy go razem z Agatą, posprzątałyśmy pokój, a don Cosimo dołożył do ognia na kominku. Po czym zaczął się modlić. Czekaający na zewnątrz śpiewali. Śpiewali pieśni żniwiarzy i młockarzy. Właśnie te, które Leo uważał za najstarsze. Zaśpiewali wszystkie pieśni ludu, który od najdawniejszych czasów uprawiał ziemię na tej wyspie. Pieśni należące do tych wszystkich, którzy kiedykolwiek ufali, że garść nasion rzuconych w zaoraną ziemię dzięki łasce bogów wzejdzie i wyda plony, które zapewnią ludziom przetrwanie. I tak stali, śpiewając, a potem usiedli i śpiewali dalej. Niektórzy szlochali. Byli żałobnikami, *addolorati*. Jak Demeter, oplakująca swoją córkę. I jak Maria oplakująca syna. Obie były jedną postacią, obie wyrażały ich własny żal i smutek. Głosy, przenikliwe i pełne rozpacz, chwilami przywodziły na myśl zgiełk bitewny. Nie chcieli pozwolić, by ich księżę odszedł po cichu.

Kiedy Agata otworzyła im drzwi, zaczęli wchodzić po kilku. Zbliżali się do łóżka Lea, całowali koldrę w miejscu, gdzie załamywała się na jego stopach, albo podnosili do ust jego dłoń. Z każdym z nich Leo zamienił choć parę słów. Nie wyobraża sobie Pani, jak wiele szczegółów z ich życia miał w pamięci. Pamiętał, na co chorowali, jakie mieli słabostki. Pamiętał nawet o ich marzeniach. Tak, myślę, że ich marzenia pamiętał najlepiej. Jak bardzo pragnął tych rozmów! Ale głos co chwila zanikał w jego krtani, więc szeptem dawał im pochwały i upomnienia. Obiecywał, że będzie o nich zawsze pamiętał, gdziekolwiek zaprowadzi go jego ostatnia podróż. Powtarzał wciąż na nowo, że o nich nie zapomni. I każdego z nich całował w rękę. Jak wtedy, na polu. Kiedy po żniwach wieśniacy całowali go w rękę, odwzajemniał się tym samym. To niesłychane rzeczy, mówiono, żeby właściciel ziemski całował po rękach swoich chłopów.

Ten poranek dodał mu sił. Żył potem jeszcze przez kilka dni, dłużej niż mógł się spodziewać on sam i ta ciemna, nieodgadniona postać, która miała po niego przyjść, żeby go zabrać. Don Cosimo nie opuszczał go ani na chwilę, jeśli pominąć pośpieszną, poranną i wieczorną toaletę. Spał w fotelu, przy ogniu płonącym na kominku. Albo czuwał przy łóżku. Albo spacerował po pokoju, tam i z powrotem, tam i z powrotem, i chodząc tak, mówił do niego nieustannie, snując opowieści. Ja układałam się do snu obok Lea, na jego łóżku, przytulona do niego, nieruchoma. Mógłby zapomnieć, że tam jestem i zabrać mnie ze sobą, jakbym była częścią jego osoby. Bo byłam jego częścią. Jestem jego częścią i myślę, że Pani o tym wie równie dobrze, jak my wszyscy.

Obudziłam się pewnego ranka i zanim otworzyłam oczy, wiedziałam, że odszedł. Don Cosimo zauważył to pierwszy, ale mnie nie budził, pozwolił mi dalej spać w jego ramionach, jeszcze ciepłych.

Pochowaliśmy go tylko we dwoje, don Cosimo i ja. Nie na cmentarzu, lecz na grzbiecie wzgórza na skraju jednego z najdalszych pól. W miejscu, gdzie ukazał się moim oczom pewnego popołudnia, wiele lat temu, gdy wracał z podróży w jakichś ważnych sprawach do Francji. Spóźnił się wtedy na pierwszy dzień żniw. Wyglądał jak szczupły jasnowłosy rycerz, który spadł z nieba i od razu ściągnął marynarkę, nie mogąc się doczekać, kiedy weźmie kosę w dłonie, śpiewając hymny do Demeter, modląc się do Wszechmogącego Boga, szczęśliwy, że jest znowu na swojej ziemi, wśród swoich. Tam teraz odpoczywa.

I w tym właśnie miejscu piszę do Pani list. *Io vengo qui con il crepuscolo*. Przychodzę tu o zmroku. Zanim ciemność spłynie na pola. Pakuję torbę. Sweter, szal, trochę dobrego dżinu w manierce, którą Leo odziedziczył po ojcu. Z torbą myśliwską przewieszoną przez ramię, ze składanym krzeselkiem pod pachą, mijam na wąskiej dróżce kozy biegnące w przeciwnym kierunku, wracające do domu z tamtej strony gór, z długą, rozwianą sierścią nad czołem, z dzwoneczkami u szyi dzwoniącymi szaleńczo wśród szarości zmierzchu - i pozdrawiamy się nawzajem. I one, i ja jesteśmy w drodze ku jakiemś zacisznemu miejscu wśród gór w samym sercu wyspy. Wyspy, leżącej pośrodku morza, pośrodku świata.

Dziś wieczór księżyc w drugiej kwadrze wyleguje się w chmurach jak na srebrzystym polu pszenicy. Za wzgórzem słychać wilki, po drugiej stronie urwiska tu i ówdzie tańczą małe ogniki. To pasterze gotują stawę nad ogniskiem. Gdyby nie było tu mnie i moich rzeczy, nie sposób byłoby poznać, z jakich czasów pochodzi ten sielankowy obrazek wzgórza, miejsce, gdzie pradawni bogowie polowali i spali, gdzie ulegali porywom zmysłów albo cierpieli udrękę. Jak niewiele zmieniło w nas trzy tysiące lat, które minęły od tamtej pory!

Sadowię się między krzakiem skalnej róży i poduszkami dzikiego tymianku, by zostać tam jeszcze długo po zachodzie słońca. Zawsze pociągała mnie noc, nie jako znak przemijania i końca, ale dlatego, że to ona daje początek nowemu dniu. Otulam się szalem, który wciąż jeszcze przeniknięty jest jego zapachem. Palę, sączę dżin i rozmyślam o tych wszystkich latach, które minęły.

Czasem schodzę do stóp wzgórza, by dotknąć kamienia, który razem z don Cosimem ustawiliśmy pośród kęp majeranku, zioła należącego do Demeter. Pewnego wieczoru w ruiny świątyni, i jak podstarzali giermkowie naszego rycerza, wyszukaliśmy niezbyt grubą, obtłuczoną płytę marmuru, która na pewno spodobałaby się Leowi. Don Cosimo chciał zawieźć ją do kamieniarza w miasteczku, by wyrył napis. Ale zrobiłam napis sama. Nie wyszło najlepiej. Pochyłe, nie całkiem foremne litery wydrapałam w marmurze starym gwoździem. A mimo to kamień wygląda tak, jak powinien wyglądać. Napis głosi:

**LEO Ostatni Książę
1912-2000**